IZRAELSKI 11 WRZEŚNIA

POLSKA BISKUPKA: BÓG TO NIE FACET

MYŚLIWSKI: NIE UFAM SOBIE

W OCZACH WAŻKI

Kraków 11–17 października 2023 nr 42 (3875) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl

ZBURZ TEN MUR

Idź na wybory

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

MAGAZYN LITERACKI
KSIĄŻKI W TYGODNIKU

REKLAMA

Głos rozsądku

w wariackich czasach

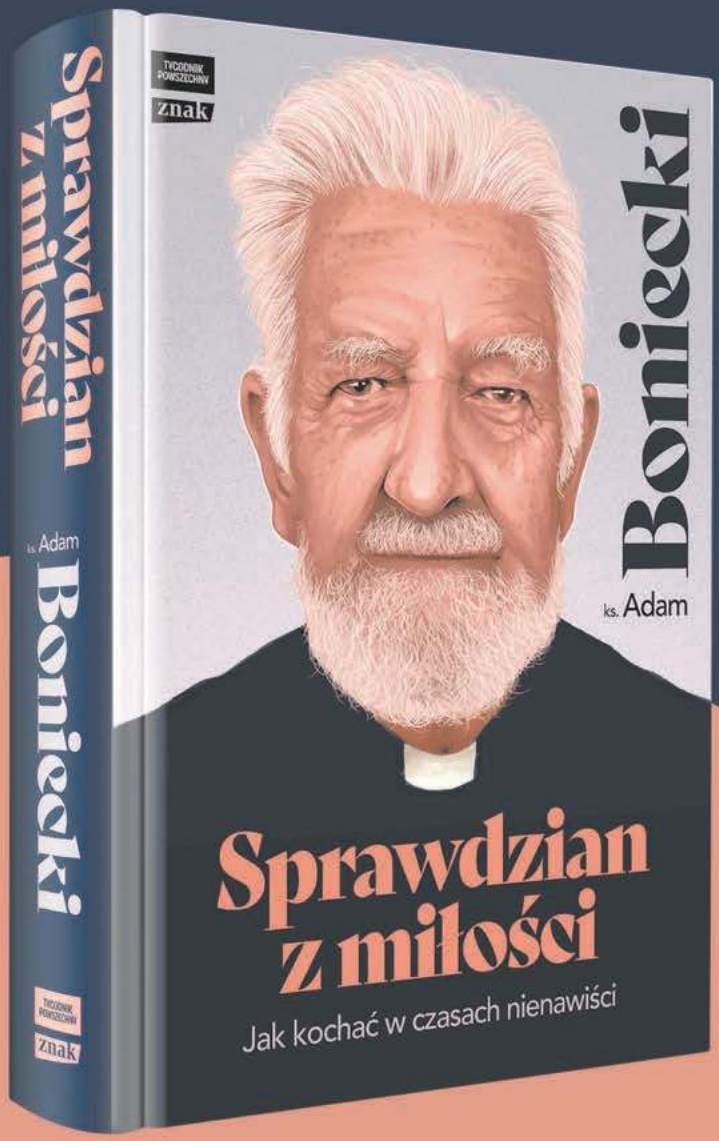

Nowa książka ks. Adama Bonieckiego

TYGODNIK POWSZECHNY znak

KS. ADAM

Boniecki: *Ogień z wodą*

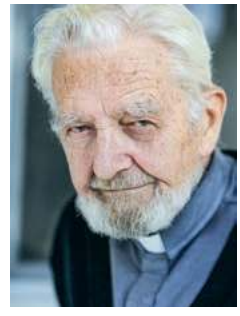

Papież Franciszek odpowiedział na doktrynalne wątpliwości pięciu (konserwatywnych) kardynałów, tzw. dubia. Na tego rodzaju poprzednie pisma papież po prostu nie odpowiadał. Tym razem, „gdy zbliża się Synod – postanowił podjąć rozmowę” . O tej wymianie korespondencji i w ogóle o rozmowie (chyba zdalnej) z papieżem napisał Piotr Sikora. Bez takich materiałów nie ma mowy o prawdziwej informacji o Kościele.

Piotr Sikora podjął wątek niezwykle trudny. Trudny był zawsze, lecz w publicznej debacie pomijany, a jeżeli nie mógł być pomijany, to był pomniejszany. Tak nie mogło być bez końca, a koniec tego pomniejszania (czy pomijania) przyszedł wraz ze stylem obecnego papieża. Ten styl to zasada, by nie przemilczać realnych problemów nawet wtedy, kiedy nie wiadomo, jak je rozwiązać.

Mamy więc z jednej strony dubia – skierowane przez pięciu kardynałów do papieża, czyli pytania dotyczące, zdaniem pytających, „zmian w niezmiennej tradycji Kościoła”, a z drugiej strony odpowiedzi papieża. Odpowiedzi papieża są zdaniem pytających niewystarczające. Można jednak wnosić, że z jego strony innej odpowiedzi nie będzie. Piotr Sikora w syntetycznym tekście stara się obiektywnie przedstawić myślenie zarówno pięciu (prawdopodobnie nie tylko ich) pytających kardynałów, jak również sposób myślenia papieża Franciszka. Konkluzja Sikory jest... zobaczcie zresztą sami. Choć, moim zdaniem niemożliwa do zrealizowania, to jednak najlepsza.

O ile wiem, nie jest jasne, jaki walor będą miały konkluzje obecnego Synodu. Myślę, że jak zawsze do tej pory, ostatnie słowo będzie należało do papieża. Papież jest właśnie od tego, żeby czuwać nad autentycznością naszej wiary. A ludziom różne rzeczy przychodzą do głowy. Wiara jest relacją z Bogiem. W moim odczuciu w te nasze relacje z Bogiem wkradło się, czy po prostu weszło, wiele elementów ludzkich relacji. Relacje z Bogiem stały się dziwnie odległe od wiary.

Bóg wymaga od człowieka... Właśnie czego? W Ewangelii mamy odpowiedź. Zrozumienie tego nazywamy ogólnie nawróceniem. Ma ono wiele form, tak w Ewangelii, jak i w historii życia ludzi świętych (niekoniecznie kanonizowanych). Tego nie da się wymazać z Ewangelii, choć nie zawsze i niezobowiązująco będzie to miało formę popularnie rozumianej „pobożności”. Pod szyldem „dobry katolik” nie zawsze kryje się świętość. Sfera motywów działających w człowieku świętym – wynika to zresztą z samej Ewangelii – nie musi być doktrynalnie absolutnie poprawna. Musi być czysta, jeśli chodzi o motywację. Motywy zresztą także nie muszą być doktrynalnie w porządku. Bezinteresowna miłość bliźniego – według Ewangelii – często zastępuje doktrynalną poprawność.

W doktrynie Kościoła katolickiego wiele spraw ewoluowało, obecne jednak były wymagania. Zmieniały się, to prawda. Nawet można powiedzieć, że łagodniały. W niektórych dziedzinach niezwykle łagodniały, za to w innych rosły, a przynajmniej nie malały. Czy było to coraz lepsze rozumienie myśli Stwórcy? Uczciwa odpowiedź brzmi: czasem tak, czasem nie. Czy zaproponowane (być może) na Synodzie zmiany będą lepszym rozumieniem bożych oczekiwań? Nie spieszmy się z odpowiedzią i ufajmy. Kościół to nie papież i nie większe czy mniejsze grono kardynałów. Wierzymy, że mimo wszelkich ludzkich przeszkód w Kościele powoli, lecz skutecznie działa Duch Święty.

W ciągu stuleci dziejów Kościoła wprowadzano korekty, a czasem wielce komplikowano sprawy. Chrystus stawiał i stawia wymagania. Mówił „jeśli chcesz”. A skoro chcesz, to weź na siebie trud. Myśmy czasem umieli to wziąć, tłumacząc rzecz na sposób bardzo ludzki. Sposób boski był i jest prosty: kto chce iść za Mną, niech weźmie swój krzyż. ©℗

Urszula Honek z Nagrodą Fundacji im. Kościelskich

Kapituła wyróżniła naszą autorkę za zbiór opowiadań „Białe noce”.
Jak uzasadniono, „książkę charakteryzuje wyjątkowa zdolność łączenia ostrego spojrzenia na rzeczywistość z językową magią, która splata żywych i umarłych, ludzi i zwierzęta, tradycje poetyckie i prozę współczesną”.

Uroczyste wręczenie nagrody odbędzie się 9 grudnia w Montricher (Szwajcaria) w siedzibie Fundacji im. Jana Michalskiego.

GRATULUJEMY!

Zachęcamy także do przeczytania felietonu Urszuli Honek zamieszczonego w magazynie literackim „Książki w Tygodniku” na s. 85.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Równanie z trzecią niewiadomą
PIOTR ŚMIŁOWICZ, MAREK KĘSKRAWIEC:
PiS wciąż wierzy, że uda mu się powtórzyć scenariusz z 2015 roku.

40 Bóg nie jest facetem
ROZMOWA Z BISKUPKĄ PAULINĄ HŁAWICZKĄ-TROTMAN:
Kobiety po teologii jeszcze niedawno słyszały pytania typu: co z tobą jest nie tak, że sobie do tej pory nie znalazłaś męża?

52 Przekraczanie zabronione
MARCIN ŻYŁA:
Migranci i wybory to powód, dla którego państwa Europy wprowadzają kontrole na granicach. Właśnie dołączyła do nich Polska.

60 Udowodnij, że byłeś na szczycie
MAREK RABIJ:
Wykreślenie z Księgi Rekordów Guinnessa nazwiska Reinholda Messnera, pierwszego zdobywcy Korony Himalajów, nie umniejszy jego osiągnięć.

101 Prosto w serce
MONIKA OCHĘDOWSKA:
Dla Agaty Karczewskiej country to synonim wrażliwości i otwartości wobec ludzi, którzy niekoniecznie są z naszego świata, wyznają inne wartości.

108 Świtezianka i inne
ADAM ROBIŃSKI:
Jej oko składa się z tysięcy maleńkich oczek, w jednym może ich być nawet 28 tysięcy.

TADEUSZ KONIARZ / REPORTER // DANUTA MATLOCH // ARCHIWUM JERZEGO KUKUCZKI / PAP // BOGUSŁAW DARAŻ // ŁUKASZ KUŚ / MATERIAŁY PRASOWE OFFBEAT AGENCY // KATARZYNA MIERNIK-PIETRUSZEWSKA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Izraelski 11 września
MAREK MATUSIAK

8-9 Komentarze

10-11 Wydarzenia

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, KARD. GRZEGORZ RYŚ, PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Równanie z trzecią niewiadomą
PIOTR ŚMIŁOWICZ, MAREK KĘSKRAWIEC

24 Czytamy programy
STEFAN SĘKOWSKI: *Gdyby kampania toczyła się wokół postulatów, politycy spieraliby się o pomoc rodzinom i energetykę*

28 Jak uleczyć leczenie
PIOTR WÓJCIK *o wyborczych pomysłach na opiekę zdrowotną*

30 Wypełnienie
AGNIESZKA SZYMASZEK: *Już nie myśli o raku. Zapomina, że ma sztuczne piersi*

■ ■ WIARA

36 Wyczerpało się
MARCIN KĘDZIERSKI: *Tegoroczne wybory będą ostatnimi, kiedy ktokolwiek zadaje sobie pytanie o stanowisko Kościoła*

40 Bóg nie jest facetem
ROZMOWA Z BISKUPKĄ LUTERAŃSKĄ PAULINĄ HŁAWICZKĄ-TROTMAN

44 Papież godzi ogień z wodą
PIOTR SIKORA: *Dyskusja nad pytaniami kardynałów pokazuje pęknięcie we wspólnocie Kościoła*

TEMAT TYGODNIKA

JULIA ZABRODZKA / FORUM

12 Polsko, daj się wyspać
ROZMOWA Z EDWINEM BENDYKIEM: Wreszcie czekają nas wybory, w których można z czystym sumieniem głosować zgodnie z poglądami, niestrategicznie.

■ DODATEK ■

71 KSIĄŻKI W TYGODNIKU. MAGAZYN LITERACKI

■ FELIETONY ■

35 TOMASZ STAWISZYŃSKI
47 WOJCIECH BONOWICZ
58 JACEK PODSIADŁO
106 OLGA DRENDA **107** PAWEŁ BRAVO
114 STANISŁAW MANCEWICZ
114 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: TP-ONLINE

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

■ ■ ŚWIAT

48 Ostatni Ormianie wyjeżdżają z Karabachu
STASIA BUDZISZ Z GORIS: *Górski Karabach opuściło tysiące Ormian*

52 Przekraczanie zabronione
MARCIN ŻYŁA

55 Państwo ponad wszystko
ROZMOWA Z JANEM RACZYNSKIM: *Rosji potrzebna jest zmiana pokolenia*

■ ■ HISTORIA

60 Udowodnij, że byłeś na szczycie
MAREK RABIJ

■ ■ NAUKA

64 *O laureatach Nagrody Nobla piszą:* WOJCIECH BRZEZIŃSKI, BARTOSZ KABAŁA I ŁUKASZ LAMŻA

■ ■ KULTURA

92 Nie ufam sobie
ROZMOWA Z WIESŁAWEM MYŚLIWSKIM: *Powoływanie się na doświadczenie jest pychą*

96 Ze świata do świata
WOJCIECH BONOWICZ: *Dramaty i powieści Myśliwskiego*

98 Nobel: przeprawa z Jonem Fossem
IGOR KIERKOSZ: *Tegoroczny noblista jest autorem otwartym na zwykłe życie*

101 Prosto w serce
MONIKA OCHĘDOWSKA

104 Reymont jak malowany
ANITA PIOTROWSKA *o nowej adaptacji filmowej „Chłopów"*

105 Wewnątrz koszmaru
LEKTOR *o książce Can Xue „Ulica Żółtego Błota"*

■ ■ ZMYSŁY

108 Świtezianka i inne
ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Atak na Ukrainę
Rosyjska rakieta spadła na wioskę Groza. W jednej chwili ta mała wieś straciła jedną czwartą swoich mieszkańców – korespondencja ANTONINY PALARCZYK | TygodnikPowszechny.pl/groza

Co obejrzeć w weekend
Ukraińskie kobiety, odesskie więzienie i przejmująca hybryda o macierzyństwie za kratami – ANITA PIOTROWSKA poleca filmy i seriale na VoD | TygodnikPowszechny.pl/weekend

Serwisy specjalne: patrz szerzej
POLSKA SZKOŁA
Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOLA

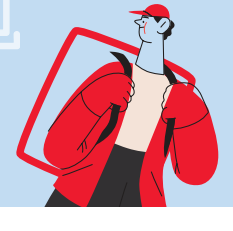

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

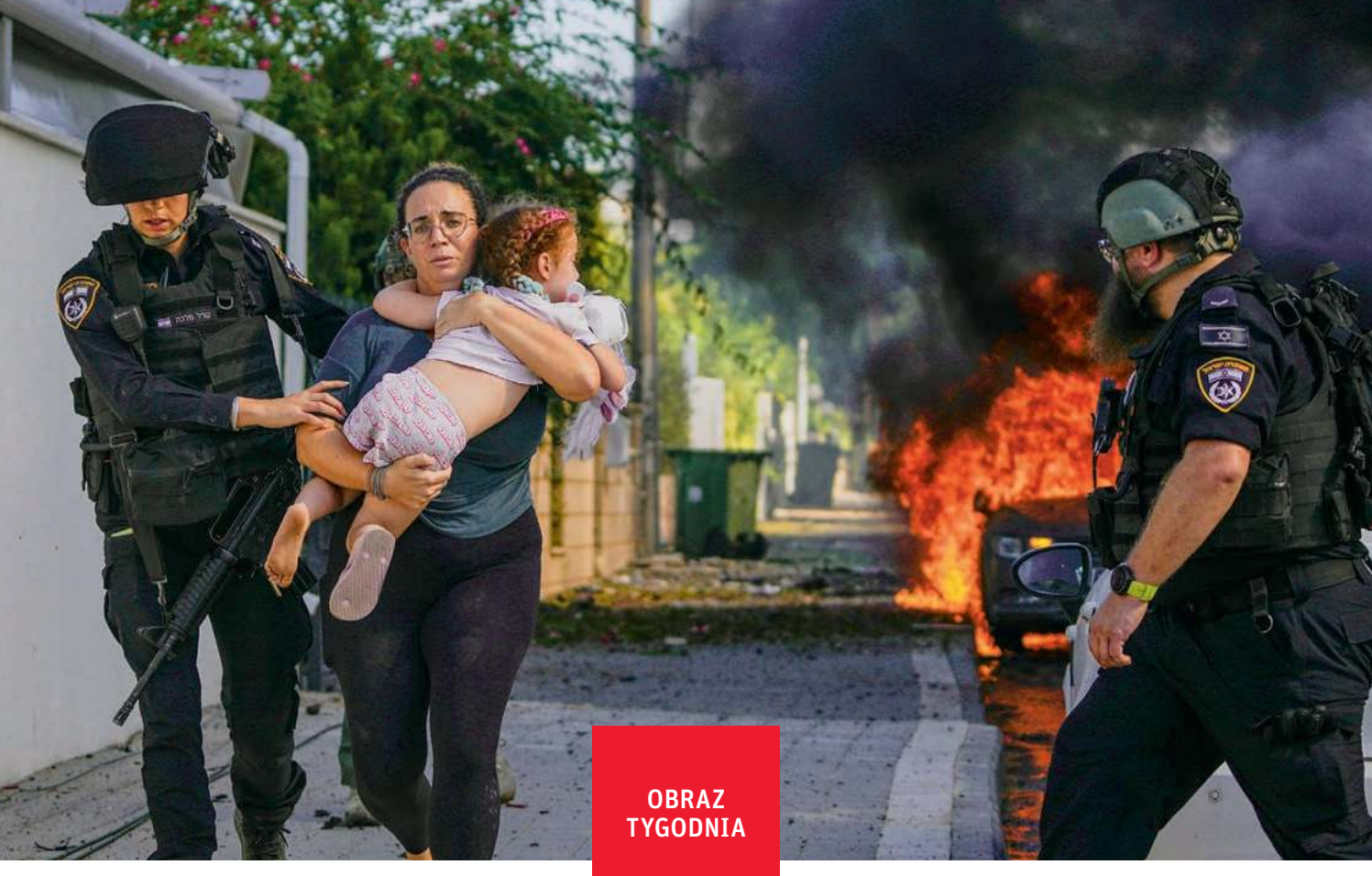

OBRAZ TYGODNIA

IZRAELSKI 11 WRZEŚNIA

Dla Izraela to szok, którego skutki trudno przewidzieć. Nieuchronnie zaważą one na przyszłości konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Wizja dwóch państw może zostać pogrzebana.

MAREK MATUSIAK

POWYŻEJ:
W sobotę 7 października pod ostrzałem rakietowym znalazło się także miasto Aszkelon, sąsiadujące od północy ze Strefą Gazy.

Wydarzyło się to, co nie miało prawa się wydarzyć: w sobotę 7 października nad ranem Hamas – radykalne palestyńskie ugrupowanie kontrolujące Strefę Gazy – zaatakował Izrael. I to nie tylko – jak w 2021 r. oraz wielokrotnie wcześniej – ostrzałem rakietowym, ale też na lądzie. Na to drugie strona izraelska była całkowicie nieprzygotowana. Tysiące rakiet, nadlatujących okresowo nad miasta południowego i centralnego Izraela, są bowiem upiorną izraelską normalnością. Obywatele wiedzą, jak się zachować, a państwo ma instrumenty militarne, żeby sprowadzać zagrożenie do minimum.

Jednak uzbrojone palestyńskie komanda, które jednocześnie w kilkudziesięciu miejscach przedarły się przez izraelską barierę bezpieczeństwa i na motorach, skuterach oraz półciężarówkach rozjechały się po przygranicznych izraelskich miasteczkach i kibucach, żeby terroryzować, mordować i uprowadzać przypadkowo napotkane osoby, zadały Izraelowi cios, którego nikt tam się nie spodziewał.

ZAWIODŁY WYWIAD, armia i wysokie technologie, w które wyposażona jest izraelska bariera bezpieczeństwa. Przede wszystkim jednak zawiodła polityka. Wydarzenia z 7 października obaliły bowiem założenie kolejnych izraelskich rządów, że Hamas jest organizacją agresywną i radykalną, ale zasadniczo prymitywną, którą można neutralizować prowadzonymi raz na kilka lat kampaniami powietrznymi lub też – w skrajnych wypadkach – ograniczoną operacją lądową. Poza tym nie ma potrzeby się nią zajmować, a nawet można czerpać korzyści z rozłamu wśród Palestyńczyków (Hamas rządzi w Gazie, Autonomia Palestyńska zaś

na Zachodnim Brzegu), gdyż osłabia to ich pozycję na arenie międzynarodowej.

Oceniano także, że na obecnym etapie Hamas zainteresowany jest przede wszystkim wewnętrzną sytuacją w Strefie, a zatem nie będzie dążył do większej konfrontacji, która pociągnie za sobą znacznie bardziej bolesny izraelski odwet.

WIZJA TA legła w gruzach 7 października. O operacji Hamasu można bowiem powiedzieć wszystko, ale nie to, że była (w sensie skali i organizacji) prymitywna. W efekcie mieszkańcy południa Izraela przez kilkanaście godzin czuli, że państwo ich opuściło, a oni stanęli oko w oko z przeciwnikiem zainteresowanym wyłącznie maksymalizacją liczby ofiar. Nie było armii (zaangażowanej na Zachodnim Brzegu), nie było przywództwa (rząd przez wiele godzin milczał), nie było pomocy.

Natomiast mieszkańcy reszty Izraela spędzili ten dzień na wyczekiwaniu na atak rakietowy i śledzeniu napływających z południa coraz bardziej przerażających obrazów – oraz rosnącej statystyki zabitych, rannych i uprowadzonych. W poniedziałek przed południem ta pierwsza liczba przekroczyła już 700 osób, druga 2,2 tys., trzecia ponad 100.

TO, CO SIĘ STAŁO, jest więc dla Izraela szokiem, którego konsekwencje trudno na razie przewidzieć. Jeżeli sytuacja zostanie opanowana i nie otworzą się kolejne fronty – np. z terytorium Libanu nie zaatakuje Hezbollah, a w samym Izraelu, we Wschodniej Jerozolimie czy na Zachodnim Brzegu nie dojdzie do żydowsko-arabskiej konfrontacji – konsekwencje te dotkną przede wszystkim Gazy. Nieuchronnie jednak poważnie zaważą na izraelskiej polityce wewnętrznej, zagranicznej oraz na przyszłości konfliktu izraelsko-palestyńskiego.

Izraelski odwet wobec Hamasu, a *de facto* wobec całej Strefy (biorąc pod uwagę, jak mały i gęsto zaludniony jest to obszar: prawie 2 mln ludzi żyje tam na obszarze dużo mniejszym od Warszawy) zaczął się jeszcze tego samego dnia od ataków powietrznych. Wiadomo jednak, że to dopiero początek.

TAK JAK W AMERYCE po zamachach z 11 września 2001 r., izraelska reakcja musi być szybka, bezlitosna i spektakularna. To nie tylko kwestia zemsty i pokonania przeciwnika, który okazał się znacznie groźniejszy, niż sądzono, ale też odbudowania wiarygodności państwa wobec własnych obywateli, jego potencjału odstraszania wobec innych zagrożeń oraz – w czasach, gdy coraz bardziej tylko silni się liczą – pozycji na arenie światowej.

Nie wiadomo na razie, jaką formę przyjmie izraelska reakcja. Trudno jednak wyobrazić sobie, żeby władze w Jerozolimie mogły dalej tolerować obecność Hamasu w Gazie. Należy zatem liczyć się z operacją lądową na dużą skalę, a nawet z powrotem do okupacji przez Izrael całości lub części Strefy. Wiązałoby się to nieuchronnie z ogromnymi stratami wśród palestyńskiej ludności cywilnej, a być może także z jej masowym i trwałym eksodusem (o ile Egipt, graniczący z Gazą, zgodziłby się wpuścić uciekinierów).

Nie jest jednak wykluczone, że izraelska reakcja nie ograniczy się do samej Gazy. Zwłaszcza jeśli okazać by się miało, że w ataku z 7 października był też np. ślad irański.

CO DO POLITYKI wewnętrznej: dopóki Izraelczykami kierować będą szok, gniew i chęć odwetu, Binjamin Netanjahu jako premier nie ma się czego obawiać. Może nawet na tej sytuacji przejściowo zyskać, gdyż jego polityczni oponenci wyrazili gotowość wejścia do rządu jedności narodowej, a ruch protestu wobec reformy sądownictwa ogłosił tymczasowe zawieszenie wystąpień. Gdy jednak opadnie kurz, nadejdzie czas rozliczeń i pytań, a wówczas sytuacja premiera będzie trudniejsza. Spośród szesnastu lat, jakie upłynęły od przejęcia władzy w Strefie Gazy przez Hamas, Netanjahu rządził przez lat trzynaście. Nie ma więc wątpliwości, na kim ciąży polityczna odpowiedzialność za tę katastrofę.

W polityce zagranicznej zapewne poprawią się relacje izraelsko-amerykańskie, napięte ostatnio z powodu kontrowersyjnej reformy sądownictwa; USA zapowiedziały już wsparcie militarne dla Izraela. Zarazem oddalą się perspektywy normalizacji izraelsko-saudyjskiej, o której wiele ostatnio spekulowano.

To jednak tylko skutki doraźne. Na najważniejsze pytanie – jak to, co się stało, wpłynie na sytuację regionalną, a zwłaszcza przyszłość konfrontacji izraelsko-irańskiej – trudno na razie odpowiedzieć.

ATAK HAMASU jest złą wiadomością dla izraelsko-palestyńskiego procesu pokojowego, który miał doprowadzić do zakończenia konfliktu na bazie tzw. „rozwiązania dwupaństwowego": utworzenia obok Izraela niepodległego państwa palestyńskiego obejmującego Gazę i Zachodni Brzeg. Przed 7 października proces ten był już *de facto* martwy, jednak w wystąpieniach przedstawicieli USA, UE czy organizacji międzynarodowych wizja „dwóch państw dla dwóch narodów" wciąż pojawiała się jako pożądana i możliwa formuła, Izraelczycy zaś co do zasady nie odrzucali jej wprost (choć można mieć poważne wątpliwości, czy byli tym rzeczywiście zainteresowani).

Po ostatnich wydarzeniach szanse na jej urzeczywistnienie staną się już czysto iluzoryczne. Ktokolwiek w Izraelu wzywałby w przyszłości do rozmów z Palestyńczykami i ustępstw na ich rzecz, usłyszy w odpowiedzi, że po 7 października przestało to być możliwe.

JEDNOCZEŚNIE, śledząc rozwój wypadków w kolejnych dniach, warto pamiętać, że dociera do nas przede wszystkim perspektywa jednej strony. Izraelskie ofiary mają nazwiska, poznajemy ich twarze i zrozpaczone rodziny. Nieuniknione ofiary cywilne po stronie palestyńskiej pozostaną natomiast w większości przypadków anonimowymi statystykami – „stratami ubocznymi" sprawiedliwego odwetu. ©

Tekst ukończono 9 października o godzinie 10.

MAREK MATUSIAK *jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, specjalizuje się w tematyce Izraela i Bliskiego Wschodu.*

Nikt się nie spodziewał

ZWYKLE GDY W IZRAELU dochodzi do ataków, nikt nie panikuje, ludzie zachowują spokój i czekają w schronach na nadlatujące rakiety. Tym razem jest inaczej.

TO WSZYSTKO DZIEJE SIĘ w symbolicznym czasie: w 50. rocznicę wojny Jom Kipur [w 1973 r. Egipt i Syria zaatakowały Izrael i przez pierwsze dni osiągały sukcesy – red.]. Tamten atak był zaskoczeniem. I również na to, co stało się teraz, nikt nie był przygotowany. Nikt nie spodziewał się, że sytuacja nabierze tak dramatyczny obrót.

JUŻ OD GODZINY 6.30 w sobotę zaczęliśmy dostawać informacje, że na południu robi się niebezpiecznie. Przez kilka godzin rząd nie podjął żadnych decyzji, nie reagował też premier. Dziennikarze dostawali esemesy i wiadomości głosowe od ludzi zamkniętych w domach, którzy błagali, by policja i wojsko przyszły im z pomocą. Mówili, że nikt ich nie wspiera, podczas gdy Hamas wyważa drzwi do ich domów.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Więcej: TygodnikPowszechny.pl/izrael

TSAFRIR ABAYOV / AP / EAST NEWS

Przyjmuj albo płać

TOMASZ BIELECKI Z BRUKSELI

Unijne kraje porozumiały się w sprawie „paktu migracyjno-azylowego", którego ostateczna wersja będzie teraz negocjowana z Parlamentem Europejskim. Najgłośniejszym punktem jest tzw. obowiązkowa solidarność, w której relokacja może być zastąpiona ekwiwalentem pieniężnym (szacowanym na 20 tys. euro za jednego migranta). Relokacja miałaby dotyczyć rocznie zaledwie 30 tys. osób, z czego na Polskę przypadłoby tylko niecałe dwa tysiące lub adekwatna opłata – i to przed zastosowaniem ulg z racji przyjęcia Ukraińców bądź tzw. presji migracyjnej na granicy z Białorusią.

Dotychczas Włochy – wbrew oficjalnie obowiązującym regułom – nie rejestrują wielu migrantów, którzy przeprawiają się tam przez Morze Śródziemne. A ci jadą dalej, głównie do Niemiec, Francji i Beneluksu. Północ od lat żądała od Południa wzięcia odpowiedzialności za wspólną politykę migracyjną. Południe chciało zaś solidarności wobec państw z unijną granicą zewnętrzną.

Dlatego tłem „paktu migracyjno-azylowego" stała się transakcja „solidarność za odpowiedzialność", której towarzyszy – jak alarmują organizacje praw człowieka – obniżenie standardów humanitarnych. Reforma wzmacnia obowiązek rejestracji migrantów na granicy (również po przejęciu ich na morzu), wprowadza szybkie procedury dzielenia ich na tych z dużymi szansami na azyl, niewnioskujących o azyl oraz – to zwykle większość – zamierzających o niego prosić, ale bez większych szans na status uchodźcy. Ta ostatnia grupa miałaby trafiać do restrykcyjnej „procedury granicznej", której celem byłoby szybkie rozpatrzenie wniosków oraz ewentualna deportacja.

„Zapłatą" za dodatkowe obowiązki przy rejestracji, deportacji, rozpatrywaniu wniosków azylowych np. przez Włochy mają być m.in.: wsparcie finansowe oraz relokacja, czyli skierowanie części migrantów do innych krajów Unii, gdzie rozpatrywano by ich wnioski o azyl. Wydaje się, że nawet włoska premier Giorgia Meloni widzi w takiej „solidarności za odpowiedzialność" głównie gest polityczny istotny dla swych wyborców. A prawdziwą zmianę dostrzega w – przeforsowanym przez Rzym przy okazji negocjacji paktu – porozumieniu „pieniądze za hamowanie migracji" między Unią i Tunezją, skąd operuje wielu przemytników ludzi.

Te restrykcje powinny odpowiadać obecnym władzom Polski czy Węgier. Ale tak zapędziły się one w „obronie suwerenności" oraz straszeniu „obcymi", że za nieakceptowalne uznają niemal wszystkie rozwiązania migracyjne na poziomie Unii. Reszta UE, zmęczona daremnymi rokowaniami z Warszawą i Budapesztem, postanowiła tym razem oba kraje przegłosować. ©

Migranci z Afryki na okręcie Straży Przybrzeżnej. Lampedusa, 21 września 2023 r.

NICOLA MARFISI / AGF / SIPA / EAST NEWS

Synod z duchami

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

Czy kardynał łamiący nakaz milczenia będzie ukarany?" – pytali dziennikarze, gdy kard. Gerhard Müller już drugiego dnia synodu wziął udział w programie informacyjnym amerykańskiej telewizji EWTN. „Każdy sam rozeznaje, czy może udzielać wywiadów, czy nie" – brzmiała odpowiedź Dykasterii Komunikacji.

Za pontyfikatu papieża-jezuity rozeznawanie – jedna z ignacjańskich reguł życia duchowego – stało się bodaj najważniejszą zasadą w Kościele. W świetle najnowszych wypowiedzi Franciszka to ono – rozeznanie zwykłego księdza czy świeckiego katolika – ma decydować nawet o najbardziej kontrowersyjnych decyzjach, jak komunia dla rozwiedzionych czy błogosławieństwo par homoseksualnych. Ku przerażeniu tych, którzy potrzebują bardziej jasnych i obiektywnych kryteriów. Papież chce, by współczesny Kościół opierał się na dwóch filarach: słuchaniu Ducha Świętego (czyli rozeznawaniu) i siebie nawzajem. O tym rozmawiano w pierwszym tygodniu Synodu.

Widok hierarchów, nawet tych zwykle mało otwartych i zalęknionych, siedzących przy okrągłym stole ramię w ramię ze świeckimi, w tym z kobietami, był krzepiący.

Nawet jeśli wielu z nich uważa, że to obniża rangę zgromadzenia. „Jeśli świeccy uczestniczą z prawem głosu, to nie jest to już synod biskupów, ale konferencja kościelna, bez prawa nauczania, które przysługuje tylko kolegium biskupów" – mówił, jeszcze przed rozpoczęciem obrad, kard. Müller. Bo spór o udział świeckich jest sporem o władzę. O to, kto ma prawo decydować, co można w Kościele zmienić, a co musi pozostać niezmienne. Co jest prawdą, a co nie. Co pochodzi od Ducha Świętego, a co od „innych duchów". We wspomnianym programie EWTN kard. Raymond Burke (nieuczestniczący w Synodzie) pytał: „Czy jeśli coś było złe przez 2 tys. lat, teraz, z natchnienia Ducha Świętego, ma stać się dobre? Duch Święty nie przeczy sam sobie".

U progu drugiego tygodnia obrad dominującym odczuciem jest niepewność. „Nie wiemy, w którą stronę pójdziemy" – mówił w telewizji kard. Müller. „Na wcześniejszych synodach wiedzieliśmy mniej więcej, jak i czym się skończą. Teraz nie wiemy nic" – przyznał kard. Fridolin Ambongo z Kinszasy, jedyny hierarcha, z którym dziennikarze mogli oficjalnie porozmawiać.

Może to i dobra wiadomość. Niech sobie Duch wieje, jak chce. ©℗

NA PUNKTY

DEBATA
Kilka godzin po zamknięciu tego numeru „Tygodnika” w TVP miała się odbyć debata przedwyborcza z udziałem Donalda Tuska, ale pod nieobecność Jarosława Kaczyńskiego, który oznajmił, że ma już zapowiedziane spotkanie w Przysusze i woli je od „rozmowy z kłamczuchem”. Na wypadek, gdyby „kłamczuch” mówił jednak prawdę, sprzyjająca PiS telewizja zmieniła godzinę debaty, a po niej zaplanowała „Wiadomości”.

WYPŁATA
Czworo prowadzących ten ostatni program, m.in. Michał Adamczyk i Danuta Holecka, w ciągu pięciu lat służby zarobiło blisko 12 mln zł netto – ustalił Onet. Z raportu NIK wynika zaś, że byłemu szefowi Telewizyjnej Agencji Informacyjnej Jarosławowi Olechowskiemu wypłacono „na podstawie rachunków” 1,5 mln zł.

DEZAPROBATA
Nieodbytych debat było w kampanii więcej. Szumnie zapowiadana w mediach sprzyjających opozycji konfrontacja między Jarosławem Kaczyńskim a Romanem Giertychem (reprezentującym KO w tym samym, co lider PiS, okręgu kieleckim) nie doszła do skutku z prostej przyczyny: do głosowania na siebie dawny lider Młodzieży Wszechpolskiej zachęcał mieszkańców Świętokrzyskiego, ale z Włoch. ©℗

Pokojowy Nobel dla Iranki

WOJCIECH JAGIELSKI

Narges Mohammadi, irańska pisarka i działaczka ruchu praw człowieka, została laureatką tegorocznej Pokojowej Nagrody Nobla. Komitet Noblowski postanowił uhonorować ją za niezłomną walkę o prawa kobiet i prawo „do pełni i godności życia”.

„Tą nagrodą chcieliśmy też złożyć hołd setkom tysięcy ludzi, którzy wystąpili w Iranie przeciwko dyskryminacji kobiet” – powiedziała przewodnicząca Komitetu Noblowskiego Berit Reiss-Andersen, nawiązując do ubiegłorocznej, młodzieżowej rewolucji w Iranie, która wybuchła po śmierci 22-letniej Mahsy Amini, śmiertelnie pobitej przez patrol policji obyczajowej za nieprawidłowo zawiązaną chustę na głowie.

NARGES MOHAMMADI FOUNDATION

Wiadomość o przyznaniu Pokojowego Nobla, podobnie jak zeszłoroczne wieści o śmierci Mahsy i ulicznym buncie młodzieży, zastała Narges Mohammadi, rocznik 1972, w teherańskim więzieniu Evin, gdzie odsiaduje kilkunastoletni wyrok za czyny, które władcy republiki ajatollahów uznali za działalność wywrotową, a za które Komitet Noblowski postanowił przyznać jej Nagrodę. Przewodnicząca Komitetu wyliczyła, że Mohammadi 13-krotnie była aresztowana, a 5-krotnie skazywana na łączną karę ponad 30 lat więzienia. Czternaście lat w więzieniu odsiedział za politykę także jej mąż, żyjący dziś z dwójką ich dzieci we Francji.

Kary wymierzano jej za udzielane zza krat wypowiedzi dla zagranicznych gazet, a także za wydanie za granicą napisanej w celi książki o pobycie w więzieniu. W sierpniu dostała za to kolejny rok odsiadki.

Narges Mohammadi jest drugą Iranką nagrodzoną Pokojowym Noblem. Pierwszą (a również pierwszą muzułmanką), w 2003 r., została Szirin Ebadi, pisarka i działaczka praw człowieka, założycielka Ośrodka Obrońców Praw Człowieka, która od 2009 r. mieszka na wygnaniu w Londynie. Działaczką Ośrodka, od początku jego istnienia, była też Mohammadi, została ona także zastępczynią Ebadi. ©℗

Odwołany spiker i wyścig z czasem

MARTA ZDZIEBORSKA

Nowy thriller polityczny w USA rozgrywa się na Kapitolu: 3 października po raz pierwszy w historii odwołano spikera Izby Reprezentantów. Do utraty stanowiska przez Republikanina Kevina McCarthy’ego doprowadziło ośmiu deputowanych ze skrajnie prawicowego skrzydła tej samej partii, poparli ich wszyscy obecni na sali Demokraci. McCarthy naraził się, bo kilka dni wcześniej pozwolił na uchwalenie prowizorium budżetowego bez żądanych przez Republikanów cięć. Tym samym uchronił kraj przed odcięciem finansowania i paraliżem administracji. Republikańscy radykałowie ukarali go, choć w trakcie negocjacji na ich życzenie lobbował za niewłączeniem do porozumienia puli pomocy dla Ukrainy. Wcześniej zaś ku ich aplauzowi polecił wszcząć śledztwo w ramach procedury impeachmentu wobec prezydenta Bidena.

Tymczasowym spikerem jest teraz Republikanin Patrick McHenry, jednak jego uprawnienia są mocno ograniczone. Republikanie chcieli wyłonić następcę 11 października, nie wiadomo było jednak, czy im się to uda. Wcześniej McCarthy, nie mając poparcia większości, zdobył stanowisko dopiero po piętnastu rundach głosowań.

Do tarć na Kapitolu doszło w najgorszym możliwym momencie, gdy USA czeka uchwalenie kolejnych ustaw budżetowych – obecne prowizorium obowiązuje tylko do 17 listopada. Pod znakiem zapytania stoją losy nowego pakietu pomocy dla Ukrainy, o który latem poprosiła administracja Bidena. Zawirowanie na Kapitolu może też utrudnić udzielenie wsparcia dla Izraela, kluczowego sojusznika Stanów.

„Niepewność i chaos w USA osłabiają resztę świata” – napisał Mike Lawler, republikański kongresmen, odwołanie spikera nazywając „głupim”. Chyba zgodzi się z nim teraz wielu Amerykanów. ©

Autorka jest dziennikarką „Press”.

ARCHIWUM PRYWATNE

RÓŻA RZEPLIŃSKA, MAMPRAWOWIEDZIEC.PL:

Tego, co planują władze, nie nazwałabym referendum, raczej plebiscytem.

ANNA GOC: Po raz pierwszy w dniu wyborów parlamentarnych odbędzie się także referendum. Jak wpłynie na przebieg wyborów?

RÓŻA RZEPLIŃSKA: W komisjach wyborczych głosujący otrzymają trzy karty do głosowania – do Sejmu, Senatu i referendalną z czterema pytaniami. Możemy spodziewać się zamieszania – część wyborców nie zdaje sobie sprawy, że jakieś referendum jest. To również wyzwanie dla członków komisji – do policzenia głosów z trzech różnych typów kart potrzeba będzie więcej czasu. Udział w referendum, podobnie jak w wyborach, nie jest obowiązkowy. Odmowę przyjęcia karty referendalnej musimy zgłosić komisji od razu, czyli podpisując się na liście wyborców, a komisja powinna odnotować, że nie wzięliśmy karty. Referendum jest wiążące – czyli zobowiązuje rządzących do realizacji – jeśli do urn zostanie wrzuconych 50 proc. kart. Zniszczenie karty wyborczej i referendalnej jest złamaniem prawa.

Problem z policzeniem głosów będą miały przede wszystkim komisje za granicą.

Mają na to 24 godziny od zamknięcia urn. To wyzwanie, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że komisja np. w Mediolanie będzie musiała zliczyć głosy 2 tys. obywateli. Jeśli nie zdąży, głosy, także oddane w wyborach, nie zostaną uwzględnione. Stąd postulat Polonii, żeby członkowie komisji mogli odesłać najpierw wyniki wyborów, a potem referendum. Na to nie zgodziła się PKW. Niektórzy obywatele, za zgodą MSZ, zarejestrowali więc pod jednym adresem kilka komisji. Robią wszystko, by zagłosować. Jeśli okaże się, że z powodu referendum część głosów Polonii nie zostanie policzona, możemy mówić o złamaniu zasady równego dostępu do wyborów.

Poczta Polska dostarcza właśnie gazetkę referendalną, na przygotowanie której – jak ustaliła Wirtualna Polska – Fundacja Niezależne Media otrzymała 5,7 mln zł z rezerwy budżetowej kancelarii premiera.

Rezerwa budżetowa to środki, które państwo ma na wypadek nieprzewidzianych wydatków, np. klęski żywiołowej. Wydawanie ich na działania komunikacyjne partii, w czasie kampanii wyborczej, jest niezgodne z zasadami. Myślę też, że gazetka została przygotowana głównie z myślą o wyborcach PiS.

Dlaczego?

Kampania wyborcza PiS i kampania referendalna są oparte na tych samych wątkach. Gazetka referendalna ma więc przede wszystkim utwierdzić elektorat tej partii. W błyskawicznym tempie PiS przeprowadzał w Sejmie proces legislacyjny, który miał dostosować prawo referendalne do kodeksu wyborczego. Nie udało się i mamy sporo nieścisłości.

Tego, co planują władze, nie nazwałabym referendum, raczej plebiscytem. Wydawanie pieniędzy z rezerwy budżetowej jest istotne także dlatego, że każdy komitet może przeznaczyć na kampanię określoną sumę. PiS – 32 mln zł na kampanię do Sejmu i 7 mln zł do Senatu. Tymczasem wydatki w kampanii referendalnej nie są ograniczone. Teraz włączyło się do niej 15 fundacji spółek Skarbu Państwa, czyli nastąpiło kolejne dokapitalizowanie kampanii rządzącej partii. ©℗

RÓŻA RZEPLIŃSKA *jest szefową serwisu MamPrawoWiedziec.pl*

W sprawie klimatu papież mówi: sprawdzam!

KLIMAT ▪ „Nie sam kryzys mnie przeraża. Przeraża mnie sposób, w jaki politycy na niego reagują. Papież słusznie się martwi, że zaprzepaścimy naszą szansę” – mówiła Luisa Neubauer podczas prezentacji w ogrodach watykańskich najnowszej adhortacji Franciszka „Laudate Deum” na temat kryzysu klimatycznego. Młoda niemiecka działaczka klimatyczna zauważyła, że państwa, zamiast pociągać do odpowiedzialności trucicieli, do więzień wsadzają obrońców klimatu. W takiej sytuacji głos papieża jest nie do przecenienia.

Rzeczywiście, w adhortacji Franciszek bierze w obronę „grupy zradykalizowane” (pod warunkiem, że nie stosują przemocy). Polemizuje z denialistami, przyznając, że działają oni także w Kościele katolickim. Przytacza twarde dane z ONZ-owskich raportów. „Nie można już wątpić w ludzkie – »antropogeniczne« – przyczyny zmian klimatycznych” – stwierdza. Diagnoza jest alarmująca: „Nie reagujemy dostatecznie, bowiem goszczący nas świat rozpada się i być może zbliża się do punktu krytycznego”. Co może się stać, zdaniem papieża, już za kilka lat.

Adhortacja jest jakby kontynuacją encykliki „Laudato si”. Po 8 latach od opublikowania tej drugiej i na niecałe dwa miesiące przed COP28 w Dubaju papież mówi: sprawdzam! Wynik jest bardzo niekorzystny dla wspólnoty międzynarodowej, a zwłaszcza dla najbogatszych państw, które – zdaniem Franciszka – wciąż egoistycznie kierują się „paradygmatem technokratycznym” (według którego postęp jest nieskończony). Lekarstwo papież widzi w rozwijaniu „multilateralizmu”, czyli poddaniu państw kontroli organizacji międzynarodowych, które powinny zostać wyposażone w mechanizmy realnego egzekwowania dotrzymywania wspólnych postanowień.

Specjaliści od klimatu potwierdzają rzetelność podawanych przez papieża danych. Ich zdaniem także alarmistyczny ton adhortacji jest w obecnej sytuacji całkiem uzasadniony.

©℗ ARTUR SPORNIAK

ANGELO CARCONI / EPA / PAP

Luisa Neubauer podczas konferencji dotyczącej „Laudate Deum”. Watykan, 5 października 2023 r.

Mroczna strona YouTube'a

ZRZUT EKRANOWY MATERIAŁU SYLWESTRA WARDĘGI

PANDORA GATE ▪ 3 października Sylwester Wardęga opublikował na YouTubie film „Mroczna tajemnica Stuu i youtuberów: Pandora Gate (Boxdel, Dubiel, Fagata)", który po kilku dniach miał 8,5 mln wyświetleń i odbił się szerokim echem. Specjalista ds. marketingu internetowego Wojciech Kardyś powiedział w rozmowie z portalem WirtualneMedia.pl, że tak dużej afery w polskim środowisku YT jeszcze nie było. O „Pandora Gate" wypowiedzieli się politycy wszystkich opcji, m.in. Mateusz Morawiecki, Donald Tusk i Szymon Hołownia.

„Ci zboczeńcy powinni trafić pod sąd i na długie lata za kratki, żeby nie mogli molestować, gwałcić, zmuszać do stosunków seksualnych nieletnich dziewcząt" – powiedział szef MEiN Przemysław Czarnek, a wiceminister sprawiedliwości Piotr Cieplucha pokazał w nagraniu opublikowanym na TikToku celę, do jakiej trafiają sprawcy „tak brutalnego przestępstwa jak pedofilia". To właśnie o seksualne wykorzystywanie małoletnich poniżej 15 lat Wardęga oskarżył Stuarta „Stuu" Burtona – niegdyś jednego z najpopularniejszych polskich youtuberów, twórcę Teamu X – i dwóch innych influencerów, sugerując, że internetowych twórców, którzy wykorzystywali nastoletnie fanki, jest znacznie więcej. Niespełna dwa tygodnie wcześniej Stuu opublikował na YT film, w którym naraża zdrowie i życie młodych kobiet (podczas walki zorganizowanej bez zasad i opieki medycznej, za to z podtapianiem, podduszaniem i przygniataniem oponą ciężarówki), po czym skłamał, że zasady były ustalone.

Youtuber, który wraz z Wardęgą prowadził śledztwo, Mikołaj „Konopskyy" opublikował następny film na ten temat, „Mroczna przeszłość polskiego Youtuba", w niedzielę 8 października wieczorem. W poniedziałek rano było już 6 mln wyświetleń. Konopskyy podał kolejne nazwiska i upublicznił fragmenty prywatnych rozmów influencerów, w tym wiadomość, jaką Stuart Burton wysłał do swojej (pełnoletniej) przyjaciółki, z wyznaniem, że był w dzieciństwie molestowany. Konopskyy skomentował to, mówiąc: „Wygląda to jak kolejna manipulacja Stuarta, aby wzbudzić jakieś współczucie", a na koniec filmu stwierdził, że „los całkiem nieźle zadecydował, żeby ten temat wypłynął akurat teraz" (przed wyborami).

W zeszłym roku Konopskyy oskarżył o pedofilię innego członka Teamu X, Krzysztofa Lekstana. Wtedy jednak zarzuty okazały się bezpodstawne.

© ANNA GOLUS

Nasi przodkowie zjadali swoich zmarłych

ARCHEOLOGIA ▪ Rozłupane czaszki, z których pozyskiwano mózg, pogruchotane kości, z których wysysano szpik, a także kości ze śladami nacięć po oddzieleniu mięsa – tak obrobione ludzkie szczątki jednoznacznie wskazują na kanibalizm. Nasi przodkowie mogli go uprawiać nawet 1,5 mln lat, bo tyle liczą skamieniałości kości piszczelowej klasyfikowanej jako *Homo erectus*, znalezionej w regionie jeziora Turkana w Kenii i posiadającej ślady nacięć, które mogły zostać wykonane wyłącznie kamiennym ostrzem. Choć w tym przypadku nie musiało dojść do kanibalizmu w ścisłym sensie, ponieważ zjadani i zjadający mogli wywodzić się z blisko spokrewnionych, lecz odmiennych gatunków hominidów.

W Europie ślady kanibalizmu znajdujemy m.in. na stanowiskach kultury magdaleńskiej – jednej z dwóch dużych populacji, obok kultury epigraweckiej, występujących między ok. 20-10 tys. lat temu. W zasięgu występowania obu tych kultur znalazły się także ziemie polskie – kulturę epigrawecką reprezentują znaleziska z Wilczyc pod Sandomierzem, a magdaleńską – ludzkie szczątki (ze śladami nacięć) z Jaskini Maszyckiej, położonej w Ojcowskim Parku Narodowym.

W artykule opublikowanym w „Quaternary Science Reviews" William A. Marsh i Silvia Bello z Muzeum Historii Naturalnej w Londynie przeanalizowali dane archeologiczne z blisko 60 miejscowości i postawili tezę, że u magdaleńczyków kanibalizm nie był zwyczajnym elementem diety, lecz specyficznym rytuałem pogrzebowym. Na stanowiskach tej kultury nie znajdujemy bowiem pochówków. One występują za to powszechnie na stanowiskach reprezentujących kulturę epigrawecką, gdzie z kolei nie ma żadnych śladów kanibalizmu. Badania genetyczne potwierdziły, że przedstawiciele obu kultur wywodzili się z różnych populacji.

To ustalenie zmusza nas do zastanowienia, czy starsze przejawy kanibalizmu – np. wśród neandertalczyków – również nie miały wymiaru kulturowego.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TP"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań –
www.tokfm.pl

TEMAT TYGODNIKA

POLSKO, DAJ SIĘ WYSPAĆ

EDWIN BENDYK, PREZES FUNDACJI BATOREGO:

Wreszcie czekają nas wybory, w których można z czystym sumieniem głosować zgodnie z poglądami, niestrategicznie. Więcej ludzi pójdzie do urn, bo uzna, że ma swoich kandydatów.

MICHAŁ OKOŃSKI: Powiem Panu, że czuję się zmęczony, zniechęcony i niezdecydowany.

EDWIN BENDYK: Nie pan jeden.

Tak, czytałem badania Fundacji Batorego, z których wynika, że wyborców, którzy się wahają, jest ponad 40 proc.

Ciekawe, że do wielu środowisk medialnych i chyba też do polityków nie przebija się świadomość, że większość Polaków w ogóle nie interesuje się uprawianą przez nich jatką, a zwłaszcza, że nie podziela opinii o „najważniejszych wyborach po 1989 roku". Jakkolwiek to zabrzmi, wiele osób nie traktuje tego, kto nimi rządzi, jako kluczowego problemu w życiu, a w dodatku jest coraz bardziej zmęczonych polaryzacją.

Trochę nie rozumiem: politycy znają wyniki tych badań, a nie zdejmują nogi z gazu.

Tusk gra kartą polaryzacyjną, bo nie bardzo może grać inną. Wie np., że wyborcy niezdecydowani mają dość rozdawnictwa i chętnie poparliby partię, która przedstawi program racjonalizacji transferów socjalnych, ale przecież gdyby Tusk coś takiego zakomunikował, PiS zagrałby larum: „chcą wam zabrać!". Niestety, tak się kończy większość dyskusji o czymś, co powinno być rdzeniem polityki.

Hołownia pozwala sobie czasem na krytykę rozdawnictwa.

Akurat on może. Polaryzacja zwykle nie sprzyja ugrupowaniom szukającym miejsca między głównymi stronami sporu. W momencie jednak, kiedy znaczna część wyborców ma dość nakręcania emocji, Trzecia Droga, podobnie jak Lewica, odzyskuje zainteresowanie.

„Tego się już słuchać nie da" – to jeden z cytatów z Waszego raportu o języku dominującym w polityce...

Z naszych badań wynika, że Polacy są gotowi na zmianę władzy, ale wielu nie chce głosować na partie opozycyjne, bo sądzi, że nie są alternatywą. Że nie poradzą sobie z problemem wymienianym jako pierwszy przez wszystkich wyborców, a przez niezdecydowanych w szczególności: z drożyzną. Z sondaży wynika, że PiS jest uważany za partię lepiej radzącą sobie z gospodarką, bo utrzymał wzrost PKB, dał 500+ i podniósł pensje.

A inflacja?

Nie jest, zdaniem wielu, winą Kaczyńskiego, tylko Putina: ceny wzrosły wszędzie w Europie, mówią ludzie, no a w tej sytuacji rządząca przed 2015 r. PO, a dziś KO, ma pod górkę. Młodsi wyborcy jej nie pamiętają, a starsi nie uważają jej ówczesnej opowieści za najszczęśliwszą.

Ciepła woda w kranie nie wystarczy, musi być do niej jakaś opowieść?

W dodatku dziś musi to być opowieść przekonująca, że nie stracimy tego, co uważamy za dobre z ostatnich ośmiu lat. Zarówno w aspekcie indywidualnym, bo ludziom zaczęło się lepiej żyć, jak i godnościowym, powiązanym z prestiżem narodowym, patriotyzmem itd. Stosunki międzynarodowe dla większości z nas są zbyt skomplikowane, ale poczucie dumy narodowej już nie.

Wszyscy jednak chcemy zostać w Unii, a niektórzy prominenci PiS mówią wprost o polexicie.

No i to jest właśnie jedna z rzeczy, w których Koalicja Obywatelska ma zdecydowaną przewagę. I zresztą gra na tym, prawda?

Trochę słabo.

Mówi, że odblokuje KPO następnego dnia po wyborach, czyli zamienia abstrakcyjną obecność w Unii w konkret. Co skądinąd dla mnie brzmi trochę niepokojąco, bo umacnia schemat: Unia jest fajna dlatego, że daje nam pieniądze. Przyznam, że byłem pod wrażeniem, kiedy usłyszałem od Viktora Orbána, że nie może się doczekać, aż Węgry osiągną taki poziom rozwoju, by stać się płatnikiem netto, bo „kto płaci za orkiestrę, ten mówi, co ma grać". My się boimy, że przyjdzie czas, w którym Unia przestanie być bankomatem, a on – mimo że z Brukselą walczy – wie, że może zyskać instrument wywierania wpływu.

Kiedy Pan wspomniał o ostatnich ośmiu latach, pomyślałem, że zmiana polega też na tym, że populizm stał się w tym czasie pełnoprawnym narzędziem uprawiania polityki. Tusk brzmi jak kolejny populista – co też wzmacnia moje zniechęcenie.

→

Marsz Miliona Serc. Warszawa, 1 października 2023 r.

JULIA ZABRODZKA / FORUM

↦ On oczywiście nie zachowuje się tak brutalnie jak Kaczyński, który nie walczy z KO, tylko osobiście z „ryżym". Nawet grając na polaryzację, Tusk jest subtelniejszy.

Widziałem te plakaty z Kaczyńskim na przystankach dużych miast: „Ja jestem zagrożeniem", i nie wiem, czy się z Panem zgadzam.

Tym też byłem zdumiony, powiem szczerze. Kto opozycji to podpowiedział?

A może jest tak, że ta kampania ma etapy? Może do liderów KO dotarły badania o zmęczeniu polaryzacją, bo te plakaty zniknęły. Może dotarło do nich również to, że tak mocne stawianie na polaryzację utopi Trzecią Drogę i osłabi Lewicę, a w efekcie da trzecią kadencję PiS.

Ciekawe jest pytanie, jak wiedza socjologiczna łączy się z wiedzą czy intuicją dobrego polityka. Z badań wynika np., że zmiana lidera KO na Trzaskowskiego poprawiłaby notowania tej formacji, jak kiedyś wymiana Kaczyńskiego na Szydło, a Tusk się na to nie zdecydował. Niektórzy mówią, że po prostu ma charakter samca alfa, ale ja bym nie psychologizował, tylko spróbował dostrzec w tym świadomą strategię: pokazanie, że polityk nie tylko idzie za badaniami, ale też kreuje rzeczywistość. Coś podobnego zrobił przecież ogłaszając marsz 4 czerwca. Miał trochę szczęścia, bo PiS postanowił powołać komisję ds. wpływów rosyjskich i w ciągu tygodnia zmienił się nastrój społeczny, ale jego odwaga również została nagrodzona. Sukces 1 października jest konsekwencją tamtego zagrania.

Może sam Trzaskowski nie chce być dziś liderem, bo woli być prezydentem za dwa lata.

Mówi, że nie chce, ale jak jest naprawdę, trudno stwierdzić. Tak czy inaczej, dziś zadowala się rolą „zmiękczacza obrazu", skądinąd potrzebną, bo fenomenem Tuska jest przecież duży elektorat negatywny. To też kontekst polaryzacji: na czele dwóch największych ugrupowań stoi dwóch polityków wyjątkowo przez Polaków nielubianych.

Ale z ostatnich sondaży wynika też coś optymistycznego: czekają nas pierwsze od dawna wybory, w których można z czystym sumieniem głosować niestrategicznie. Skoro i Lewica, i Trzecia Droga przekroczą próg, to i ci, którzy mają serce po lewej stronie, i ci bardziej zachowawczy, mogą poprzeć kogoś, kto jest im najbliższy. Co zresztą oznacza, że więcej ludzi może pójść głosować, bo ma na kogo.

> Dla większości Polaków takie tematy jak praworządność wydają się odległe. Dominuje lęk przed drożyzną, a w obrębie klasy średniej – obawa przed deklasacją.

Czyli w ostatnich dniach poziom zniechęcenia się zmniejsza, a niezdecydowani odzyskują sprawczość?

Specjaliści od marketingu politycznego mówią, że efekt wakacji rozciągnął się na wrzesień i kampania wyborcza rozkręca się dopiero teraz, po 1 października. Choć konwencja PiS pokazała, że ta partia nie ma już chyba świeżych pomysłów, skoro przez dwie godziny nawalała w Tuska, który od ośmiu lat nie rządzi. A orędzie Kaczyńskiego o filmie Holland, w którym kazał nam się określić, kto jest zdrajcą, a kto nie, było już przekroczeniem wszystkich granic.

Ja rozumiem, że Kaczyński wie o czymś, co pojawia się także w badaniach Waszej fundacji: że dla większości Polaków ważne jest poczucie bezpieczeństwa, i że kryzys na granicy białoruskiej mocno je zaburza. Pewnie nieprzypadkowo Tusk o filmie Holland prawie nie mówi, a migrantami PO straszy równie mocno jak PiS.

Tak, „Zielona granica" to niewątpliwie była dla Kaczyńskiego okazja. Tyle że przeszarżował, podobnie jak Błaszczak z linią obrony na Wiśle: ujawnianie ściśle tajnych dokumentów to jednak hucpa, na którą ludzie się nie nabrali.

Natomiast skoro wspomniał pan o przesunięciu populistycznym: z badań More in Common Polska wynika, że także większość elektoratu PiS jest przekonana, że polskie państwo nie działa. Na pytanie, czy w sytuacji kryzysowej państwo ci pomoże, czy jesteś skazany na siebie, 61 proc. wyborców PiS udzieliło tej drugiej odpowiedzi. Albo mówiło – 62 proc. – że odniesienie sukcesu zależy od układów i znajomości. To nie jest ciemny lud.

Wybór PiS jest dla nich pragmatyczny: to partia, która najlepiej zaspokaja ich kluczowe potrzeby?

No, jest. Dla większości Polaków takie tematy jak np. stan praworządności albo los mniejszości wydają się odległe. Ich wyobraźnię dziś, w przededniu wyborów, organizuje drożyzna. A tu owszem: mamy poczucie krótkiej kołdry i uważamy, że trzeba wydatki socjalne zracjonalizować. Pojawia się też poczucie niesprawiedliwości: „jak to, ciężko pracuję i mam kłopot z wyjazdem na wakacje, a niepracująca sąsiadka dostaje za nic kasę"... W obrębie klasy średniej ujawnia się także obawa przed deklasacją – przeżywa ją również spora część elektoratu PiS. Mirosława Marody zauważyła w książce „Społeczeństwo na zakręcie", że jesteśmy skupiskiem ludzi o niezwykle wysokim poczuciu niepewności swojego statusu. Nasza wypracowana najczęściej na kredyt pozycja, bez tak żywej choćby w Czechach czy na Węgrzech tradycji mieszczańskiej, jest ciągle narażona.

Z badań fundacji wynika, że najważniejsze dla Polaków tematy to dziś koszty życia, załamanie ochrony zdrowia i bezpieczeństwo. Nie mam wrażenia, żeby opozycja o ochronie zdrowia mówiła jakoś dużo.

Nie jest przekonująca, bo ludzie pamiętają, jak było, kiedy rządziła. Teraz jest wprawdzie gorzej, ale wtedy zasadniczo lepiej nie było.

A jest o czym mówić. Od 2018 r. przestała rosnąć oczekiwana długość życia, pandemia zaś jeszcze to zjawisko pogłębiła. Mamy wysoki udział wydatków prywatnych na leczenie – przy jednej z najniższych w Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju proporcji udziału ochrony zdrowia w PKB. Pieniędzy publicznych przeznaczamy na ten cel 4,7 proc., a ok. 2 proc. to nakłady prywatne.

Pisał Pan w jednym z ostatnich tekstów w „Polityce", że jesteśmy w stanie wielkiej depresji. Polski skok jest niewątpliwy, wyniki ekonomiczne na tle innych krajów

wciąż są dobre, ale to efekt szczęśliwego zbiegu wydarzeń, np. wyżu demograficznego z lat PRL-u.

Za czasów prezydentury Bronisława Komorowskiego zaczęto mówić o pułapce kraju średniego dochodu, który osiągnął wprawdzie gospodarczy sukces, ale nie stał się jeszcze w pełni rozwinięty. Wtedy rzeczywiście był ostatni czas na uruchomienie nowych mechanizmów dających impuls do dalszego rozwoju. Przecież o kryzysie demograficznym mówiło się od początku wieku: wiedzieliśmy, że będzie postępował, choć nikt nie zakładał, że do poziomu 300 tys. urodzin rocznie zjedziemy tak szybko.

Zaostrzenie prawa aborcyjnego i napięcia wokół niego z pewnością nie zwiększyły bezpieczeństwa kobiet.

Wie pan, że dzietność Polek mieszkających w Czechach wynosi 1,7, a w Polsce 1,26? Tak, to kwestia poczucia bezpieczeństwa, idąca zresztą szerzej niż prawa reprodukcyjne. Z naszych badań wynika, że najbardziej dolegliwą kwestią dla kobiet poniżej 45 lat są koszty życia. Co pewnie nie jest dziwne, jeśli prawie dwa miliony Polek wychowuje dzieci samotnie.

Zaciekawiło mnie to zdanie, że w 2015 r. można było uruchomić jakieś mechanizmy. Poczucie, że jesteśmy – jak piszą Przemysław Sadura ze Sławomirem Sierakowskim w książce „Społeczeństwo populistów" – zakładnikami krótkiego okresu, zwiększa moje zniechęcenie. Horyzontem władzy są najbliższe wybory. W kampanii próżno szukać tematów, które tak często przewijają się przez Pana pisarstwo: wyzwań związanych z polityką klimatyczną, bezpieczeństwem energetycznym albo np. z szansami i zagrożeniami, jakie niesie sztuczna inteligencja.

Jednym z niebywałych „osiągnięć" PiS było obudowanie transformacji energetycznej w paradoksalnie sprzeczne skojarzenia. Z badań Sadury wynika, że Polacy rozumieją konieczność odejścia od węgla i przejścia na odnawialne źródła energii. Więcej: robią to z pełnym entuzjazmem. Z drugiej strony, kiedy pytamy o politykę klimatyczno-energetyczną Unii, to mamy same obawy o wzrost cen energii. Boimy się, że konieczne zmiany, które chętnie wprowadzamy na poziomie własnych gospodarstw domowych, w wymiarze systemowym przyniosą większe koszty energii i drożyznę, a zła Bruksela jeszcze nam zakaże samochodami jeździć.

MIECZYSŁAW MICHALAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

EDWIN BENDYK jest prezesem Fundacji im. Stefana Batorego. Twórca Ośrodka Badań nad Przyszłością Collegium Civitas. Autor wielu książek, m.in. nominowanej do Nagrody Literackiej Nike „Zatrutej studni. Rzeczy o władzy i wolności", „Antymatriksu" oraz „W Polsce, czyli wszędzie. Rzeczy o upadku i przyszłości świata". Publicysta tygodnika „Polityka".

Na tym przykładzie widać wiele: brak strategii władzy i oddolne inicjatywy, np. w dziedzinie fotowoltaiki. W pewnym momencie byliśmy najszybciej rozwijającym się rynkiem w Europie, zainstalowaliśmy kilkanaście gigawatów mocy. Jednocześnie prawo ciągle blokuje rozwój farm wiatrowych. Zamiast strategii mamy niejasną grę grup interesu politycznego i gospodarczego, które powstrzymują uwolnienie tego potencjału, a które – bo przecież mówimy o sektorze energetycznym – są sprzężone z władzą.

A może źródłem zniechęcenia części obywateli jest to, że wśród tematów kampanii nie ma takich kwestii? Gdyby Pan układał scenariusz przedwyborczej debaty telewizyjnej, pytałby Pan o takie rzeczy?

Najpierw jednak pytałbym o rzeczy, wydawałoby się, prostsze. Np. o strategię wobec Ukrainy i poszerzenie Unii Europejskiej. Jaka powinna być polityka Warszawy wobec aspiracji Kijowa?

A nie jest tak, że tu mamy zgodę?

Nie wiem, czy ona jest aktualna. W Kijowie odbywa się wydarzenie bez precedensu, szczyt szefów dyplomacji UE, a polskiego ministra na nim nie ma...

Eee, to kampanijny gest, PiS puszcza oko do antyukraińskiego elektoratu.

Ale tu są naprawdę realne interesy, w wielu kwestiach – co pokazał kryzys zbożowy – odmienne. Ukraina to kraj o podobnym, a w różnych sferach większym potencjale niż Polska. Dopłaty, jakie będzie otrzymywał po akcesji, wpłyną na wysokość naszych dopłat itd.

Z tego wynika kolejne pytanie do zadania w debacie: jaką mamy strategię wobec Unii? Obecna władza nie ma przecież żadnej, poza kopaniem się z koniem. Jak Unia ma wyglądać po kolejnym rozszerzeniu? W jaki sposób mają zapadać decyzje w jej gronie? Czy zdoła dalej funkcjonować bez zmiany traktatów? Jaką rolę chcemy odgrywać przy wspólnym stole i na jaki model gospodarki chcemy postawić w obrębie wspólnoty, jeśli już zostawimy na boku tę farsę wypowiedzi Morawieckiego, że „dogonimy i przegonimy"?

To się chyba wiąże ze wspomnianą już kwestią demografii.

Ona jest w ogóle najważniejsza, a na jej temat mało się w Polsce dyskutuje. O demografii, a w tle – o migracji. Kto będzie sprowadzał ludzi do pracy, kiedy u nas zabraknie chętnych? Na jakich zasadach? Jak będzie wyglądał model ich integracji? Jak będą wyglądały usługi społeczne dla ich rodzin – bo przecież oni założą rodziny. Myśmy przyjęli w ostatnich latach najwięcej migrantów w skali całej UE, a nie mamy polityki zajmowania się nimi. Weźmy Ukraińców mieszkających tu na stałe i płacących podatki: czy nie powinni mieć prawa głosowania w wyborach, przynajmniej samorządowych?

To otworzę nawias, bo Pan się Ukrainą zajmuje od lat: spodziewał się Pan tego ostatniego przekręcenia wajchy przez władze?

Nie siedzę w głowach polityków, ale mnie się wydaje, że przed rokiem, w pierwszych dniach inwazji pełnoskalowej, rząd zachował się tak dobrze, ↦

↦ bo tak dobrze zachowało się społeczeństwo. A później poszedł w skrajność w entuzjazmie, zamiast działać tak, jak od początku Kijów – pragmatycznie. W odróżnieniu od nas Ukraińcy wiedzą, że sytuację kryzysową trzeba jak najszybciej znormalizować i uczynić z niej element życia. Wiedzą, że zasoby emocjonalne są ograniczone i nie można cały czas bazować tylko na nich. Wojna to praca, którą wykonują żołnierze na froncie, wspierani przez społeczeństwo pracujące na zapleczu. Niestety, to się wiąże z wielkimi, tragicznymi kosztami: każde miasto ma swój cmentarz, są sposoby upamiętniania poległych, ale równocześnie prowadzi się politykę i załatwia strategiczne sprawy.

A my?

My jesteśmy jak Błaszczak na granicy: cały czas krzyk, ludzie się entuzjazmują, a potem wszystko opada. A to, że nie mamy strategii, pokazał już Kaczyński podczas słynnej wizyty w Kijowie w marcu 2022 r., kiedy rzucił pomysł misji pokojowej NATO. Widać tu skalę niekompetencji: niezależnie od tego, że nie porozumiał się z partnerami z Sojuszu, to przecież taka misja oznaczałaby ingerencję w suwerenność Ukrainy. Zełenski odpowiedział już wtedy w sposób prowokacyjny, podczas wywiadu udzielonego dziennikarzom rosyjskiej prasy niezależnej. Ukraińcy są wdzięczni za pomoc, ale widzą, że Warszawa przystała być, jak mówią, wyriszalna: że nie ma decydującego znaczenia na forum międzynarodowym.

Więc gadają z Berlinem.

To mnie naprawdę zdumiewa, że w poważnych politycznych kręgach uruchamiają się wokół tej sprawy projekcje własnych fobii w miejsce analizy politycznej. Ta teoria spisku niemieckiego, że Berlin wykorzystuje Ukrainę, żeby nas osłabić... Przecież nasza gospodarka, znacząca część dynamiki wzrostu za rządów PiS, była stymulowana przez eksport do Niemiec! Jaki Niemcy mają mieć interes w osłabianiu Polski?

My się, przy całej bliskości z Ukrainą, mało znamy. Warto sobie uświadomić, że ukraińskie myślenie o polityce zagranicznej jest w dużej mierze odziedziczone po ZSRR – nie w sensie dziedziczenia filozofii, tylko technologii. To było mocarstwo nuklearne, które musiało cały czas zarządzać ryzykiem wojny termojądrowej.

> Polska jest krajem ludzi zmęczonych. Doszliśmy gdzieś za sprawą ciężkiej pracy, ale nie marzymy, by pracować mniej. W ogóle nie marzymy.

Ukraińskie elity tworzyły istotną część tego aparatu, który przygotowywał analizy strategiczne, korzystając z zaawansowanych modeli naukowych, teorii gier itd. Ich myślenie o polityce międzynarodowej jest stechnologizowane, a polityka ma wymiar globalny.

Czuję się jak prowincjusz.

Bo Polacy rozumują w kategorii sąsiedztwa i przyjaźni ze Stanami Zjednoczonymi. Uważamy, że możemy sobie na to pozwolić będąc w NATO i UE. Globalne Południe w naszym horyzoncie nie istnieje, a dla Kijowa istnieje – to część szachownicy, na której chcą grać.

To poproszę o kolejne pytanie do przedwyborczej debaty.

Jeżeli bezpieczeństwo jest ważne, to dopytałbym o racjonalność nakładów na zbrojenia. Skąd się wziął taki akurat wskaźnik nakładów na obronność w stosunku do PKB? Armia musi być silna, wydatki na obronność są niezbędne, ale mają zawsze antyrozwojowy charakter: pieniądze nie idą na inwestycje, tylko na broń kupowaną za granicą, wojsko odciąga istotną część zasobów ludzkich itd. Chciałbym też wiedzieć, po co nam np. 500, a nie 250 HIMARS-ów? Po to, żebyśmy mieli więcej niż Amerykanie?

Jakieś pytanie cywilne?

O ustrój terytorialny. Relacje między państwem a samorządem zostały pod rządami PiS kompletnie zmienione. *De facto* zniesiono zasadę pomocniczości, odebrano samorządom mnóstwo kompetencji i wprowadzono ręczne sterowanie: pieniądze idą tam, gdzie rządzą „nasi".

Pytałby Pan o stosunki państwo-Kościół?

Oczywiście. Z badań wynika, że dojrzeliśmy do szerokiej rozmowy na ten temat. I to nie jest tylko kwestia prawa do aborcji, ale całego pakietu regulacji, o których mówi np. Lewica.

W debacie wypadałoby zadać również pytania cywilizacyjne. Np. o wspomnianą już sztuczną inteligencję: czy myślimy o niej proaktywnie czy defensywnie? Zakazujemy czy używamy jako narzędzia? Jeśli mówimy, że to istotny element dalszej ewolucji systemów gospodarczych, to czy będziemy jedynie odbiorcą wypracowanych gdzie indziej rozwiązań, czy możemy włączyć się w ich tworzenie?

To wrócę na miejsce zniechęconego wyborcy: czy to są horyzonty zainteresowań polskich polityków?

Adam Szłapka wprowadził do programu Campusu Polska Przyszłości mnóstwo wątków cywilizacyjnych, sztucznej inteligencji, polityki klimatycznej itd. Dla polityczek Lewicy to również kluczowe tematy. Ruch Hołowni, zanim wszedł w koalicję z PSL, powstawał właściwie jako jeden wielki think tank. Ale także idący do władzy PiS miał przed ośmioma laty wiele propozycji intelektualnych.

To było jednak przed rewolucją mediów społecznościowych. Za ich sprawą polityka sprowadza się dziś do działań wizerunkowych.

Uprawiają ją wciąż ci sami ludzie, ale zgadzam się: widzą, że w naszej sferze politycznej o wielu rzeczach nie da się rozmawiać. Po części to sprawa polaryzacji, która odbiera subtelność debacie, ale po części także odkrycia własnej małej sprawczości. Cóż z tego, że sobie porozmawiamy o sztucznej inteligencji, skoro taki Amazon wydał na badania i rozwój w 2022 r. 77 mld dolarów?

Pamiętam, jak PiS prezentował Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Głównie był to katalog slajdów, ale miał się z nich wyłaniać pomysł na inny model rozwoju, odpowiadający na ową pułapkę średnich dochodów. Mówiono o drugiej Bawarii, konserwatywnej modernizacji itd. – tyle że to błyskawicznie runęło. Już w pierwszym roku rządów PiS załamały się inwestycje i drastycznie spadł poziom aspiracji przedsiębiorczych. W pomiarze Global Entrepreneurship Monitoring jedno z pytań dotyczy chęci założenia własnej firmy w ciągu trzech lat.

W 2011 r. myślało o tym 23 proc. Polaków. Po pierwszym roku PiS spadło to do 10 proc., a w 2022 r do 2,5 proc.

Czym to tłumaczyć?

Jest taka książka Mariany Mazzucato „Przedsiębiorcze państwo", która inspirowała Mateusza Morawieckiego. Ale mam wrażenie, że w wersji PiS-owskiej mamy przedsiębiorcze państwo dla swoich. Konkurencyjność na rynku wewnętrznym się zmniejsza, wiele sektorów się monopolizuje, bardziej produktywne firmy wypadają, nie gromadzimy zasobów potrzebnych do wykonania skoku technologicznego, liczba zgłoszeń patentowych maleje. Nakłady przedsiębiorstw przemysłowych – a to jest najważniejszy sektor, jeśli chodzi o rozwój technologiczny – na innowacje też zmalały.

W kraju półperyferyjnym trudno zbudować trajektorię rozwoju.

Ale z tym wyzwaniem trzeba się mierzyć. Przykład Korei Południowej jest pewnie wyjątkowy w skali świata, pokazuje jednak, że można skorelować rozwój z ciągłym inwestowaniem, a nie z przejadaniem tego, co się wypracowało.

Z przedwyborczych raportów Fundacji Batorego wybija się przekonanie, że potrzebna jest nowa opowieść o Polsce. Jaka?

W kwietniu pytaliśmy, jak ludzie sobie wyobrażają Polskę za 10 lat. Ramy nie były zaskakujące: chcemy żyć w kraju sprawiedliwym, praworządnym, demokratycznym, mówiąc w skrócie – europejskim. Nie chcemy autorytaryzmu i dyktatury. Ale poza tym nie mamy wielkich marzeń. Chcemy być *good enough*.

Nie mamy marzeń?

Wie pan, kilkakrotnie trafiłem w rozmaitych badaniach – np. Biblioteki Narodowej, ale też korporacji, która się zajmuje sprzedażą elektroniki domowej i chciała poznać oczekiwania ludzi – że wśród obywateli wielu krajów tylko Polacy pytani o wizję wolnego czasu wskazywali, że chcą się wyspać.

Polska jest krajem ludzi zmęczonych. Doszliśmy gdzieś za sprawą ciężkiej pracy, ale ponieważ szanujemy jej wartość (co się wyraża zresztą również w krytyce rozdawnictwa), to nie marzymy o tym, żeby pracować mniej, podobnie jak nie marzymy o wielkim marszu do przodu, zmienianiu rzeczywistości na lepszą, innowacjach itd. Z badań Eurobarometru wynika, że odpowiedź na pytanie o zainteresowanie najnowszymi osiągnięciami nauki i techniki jest jedna z najgorszych w Europie.

Czyli chcemy się wyspać, ale niekoniecznie śnimy?

A ponieważ przesunięcie demograficzne będzie postępowało, to w starzejącym się kraju porywających marzeń będzie jeszcze mniej.

Wie pan, często robimy spotkania seminaryjne z młodymi aktywistami i aktywistkami. Świetnie identyfikują problemy swojej generacji i całego społeczeństwa. Wyróżnia się oczywiście zapaść edukacji i to, co działo się w trakcie pandemii, ale najbardziej dojmująca jest trauma, jaką młodzi przeżyli doświadczając przemocy państwa w odpowiedzi na protesty w 2020 r. I jeszcze odpowiedź politycznego i społecznego establishmentu, który zareagował po „dziadersku", paternalistycznie, nie uznając podmiotowości młodych. A przecież wśród haseł manifestacji jedno z ważniejszych brzmiało: „Podmiot nie zgadza się z orzeczeniem".

Liczba kryzysów psychicznych, depresji, samobójstw wśród młodych jest zatrważająca.

Tylko że patrzymy na problem głównie przez pryzmat deficytu dobrostanu psychologicznego i myślimy, że odpowiedzią powinno być zwiększenie dostępności terapii. Nie kwestionując tego, mam poczucie, że warto sięgnąć do klasycznych podręczników socjologii i do Durkheima, który pisał, że wzrost liczby samobójstw jest symptomem anomii. Znaczna część młodych żyje poza społeczeństwem, ma poczucie, że została wyrzucona, wypluta albo sama wybrała strategię *exit*, wyjścia. Dopóki będą zostawać w społecznej próżni, wątpię, by zaczęli marzyć.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Herosi i półbogowie

„A kiedy ludzie zaczęli rozmnażać się na ziemi i rodziły im się córki, ujrzeli synowie boży, że córki ludzkie były piękne. Wzięli więc sobie za żony te wszystkie, które sobie upatrzyli". Możemy przewidzieć dalszy ciąg: zaraz na świecie pojawią się herosi. Tacy jak Herakles, którego urodziła Alkmena – córka i żona królewska – Zeusowi, albo jak jego przyrodni brat Perseusz, syn królewny Danae. Może również boginie dostrzegą, że śmiertelnicy są warci grzechu, i na świat przyjdzie ktoś podobny Achillesowi, zrodzonemu przez nimfę morską Tetydę i króla Peleusa. Jak się Państwu wydaje, skąd może pochodzić otwierający niniejszy akapit cytat?

Mitologia grecka lub rzymska wydaje się dobrym tropem. Tymczasem... są to dwa pierwsze wersy z szóstego rozdziału Księgi Rodzaju, zaczerpnięte z tzw. brytyjki – czyli najpopularniejszego w Polsce przekładu protestanckiego. Pozostańmy na razie przy nim i przyjrzyjmy się dalszemu ciągowi tej opowieści. „I rzekł Pan: Nie będzie przebywał duch mój w człowieku na zawsze, gdyż jest on tylko ciałem. Będzie więc życie jego trwać sto dwadzieścia lat. A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ludzkimi, byli na ziemi olbrzymi, których im one rodziły. To są mocarze, którzy z dawien dawna byli sławni" (Rdz 6, 3-4; Biblia Warszawska, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne).

Dzieło Jana Parandowskiego od dziesięcioleci trwa na liście licealnych lektur i rozpala wyobraźnię polskiej młodzieży. Żydzi oczywiście zetknęli się ze starożytnymi Grekami i kultura helleńska wywarła na nich znaczący wpływ, jednak do spotkania nie doszło w czasach tak zamierzchłych, byśmy w Biblii hebrajskiej odnaleźli reakcję na – dla przykładu – „Iliadę". Szukać musimy w dziełach wcześniejszych i z tego samego – semickiego – kręgu kulturowego. W szkole zwykle, przy okazji omawiania biblijnego potopu, czyta się fragmencik z tzw. standardowej wersji „Eposu o Gilgameszu". Istnieją zachowane fragmenty niekoniecznie przystających do siebie wariantów, starsze od tej wersji o prawie tysiąc lat. Pewnie już nie pamiętamy, że tytułowy bohater to potomek bogini Ninsun i króla Lugalbandy, pół boga, pół człowieka, jest więc Gilgamesz w trzech czwartych bogiem, a w jednej czwartej człowiekiem. Ta i podobne opowieści ze starożytnego Bliskiego Wschodu były Izraelitom znane. Wróćmy do wersu trzeciego – może trudno to dostrzec w naszym tłumaczeniu, ale Najwyższy mówi wprost, że również „heros" jest zwykłym śmiertelnikiem. Pozostaje pytanie: kim byli owi „synowie boży" i czy ich istnienie nie stanowi jawnego pogwałcenia monoteizmu? Co o nich mówią komentatorzy i midrasze? Ale o tym dopiero za tydzień. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Ewangelia o śmierci

„Na tej górze Pan Zastępów przygotuje wszystkim narodom ucztę obfitującą w mięso i wyśmienite wina (...). I zerwie na tej górze zasłonę rozpostartą nad wszystkimi ludami i całun, który spowijał wszystkie narody. Pochłonie On śmierć na wieki! Pan Bóg otrze łzę z każdego oblicza. Zdejmie też hańbę ze swego ludu na całej ziemi, tak Pan powiedział. W tym dniu będą mówić: Oto nasz Bóg. Jemu zaufaliśmy i On nas wybawi. (...) Radujmy się i weselmy z Jego zbawienia"...

Jak na razie Pan Zastępów śmierci nie unicestwił, ma się ona dobrze, a patrząc choćby tylko na Ukrainę, wygląda na to, że ma się coraz lepiej. Śmierć nieustannie przepoczwarza się i panoszy. Pełno jej na ziemi i coraz więcej w kosmosie. Owszem, wyznawcy chyba wszystkich religii, z chrześcijaństwem włącznie, oraz część naukowców, każdy na swój sposób, pocieszają nas „nadzieją na życie wieczne", Paweł Apostoł pisze zaś w Liście do Tymoteusza, że Jezus „zniszczył śmierć, a ukazał blask życia i nieśmiertelności – przez Ewangelię". Ale co to znaczy „zniszczył", skoro nadal śmierć istnieje? Faktom nie warto przeczyć.

Rzeczywiście Bóg nie zepchnął jej w niebyt, lecz w jej przerażającej ciemności odsłonił to, czego wielu się spodziewało i o tym marzyło – „blask życia i nieśmiertelności". Dlaczegóżby jedynie śmierć, a konsekwentnie i szatan, miały pozostawać poza zbawieniem? „Niech na wieki trwa chwała Pana; niech Pan się cieszy z dzieł swoich", mówi psalmista. A jak potężna jest ta radość, świadczy zarówno życie, jak też śmierć Jezusa. Nie tylko Jego, ale również Jego sióstr i braci. Przecież On sam i Jemu podobni potrafili oddać swoje życie za ocalenie życia innych. Śmierć dla nich nie była smutną koniecznością, a nawet ofiarą, ale darem, ratunkiem, ocaleniem.

Mówimy wciąż, że śmierć jest karą za grzech, ale też coraz trudniej jest wierzyć, by umieranie Jezusa na szubienicy wprawiło Boga Ojca w radosne uniesienie, jak twierdzą żyjący „nadzieją wiecznego potępienia" wszystkich poza nimi. Przecież to nie ogrom „bolesnej męki", ale sposób, w jaki Jezus potraktował tych, którzy Go na śmierć zadręczyli, pokazuje, jak Bóg traktuje człowieka: „Każdy, kto widzi Syna, widzi Ojca". Jan mówi: „Bóg posłał Syna na świat nie po to, aby świat potępił, ale po to, aby świat był przez Niego zbawiony". Widać z tego, że nie da się oddzielić życia od śmierci i odwrotnie, chodzi bowiem o to, by nie tylko trwać i jakoś przetrwać, ale współdziałając z Bogiem budować nową ziemię i nowe niebo, swój dom. A ponieważ nie od grzechu zaczyna się historia ludzkości, ale od miłości, to znaczy, że nie warto przed czasem umierać ze strachu przed śmiercią. Wierzymy, że czas jest darem Boga. Śmierć to nie wyjątek od reguły. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Okruch Synodu

Dziś nieco inny „okruch” – chcę się podzielić pierwszym doświadczeniem rzymskiego Synodu. Nasze „synodowanie” rozpoczęliśmy od rekolekcji. Przez trzy dni do południa słuchaliśmy konferencji, głoszonych przez dominikanina o. Timothy’ego Radcliffe’a i przez benedyktynkę m. Ignazię Angelini; po południu natomiast uczestniczyliśmy w pracy w grupach. Właśnie to doświadczenie okazało się w powszechnym odbiorze bezcenne. Pierwszego dnia panował między nami dość duży dystans – każdy przybył z innego miejsca, z różnym doświadczeniem Kościoła i z własnymi oczekiwaniami co do Synodu. Drugiego dnia przywitaliśmy się jak grono dobrych znajomych; trzeciego mieliśmy poczucie, że tworzymy już nie jedną z grup językowych, lecz wspólnotę, w której Duch Święty tworzy (z właściwą tylko sobie dynamiką) bliskie i głębokie więzy. Nabieraliśmy przekonania, że możemy teraz podjąć prace synodalne. I że po tym doświadczeniu jedności zmierzymy się z nimi zupełnie inaczej, właśnie jako jedno Ciało, wspólnie.

Przypomniało mi się wtedy jedno z piękniejszych doświadczeń sprzed wielu lat. We wspólnocie, której dałem kiedyś początek, była piękna para młodych ludzi. Wszyscy absolutnie byliśmy przekonani, że ich przeznaczeniem jest małżeństwo. Mijały jednak lata, a oni – ku zdumieniu wszystkich – ciągle się nie pobierali. Któregoś dnia przyszli do mnie na rozmowę i okazało się, gdzie leży problem: otóż ona chciała, by po ślubie zamieszkali w mieście A., a on chciał, by zamieszkali w mieście B. Powiedziałem: „Nigdy się nie pobierzecie...”. A potem (zwykle tego nie robię, ale wtedy byłem pewien, że to jest z Ducha Świętego): „Pobierzcie się jak najszybciej. Potem zdecydujecie. Podchodzicie do problemu jako dwie różne strony sporu. Stańcie się jedno i jako jedno rozwiążcie problem”. Nie muszę pewnie mówić, że stworzyli piękne małżeństwo, a potem piękną rodzinę. A decyzję o zamieszkaniu podjęli wspólnie w kilka godzin.

Ufam, że właśnie taką drogą poprowadził nas Duch Święty do Synodu. Nie wiem, jak wyglądałyby nasze debaty synodalne bez przeżytych rekolekcji. Myślę, że każde z piętnastu konkretnych pytań zapisanych w części B „Instrumentum laboris” mogłoby się stać polem bitwy – kłótni, w którą każdy wnosi swój własny (oczywiście, jedyny właściwy) punkt widzenia. Teraz natomiast mamy wspólne pytania, które dotyczą naszej wspólnej przyszłości. I – w chwili, gdy to piszę – widać to już na sali synodalnej. Jeśli w niektórych wypowiedziach tego nie widać, to najczęściej wtedy, gdy pochodzą one z ust tych, którzy nie chcieli uczestniczyć w rekolekcjach. I przemawiają jakby z zewnątrz. W takim również stylu – „z zewnątrz” – są zadawane Franciszkowi rozmaite pytania. ©

Umysł, który osiągnął pokój poprzez dystans do wszelkich poruszeń, upodabnia się do Boga.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Co jest poza moim umysłem – nie ma władzy nad moim umysłem. Zrozum to – a uzyskasz trwały pokój.

MAREK AURELIUSZ

CZYTANIA LITURGICZNE (15 – 22 X)

28. niedziela zwykła: Iz 25, 6-10a; Ps 23; Flp 4, 12-14. 19-20; Mt 22, 1-14;
Poniedziałek: Rz 1, 1-7; Ps 98; Łk 11, 29-32;
Wtorek: Rz 1, 16-25; Ps 19; Łk 11, 37-41;
Środa: 2 Tm 4, 10-17a; Ps 145; Łk 10, 1-9;
Czwartek: Rz 3, 21-30a; Ps 130; Łk 11, 47-54;
Piątek: Rz 4, 1-8; Ps 32; Łk 12, 1-7;
Sobota: Rz 4, 13. 16-18; Ps 105; Łk 12, 8-12;
29. niedziela zwykła: Iz 45, 1. 4-6; Ps 96; 1 Tes 1, 1-5b; Mt 22, 15-21.

Wybrał PIOTR SIKORA

RÓWNANIE Z TRZECIĄ NIEWIADOMĄ

Szala poparcia będzie się przechylać na jedną lub drugą stronę do samego końca. Kluczowy jest wynik Trzeciej Drogi, której odpuścił Donald Tusk. PiS wciąż jednak wierzy, że uda mu się powtórzyć scenariusz z 2015 roku.

PIOTR ŚMIŁOWICZ, MAREK KĘSKRAWIEC

Liderzy Trzeciej Drogi dokonują prawdziwej ekwilibrystyki. Chcą dowieść, że są lojalnymi partnerami w ramach tzw. demokratycznej opozycji i zamierzają współtworzyć przyszły rząd. A zarazem przekonać wszystkich tych, którzy reagują alergicznie na Donalda Tuska, że są godną zaufania formacją konserwatywną, trochę w stylu PO z dawnych lat, a jednocześnie wprowadzą do życia politycznego nowe reguły i skończą z wojną plemienną. Czy uda się zjeść ciastko i mieć ciastko?

Lęk przed wspomnieniami

Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz nie pojawili się na Marszu Miliona Serc, wybierając aktywność „w terenie". Na kilkusettysięcznej manifestacji byli co prawda obecni przedstawiciele Trzeciej Drogi, jak kandydujący z Warszawy Michał Kobosko, ale pozostawali w cieniu. Brak obu liderów był wyraźnie zauważalny, szczególnie w kontraście do obecności na scenie marszu, w towarzystwie Donalda Tuska, przywódców Lewicy. Faktem jest równocześnie, że demonstracyjna nieobecność Hołowni i Kosiniaka nie spotkała się z niechęcią KO. Sondaże, które w dniach poprzedzających wielką manifestację opozycji regularnie pokazywały balansowanie Trzeciej Drogi na granicy 8-procentowego progu wyborczego, wystraszyły mocno pozostałych liderów.

Jeśli ugrupowanie Hołowni i Kosiniaka nie wejdzie do Sejmu, klęskę poniesie cała opozycja. Tym samym powtórzy się w jakimś sensie rok 2015, kiedy koalicja Zjednoczonej Lewicy uzyskała 7,55 proc. poparcia i wylądowała poza parlamentem. Sporo głosów zostało też wówczas zmarnowanych w wyniku niedostania się do Sejmu Partii Razem (3,62 proc.) oraz partii KORWiN (4,76 proc.), co w efekcie „nakarmiło" dodatkowo tych, którzy przekroczyli próg wyborczy. Najbardziej – zwycięzców, czyli PiS, co jest pewnym paradoksem, bo na partię Jarosława Kaczyńskiego przeszło w dużej mierze poparcie wyborców lewicowych. Efekt był taki, że uzyskane przez PiS 37,58 proc. poparcia przełożyło się w 2015 r. na 235 mandatów, tymczasem lepszy wynik PO w 2011 r. (39,18 proc.) dał jej tylko 207 sejmowych foteli.

Wszystkie opozycyjne sztaby wyborcze znają powyższe dane na pamięć i dla każdego z nich powtórka tego scenariusza byłaby koszmarem. Klęska wyborcza, biorąc pod uwagę plany partii władzy wobec sądownictwa, mediów i samorządów – może sprawić, że za cztery lata będzie jeszcze ciężej wygrać z PiS. Ponadto kolejna porażka bloku opozycyjnego z rzędu poważnie zdemolowałaby ten segment sceny politycznej. Mogłaby oznaczać choćby zakwestionowanie pozycji Donalda Tuska w Koalicji Obywatelskiej, np. na rzecz Rafała Trzaskowskiego, albo odejście tego ostatniego do nowego tworu, który powstałby w wyniku kolejnych tarć – na Lewicy. Ugrupowanie to ma problem z wewnętrznymi

TADEUSZ KONIARZ / REPORTER

Władysław Kosiniak-Kamysz podczas prezentacji drużyny Trzeciej Drogi. Tarnów, 7 września 2023 r.

napięciami między „starymi", czyli środowiskiem Włodzimierza Czarzastego, a „młodymi" – skupionymi wokół Adriana Zandberga oraz Magdaleny Biejat (zabrakło ich na scenie marszu) i sceptycznie odnoszącymi się do mocnego zbliżenia Lewicy z Tuskiem.

W przypadku klęski pod znakiem zapytania stałaby też przyszłość Polski 2050 Szymona Hołowni, której groziłby taki sam los, jaki był udziałem wcześniejszych ugrupowań protestu: Ruchu Palikota, Nowoczesnej czy Kukiza'15. Wszystkie były skupione wokół charyzmatycznych liderów, którzy tę charyzmę z czasem tracili, doprowadzając do uwiądu swe wewnętrznie niespójne ugrupowania.

Drugi element Trzeciej Drogi, czyli PSL, również zmaga się z lękiem o przyszłość. Choć partia przezwyciężyła już wiele kryzysów i spadków poparcia, uchodząc za wzór likwidowania wewnętrznych napięć – nigdy nie zmagała się z najważniejszym testem, wyjściem z parlamentu.

Powyższe scenariusze są tak mroczne i zarazem realne, że podczas Marszu Miliona Serc doszło do spektakularnych, pierwszych tak wyraźnych deklaracji, że Koalicja Obywatelska, Trzecia Droga i Lewica idą do wyborów wspólnym frontem. Tusk pochwalił Hołownię i Kosiniaka (na których anihilację grał miesiącami po fiasku wspólnej listy) za „dobrą robotę", Czarzasty zaś wręcz zapowiedział wspólny rząd po wyborach. W kontekście wcześniejszej „spójności w różnicach", którą wszystkie ugrupowania zarysowały podczas odbywających się jednego dnia konwencji na początku września, było to na pewno dojrzałe posunięcie. Blok mający tworzyć nowy rząd jest dość logicznie ułożony, z centroprawicową, mówiącą dużo o przedsiębiorcach Trzecią Drogą, skupioną na pracownikach najemnych Lewicą i spinającą oba skrzydła Koalicją Obywatelską. Gdyby temu sojuszowi udało się wygrać, pojawiłyby się zapewne kłopoty z ustaleniem jednej polityki w sprawie aborcji, Kościoła i mniejszości seksualnych, a z drugiej strony podatków i transferów socjalnych, ale nie widać w tym środowisku różnic niemożliwych do pokonania.

Droga drugiego wyboru

Podczas nieformalnych spotkań z dziennikarzami Hołownia i Kosiniak-Kamysz tłumaczyli, że ich absencja na marszu organizowanym przez KO spowodowana była przede wszystkim taktyką wyborczą. Przekonywali, że tylko Trzecia Droga ma szansę odebrać jakichś wyborców PiS, a tym samym przechylić szalę zwycięstwa na stronę opozycji. Tymczasem, argumentowali, jeśli będą pokazywali się u boku Donalda Tuska, który na elektorat PiS działa jak płachta na byka, żadnych szans na odebranie głosów partii władzy nie będzie.

Taka argumentacja ma pewne uzasadnienie. Teoretycznie jeśli ktokolwiek, to tylko Konfederacja albo Trzecia Droga mają szansę odebrać głosy PiS, odwołując się do konserwatywnych wartości. Jako uzasadnienie liderzy TD pokazują badania, z których wynika, że to właśnie ich ugrupowanie jest liderem wśród potencjalnych formacji, na które mogą oddać swoje głosy wyborcy niezdecydowani. Trzeba więc zrobić wszystko, dodają, żeby tych wyborców pozyskać. Zbytnie afiszowanie się z KO i Tuskiem na pewno nie będzie w tym pomagać. Z tych samych badań wynika zresztą, że Trzecia Droga obok Lewicy jest najważniejszym ugrupowaniem „drugiego wyboru".

Politolodzy są podzieleni, czy rajd Trzeciej Drogi po elektorat Kaczyńskiego albo nawet po wyborców niezdecydowanych jest w ogóle możliwy. Powątpiewa w to prof. Wawrzyniec Konarski, rektor Akademii Finansów i Biznesu Vistula: – Cały system działań Trzeciej Drogi prowadzących do odzyskania dawnego elektoratu PSL, bo głównie o niego chodzi, podejmowany jest za późno i ślamazarnie. Okres ostatnich kilku lat został odpuszczony przez PSL, zwłaszcza jeśli chodzi o dawny matecznik, czyli Podkarpacie. Metoda działań na ostatnią chwilę, aby znaleźć za wszelką cenę jakieś słabości w elektoracie PiS, może nie być szczególnie skuteczna – ocenia Konarski.

W PiS wciąż wierzą, że da się zepchnąć pod próg Trzecią Drogę.
Źródłem nadziei jest fakt, że nie udało się jej dogadać z Kołodziejczakiem.

Jego zdaniem PSL przez ostatnie lata bardzo niemrawo bronił interesu rolników, choć etos mieszkańców wsi jest oparty na konkretach. Dziś musiałoby się zdarzyć coś, co skompromitowałoby w oczach tego elektoratu partię rządzącą, a na razie, mimo kryzysu zbożowego, na nic takiego się nie zanosi. Dlatego Konarski uważa, że TD powinna skoncentrować się raczej na tym, co już ma, i tego kapitału nie stracić. – Uważam za absolutny błąd przyjęcie formuły koalicji, zamiast startu np. kandydatów Polski 2050 z list PSL. To duże ryzyko, gdyż właśnie od wyniku Trzeciej Drogi będzie zależeć ewentualna koalicja rządząca po wyborach. Zwyciężył egoizm polityczny jej liderów – ocenia.

Politolog prof. Radosław Markowski przekonuje, że z wszelkich badań preferencji partyjnych wynika, iż w ostatnich tygodniach kampanii nikt nikomu nie jest w stanie odebrać wyborców. To jest znacznie dłuższy proces, który ma różne fazy. Najpierw jest zniechęcenie do popieranej partii, ewentualna absencja w wyborach, a dopiero po dłuższym okresie występuje rozglądanie się za nowym ugrupowaniem. – Co oczywiście nie oznacza, że ktoś zniesmaczony polityką rolną PiS, po wizycie prezesa Kosiniaka-Kamysza w jego wsi, nie przypomni sobie, że przecież działa w OSP i kiedyś głosował na PSL, więc może trzeba odnowić dawne sympatie. Ale takie przypadki nie będą miały statystycznie znaczenia dla wyników – podkreśla prof. Markowski.

Inaczej na sprawę patrzy prof. Jacek Wódz z Akademii WSB. Jego zdaniem odzyskanie przez Hołownię i Kosiniaka części wyborców PiS jest realne. – Siłą Trzeciej Drogi jest to, że jest niedookreślona. To ma swoje zalety, bo część tych wyborców, którzy z różnych powodów mają poglądy zbliżone do PiS, ale elementy kampanii partii władzy denerwują ich jako zbyt agresywne, może skłonić się do głosowania na Trzecią Drogę – uważa prof. Wódz.

Również dr Anna Materska-Sosnowska z UW widzi możliwość przepływu elektoratu. – Są badania pokazujące, że wyborcy PiS najchętniej przerzucają swoje głosy na Trzecią Drogę. Właśnie dlatego PiS walczy tak zawzięcie o swój twardy elektorat, mobilizuje go i stara się zdemotywować elektorat przeciwnika – mówi.

Na co liczy Kaczyński

Ostateczny wynik Trzeciej Drogi jest więc w jakimś stopniu uzależniony od strategii PiS. Z wewnętrznych badań partii władzy ma wynikać, że poparcie TD, które w ostatnich sondażach waha się od 8 do 11 proc., jest dużo bliższe tej niższej liczbie. Dlatego w ostatnich dniach kampanii to politycy TD mogą stać się obiektem

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

WARSZAWA, sobota 14 października, spotkanie z Maciejem Pisukiem, „Uwięzieni w drodze", Jazdów 3/12, godz. 18.00

BIELSKO-BIAŁA, czwartek 19 października, spotkanie z redakcją „Zwiastuna Ewangelickiego" w 160. rocznicę powstania pisma, Willa Sixta (ul. Mickiewicza 24), godz.17.00

WARSZAWA, czwartek 19 października, spotkanie z Magdaleną Skrzyńską, Wojciechem Mazowieckim oraz ks. Andrzejem Gałką, „Powrót do najprostszych pytań", sala KIK-u (ul. Freta 20/24A, II piętro), godz. 18.30

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Marsz Miliona Serc. Warszawa, 1 października 2023 r.

ataku, np. w TVP. Jej liderzy nie nadają się co prawda do tak brutalnej kampanii jak pełniący wiele publicznych funkcji Tusk, ale można ich „napocząć" informacjami o rzekomo niejasnym finansowaniu partii Hołowni. O szczegółach pewnie szybko się przekonamy, dziś wiadomo tylko, że ma to być atak bez możliwości obrony – według informacji Wirtualnej Polski politycy TD nie mają być już zapraszani do programów publicystycznych. Pozostaje pytanie, czy atak na Polskę 2050 nie będzie jednocześnie zwróceniem na nią uwagi i nie okaże się kontrproduktywny.

W PiS wciąż wierzą, że da się jeszcze zepchnąć pod próg Trzecią Drogę. Źródłem nadziei jest fakt, że nie udało się jej dogadać z Michałem Kołodziejczakiem, a tym samym nie ma w partii władzy obawy, że zacznie ona tracić gwałtownie na wsi, którą zindoktrynują nawykli do bezpośrednich spotkań z elektoratem działacze AgroUnii. Dla Jarosława Kaczyńskiego ostateczne przytulenie Kołodziejczaka do KO było dużo lepszą wiadomością, a prezes PiS ponoć śmieje się słysząc, że Tusk liczy, iż rolnicy pójdą za nim.

Na pewno jednak nie budzi jego radości fakt, że Tusk przyjął taktykę „nie ma wroga na opozycji" i realizuje ją konsekwentnie – ostatnio w Koninie mówił wprost, że jak komuś nie podoba się KO, może głosować na Trzecią Drogę. Z punktu widzenia jedności opozycji i perspektywy wspólnego rządzenia po wyborach to taktyka korzystna, ale przy planie łowów w elektoracie PiS – może się taką nie okazać. Ci wyborcy mogą bowiem pomyśleć, że na końcu tunelu i tak znajdą Tuska, więc jeśli już, to oddadzą swój głos na Konfederację. Problemem może być też to, że TD mocno akcentuje kwestie gospodarcze, podporządkowując przekaz interesowi przedsiębiorców i gospodarczemu liberalizmowi (stąd obecność na listach byłego lidera Nowoczesnej Ryszarda Petru). To zaś raczej nie trafi do nastawionego na transfery socjalne wyborcy, bardziej może kusić część elektoratu Konfederacji, który rozczarowany jest osobliwymi poglądami niektórych jej kandydatów. Warto pamiętać, że oba ugrupowania jako jedyne nie poparły waloryzacji 500 plus.

Czy to wszystko wystarczy? Czy lider Polski 2050 nie powinien jednak bardziej przypominać tego, że przez lata funkcjonował jako propagator wartości katolickich, a Trzecia Droga nie powinna mocniej akcentować swojego konserwatywnego oblicza, choćby w kwestii aborcji?

Status quo czy referendum?

Po sławetnym wyroku Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r., który wywołał masowe protesty, *status quo* w tej sprawie ma niewielu obrońców i trudno też oczekiwać tego od Trzeciej Drogi. Czy jednak zamiast mówić o referendum aborcyjnym Hołownia z Kosiniakiem nie powinni mówić po prostu, że są za powrotem do kompromisu z 1993 r.? Być może, ale tu nie ma łatwych recept na sukces.

Władysław Kosiniak-Kamysz tydzień temu w Grudziądzu przypomniał, że Trzecia Droga ma już przygotowaną ustawę oznaczającą powrót do przepisów z 1993 r. Zarazem powtórzył jednak postulat referendum. Dla zwolenników katolicyzmu otwartego, mocno reprezentowanych w TD, to zapewne najlepsza opcja, ale dla radykalnych obrońców życia od samego poczęcia to mogło nie być satysfakcjonujące. Tym bardziej że lider PSL wypowiadał się także o *in vitro*. – To niegodne, by państwo polskie zabrało możliwość finansowania *in vitro*, to jest jedno z podstawowych praw, za naszych rządów to się zmieni – deklarował.

Niektórzy eksperci uważają, że zamiast wchodzić na poletko zagospodarowane w tej kwestii przez KO, potrzebne byłyby ze strony Trzeciej Drogi jakieś gesty wobec Kościoła instytucjonalnego. We wrześniu Rada ds. Społecznych Konferencji Episkopatu Polski opublikowała „Vademecum wyborcze katolika". Przypomniała w nim, że w sprawach wartości nienegocjowalnych, które dotyczą porządku moralnego, katolik nie może iść na kompromis – tu wymieniono właśnie prawo do życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Trzecia Droga w swojej kampanii nie odnosi się do tego dokumentu, ale zdaniem prof. Wodza, gdyby teraz stała się nagle bardziej prokościelna, mogłoby to zostać odebrane jako nieszczere. – Powinni raczej akcentować sympatie dla tradycyjnej katolickiej obyczajowości, ale bez przesady – uważa ekspert.

Być może liderzy Trzeciej Drogi zyskaliby, pokazując się z jakimś hierarchą, lub nawet, wzorem PiS, biorąc udział w jakiejś masowej imprezie religijnej? Oczywiście można zrozumieć, dlaczego tak się nie dzieje. Liderzy TD raczej unikają cynicznych i propagandowych gestów, deklarują się też jako zdecydowani przeciwnicy używania wiary w życiu politycznym; nie stosują też w kampanii – co warto docenić – chwytów poniżej pasa. W tej logice mieściła się także odmowa wciągnięcia na listy Michała Kołodziejczaka. Hołownia zarzucał mu polityczny cynizm i zamiar wejścia do parlamentu za wszelką cenę, aby potem grać na skrócenie kadencji. Nawet jeśli to prawda, dziś widać, że odrzucenie AgroUnii było błędem.

Hołownia konsekwentnie hołduje innemu stylowi uprawiania polityki. „Chcemy, aby zostało po nas dobro, a nie tylko słowa" – mówił w ubiegłym tygodniu w Zielonej Górze, po czym dodał: ↦

↦ „Głosujcie na Trzecią Drogę, bo albo Trzecia Droga, albo trzecia kadencja PiS". Przy bardzo niewielkich różnicach w sondażach Zjednoczonej Prawicy i opozycji nawet kilka czy kilkanaście głosów może zdecydować, komu przypadnie mandat w danym okręgu. Może się zatem okazać, że hasło „Trzecia Droga albo trzecia kadencja PiS" to nie tylko slogan.

Szala poparcia społecznego będzie się przechylać do końca to na jedną, to na drugą stronę. Nie można oczywiście wykluczyć jakiegoś nagłego „game changera". Jak dotąd za największą niewiadomą, która może wpłynąć na nastroje wyborców, uchodzi debata w Brukseli nad paktem migracyjnym. Opozycja na razie stara się schodzić z linii strzału i nie zabierać głosu w tej sprawie, kierując dyskusję raczej w stronę afery wizowej, ale nie wiadomo, czy to wystarczy. W interesie PiS (oraz Andrzeja Dudy, który również poparł weto zapowiedziane przez premiera Morawieckiego) będzie w ostatnich dniach kampanii na pewno kierowanie ku Polakom komunikatu, że tylko partia Kaczyńskiego jest w stanie zapewnić bezpieczeństwo i oddalić wizję płonących przedmieść polskich miast. Ma to zapewnić nie tylko głosy na kandydatów PiS, ale także sprawić, że prowadzone wraz z wyborami referendum stanie się ważne i da Kaczyńskiemu niezwykle mocny mandat do rządzenia oraz – *de facto* – zmiany ustroju w Polsce.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ, MAREK KĘSKRAWIEC

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Czytamy programy

STEFAN SĘKOWSKI

Gdyby kampania wyborcza toczyła się wokół postulatów zawartych w oficjalnych dokumentach zamiast tego, czy gorszy dla Polski jest Kaczyński, czy Tusk, politycy spieraliby się o pomoc rodzinom, działalność biznesową i energetykę.

Lewica wypłaci tysiąc złotych każdemu studentowi kontynuującemu naukę, Trzecia Droga doda akademik za złotówkę i zadba, by dzieci mówiły płynnie po angielsku już po podstawówce, Prawo i Sprawiedliwość przeprowadzi ogólnopolskie lekcje programowania komputerowego, Konfederacja pozwoli szkołom samodzielnie ustalać programy nauczania i organizację roku szkolnego, a Koalicja Obywatelska postawi w każdej placówce indywidualne szafki dla dzieci, by nie nosiły ciężkich plecaków. To tylko niektóre postulaty, jakimi kuszą wyborców politycy w zakresie edukacji. Mogli o nich Państwo nigdy nie usłyszeć, ponieważ znajdziemy je w programach wyborczych – a o tych jest w tej kampanii wyjątkowo cicho. Tymczasem można w nich przeczytać propozycje rozwiązania palących problemów, takich jak ochrona środowiska, kryzys energetyczny czy mieszkalnictwo. Są wśród nich odważne reformy i pomysły racjonalizatorskie – dalekie od codziennej nawalanki.

Rzecz jasna, nikt nam tyle nie da, ile w programie obieca – i zazwyczaj nie wskazuje, jak za to wszystko zapłacić. Czasem dużo o politykach mówi nam też to, czego w programie nie znajdziemy. Warto się z nimi zapoznać na kilka dni przed głosowaniem, choćby po to, żeby móc później naszych wybrańców rozliczać z tego, co nam dziś gwarantują.

Trzecia Droga razy dwa

Kiedy publicyści i politycy skupiali się na tym, czy powstanie wspólna lista opozycji, Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz ogłosili, że owszem – i że będzie to ich wspólna lista spraw do załatwienia, po wyborach. 1 marca 2023 r. ich partie przedstawiły sześć punktów, które są wspólnym mianownikiem postulatów obu partii. Później poszło za nimi sześć gwarancji ogólnych i dziewięć gospodarczych – łącznie można je traktować jako wspólny program, choć Trzecia Droga formalnie takiego nie ma. Jest małżeństwem z rozsądku i widać, że nie ma zamiaru budować wspólnej tożsamości.

PSL i Polska 2050 chcą odwołać partyjnych nominatów ze spółek Skarbu Państwa i zastąpić ich fachowcami. Ponadto obiecują powrót do kompromisu aborcyjnego i rozpisanie referendum w tej sprawie, a także podwyżki dla pracowników sektora publicznego. Koalicja chce też ulżyć przedsiębiorcom przez uproszczenie podatków oraz obietnicę ich niepodnoszenia. Proponuje wydawanie 6 proc. PKB na edukację i lepszy dostęp do asystentów osobistych dla osób z niepełnosprawnościami.

Partie Kosiniaka-Kamysza i Hołowni łowią wyborców w dwóch różnych stawach i robią to za pomocą dwóch oddzielnych programów. PSL kusi obietnicami poprawy opieki lekarskiej [więcej o tym i pomysłach zdrowotnych innych partii w artykule Piotra Wójcika również w dziale Kraj – red.], propozycjami dla rolników (kaucje wwozowe dla tranzytu zboża z Ukrainy, większe dopłaty) oraz dla rodzin (kredyty na pierwsze mieszkanie oprocentowane na 1,5 proc., 800 plus tylko dla pracujących). Rolę programu Polski 2050 pełni zbiór ekspertyz Instytutu Strategie 2050 zatytułowany „Plan dla Polski". Eksperci chcą m.in. odpartyjnienia mediów publicznych, zmniejszenia liczby ministerstw czy płacenia obywatelom odszkodowania za znaczące przekroczenie terminu rozpatrzenia ich spraw w urzędach.

ŁUKASZ GDAK / EAST NEWS

Temat społeczności LGBT+ jest w obecnej kampanii wyjątkowo mało obecny. Na trasie objazdowej liderów Konfederacji. Poznań, 15 września 2023 r.

Rynkowa Konfederacja

Trzecia Droga nie porusza kwestii światopoglądowych (wyjątkiem jest powrót do stanu sprzed wyroku Trybunału Konstytucyjnego ws. aborcji), widzi problemy budżetówki, ale zwłaszcza przedsiębiorców. W ten sposób wchodzi na poletko wolnorynkowe, które stara się zmonopolizować Konfederacja. Swój program przedstawiła 24 czerwca 2023 r. podczas widowiskowej konwencji „Tak chcemy żyć", stylizowanej na galę MMA.

Jak chcą żyć konfederaci? Gdyby oceniać ich tylko przez pryzmat programu i zapomnieć o dotychczasowej działalności jej polityków, można by odnieść wrażenie, że to partia przede wszystkim liberalna gospodarczo – z niepodległościowym odcieniem, zwłaszcza w kwestii stosunku do Unii Europejskiej oraz protekcjonizmu w dziedzinie rolnictwa. Tytuł programu, „Konstytucja wolności", nawiązuje do książki noblisty Friedricha Augusta von Hayeka, który był jednym z czołowych wolnorynkowców XX wieku. Znaczące jest to, że nie ma w nim ani słowa o Kościele, aborcji, społeczności LGBT+ czy innych kwestiach światopoglądowych. Konfederacja wolała uniknąć kłopotliwych dla jej młodego elektoratu deklaracji i postanowiła skupić się na redukowaniu państwa: prostych i niskich podatkach, czyli wprowadzeniu liniowego PIT w wysokości 12 proc., podwyższeniu kwoty wolnej od podatku, likwidacji tzw. podatku Belki (od zysków kapitałowych) czy wprowadzeniu dobrowolnego ZUS dla przedsiębiorców. Konfederaci postulują likwidację kilkunastu danin, takich jak podatek od czynności cywilnoprawnych przy sprzedaży nieruchomości, podatek cukrowy czy opłaty (zapasowa i emisyjna) zawarte w cenie paliwa.

Partia Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena do tematyki edukacji podchodzi w sposób najbardziej rewolucyjny ze wszystkich komitetów. Rodzice otrzymywaliby bon edukacyjny, który mogliby wymieniać na naukę swoich dzieci, obojętne, czy w szkole publicznej, czy prywatnej. Sami też mogliby go spożytkować, ucząc swoje pociechy w ramach edukacji domowej (warunkiem byłoby okresowe zdawanie przez dzieci egzaminów państwowych). Dyrektorzy, będący menedżerami placówek, zyskaliby znacznie większą autonomię, od sporego marginesu kształtowania programów nauczania po negocjacje płacowe z nauczycielami.

Sporo miejsca konfederaci poświęcają rolnictwu. Obiecują zatrzymanie importu produktów rolno-spożywczych z Ukrainy, deregulację działalności rolniczej i ograniczenie możliwości zakupu ziemi przez cudzoziemców. Narodowcy i korwiniści obiecują, że politykę europejską będą prowadzić bardziej asertywnie niż PiS, jednak postulatu opuszczenia UE wprost nie ma.

Pracownicza Lewica

Socjaldemokratyczna agenda Lewicy, zaprezentowana 12 sierpnia 2023 r., jest na swój sposób wyjątkowa. Żadne z konkurencyjnych wobec niej ugrupowań nie ma w swoim przekazie osobnego rozdziału skierowanego do pracowników najemnych (choć są takie elementy w ofercie PiS i TD, to główna troska dotyczy pracodawców). Lewica zaś stawia ten temat na pierwszym miejscu, chce wzmocnić związki zawodowe, Państwową Inspekcję Pracy i rady pracownicze po to, żeby skuteczniej pilnowały interesów zatrudnionych. Proponuje także podnieść zasiłki dla bezrobotnych, wydłużyć urlop ↦

↦ wypoczynkowy oraz wprowadzić regulację, w wyniku której chory pracownik będzie otrzymywał 100 proc. wynagrodzenia. Lewica prezentuje się też jako partia sektora publicznego: chce, by najniższe wynagrodzenie w nim wynosiło 130 proc. płacy minimalnej. Chce także podwyżek dla nauczycieli (20 proc.) i w opiece zdrowotnej.

Tematyka nauki i edukacji także pojawia się wysoko w programie Lewicy. Proponuje ona m.in. zmianę proporcji, w jakich idą pieniądze na naukę (mniej w postaci grantów, więcej na działalność statutową). Uczniom Lewica proponuje darmowe obiady i przejazdy autobusowe oraz wyprowadzenie religii ze szkół. To jeden z wielu postulatów światopoglądowych, które – co jest sporą zmianą – znajdziemy nie na początku, ale dopiero w połowie dokumentu. Za to z rozmachem: legalna aborcja do 12. tygodnia ciąży bez ograniczeń, legalizacja marihuany, małżeństwa homoseksualne, likwidacja Funduszu Kościelnego i klauzuli sumienia. Lewica ma też rozbudowany rozdział o ochronie środowiska: postuluje płacenie samorządom za „odbetonowanie" gmin, tworzenie nowych parków narodowych czy walkę z suszą przez naturalną retencję.

Kulturalny PiS

Przez długi czas brak programu PiS oraz KO był wręcz anegdotyczny. Donald Tusk miesiącami pozostawał przy zdaniu, że najważniejszym punktem jest odsunięcie obecnej ekipy od władzy, i raczej licytował się z nią w obietnicach (tzw. babciowe, 60 tys. kwoty wolnej od podatku etc.). Obie formacje ogłosiły pełne zbiory swoich postulatów równocześnie – dopiero 9 września.

Prawo i Sprawiedliwość prawie połowę swojego programu „Bezpieczna przyszłość Polaków" poświęciło przeszłości: podsumowaniu ośmioletnich rządów. Pomysły na kolejne lata PiS dzieli na dwie części: te, które chce zrealizować do 2031 r. (zakłada najwyraźniej, że będzie rządzić co najmniej dwie kadencje) i później.

Na pierwszym miejscu postawiono reformy ustrojowe. Państwo ma być wspólnotą, która „zapewnia obywatelom możliwość szczęśliwego życia". PiS chce wprowadzenia dnia referendalnego w gminach po dwóch latach od wyborów samorządowych oraz zmiany ordynacji wyborczej do Sejmu. Połowę posłów mielibyśmy wybierać z list, jak dotychczas, a połowę w jednomandatowych okręgach wyborczych. Partia Jarosława Kaczyńskiego chce dokończyć reformę systemu prawnego, głównie poprzez ograniczenie roli Sądu Najwyższego oraz spłaszczenie całej struktury sądów, co oznacza wiele nowych stanowisk do obsadzenia. Określa się to jako „wzmocnienie trójpodziału władzy"...

> Partie traktują swoje programy wyborcze jak pracę domową do odrobienia. O tym, czy do swoich postulatów podchodzą według metody **„zakuć, zdać, zapomnieć"**, przekonamy się już niebawem.

PiS wciąż używa słowa „bezpieczeństwo". Chce podnieść liczebność armii do 300 tys. żołnierzy, obiecuje dalsze zakupy sprzętu i amunicji. Ponadto zamierza poszerzyć edukację obronną młodzieży i podkreśla walkę z nielegalną imigracją. Żołnierzom obiecuje dodatki za długotrwałą służbę. Ewenementem w porównaniu do innych programów jest rozbudowany rozdział dotyczący aktywnej polityki kulturalnej. Partia władzy obiecuje utworzenie Narodowej Agencji Rewitalizacji Dziedzictwa, która będzie finansować renowację i konserwację zabytków. Rządzący chcą aktywniej odzyskiwać dobra kultury zagrabione podczas II wojny światowej, rozwijać muzealnictwo, modernizować archiwa, a także dofinansować polską kinematografię.

Jest to program najbardziej konserwatywny z wszystkich. PiS przedstawia siebie jako ugrupowanie chroniące bezpieczeństwo obywateli, starające się reformować kraj i poszerzać przestrzeń obywatelskiej partycypacji. W ten sposób usiłuje przyciągnąć do siebie byłych wyborców Pawła Kukiza, który stracił swój antysystemowy ruch społeczny i dziś startuje z list PiS.

Socjalna twarz KO

Tego samego dnia co PiS, Koalicja Obywatelska zaprezentowała „100 konkretów". W oficjalnym dokumencie pogrupowane są one w rozdziały, z których część skierowana jest do wybranych grup społecznych. Mamy więc rodziny (darmowe *in vitro*, babciowe i realizację polityki antyprzemocowej), młodych (dopłaty do najmu, kredyt zero procent na zakup pierwszego mieszkania), seniorów (druga w roku waloryzacja emerytur i rent przy wysokiej inflacji), kobiety (aborcja dostępna do 12. tygodnia ciąży, bezpłatne badania prenatalne, darmowe znieczulenie przy porodzie). Dużo jest tu postulatów skierowanych do przedsiębiorców, takich jak tzw. kasowy PIT, zniesienie zakazu handlu w niedzielę i zwolnienie biznesu z płacenia składek ubezpieczeniowych przez jeden miesiąc w roku. Uczniom i rodzicom KO obiecuje likwidację prac domowych w podstawówkach oraz przejście na system jednozmianowy.

KO, choć dominuje w niej niegdyś wolnorynkowa PO, obiecuje rozwijać politykę socjalną. Chce, by osoby z niepełnosprawnościami mogły pracować nie tracąc renty. Proponuje, by renta socjalna wynosiła tyle, ile minimalne wynagrodzenie. Jednocześnie trudno nie odnieść wrażenia, że jest to reakcja na wcześniej opublikowane programy. KO próbuje zwłaszcza przelicytować Lewicę. Gdy partia Włodzimierza Czarzastego proponuje co najmniej 20-procentowe podwyżki dla nauczycieli, KO daje 30 proc. Gdy Lewica mówi ogólnie, że chciałaby polityków PiS odpowiedzialnych za łamanie praworządności postawić przed Trybunałem Stanu (który w III RP nikomu prócz dwóch prowodyrów afery alkoholowej krzywdy nie zrobił), KO mówi, kogo osądzi konkretnie (m.in. Andrzeja Dudę, Mateusza Morawieckiego i Jacka Sasina).

Koalicja dowodzona przez Donalda Tuska prezentuje w swoim programie mieszankę rozwiązań prorynkowych oraz pomysłów na rozbudowę sektora publicznego, a w sferze światopoglądowej poglądy ma zdecydowanie progresywne. Nazwanie jej, w politologicznym żargonie, ugrupowaniem socliberalnym nie byłoby dalekie od prawdy.

Życie poza „wielką piątką"

Prawo do rejestracji list w całym kraju uzyskali też – posądzani przez Tuska o układy z PiS – Bezpartyjni Samorządowcy oraz komitet Polska Jest Jedna.

BS mają bardzo szczegółowy program, odpowiadający na różnorodne problemy: od edukacji, przez ekologię, po kwestie ustrojowe. Podkreślają wartość decentralizacji. Chcą dać większe kompetencje samorządom w dziedzinie energetyki (możliwość budowania własnych elektrowni), opieki zdrowotnej, a nawet dyplomacji (samorządy miałyby wspierać rząd centralny przy gospodarczej, kulturalnej i naukowej promocji Polski). Bezpartyjni chcą też, by samorządy miały większe udziały we wpływach z podatków, w tym z VAT-u.

Z kolei Polska Jest Jedna to prawicowa partia założona w tym roku przez prezydenta Siemianowic Śląskich, Rafała Piecha. PJJ podkreśla w swojej agendzie przywiązanie do katolickiej tożsamości. Sugeruje polexit, gdyby warunki członkostwa w UE okazały się dla nas niekorzystne, chce współpracy z Polonią, zarówno tą, która pragnie wrócić do Polski, jak i tą, która chce u nas inwestować. Sprzeciwia się aborcji, chce dobrowolnego ZUS dla wszystkich firm (przez 3 lata) oraz oparcia energetyki na węglu i geotermii.

■■■

Komitety priorytetowo traktują w swoich programach kwestię rodzin, przedsiębiorców, podatków, edukacji oraz stosunku Polski do UE. Mają zróżnicowane i obszerne pomysły na naprawę polskiej energetyki. Istnieje niemal pełny konsensus, jeśli chodzi o budowę elektrowni jądrowych w Polsce (tylko Trzecia Droga nie ma ich oficjalnie w programie). Istnieją zaś spore różnice, jeśli chodzi o OZE (Lewica chce je dotować, Konfederacja jest przeciwko) czy podejście do odchodzenia od węgla. Tu zdecydowanie przeciw jest Konfederacja i PJJ, PiS sugeruje natomiast, że kiedyś stanie się to koniecznością, ale póki nie ma odpowiedniej alternatywy, trzeba wykorzystywać nasze „czarne złoto".

Z drugiej strony, w programach brakuje szczegółowych odniesień do kwestii praworządności. Co prawda partie paktu senackiego obiecują odpolitycznienie Trybunału Konstytucyjnego, Krajowej Rady Sądownictwa czy Sądu Najwyższego, ale nie przedstawiają szczegółów, jak to zrobić. Po macoszemu potraktowana jest także polityka zagraniczna, prócz europejskiej. Najszerzej o naszym podejściu do rosnącej roli Azji na świecie rozpisali się... Bezpartyjni Samorządowcy. Z kolei nasz system emerytalny zdaje się działać bez zarzutu, skoro nikt nie chce go reformować, co w kontekście głodowych świadczeń, jakie według OECD czekają dzisiejszą młodzież na starość, jest zaskakujące. Być może nikt tu nie ma pomysłu albo nikt nie chce straszyć Polaków prawdą.

Mimo wad i braków, programy wyborcze poszczególnych komitetów to zaskakująco ciekawa lektura, która może dać ogląd, czego one chcą, czego nie chcą, a co ukrywają – wszystko to może pomóc wyborcom podjąć decyzję przy urnie. Szkoda jednak, że ich twórcy traktują pisanie swoich agend najwyraźniej jako konieczną pracę domową do odrobienia, do której podczas wieców czy w klipach wyborczych wolą już nie wracać. O tym, czy do swoich postulatów podchodzą według metody „zakuć, zdać, zapomnieć", przekonamy się już niebawem.

© STEFAN SĘKOWSKI

REKLAMA

NOWA KSIĄŻKA
KARDYNAŁA RYSIA

FASCYNUJĄCA
WIZJA KOŚCIOŁA

dostępna w księgarni
www.wydawnictwowam.pl

wydawnictwo WAM

Jak uleczyć leczenie

PIOTR WÓJCIK

Pomysły na finansowanie opieki zdrowotnej zapisane w tegorocznych programach wyborczych trudno nazwać realnymi – a czasem nawet zdrowymi.

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Konferencja prasowa minister zdrowia Katarzyny Sójki przed Samodzielnym Publicznym Zakładem Opieki Zdrowotnej w Garwolinie. 5 września 2023 r.

Wydawało się, że pierwsza parlamentarna kampania wyborcza od czasu pandemii upłynie pod znakiem debaty o polskim systemie ochrony zdrowia. Boleśnie przekonaliśmy się wtedy, czym grozi dalsze zaniedbywanie tego obszaru domeny publicznej. Zwłaszcza że w obliczu pandemii rynek prywatnych usług medycznych strachliwie schował głowę w piasek.

Mimo tych przykrych doświadczeń system ochrony zdrowia nie był jednak głównym ani nawet drugorzędnym tematem tego sezonu wyborczego. Politycy rzucili się za to w wir wzajemnych oskarżeń i wyzwisk, obstawiając, że obrzydzenie przeciwnika działa skuteczniej niż przekonywanie do własnej oferty. Paradoksalnie tegoroczne programy wyborcze są bardzo rozbudowane – ale po prostu je przemilczano. Większość z nich nie zainteresowała również mediów głównego nurtu.

Pieniędzy więcej, chociaż tyle samo

Najczęściej dyskutowaną kwestią w obszarze ochrony zdrowia było jej finansowanie. Personel medyczny i eksperci od lat alarmują, że pod tym względem jesteśmy w ogonie UE. Obecna władza przekonuje, że po 2015 r. nastąpił ogromny wzrost budżetu NFZ – z 77 do przeszło 140 mld złotych w 2023 r. Niestety, skok jest efektowny tylko na papierze.

– Istotna część tego wzrostu została skonsumowana przez inflację, rosnące koszty stałe i wzrost wynagrodzeń – tłumaczy Maria Libura, kierowniczka Zakładu Dydaktyki i Symulacji Medycznej Collegium Medicum Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. – Co więcej, do NFZ przeniesiono działania, które wcześniej były finansowane z budżetu państwa. Między innymi ratownictwo medyczne.

Po wykonaniu tych zabiegów księgowych rząd chwali się wzrostem nakładów na zdrowie do 6 proc. PKB. To jednak kolejne złudzenie – bo w ustawie sprytnie zapisano, że wydatki porównuje się do PKB... sprzed dwóch lat. W rzeczywistości są więc znacznie mniejsze. Według Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) w zeszłym roku wyniosły 5 proc. PKB, czyli były niemal najniższe w UE. Mniej wydawali tylko Węgrzy.

– Mówiąc krótko, chcielibyśmy się leczyć tak jak w Europie Zachodniej, ale za mniejsze pieniądze. Z pewnością obecne 5 proc. PKB wydatków publicznych nie zaspokoi rosnących potrzeb i oczekiwań w zakresie dostępności i jakości – mówi ekspertka Polskiej Akademii Nauk prof. Iga Rudawska, ekonomistka z Uniwersytetu Szczecińskiego.

Jedynym dokonaniem PiS w kwestii nakładów na zdrowie jest wprowadzenie proporcjonalnej składki zdrowotnej od jednoosobowych działalności gospodarczych. Koalicja Obywatelska i Trzecia Droga obiecują przywrócenie składki ryczałtowej, a to jeszcze obniży wpływy do NFZ. Polska Akademia Nauk w najnowszych rekomendacjach proponuje krok w odwrotnym kierunku i oskładkowanie pomijanych dotąd dochodów – szczególnie zysków kapitałowych, które obecnie obciążone są tylko tzw. podatkiem Belki.

– Z perspektywy systemu społecznego ubezpieczenia zdrowotnego, który w założeniu ma opierać się na solidaryzmie, propozycje partii opozycyjnych nie są właściwe. Ważniejszą kwestią jest rozszerzenie podstawy naliczania składki. Efektywniej i sprawiedliwiej byłoby, gdyby każdy płacił niski procent, ale od każdego swojego dochodu, niż wysoki, ale tylko od wybranych kategorii dochodów – twierdzi prof. Christoph Sowada z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

– Coraz wyraźniej widać, że wpływy do NFZ nie mogą być oparte wyłącznie na opodatkowaniu pracowników. Popierane przez część sił politycznych przywrócenie ryczałtu dla samozatrudnionych spowoduje, że koszty utrzymania ochrony zdrowia znów będą na barkach zatrudnionych na umowach o pracę – dodaje Maria Libura.

Jedynym ugrupowaniem, które zapowiada realny wzrost nakładów na zdrowie, jest Lewica. Jednym z punktów jej programu jest podniesienie wydatków zdrowotnych państwa do 8 proc. PKB. Czyli w okolice Czech i Kanady.

– Wzrost publicznych nakładów na ochronę zdrowia wydaje się warunkiem koniecznym, ale z pewnością niewystarczającym. Potrzebne są również m.in. reforma składki zdrowotnej, określenie realnego koszyka świadczeń gwarantowanych oraz wprowadzenie mechanizmu płacenia za efekt zdrowotny, a nie tylko

za wykonaną usługę – przekonuje Rudawska.

Ile za receptę

Z powodu niewystarczającej dostępności świadczeń medycznych bardzo dużą rolę odgrywają usługi prywatne. Wydatki na takie świadczenia odpowiadają za jedną czwartą łącznych polskich nakładów na zdrowie. Główną przyczyną jest utrudniony dostęp do lekarzy specjalistów. Trzecia Droga proponuje więc wprowadzenie refundacji kosztów wizyt prywatnych, jeśli czas oczekiwania z NFZ przekraczać będzie 60 dni.

– Spowoduje to przede wszystkim dodatkowe obciążenie finansowe systemu ochrony zdrowia, co w konsekwencji wpłynie na jeszcze większe ograniczenie dostępności do bezpłatnych świadczeń i jeszcze dłuższe kolejki. Prawdopodobieństwo wzrostu cen wizyt prywatnych jest również bardzo duże – twierdzi prof. Maria Węgrzyn z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu.

Maria Libura: – To rozwiązanie skierowane głównie do mieszkańców dużych miast, gdzie istnieje odpowiednia oferta prywatna. Przy braku limitu dopłaty z NFZ doprowadziłoby do dalszej inflacji kosztów wizyt opłacanych z własnej kieszeni. Poza tym wzmocniłoby to tendencję do komercjalizacji usług medycznych. W obszarze ambulatoryjnym mogłaby zniknąć już zupełnie ta rachityczna obecnie oferta publiczna. Państwo utraciłoby też kontrolę nad wyceną świadczeń.

Refundowanie prywatnych świadczeń mogłoby więc zwiększyć nierówności w dostępie do opieki medycznej. W małych miejscowościach brakuje nawet lekarzy prywatnych. Koalicja Obywatelska proponuje więc utworzenie Powiatowych Centrów Zdrowia, które miałyby być hubami podstawowych usług medycznych poza dużymi miastami. W takich centrach pacjenci mogliby otrzymać dostęp do diagnostyki, leczenia ambulatoryjnego i porad specjalistów.

– Niewątpliwie miejsce zamieszkania wpływa na dostęp do możliwości leczenia. To może być też pomysł na lepsze zagospodarowanie obecnych szpitali powiatowych. Główny problem tkwi jednak w dostępności lekarzy i stworzeniu zachęt, by chcieli pracować w takich centrach. Wiele też zależy od lokalnej komunikacji zbiorowej – twierdzi Maria Libura.

Nierówności w zdrowiu to efekt także rosnących cen leków na receptę. W Polsce zaledwie jedna trzecia rachunków za przepisane medykamenty jest refundowana z NFZ. To jeden z najniższych wyników w OECD. Za wiele leków stosowanych na co dzień w całości płacą pacjenci. Lewica proponuje więc wprowadzenie ryczałtu w wysokości 5 złotych na wykup przepisanych preparatów.

– Problemem jest nie tylko bardzo wysoka współpłatność za leki ze strony pacjentów, ale też nadmierne stosowanie niektórych medykamentów, szczególnie antybiotyków. Obie kwestie powinny być rozwiązywane łącznie, a więc należy zracjonalizować przepisywanie leków, jak i obniżyć ich ceny. Idea tanich leków jest słuszna, jednak środowisko lekarskie powinno zacząć tłumaczyć pacjentom, dlaczego nadmierne korzystanie z nich bywa szkodliwe. Dotyczy to nie tylko leków na receptę. Polska jest jednym z liderów stosowania suplementów i leków bez recepty – wskazuje ekspertka z UWM.

– Wiele badań wskazuje, że ze względów finansowych leki nie są wykupywane przez pacjentów. Wówczas koszt nieleczonej choroby wraca jak bumerang. Z drugiej strony w przypadku całkowitej bezpłatności za leki pojawia się problem nadmiernej konsumpcji. Bezpłatność ma dotyczyć jednak tylko leków na receptę, więc ryzyko to wydaje się mniejsze – mówi prof. Barbara Więckowska ze Szkoły Głównej Handlowej. – Podjęta w ostatnim czasie decyzja o rozszerzeniu grup uprawnionych do bezpłatnych leków powinna więc, moim zdaniem, finalnie doprowadzić do jej rozszerzenia na całą populację. Nie może być tak, że płacąc składkę na tych samych zasadach, obywatele mają zróżnicowany zakres ochrony.

Najpierw masa, potem innowacje

Jednym z głównych problemów polskiego systemu ochrony zdrowia jest deficyt personelu medycznego (stąd decyzja rządu o powołaniu nowych kierunków medycznych w kilku miastach powiatowych). Niestety, główne partie polityczne najczęściej nie przedstawiają przekonujących rozwiązań w tym względzie. Polska Akademia Nauk postuluje więc szersze wykorzystanie nowych zawodów medycznych, takich jak asystenci medyczni. W ten sposób dałoby się uzupełnić braki kadrowe z pominięciem długotrwałego procesu kształcenia lekarzy.

– Przede wszystkim należy zacząć szerzej i sensowniej wykorzystywać zawód pielęgniarki, co zachęci też młodych do wyboru tego zawodu. Należy zmienić też system ich kształcenia, by szybciej mogły się specjalizować. O nowych zawodach należy myśleć w kontekście reformy systemu, a nie łatania dziur starego – twierdzi Maria Libura.

PAN postuluje również zwiększenie budżetu na wykorzystanie terapii zaawansowanych. Na całym świecie pojawiają się nowe procedury medyczne, które poprawiają jakość leczenia, ale są też drogie.

– Tempo wdrażania nowych technologii lekowych nie jest u nas najlepsze, choć trzeba przyznać: w ostatnich dwóch latach zwiększyło się. Miejsce Polski obiektywnie wskazuje raport przygotowany przez EFPIA (European Federation of Pharmaceutical Industries and Associations) opublikowany w kwietniu 2023 r. Wynika z niego, że tylko 59 leków ze 168, które uzyskały autoryzację w UE w latach 2018-2021, jest objętych refundacją w Polsce. Tak więc nie wszyscy pacjenci, którzy zgodnie ze wskazaniami rejestracyjnymi mogliby mieć dostęp do nowych leków, mają w Polsce ten dostęp zapewniony – wyjaśnia dr Artur Fałek, lekarz i ekspert zarządzania w ochronie zdrowia.

– Na pewno nie jesteśmy w awangardzie, ale refundacja terapii innowacyjnych w ostatnich latach się poprawiła. Zdecydowaliśmy się chociażby refundować nowoczesne metody leczenia rdzeniowego zaniku mięśni. Poprawiła się także dostępność terapii onkologicznych – mówi Maria Libura. – Największym polskim problemem pozostają nie tyle terapie innowacyjne, co zapewnienie odpowiedniego leczenia chorób masowych, które są jednostkowo tanie, ale z racji skali są olbrzymim wyzwaniem organizacyjnym i finansowym dla systemu, bo wymagają koordynacji leczenia.

Według ekspertki takim problemem jest chociażby leczenie chorób serca i układu krążenia, głównej przyczyny zgonów w Polsce. ©

Wypełnienie

AGNIESZKA SZYMASZEK

Już nie myśli o raku. Zapomina, że ma sztuczne piersi. Czasem zastanawia się, czy implant wytrzyma, gdy oprze się o niego sztanga podczas wyciskania na siłowni.

Słyszę od nich: „Na początku są twarde. Bolą. Nie możesz spać na brzuchu. Trzy miesiące nosisz specjalny uciskający stanik. Po kilku miesiącach wszystko wraca do normy. Teraz są miękkie. Możesz ćwiczyć, robić, co chcesz. Tylko skóra jest jakby znieczulona, niewrażliwa na dotyk. Mnie to nie przeszkadza".

No i nie myślisz już o raku.

Basia

– Chcesz zobaczyć? – pyta.

Zdejmuje koszulkę. Zostaje w czarnym staniku. Ma ładną skórę. Gładką i lekko opaloną. Zsuwa ramiączko i miseczkę stanika. Piersi są delikatne i kształtne.

Rak piersi był w jej rodzinie, odkąd pamięta. Mama znalazła guza, gdy miała jakieś 60 lat. Wtedy w Polsce nikt nie myślał o badaniach genetycznych. Usłyszała, że „to już ten wiek", więc ryzyko zachorowania większe niż u młodszych. Przeszła operację usunięcia piersi i chemioterapię.

Minęło 15 lat. Rak nie wrócił. I w zasadzie Basia zapamiętała go jako chorobę z happy endem.

Niestety, nowotwór zaatakował też Anię, 40-letnią wówczas siostrę Basi. Operacja usunięcia piersi oraz chemio- i radioterapia dały bardzo dobry efekt. Tak się przynajmniej wydawało. Do momentu gdy podczas badań przesiewowych wyszło na jaw, że w płucach jest masa mikroprzerzutów.

Ania zmarła rok po ich wykryciu, w 2018 roku.

Basia właśnie dopina buty narciarskie. Zawrat zimą to nie zabawa dla debiutantów, ale ona nie pęka. Jeździła już na nartach, choć nigdy na skiturach, ale przecież idzie z przyjaciółmi, z przewodnikami tatrzańskimi. Obserwują, jak Basia radzi sobie na nartach. Widzą, jak walczy. Być może nauczyły ją tego treningi na siłowni, które uwielbia.

Nie zjeżdża z najbardziej stromego odcinka żlebu, woli znieść narty. I dobrze. Tak bezpieczniej. Ale poza tymi kilkudziesięcioma metrami całą trasę pokonuje na nartach.

– Jeszcze gdy Ania żyła, wszystkie zdecydowałyśmy się na badania genetyczne. Ja i cztery siostry – mówi Basia. Zrobiła je prywatnie, w ramach promocji, w przychodni. Zapłaciła 300 zł. Trzeba było tylko oddać krew.

Mutację BRCA1 wykryto u dwóch sióstr: chorującej już wtedy Ani oraz Basi. W takich przypadkach lekarze zalecają prewencyjne usunięcie jajników wraz z jajowodami oraz rekomendują profilaktyczną mastektomię, żeby zredukować ryzyko zachorowania. Podczas tego samego zabiegu piersi się rekonstruuje.

– Ja też usłyszałam to samo. Lekarze mówili o usunięciu jajników, ale nie chciałam. Bałam się zmian spowodowanych brakiem hormonów – opowiada Basia. – Natychmiastowej menopauzy. W mojej rodzinie pojawiał się już rak piersi, ale nie jajnika.

Za to bez wahania zdecydowała się na usunięcie piersi i zastąpienie ich implantami. Efekt estetyczny po operacji nie był tak istotny. Wykonywany prywatnie zabieg prewencyjnej mastektomii z rekonstrukcją kosztuje mniej więcej od dwudziestu kilku tysięcy złotych wzwyż za pierś. Basia szukała możliwości poddania się operacji w ramach NFZ. W niektórych placówkach na zabieg czeka się jednak długo, choć nie zawsze. Trafiła do doktora Przemysława Jasnowskiego w Częstochowie.

– Pierwsza wizyta trwała tak krótko, że byłam w szoku – mówi. – Doktor od razu wszystko wiedział. Rach-ciach, pomierzył mi piersi, takie a takie implanty, taka a taka metoda i już.

Operacja mogła odbyć się szybko, ale Basia potrzebowała czasu, by zebrać dokumentację: drugą konsultację genetyczną oraz konsultację psychologiczną. Poza tym urlopy, dzieci, życie. Zabieg odbył się w listopadzie 2022 r. Cztery miesiące od pierwszej wizyty i cztery lata po śmierci Ani. W tym samym roku Basia skończyła 34 lata.

Przez dwa tygodnie po zabiegu chodziła z drenami wystającymi z boku piersi, poniżej pachy. Cały czas sączył się tamtędy płyn. Po wyjęciu drenów poczuła ulgę, ale nie na długo. W jedną pierś wdało się zapalenie. Powstało ryzyko, że implant trzeba będzie usunąć. Gdy niebezpieczeństwo minęło, w drugiej piersi, w samej okolicy brodawki pojawiły się bakterie. Znowu zbierał się płyn. Skończyło się na usunięciu brodawki.

Na urodzie pierś nie straciła. – Twardsze są. Ładniejsze niż wcześniej. Nie takie wiotkie. I o rozmiar większe – podkreśla. – Ale chyba łatwo byłoby odmrozić piersi przy niekorzystnych warunkach. Wcze-

PRADIT.PH / SHUTTERSTOCK

Blizny po operacji raka piersi i po częściowej mastektomii.

śniej tego nie czułam, ale jak wróciłam z nart z Kasprowego i poszłam pod prysznic, to zauważyłam, że skóra na piersiach całkiem zimna. Wychodzi na to, że nie ma tam dobrego krążenia.

Basia nie myśli już o raku. Zapomina, że ma sztuczne piersi. Czasem zastanawia się, czy implant wytrzyma, gdy oprze się o niego sztanga podczas wyciskania na siłowni. Pięć miesięcy po zabiegu przesyła mi zdjęcie z morsowania. Dwa tygodnie później widzę na Facebooku zdjęcie z wycieczki skiturowej. Potem kolejne wyprawy – narciarskie, letnie, z dziećmi. Ostatnio dostaję od niej zdjęcia z plaży. Basia w czerwonym stroju kąpielowym. „Wow! To zdjęcie mogłoby iść na okładkę »Playboya«!" – odpisuję spontanicznie.

Angelina

O profilaktycznej podwójnej mastektomii z rekonstrukcją zrobiło się głośno w 2013 r. po tym, jak zabiegowi poddała się Angelina Jolie. Aktorka miała wówczas 38 lat. Jolie, której matka i ciotka zmarły na raka piersi, jest nosicielką mutacji BRCA1. Zabieg był bardziej skomplikowany niż te, które wykonuje się dziś: najpierw usunięto tkankę gruczołową i wypełniono ubytek ekspanderami, a po dziewięciu tygodniach ekspandery zastąpiono implantami. Obecnie takie zabiegi również się wykonuje, ale nie jest to standardowa procedura i zależy od indywidualnych przypadków.

„Mam nadzieję, że kobiety, które żyją w cieniu raka, będą wiedziały, że mogą szukać informacji i ekspertów medycznych, którzy pomogą im dokonywać własnych świadomych wyborów medycznych. I że jeśli okaże się, że są w grupie wysokiego ryzyka, również będą wiedzieć, że mają opcje" – napisała Angelina Jolie w „New York Timesie". Dwa lata później przeszła operację profilaktycznego usunięcia jajników i jajowodów.

To m.in. za sprawą Jolie wizja okaleczonej kobiety z płaskim miejscem po piersi i blizną przez środek odchodzi w przeszłość. Mastektomia redukująca ryzyko zachorowania z jednoczesną rekonstrukcją stała się powszechna również w Polsce. Od kilku lat można ją wykonać bezpłatnie w ramach NFZ. Trzeba tylko dotrzeć do odpowiedniego lekarza.

Diana

Na studiach wpadł jej w ręce stary podręcznik z chirurgii plastycznej. Zobaczyła rysunki płatów rurowatych użytych do rekonstrukcji nosa. I rekonstrukcję powłok ręki przez wszycie w ścianę brzucha. Pomyślała, że to fantastyczne. Że chciałaby to robić. Dziś ma trzy specjalizacje: z chirurgii ogólnej, onkologicznej i plastycznej.

Dr hab. Diana Hodorowicz-Zaniewska nie umie policzyć, ile piersi zrekonstruowała. Podaje statystyki Uniwersyteckiego Centrum Leczenia Chorób Piersi w Krakowie: w 2022 r. zoperowano tu 845 pacjentek z rakiem piersi. Od 2008 r. klinika wykonuje też zabiegi redukujące ryzyko zachorowania na raka piersi z jednoczesną rekonstrukcją. Hodorowicz-Zaniewska w szpitalu bywa od szóstej rano, ale nie czuje zmęczenia. Jest nakręcona.

– Gdy kończyłam staż, miałam chyba największy dylemat w życiu – mówi. – Moi rodzice mieli dużo znajomych wśród lekarzy, i oni wszyscy odradzali mi zawód chirurga. A ja byłam napalona na chirurgię jak szczerbaty na suchary. Do dziś pamiętam, co powiedział mi wtedy profesor Tadeusz Popiela: „Pamiętaj, dziecko, że jak coś się kocha, to wszystkie wyrzeczenia przychodzą łatwo". Miał rację.

Lekarka tłumaczy: – Pacjentka z mutacją genu BRCA1 lub BRCA2 ma trzy możliwości. Pierwsza to program ścisłej kontroli oparty na regularnym samobadaniu oraz mammografii, USG i rezonansie ↦

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

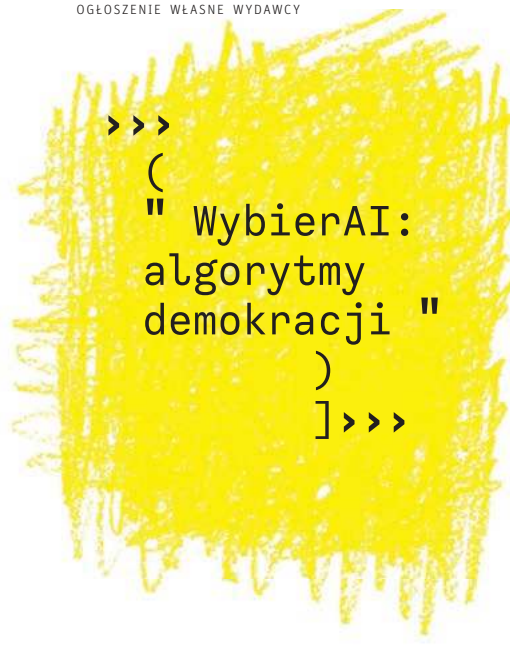

magnetycznym. Każde z tych badań powinno być wykonywane raz w roku. Jedno badanie co około sześć miesięcy. Do tego pacjentka podlega ścisłemu nadzorowi ginekologicznemu z wykonywanym dwa razy w roku badaniem ginekologicznym, przezpochwowym USG i oznaczeniem markerów jajnikowych – mówi Hodorowicz-Zaniewska.

Druga opcja to program tzw. chemiprewencji tamoksifenem, czyli antyestrogenem. To lek, który zmniejsza ryzyko rozwoju raka piersi, jednak jego stosowanie jest w Polsce mało popularne, ponieważ wiąże się z ryzykiem skutków ubocznych. Za granicą jest inaczej, zwłaszcza że w profilaktyce można przyjmować dawki zredukowane. To leczenie powoduje objawy menopauzy, przede wszystkim uczucie zmęczenia oraz uderzenia gorąca.

Trzecia opcja, wyjaśnia lekarka, to chirurgia: zabieg usunięcia jajników i jajowodów oraz zabieg usunięcia piersi z jednoczesną rekonstrukcją. – W przypadku zabiegu piersi zmniejszamy ryzyko zachorowania z 70-80 proc. u nosicielek mutacji genu BRCA1 i 65-72 proc. w przypadku mutacji BRCA2 do około 5 proc. Ryzyko zachorowania na raka piersi kobiety, która nie jest obarczona mutacją, wynosi 5-7 proc., w zależności od populacji. Obecnie szacuje się, że co ósma Polka albo ma, albo będzie miała raka piersi. Tylko 10-15 proc. wszystkich raków piersi ma podłoże genetyczne. Nie jest to zatem częsta sprawa, ale z uwagi na coraz większe rozpowszechnienie badań genetycznych relatywnie częściej spotykana – tłumaczy Hodorowicz-Zaniewska.

I dodaje: – Mimo że piersi zostają odbudowane, i nawet pomimo tego, że czasem efekt estetyczny jest o wiele lepszy niż przed zabiegiem, może się okazać, że za kilka lat trzeba będzie wykonywać kolejne zabiegi, bo np. pacjentka przytyje. Do tego dochodzi zanik wrażliwości piersi. Dla kobiet, które przywiązują dużą wagę do pieszczot piersi, może to być minus w ich życiu erotycznym.

W przypadku pierwszego etapu zabiegu, czyli usunięcia piersi, są trzy podstawowe techniki. Pierwsza to mastektomia z pozostawieniem skóry, ale z usunięciem kompletu brodawka-otoczka, bo w nim zostawia się najwięcej tkanki gruczołowej. Na ten krok decydują się pacjentki, które chcą maksymalnie zmniejszyć ryzyko raka, nawet kosztem efektu estetycznego.

Wizja okaleczonej kobiety z płaskim miejscem po piersi i blizną przez środek odchodzi w przeszłość. Mastektomia redukująca ryzyko choroby z jednoczesną rekonstrukcją stała się powszechna także w Polsce.

Druga, najbardziej popularna technika to mastektomia z zachowaniem kompleksu brodawka-otoczka. Polega na usunięciu tkanki piersi z zostawieniem skóry i kompleksu brodawka-otoczka oraz wypełnieniem ubytku najczęściej implantem. Czasem implant pokrywa się specjalną siatką lub tzw. macierzą bezkomórkową.

Hodorowicz-Zaniewska: – Zdarza się, że piersi powiększamy, jeśli pacjentce na tym zależy. Bo koszt implantu większego jest taki sam, jak mniejszego. Czasem u pacjentek z dużymi piersiami jesteśmy zmuszeni je zmniejszyć. Indywidualna pozostaje kwestia gojenia się i ostatecznego efektu estetycznego, czy piersi wyjdą fajnie, i tyle. Po zabiegu u niektórych pacjentek mogą pojawić się komplikacje.

Pacjentce dwudziestoletniej, która chce mieć dzieci, Hodorowicz-Zaniewska radziłaby jak najszybsze założenie rodziny i długie karmienie piersią. A potem decyzję o zabiegu. Ale kobiecie przed pięćdziesiątką powiedziałaby, że to najwyższy czas, by taki zabieg przeprowadzić.

Agnieszka

Dotyka implantu. Jest półprzezroczysty, dość zbity, mięsisty, ale trochę się przelewa. Miły w dotyku.

Lekarka pokazuje jej różne modele. Jeden ma kształt anatomiczny, w kształcie łezki, inny – okrągły. Potem lekarka mierzy jej obwód klatki piersiowej i piersi. Rysuje czerwonym markerem na skórze piersi i mostku strefy, kwadraty, linie, liczby. Robi zdjęcie. Agnieszka ma prawą pierś nieco większą od lewej. „Równamy do lewej”? – pyta chirurg. – „Tak, tak, jeśli można, to właśnie tak”.

Agnieszka ma 48 lat i mutację BRCA1. Cztery kuzynki chorowały na raka piersi. I ciocia. Większość rodziny ze strony mamy zdecydowała się więc na badania genetyczne, które przeprowadził prof. Jacek Gronwald. W 2018 r. Agnieszka przeszła operację usunięcia jajników i jajowodów.

Agnieszka: – Lekarz bardzo na to naciskał. Mówił, że rak jajnika to „cichy zabójca”, że jest bardzo późno i trudno wykrywalny. Byłam przestraszona. Początkowo czytałam w internecie wszystko, co się dało, a to tylko pogorszyło sprawę. Myślałam, że po takim zabiegu momentalnie się zestarzeję, że obwisną mi piersi i pomarszczę się na twarzy. Chciałam odsunąć zabieg o kilka lat, ale mój przyjaciel, lekarz, który zebrał dla mnie opinie innych lekarzy-specjalistów, powiedział: „Agnieszko, trzeba to zrobić. W zasadzie trzeba to było zrobić 10 lat temu, i dobrze, że się nic nie stało”.

Minęły cztery lata. Dziś Agnieszka jest bardzo zadowolona, że zdecydowała się na zabieg.

– Mam spokój i tyle – opowiada. – A cera? Piersi? Hmm, ładniejsze niż dawniej. Po zabiegu zaczęłam bardzo o siebie dbać. Usunięcie jajników ma swoje konsekwencje, wiadomo. Psikam w przedramię lek hormonalny, który dostaję na receptę. Ale dopiero teraz, gdy minęło sześć lat od usunięcia jajników i jajowodów, dojrzałam do decyzji o zabiegu piersi. Wiesz, co mi pomogło w oswojeniu tematu mastektomii redukującej ryzyko? Facebook. Tam są grupy, do których możesz wstąpić. Dostajesz mnóstwo informacji, porad, czujesz, że nie jesteś sama, w tych grupach jest naprawdę sporo kobiet. Oswajasz się. Efekt estetyczny jest dla mnie ważny. Ale o niego jestem spokojna.

Czego się boi? Okresu po zabiegu, gdy ma się założone dreny i czeka na wyniki histopatologii i czy wszystko się dobrze zagoi. Boi się, bo to nie jest łatwa decyzja i gwarancja wygranej. Każda opcja niesie za sobą szereg konsekwencji. – Czekam od czterech lat na zabieg w państwowym szpitalu, w bardzo dobrej uniwersyteckiej klinice. Tam są świetni lekarze. Przedwczoraj dostałam telefon z propozycją terminu zabiegu za dwa miesiące. Idę. Trzymaj kciuki.

© AGNIESZKA SZYMASZEK

Wybory w Polsce. Facebook pomaga dbać o prawidłowy przebieg kampanii wyborczych na swojej platformie.

Kampanie wyborcze prowadzone są obecnie w coraz większym stopniu na portalach online. Serwisy społecznościowe zapewniają przestrzeń dla ożywionych debat społecznych. Facebook bardzo poważnie traktuje swoją odpowiedzialność za stworzenie odpowiednich warunków dla przebiegu kampanii wyborczych na swojej platformie.

Konsekwentnie przeciwdziałamy dezinformacji.
W celu ograniczenia rozprzestrzeniania fałszywych informacji współpracujemy z niezależnymi organizacjami weryfikującymi fakty. W Polsce naszymi partnerami są AFP i Demagog.

Pomagamy zapobiegać ingerencjom w wybory.
Nasze zespoły podejmują działania na całym świecie przeciwko tym, którzy próbują wpływać na dyskurs polityczny za pomocą skoordynowanych kampanii dezinformacyjnych. Obejmuje to wykorzystanie naszej technologii do znajdowania i usuwania osób nadużywających funkcjonalności naszej platformy, blokowanie fałszywych kont i ograniczanie zasięgu osób, które złamały zasady dotyczące ingerencji w wybory.

Chronimy i wspieramy kandydatów.
Zalecamy politykom korzystanie z naszego dwuetapowego procesu uwierzytelniania i kontroli bezpieczeństwa. Pozwala to skuteczniej chronić ich konta przed nieautoryzowanym dostępem. Ponadto promujemy bezpieczną wymianę opinii z wyborcami, umożliwiając kandydatom blokowanie obelg i nieodpowiednich komentarzy.

Zwiększamy przejrzystość reklam wyborczych.
Każdy, kto chce zamieszczać w Polsce reklamy polityczne na Facebooku i Instagramie, musi przejść pięciostopniowy proces autoryzacji. W naszej publicznie dostępnej bibliotece przechowywane są wszystkie reklamy polityczne wraz z informacjami o ich nadawcach i odbiorcach oraz przeznaczonych na nie nakładach finansowych.

Dowiedz się więcej na fb.me/polandelections2023

REKLAMA

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeratę papierową kupisz na TygodnikPowszechny.pl/sklep

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- prenumeratę papierową kupisz przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- poprzez dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Potrzebujesz pomocy? Zadzwoń lub napisz

W sprawie prenumeraty cyfrowej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA*	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączonej, na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**

PARTNER MARKETINGOWY
SALES manago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TOMASZ

Stawiszyński: *Żarłoczne, podziemne bóstwo*

1 PAŹDZIERNIKA ODBYŁ SIĘ W WARSZAWIE Marsz Miliona Serc. Zgromadził zwolenników opozycji oraz polityków opozycji, którzy przemawiali do zgromadzonych. Marsz wyruszył z ronda Dmowskiego i dotarł do ronda Radosława. Oto bezsporne fakty.

Jak je ustalono? Tak jak się zazwyczaj fakty ustala – poprzez niesystematyczną i systematyczną obserwację, a następnie włączenie zdań opisujących zaobserwowane zjawiska do zbioru przekonań pozytywnie zweryfikowanych. Ci, którzy szli w marszu, widzieli to na własne oczy, inni oglądali na ekranach telewizorów, inni jeszcze słuchali radiowych transmisji. Zarówno indywidualna oraz zbiorowa pamięć, jak i nagrania audio/wideo stanowią więc rękojmię prawdziwości trzech pierwszych zdań otwierających niniejszy felieton.

Naturalnie istnieje tu również wiele kwestii podlegających interpretacji. Na przykład: czy marsz zwiastuje niechybne zwycięstwo, czy też klęskę opozycji? To sprawa indywidualnej oceny, która, oczywiście, okaże się trafna bądź nietrafna 15 października. Albo: czy marsz był ekspresją postaw pozytywnych i konstruktywnych, czy też, przeciwnie, manifestacją negatywności? To również można uznać za funkcję perspektywy – w mediach przyjaznych Donaldowi Tuskowi dominuje opinia pierwsza, w mediach mu nieprzyjaznych druga. W tej ostatniej kwestii, rzecz jasna, żadnych weryfikacji nie będzie, każdy pozostanie przy własnym zdaniu. I nic w tym zdrożnego. Od dawna wiemy, że rzeczywistość nie jest jednolita, a obserwator – w zależności od tego, kim jest, w którym miejscu uniwersum się akurat znajduje i w jakiej chwili w nie wkracza – postrzega zawsze tylko jakiś jej niereprezentatywny fragment, a nie całość. *Alef* – punkt, z którego widać całość, „miejsce, gdzie są, nie mieszając się, wszystkie miejsca świata, widziane pod każdym kątem" (przeł. A. Sobol-Jurczykowski) – występuje wyłącznie na kartach opowiadania genialnego Argentyńczyka.

Chociaż kto wie, może Borges naprawdę kiedyś do tego miejsca trafił...? Jeśli ktokolwiek – to właśnie on. Nam w każdym razie pozostaje co najwyżej medytacja nad tą niemieszczącą się w żadnych miarach rozumu ideą. Okoliczność jednak, że nigdy nie będziemy w stanie znaleźć się w tak idealnym punkcie obserwacyjnym, nie oznacza, że jesteśmy skazani na całkowity relatywizm. Pewne sprawy dadzą się ustalić. Niektóre takie ustalenia mają wsparcie w empirii, do której docieramy z pomocą pięciu zmysłów oraz efektywnych sposobów ich używania. Inne w logice i matematyce, a jeszcze inne w literaturze, historii, micie czy porządku symbolicznym. Dzieje filozofii i nauki to nic innego, jak dzieje wytężonego, wspólnego, opartego na sztafecie pokoleń wysiłku docierania do rzeczywistości, opisywania jej, a następnie osiągania dzięki temu praktycznych korzyści. W tym również społecznych, politycznych i moralnych.

Bo przecież częściowe przynajmniej wydźwignięcie się ludzkości z plemiennego modelu funkcjonowania stało się możliwe także dzięki temu, że setki, tysiące lat mozolnie wypracowywaliśmy kryteria pozwalające na w miarę precyzyjne odróżnianie tego, co obiektywne i subiektywne, wewnętrzne i zewnętrzne, rzeczywiste i nierzeczywiste. Przy czym to zawsze był – i jest – tylko wzorzec, do którego się dąży, horyzont, ku któremu się zmierza. A ruch w kierunku tego horyzontu nigdy nie miał, wbrew marzeniom niektórych, charakteru jednostajnie przyspieszonego. Zdarzały się w nim i zdarzają zastoje, osiadanie na mieliznach, regresje.

Wydaje się, że dziś jesteśmy dokładnie w takim momencie – co nie jest tezą szczególnie kontrowersyjną. Niemniej nawet na tle wszystkich tych od lat funkcjonujących w obiegu diagnoz o epoce postprawdy, dominacji fake newsów i kłamstwie jako metodzie walki politycznej – okoliczność, że w 2023 r. polskie media, instytucje i politycy nie są w stanie zgodzić się co do kwestii tak banalnie empirycznej jak liczba ludzi zgromadzonych na marszu, który odbył się 1 października w Warszawie, jest czymś kuriozalnym.

Owszem, granice kuriozalności przekroczyliśmy dawno temu. Polaryzacja, z jaką mamy w Polsce do czynienia, osiągnęła wskaźniki niedostępne żadnej bodaj skali. Przyzwyczailiśmy się do życia w co najmniej dwóch rzeczywistościach, mających się do siebie niczym awers i rewers. Co w jednej jest cnotą, w drugiej jest hańbą, co w jednej jest bohaterstwem, w drugiej jest zdradą, co w jednej uchodzi za nietakt, w drugiej jest przejawem najlepszych manier, co w jednej jest klęską, w drugiej jest sukcesem, co w jednej piękne, w drugiej szpetne i obrzydliwe... I na odwrót. Ale niezdolność czy raczej świadoma odmowa podania do publicznej wiadomości, ile osób naprawdę uczestniczyło w marszu 1 października – jedni mówią, że ponad milion, inni, że 60 tysięcy, inni jeszcze, że 100 tysięcy, a wszyscy nawzajem zarzucają sobie kłamstwo – wprowadza tu jakąś dodatkową, nową jakość. I potwierdza tezę, że spór polityczny w Polsce jest niczym ciemne, żarłoczne, podziemne bóstwo, które pożera wszystko, co tylko napotka na swojej drodze. Nawet obiekty tak, wydawało się do niedawna, niejadalne – bo niezdatne do relatywizacji – jak proste dane liczbowe.

Mówiąc delikatnie, nie wróży nam to dobrze na przyszłość powyborczą. Zupełnie niezależnie od wyniku. ©

WIARA

WYCZERPAŁO SIĘ

Tegoroczne wybory będą ostatnimi, kiedy ktokolwiek zadaje sobie pytanie o stanowisko Kościoła w ich sprawie.

MARCIN KĘDZIERSKI

Zwykle przy okazji wyborów prędzej czy później pada pytanie o rolę Kościoła w polityce. Czasem wywołuje je episkopat, czasem politycy. W tym roku pojawiły się dwa sygnały ze świata polityki. Z jednej strony mamy list do proboszczów podpisany przez polityków Suwerennej Polski, z drugiej strony antyklerykalne przemówienie Włodzimierza Czarzastego podczas Marszu Miliona Serc. Paradoksalnie Suwerenna i Czarzasty są zgodni. W ich opinii Kościół ma potężny wpływ na politykę. Problem w tym, że w tej diagnozie jest więcej mitu niż prawdy. W dodatku życie tego mitu na naszych oczach dobiega właśnie końca.

Źródła

W okresie zaborów Kościół, obok kultury i języka, stał się instytucjonalną ostoją polskości. Wcześniej, choćby w poprzedzającym rozbiory XVIII wieku, Kościół katolicki nie odgrywał aż tak istotnej politycznej roli. Tyle że nawet w XIX wieku, naznaczonym symbolicznie pieśnią „Boże, coś Polskę” napisaną w 1816 r., ten wpływ nie był wcale aż tak bardzo jednoznaczny. Wystarczy przypomnieć potępienie powstania listopadowego przez papieża Grzegorza XVI.

Także po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. trudno mówić o przemożnym wpływie Kościoła na rzeczywistość polityczną, nawet jeśli mieliśmy do czynienia z mariażem ruchu narodowego z katolicyzmem. Społeczeństwo w swej masie było bowiem raczej antyklerykalne, co wynikało jeszcze z feudalnych zaszłości.

Ów rys ludowego antyklerykalizmu pozostał obecny do dziś, i w jakimś sensie wyjaśnia relatywnie większe poparcie dla PZPR na polskiej wsi, która przyjmowała raczej bierną postawę wobec ówczesnej władzy. Ba, czasem cicho ją wspierała, co bardzo celnie w filmie „Zawrócony" pokazał Kazimierz Kutz. Nie jest przypadkiem, że na konserwatywnym Podkarpaciu po 1989 r. wybory na prezydenta Rzeszowa wielokrotnie wygrywał Tadeusz Ferenc, człowiek z solidnym pezetpeerowskim rodowodem.

Dopiero II wojna światowa, a zwłaszcza czasy PRL, wypełniły treścią mit Kościoła jako ważnego gracza politycznego. Było to szczególnie widoczne w czasie obchodów milenijnych w 1966 r., a później karnawału Solidarności i obrad Okrągłego Stołu, gdzie hierarchowie pełnili funkcję zaufanych pośredników pomiędzy stroną rządową a opozycyjną. Sam kardynał Wyszyński przez wiele lat odgrywał rolę alternatywnej głowy państwa.

Na to wszystko nakłada się oczywiście wpływ Jana Pawła II i jego pielgrzymki do ojczyzny, z najsłynniejszym orędziem z placu Zwycięstwa z czerwca 1979 r. Mało kto kwestionuje znaczenie papieskich pielgrzymek dla powstania Solidarności. Choć – znów niuansując – nie można zapominać stanowiska polskich hierarchów w latach 80., którzy niekoniecznie przychylnie patrzyli na solidarnościowe zaangażowanie duchowieństwa – najlepszym przykładem była ich bardzo chłodna reakcja na działalność bł. ks. Jerzego Popiełuszki.

Kościół po PRL

W okresie transformacji ustrojowej polski Kościół skorzystał z okazji i w najlepsze odcinał kupony od politycznego statusu zdobytego w czasach PRL. Najlepszym przykładem była Komisja Majątkowa. Nawet jeśli można było traktować jej działalność jako zadośćuczynienie za nacjonalizację dóbr Kościoła przez komunistów, Komisja umożliwiła przejęcie wielu nieruchomości, na których zwrot zwykli obywatele nie mogli liczyć. W pierwszych latach III RP Kościołowi udało się dodatkowo wywalczyć dla siebie szereg innych, przyjaznych regulacji, z których korzysta do teraz – część z nich znalazła zresztą swoje odzwierciedlenie w konkordacie.

↦

ANATOL CHOMICZ / FORUM

Kampania wyborcza na Podlasiu. Białystok, 1 października 2023 r.

↦ Nieprawdziwe byłoby jednak twierdzenie, że Kościół na początku lat 90. XX w. dzierżył w Polsce rząd dusz. Wystarczy przypomnieć „zimną wojnę religijną" i gorzką pielgrzymkę papieża z 1991 r. Nigdy wcześniej, ale i nigdy później, orędzie Jana Pawła II do rodaków nie zostało przyjęte w tak chłodny, obojętny wręcz sposób. Co prawda Kościołowi udało się przeforsować w 1993 r. konkordat i ustawę antyaborcyjną, która dopiero po czasie zyskała miano „kompromisu", ale już wsparcie Wyborczej Akcji Katolickiej w kampanii jesienią 1991 r. zakończyło się kompletnym fiaskiem.

Odnoszę wrażenie, że zarówno dla strony kościelnej, jak i polityków z różnych stron sceny partyjnej w pewnym momencie wygodne było schowanie się za plecami Jana Pawła II. Pod koniec lat 90. papież nie był już kontestowany, ale traktowany raczej jak przydatna maskotka. Biskupi mogli w każdym liście powołać się na jego myśl, unikając jakiejkolwiek samodzielności myślenia. Politycy z kolei wykorzystywali go do legitymizacji swojej agendy. Tak było podczas pielgrzymki z 1999 r., kiedy Aleksander Kwaśniewski przejechał się papamobile i ostatecznie przyklepał „grubą kreskę", tak było też w kampanii przed referendum akcesyjnym, w którym nawet SLD chętnie sięgał po głos papieski w sprawie Unii Europejskiej.

Symbolicznie tę erę zakończyła śmierć Jana Pawła II. Pierwszy rząd Prawa i Sprawiedliwości, a zwłaszcza porozumienie zawarte między Jarosławem Kaczyńskim a liderami Ligi Polskich Rodzin i Samoobrony, które dokonało się pod patronatem o. Tadeusza Rydzyka, były już przejawem nowych czasów. Odejście papieża Polaka nie sprawiło, że episkopat odnalazł się w nowej rzeczywistości. Wszak dyrektor Radia Maryja był postacią całkowicie poza kontrolą kościelnej hierarchii. Wobec takiej słabości politycy mogli już zupełnie bezkarnie wykorzystywać Kościół do swoich rozgrywek. Takie praktyki były jednak udziałem nie tylko PiS, ale także Platformy Obywatelskiej, która w tamtych czasach korzystała jeszcze z Kościoła, kiedy było to jej potrzebne. Świetnie było to widać choćby w Krakowie, gdzie czołowi politycy PO mieli dobrze umocowanych w kościelnym światku braci-księży. Stąd zresztą wzięło się dziennikarskie bajanie o „Kościele łagiewnickim", jako przeciwstawieniu „Kościoła rydzykowego", czyli „pisowskiego".

Megaprocesy

Jednocześnie śmierć Jana Pawła II przyśpieszyła trzy megaprocesy. Pierwszym z nich jest sekularyzacja – najpierw cicha, a w ostatnich latach już w pełni jawna. Widać to w wynikach Narodowego Spisu Powszechnego z 2021 r., w którym „zniknęło" 6,6 mln katolików. Przynależność do Kościoła zadeklarowało nieznacznie ponad 70 proc. Polaków, podczas gdy dekadę wcześniej było to ponad 87 proc. Widać to także w badaniach instytutu badawczego Pew Research Center, który wskazał, że Polska cechuje się największą (spośród kilkudziesięciu badanych krajów) różnicą uczestnictwa w praktykach religijnych pomiędzy osobami przed i po 40. roku życia. Potwierdzają to również wyniki corocznego badania Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego – w 2021 r. wskaźnik tzw. *dominicantes* spadł do 28,3 proc. Jeszcze na początku transformacji na niedzielną mszę uczęszczała połowa katolików. Nie trzeba jednak wielkich badań, aby zobaczyć, że kościelne ławki na mszach pustoszeją.

Niewątpliwie ważną rolę w tym procesie odegrała pandemia COVID-19. Katolicy mogli wybierać transmisję mszy z całego kraju. Część z nich po czasie przyzwyczaiła się, że wcale nie musi chodzić do kościoła, inni zobaczyli, że nie są skazani na beznadzieję własnej parafii. W większych i średnich miastach istnieje alternatywa, ale gdzie indziej często jest ona niedostępna. Wskaźnik uczestnictwa w praktykach religijnych będzie nadal spadać, już dziś w większych miastach nie przekracza 10 proc., co też dobrze obrazuje miejsce Kościoła w przestrzeni społecznej.

Towarzyszy temu proces sekularyzacji polityki i jej ewolucja w kierunku tożsamościowym. Teraz to polityka wchodzi w rolę religii, co świetnie widać w USA, gdzie można już w zasadzie mówić o „kościele Trumpa". Nie byłoby też wielką przesadą stwierdzenie, że także w Polsce mamy do czynienia z „kościołem Kaczyńskiego" i „kościołem Tuska". Obaj politycy mają swoich wyznawców, gotowych do pójścia na krucjatę w imię obrony politycznego guru.

Trzeba sobie jednak wyraźnie powiedzieć, że polityczne religie tożsamościowe nie gromadzą się wyłącznie wokół polityków czy medialnych celebrytów. Zjawisko to dotyka też samego Kościoła. Jego „protestantyzacja" to trzeci z megaprocesów. Pierwszym polityczno-religijnym guru był oczywiście o. Tadeusz Rydzyk, ale po nim zaczęli pojawiać się kolejni. Niewątpliwie czynnikiem sprzyjającym wyłanianiu się takich postaci był internet. W tym medium szlaki przecierał ks. Piotr Natanek, a po nim pojawili się inni, w tym choćby ks. Dominik Chmielewski i jego Wojownicy Maryi. Zresztą ruchy tożsamościowe w samym Kościele nie zawsze mają na swoim czele kapłanów – tu wystarczy przywołać Fundację Solo Dios Basta, która stała za takimi akcjami jak „Różaniec do Granic" czy „Wielka Pokuta".

Wszystkie te inicjatywy łączą dwie cechy – polityczne (choć niekoniecznie partyjne) zaangażowanie i brak realnej kontroli ze strony episkopatu, który miał i nadal ma spore problemy, jak się do nich ustosunkować. Z jednej strony pojawia się bowiem wiele wątpliwości co do ich ortodoksji, ale z drugiej strony w dobie pustoszejących kościołów inicjatywy te potrafią gromadzić tłumy, którym trudno się wprost sprzeciwić. Ta ambiwalencja stoi prawdopodobnie za dość umiarkowaną i często spóźnioną reakcją kościelnej hierarchii, która na dodatek także wśród wierzących nie ma najlepszej prasy.

Co jednak równie istotne, te okołokościelne ruchy są w jakimś sensie poza radarem nie tylko episkopatu, ale i politycznego mainstreamu. Ruch Wojowników Maryi nie gra bowiem na PiS, ale udziela cichego wsparcia partii Polska Jest Jedna, której lider Rafał Piech nie tylko zawierzył Maryi Siemianowice Śląskie (sprawuje tam urząd prezydenta miasta), ale także zabierał głos w katolickich sporach wokół dopuszczalności udzielania komunii na rękę.

Koniec epoki politycznego Kościoła

Wpływ instytucjonalnego Kościoła na politykę jest więc współcześnie marginalny. Episkopat jest słabszy niż kiedykolwiek wcześniej w historii III RP, do czego wydatnie przyczyniły się także ujawniane w ostatnich latach skandale seksualne, na które Kościół nie potrafił odpowiednio zareagować. Dlatego możliwe było wykorzystanie Kościoła przez Jarosława Kaczyńskiego, co świetnie widać było w jego prze-

mówieniu po wybuchu protestów Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, gdy wzywał do obrony kościołów.

Tak samo było rok wcześniej, kiedy w kampanii parlamentarnej PiS wykorzystał film braci Sekielskich do mobilizacji własnego elektoratu. Po raz kolejny tą samą kartą zagrano wiosną tego roku po emisji filmu Marcina Gutowskiego „Bielmo". Wydaje się, że sam fakt wyznaczenia daty wyborów na Dzień Papieski znajdzie jeszcze swoje miejsce w propagandzie PiS na samym finiszu kampanii wyborczej.

Jednocześnie zdanie Kościoła było ignorowane wtedy, kiedy nie było to na rękę Zjednoczonej Prawicy. Kościół zainwestował sporo środków w rozbudowę katolickiego szkolnictwa, w tym gimnazjów. Reforma systemu szkolnego stanowiła ogromny problem dla wielu takich placówek, które nie były w stanie bezkosztowo przekształcić się czy to w szkoły podstawowe, czy też szkoły średnie. Jeszcze bardziej dobitnym przykładem jest kryzys migracyjny. Znów, choć głos Kościoła w tym temacie w debacie publicznej nie był dość słyszalny (dodajmy, nie tylko z winy Kościoła), to jednak episkopat wysyłał wyraźne sygnały do rządu, aby zmienić nie tylko działania, ale i retorykę. Rząd jednak zignorował zarówno postulat utworzenie korytarzy humanitarnych, jak i apele, by nie wykorzystywać tragedii migrantów do politycznych rozgrywek. Gwoli sprawiedliwości należy jednak dodać, że głos biskupów w tematach politycznych nie był jednorodny. Mieliśmy bowiem do czynienia z wypowiedziami części hierarchów – abp. Marka Jędraszewskiego, abp. Wacława Depy czy bp. Wiesława Meringa – którzy *de facto* żyrowali poszczególne działania PiS.

Swoją drogą czasem można było odnieść wrażenie, że część ludzi Kościoła angażowała się (lub była wykorzystywana) nawet do walk frakcyjnych wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. Tu szczególnie ciekawym przykładem jest o. Rydzyk. Wydaje się, że politycy obozu rządowego, występujący na antenie Telewizji Trwam, walczyli bardziej o wewnętrzną pozycję w partii niż poparcie wyborców. W tym sensie przekaz płynący z imperium medialnego o. Tadeusza Rydzyka adresowany był bardziej do Jarosława Kaczyńskiego niż elektoratu.

O. Rydzyk nie ma już kluczowego wpływu na wynik wyborów. W dobie kryzysu parlamentaryzmu fakt, **kto zdobędzie mandat poselski, nie ma już większego znaczenia.**

Obserwacja ta pozwala także stwierdzić, że wpływ toruńskiej rozgłośni na politykę jest zupełnie inny, niż się powszechnie sądzi. O. Rydzyk nie ma już kluczowego wpływu na wynik wyborów, jeśli kiedykolwiek go w ogóle miał. W dobie kryzysu parlamentaryzmu fakt, kto konkretnie zdobędzie mandat poselski, nie ma bowiem większego znaczenia. Ważna jest liczba szabel do dyspozycji partyjnych bonzów.

Wielka zmiana

Skąd zatem bierze się dość powszechne przekonanie, że Kościół mebluje polską politykę? Związane to jest z trzema tematami, wokół których toczą się światopoglądowe spory, a w których Kościół z dość oczywistych powodów zajmuje zdecydowane stanowisko. Chodzi o aborcję, związki partnerskie (w tym osób tej samej płci) i obecność religii w przestrzeni publicznej. Prawda jest jednak taka, że ze sprawą wspomnianych megaprocesów te wszystkie tematy prędzej czy później zostaną poddane liberalnym zmianom. Kiedy tak się stanie, Kościół zniknie z polityki już nie tylko jako podmiot, ale i przedmiot zainteresowania. Dominującą emocją stanie się indyferentyzm.

Zresztą już dziś stanowisku zajmowanemu przez biskupów towarzyszy głównie obojętność. „Vademecum wyborcze katolika", przygotowane przez Radę ds. Społecznych Konferencji Episkopatu Polski, przeszło niemal bez echa. Nie tylko nie było publicznie dyskutowane czy komentowane, ale nie stało się nawet obiektem internetowych żartów.

Możliwe, że wybory w 2023 r. będą ostatnimi, kiedy w ogóle ktokolwiek zadaje sobie pytanie o stanowisko Kościoła. Sam Kościół instytucjonalny niespecjalnie się pcha na afisz, zdając sobie sprawę, że rozgłos medialny jest ostatnią rzeczą, jakiej dziś mu potrzeba. Ten zapewniają takie historie jak choćby orgia zorganizowana w Dąbrowie Górniczej. Mało kto jednak zwrócił uwagę, że w ostatnich miesiącach nie słychać politycznych deklaracji nawet ze strony tych hierarchów, którzy wcześniej wspierali kierunek polityki prowadzonej przez władzę.

Jest w tym jakaś, także polityczna, mądrość. Hierarchowie zdają sobie bowiem sprawę, że po wyborach może dojść do zmiany władzy i z nową władzą też trzeba się będzie umieć dogadać. Może dlatego w ostatnich dniach nieco więcej słychać kard. Kazimierz Nycza, który za sprawą swoich doświadczeń współpracy z warszawskim magistratem ma lepsze kontakty z politykami PO.

Te wszystkie polityczne układanki bledną jednak w obliczu zmian, które czekają polski Kościół w najbliższym czasie. Na emeryturę odejdą metropolici trzech ważnych biskupich stolic – Krakowa (lipiec 2024), Poznania (październik 2024) i Warszawy (luty 2025). Jednocześnie wiosną przyszłego roku skończy się kadencja abp. Stanisława Gądeckiego jako przewodniczącego KEP. To wszystko dzieje się w momencie, w którym kapelusz kardynalski odebrał abp Grzegorz Ryś, który ma wyraźnie odmienną wizję społecznego zaangażowania Kościoła. W ostatnich latach na forum episkopatu był on raczej marginalizowany, ale trudno nie odnieść wrażenia, że właśnie nadchodzi jego czas. Zapowiedział już, że choć sam nie będzie startować w wyborach na przewodniczącego KEP, to ma swojego kandydata.

Dojdzie zatem do starcia dominującej dotychczas frakcji zachowawczej z grupą bardziej progresywnych hierarchów, do których zaliczyć można choćby prymasa abp. Wojciecha Polaka czy nowego metropolitę katowickiego abp. Adriana Galbasa. Choć wynik tego starcia wcale nie jest przesądzony, to wiele wskazuje na to, że w polskim Kościele idzie nowe – i to zarówno ze względu na procesy zewnętrzne, jak i wewnętrzne (w tym także trwający w Watykanie synod o synodalności). To zaś będzie miało bardzo duży wpływ na charakter relacji między Kościołem instytucjonalnym a władzą, niezależnie od tego, kto wygra wybory. Nie mam jednak wątpliwości, że na naszych oczach kończy się pewna era.

© MARCIN KĘDZIERSKI

Bóg nie jest facetem

ALBIN HILLERT / ŚWIATOWA FEDERACJA LUTERAŃSKA

PAULINA HŁAWICZKA-TROTMAN, PIERWSZA POLSKA BISKUPKA LUTERAŃSKA:

Kobiety po teologii jeszcze niedawno słyszały pytania typu: co z tobą jest nie tak, że sobie do tej pory nie znalazłaś męża? Mnie zaproponowano pracę kościelnej.

RYSZARD KOZIOŁEK: Kiedy Biskupa uznała, że Bóg nie jest mężczyzną?

BP PAULINA HŁAWICZKA-TROTMAN: Myślę, że stosunkowo wcześnie. Jako dziecko zadawałam dużo pytań, co musiało denerwować otoczenie. Pamiętam, że babcia konkludowała po moim dociekaniu, być może kiedy już musiała się poddać, że Bóg jest od tego wszystkiego większy. Jest wszystkim i wszędzie, i kobietą, i mężczyzną, i dzieckiem. I my nie damy rady tego zrozumieć. To mi wtedy wystarczyło. Zapamiętałam, że nie można sobie stworzyć czy wyobrazić obrazu Boga. I to była mądra lekcja.

Potem na studiach powróciło pytanie o Boga. Wrażenie robi zwłaszcza zdanie z Księgi Rodzaju, że Bóg stworzył kobietę i mężczyznę na swoje podobieństwo. Zatem także kobieta jest podobna do Boga, ale nie da się mówić o tym podobieństwie osobno. To znaczy, że Bogu potrzebne są wszystkie płcie, ale płeć Boga nie jest istotna.

Z jednej strony teologia podkreśla, że Bóg nie ma płci, z drugiej, w kulturze chrześcijańskiej funkcjonuje właściwie niekwestionowalny męski wizerunek Boga.

Bóg jako absolut jest bezpłciowy, ale Kościół wypracował bardzo wpływowy wizerunek Boga jako Ojca, czyli mężczyzny. Związane jest to z pojawieniem się Jezusa Chrystusa w ciele mężczyzny, który jest zarazem Synem Boga. Co prowadziło do wypracowania teologii Trójcy Świętej. Historyczny przekaz o wcieleniu Boga w człowieka nie mógł być inny. Kobieta jeszcze do niedawna musiała mieć nakrytą głowę i milczeć na religijnym zgromadzeniu. Marię przedstawiano więc jako podporządkowaną służebnicę. A jednak w średniowiecznym Kościele rozwinął się jej kult tak wielki, że nabrała ona prawie cech boskich. Przy tym jej wizerunki w różnych krajach są zdobne i strojne.

Kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy na festiwalu Granatowe Góry w Wiśle, jeszcze wtedy pastorka Paulina nosiła biżuterię, miała staranną fryzurę i makijaż, co razem komunikowało: jestem kobietą. Czy gender duchownego/duchownej, a więc kulturowy wizerunek płci, należy eksponować czy przeciwnie – ukrywać dla dobrego wypełniania swojej funkcji we wspólnocie religijnej?

Myślę, że spotykamy wielu duchownych, którzy dbają, żeby mieć ładne fryzury, być ogolonym albo mieć przystrzyżone brody i dobre buty. Tylko że przyzwyczailiśmy się nie zwracać na to uwagi. Ewentualnie plotkujemy, że ksiądz jest opalony, ma wysportowaną figurę albo jakim jeździ samochodem. Jako duchowni jesteśmy pełnymi, ludzkimi istotami, czyli mamy płeć i rozmaite sposoby jej wyrażania.

Na mnie wpłynęło na pewno studiowanie śpiewu operowego. Występy na scenie wymagają troski o wygląd. Ale przyznaję, że gdy pracowałam nad emancypacją w Kościele razem z moimi koleżankami i robiłyśmy różne kampanie publiczne, to wydawało nam się, że musimy być powściągliwe: nosiłyśmy golfy, długie spódnice, a paznokcie robiłyśmy sobie dopiero w sobotę. Natomiast tutaj, w Wielkiej Brytanii, mamy zbiorowość wielokulturową. Czasem kobiety są tak niesamowicie wystrojone, jakby szły na swój własny ślub – wychodzą na ambony i bez skrępowania głoszą Słowo. Inne z kolei, ubrane w ciemne garnitury, wyglądają tak, że z daleka nie wiadomo, czy to kobieta czy mężczyzna. Mamy prawo do jednej i drugiej postawy.

Czyli to raczej kwestia wolności osobistej niż ortodoksji?

Tak, w Polsce wciąż się z tym zmagamy, bo zaczęliśmy być wolnym krajem stosunkowo niedawno. W pokoleniu moich rodziców wciąż pokutuje myślenie: co ludzie powiedzą. Ale to się na szczęście zmienia.

To nie jest niewinne pytanie o wolność kreowania wizerunku przez księdza czy księżynię, pastora lub pastorkę. Stoją za nim akty przemocy seksualnej duchownych wobec dzieci, być może ułatwione przez szaty i autorytet duchownego, które pozwoliły drapieżcom seksualnym udawać, że ksiądz nie ma płci.

To jest bardzo trudne zagadnienie. Uczestniczyłam niedawno w Kościele anglikańskim w tzw. safeguardingu

Paulina Hławiczka-Trotman podczas nabożeństwa poprzedzającego XIII Zgromadzenie Światowej Federacji Luterańskiej. Mansfield College, Oksford, 21 marca 2023 r.

– to rodzaj treningu zabezpieczania i ochrony przed krzywdą lub uszkodzeniem, a także wprowadzającego ramy chroniące pracowników przed wyzyskiem. Co trzy lata każdy z nas musi tutaj przejść szkolenie, jak postępować w sytuacjach wykorzystania czy przemocy wobec osób nieletnich, chorych lub starszych. Mamy także proces ewaluacyjny i psychologiczny, który ma za zadanie znaleźć lub wykluczyć skłonności pedofilskie.

Czy to dotyczy tylko księży?

Dotyczy każdego, kto pracuje z ludźmi. Podczas szkolenia oglądaliśmy film o szajce pedofili wśród duchownych anglikańskich, działającej w latach 80. i 90. Niektórzy z nich wybrali specjalnie życie duchownych, aby mieć łatwy dostęp do dzieci. Więc problem seksualnego wykorzystania jest bardzo skomplikowany i nie dotyczy jednej grupy.

Z drugiej strony, kiedy rozmawiałam z ks. dr. Romanem Prackim, który jest psychoterapeutą, opowiadał o psychologii młodego katolickiego księdza żyjącego w celibacie: jego życie seksualne nie istnieje lub zostało stłumione, a inteligencja emocjonalna w tym zakresie musi stać się mocno ograniczona. Kształtuje się w ten sposób grupa ludzi, którzy najlepiej czują się z najmłodszymi, bo ich emocjonalna inteligencja zatrzymała się w tym właśnie miejscu. I znowu, taka teza nie dotyczy wszystkich księży, ale może być pomocna w rozumieniu tego trudnego tematu. Jestem za tym, żeby znieść celibat, tak jak uczynił to Marcin Luter, wynika to zapewne z moich protestanckich korzeni, ale wiem też, że jest spora grupa osób powołanych do służby w Kościele, które chcą żyć w celibacie i żyją w nim z wielką radością i spełnieniem. Nie mamy prawa ani podstaw obarczać ich podejrzeniem, że ten wybór wyzwoli w nich patologiczne skłonności.

Jak się zostaje biskupą, a może biskupką elektką Kościoła – właśnie – luterańskiego czy ewangelicko-augsburskiego, w którym przyszła Biskup Paulina wzrastała?

Nazwa „ewangelicko-augsburski" stosowana jest w Polsce, gdzie raczej nie mówi się „Kościół luterański". Gdybym jednak w Anglii, gdzie od 12 lat mieszkam, chciała powiedzieć „ewangelicki", to zostałabym źle zrozumiana. Słowo „evangelical" odnosi się do Kościołów ewangelikalnych – tych najmłodszych, niedawno powstałych – też protestanckich, ale które nie wywodzą się wprost z reformacji i nie odwołują się do osoby Marcina Lutra, tylko swoją tożsamość budują w odwołaniu się wprost do Ewangelii. Z kolei nazwa stosowana w Polsce odnosi się do początków luteranizmu, czyli do Konfesji Augsburskiej.

Na Wyspach nasz Kościół jest wspólnotą migrantów – powstał dopiero 60 lat temu. Ludzie pochodzą z różnych krajów i wnoszą różne tradycje, także różne nazwy. Łączy się to z tym, że Marcin Luter nie chciał, aby Kościół nazywał się jego imieniem. Dlatego część Kościołów oficjalnie nie nazywa się luterańskimi, choć potocznie już tak. Czasem spotykam się z zarzutem od przyjaciół z Kościoła katolickiego, że Luter, reformując Kościół, nazwał go swoim imieniem, co właśnie nie jest prawdą. Nazwa „luteranie" to uproszczenie.

Poważnych różnic doktrynalnych między nami a np. anglikanami nie ma, chociaż są teologowie, którzy by się nad tym spierali. Na mocy „Wspólnej deklaracji z Porvoo", zatwierdzonej w 1996 r., duchowni luterańscy mogą opiekować się anglikanami i *vice versa*. Jesteśmy równorzędnymi księżmi – dawniej królowej, a teraz króla.

A zatem, czy Biskupa została powołana czy wybrana? I kto tego dokonał?

Jestem pierwszą biskupą w Anglii, która została wybrana podczas elekcji przez Synod Kościoła – wcześniejsi biskupi byli powoływani. Po raz pierwszy w Kościele luterańskim w Wielkiej Brytanii było kilku kandydatów wewnętrznych. Pojawili się też kandydaci zewnętrzni. Dlatego zorganizowano proces elekcyjny, który trwał półtora roku.

Kim są kandydaci zewnętrzni?

Pochodzą z Kościołów luterańskich spoza Wielkiej Brytanii, a więc nie mieszkają tu. Mój dotychczasowy szef, biskup Tor Berger Jørgensen, pochodzi z Norwegii i stamtąd do nas przyjeżdża. Został powołany do Wielkiej Brytanii jako emerytowany biskup norweski. Był znany z wielu ciekawych aktywności prouchodźczych, a także z pracy w kościołach diasporalnych, np. w Japonii, i to przeważyło o zaproszeniu go do pracy z nami. Przed nim był biskup Martin Lind ze Szwecji, a więc też osoba dojeżdżająca.

Jakie gremium wybierało Biskupkę Paulinę – czy to były osoby świeckie?

Wyboru dokonał Synod Kościoła, w skład którego wchodzą biskupi, księża, konsystorz i świeccy reprezentujący każdą parafię w tym kraju.

Konkurencja była duża?

Tak. Dla niektórych problemem było, że jestem kobietą – to wciąż jest sytuacja niestandardowa. A do tego stosunkowo młodą – mam 40 lat, co niektórym wydawało się nie dość poważnym wiekiem. Mężczyźni z siwymi brodami mają wciąż duże poparcie. Muszę dodać, że nie jestem pierwszą kobietą-biskupem. Przede mną biskupem luterańskim została kobieta pochodzenia brytyjsko-łotewskiego, Jāna Jēruma-Grīnberga, która była pierwszą biskup w Brytanii w ogóle, bo było to jeszcze, zanim Kościół anglikański wprowadził możliwość konsekracji kobiet-księży na biskupów. Z kolei pierwszym biskupem Polakiem w Kościele luterańskim w Wielkiej Brytanii został Walter Jagucki.

Od dwunastu lat pracuje Biskupa w Anglii, dlaczego nie w Polsce?

Bo w Polsce jeszcze wtedy nie ordynowano kobiet. Kampania trwała 70 lat i dopiero w zeszłym roku kobiety dostąpiły ordynacji. Wcześniej doświadczały dyskryminacji, o której w świetle mojej elekcji dużo się teraz w Polsce mówi, a media bardzo to rozdmuchują wydumanymi tytułami. Z drugiej strony historie dyskryminacji są bardzo indywidualne, bolesne i ważne, a część z nich dopiero dziś wychodzi na jaw. Bardzo przeżyłam, kiedy po studiach zaproponowano mi pracę kościelnej. Kończyłyśmy takie same studia jak mężczyźni, niekiedy na wyższym poziomie, bo zawsze musiałyśmy udowadniać, że też nas stać; często łączyłyśmy teologię z innymi kierunkami, żeby mieć coś w garści. Ja skończyłam studia z etyki i śpiewu operowego. Ale Kościół nie miał nam nic do ↦

↦ zaoferowania. Słyszałyśmy pytania typu: co z tobą jest nie tak, że sobie do tej pory nie znalazłaś męża, co ja mam teraz z panią zrobić? To znaczące, że jeszcze kilka lat temu można tak było się odezwać do kobiety, która właśnie obroniła podwójną magisterkę.

Ale nie byłoby pierwszej ordynacji kobiet na księży w Polsce w zeszłym roku, gdyby nie mężczyźni: wykładowcy, księża, biskupi, synodałowie. To oni dołączali na przestrzeni ostatnich lat do naszej kampanii i głośno w swojej pracy duszpasterskiej o tych sprawach mówili. Zapraszali mnie na prelekcje o służbie kobiet w Brytanii i to im w tym miejscu należą się wielkie dzięki!

Na Wyspach dyskryminacji nie ma?

Nie ma. Kiedy tu przyjechałam, najbardziej mnie zaskoczyło, że nikogo nie obchodziła moja płeć. Wszyscy byli też pod wrażeniem dyplomu z Warszawy, mimo że Chrześcijańska Akademia Teologiczna nie figurowała w żadnych rankingach. Myślę, że w Polsce nie doceniamy wystarczająco samych siebie, ciągle uważamy, że powinniśmy coś udowodnić, do kogoś się porównywać. Ale przecież dopóki nie przestaniemy udowadniać, nie staniemy się ludźmi wolnymi. To jest nasz problem narodowy.

Nawet tytułowanie jest problemem. Jak powinienem się zwracać do... Księdzy Biskupy?, Biskupki?, Biskupy Pauliny? Dzierżawczy zwrot – biskupina – zarezerwowany jest zdaje się dla żony biskupa?

Tak właśnie mówi się w Polsce np. na panią Beatę Michałek, która jest żoną biskupa Jerzego Samca. Co do określania kobiety mianowanej na biskupa, ale jeszcze przed konsekracją, pomysły są różne: biskupka elektka, elekta, biskupa elekta albo biskup elekta czy biskup elektka.

Która dla ucha brzmi najprzyjaźniej?

Dla mnie najkrótsze formy: biskup elekta. Ale myślę, że nowych form dopiero musimy się uczyć. Być może przyjmą się jeszcze jakieś inne określenia, wierzę, że język sam się obroni i wypracuje odpowiednie formy.

W polskiej dyskusji o kapłaństwie kobiet często podnoszony jest argument, że małżeństwo i własna rodzina odciągną księdza od poświęcenia się wspólnocie. Czy tak rzeczywiście jest?

Mój mąż, Arlington, pochodzi z Barbadosu, ale jest Brytyjczykiem, mieszka przez większość życia na Wyspach. Jest księdzem w Kościele metodystycznym, ale nie prowadzi teraz parafii, przez co łatwiej nam się żyje. Kiedy miał parafię, prawie się nie widywaliśmy. Więc to jest prawda, że nie jest łatwo. Wykłada obecnie na temat rasizmu, dyskryminacji ze względu na kolor skóry i zajmuje się projektem dotyczącym reparacji związanych z niewolnictwem. Do 2016 r. w Wielkiej Brytanii wypłacano pieniądze rodzinom wywodzącym się od właścicieli niewolników. Kiedy w 1833 r. wydano akt o zniesieniu niewolnictwa, rząd postanowił ich opłacać, aby nie podnieśli buntu. Teraz mówi się o reparacjach idących w stronę poszkodowanych. Nie o pieniądzach jest mowa, ale o dostępie do edukacji, służby zdrowia, do posiadania reprezentacji politycznej, a także we wszystkich innych sektorach na wszystkich szczeblach – co tutaj nie jest oczywiste, bo społeczeństwo ma charakter klasowy, a rasizm instytucjonalny jest bardzo powszechny.

Doświadczenia męża bardzo mi się przydają, bo w moim Kościele też działa grupa, która zajmuje się sprawami rasizmu. Wspólnota jest bardzo mieszana, wielonarodowa, ale do czasu śmierci George'a Floyda nie rozmawialiśmy o tych tematach w sposób otwarty. Czarni przedstawiciele Kościołów nie chcieli wchodzić w taki dialog, mówili, że długo trzymali z nami pokój i niech tak już zostanie. Ale dzięki Bogu udało nam się zbudować bezpieczną przestrzeń do rozmów i dopiero słuchając pojedynczych, trudnych i bolesnych historii zaczęliśmy się uczyć, czym jest rasizm i jak bardzo jest częścią białej, uprzywilejowanej części ludzkości. To obecnie w Wielkiej Brytanii bardzo ważny temat.

Czy zawód duchownego w Anglii pozwala się utrzymać?

Niestety nie w pełni. To nie tak, że idzie się do parafii, dostaje się mieszkanie i na co dzień pracuje z lokalną społecznością. Parafie wynajmują księdza na kilka godzin i za to mu płacą, wynajmują też budynki kościelne do nabożeństw. Jedne parafie mają lepsze możliwości finansowe, inne gorsze. Parafianie nie żyją też lokalnie, ale zjeżdżają się z różnych miast i wsi. Żeby mieć z czego żyć, nie szukając innego zajęcia, trzeba się bardzo postarać. Ja jestem dodatkowo duszpasterzem akademickim i pracuję na uniwersytecie dwa dni w tygodniu. Dorabiam zastępstwami księży w Kościele anglikańskim, a także śpiewając. Wielu księży ma drugie, trzecie zawody – są np. lekarzami, psychoterapeutami, radiowcami, przedsiębiorcami, kapelanami w szpitalach, więzieniach, armii czy na uniwersytetach.

To jest frustrujące czy stymulujące?

I to, i to. Bywa, że natłok zajęć jest taki, że nie wiadomo, w co ręce włożyć. Ale przecież dzisiaj prawie wszyscy tak żyją, a my, księża, jesteśmy częścią społeczeństwa. Zmagamy się z tymi samymi problemami i to nas zbliża do człowieka i do zabieganej codzienności.

Kto śpiewa, dwa razy się modli. Jaka jest ulubiona muzyka Biskupy?

Słucham bardzo różnej muzyki, trudno mi wskazać jedną grupę muzyczną. Lubię „Porę siesty" Marcina Kydryńskiego, w której pojawia się muzyka świata, jazz, lokalny folklor z różnych krajów. Lubię Wodeckiego, Banaszak, Turnaua, Majewską, Piwnicę pod Baranami, ale lubię też Michaela Jacksona, Joss Stone czy Toma Waitsa. Kocham poezję śpiewaną, którą sama wykonywałam jeszcze przed śpiewem klasycznym. Na 40. urodziny opracowałam sobie coś z Szymborskiej, coś z Norwida i śpiewam te utwory razem z klasycznym repertuarem. Ale doceniam też młodą polską muzykę popularną: Brodkę, Koteluk, Sochacką, Sanah, Zawiałow, Rani, Kaminskiego, Króla, Podsiadłę...

A co Biskupa śpiewa jako śpiewaczka klasyczna?

Lubię poznawać nowe utwory z różnych krajów, pisane na potrzeby konkretnych Kościołów w różnych językach. Od klasyki przez gospel po taneczne, skoczne utwory, jazz i poezję. Wyciągam też mało znane perełki, albo właśnie szlagiery, nad którymi długo pracuję, aby dodać im coś od siebie i uduchowić, tak jak akurat w tym momencie czuję. Uczę się też pieśni Kościoła anglikańskiego, co jest dla mnie wielkim, nowym bogactwem. Ze starej klasyki jest coś z Mozarta, Ryszarda Straussa, Chopina, ale i Paderewskiego, Panufnika i Pendereckiego.

Jakie są Biskupy relacje z Kościołem katolickim, zwłaszcza w Polsce?

Mam różne doświadczenia, ale chcę powiedzieć o tych bardzo dobrych. Z dzieciństwa pamiętam różne ekumeniczne imprezy, koncerty świąteczne, wspólne przeżywanie uroczystości. A Jan Paweł II znajduje się w moim drzewie genealogicznym: jego babcia Anna Hławiczka wywodziła się z rodziny luterańskiej. Kiedy papież przyjechał do Skoczowa na Śląsku Cieszyńskim, skąd pochodzę, odwiedził kościół, w którym byłam chrzczona. Nikt wtedy nie wiedział, dlaczego zależało mu, by tam pójść.

Mam też dobre wspomnienia związane z ks. prof. Wacławem Hryniewiczem, o którym pisałam pracę magisterską. Chodziłam na jego seminaria, wykłady i konferencje związane z nadzieją na powszechne zbawienie. A skontaktował mnie z nim luterański teolog ks. prof. Marek Jerzy Uglorz, mój ówczesny mentor i promotor, któremu zawdzięczam wiele, jeśli chodzi o wypełnianie mojego powołania. Mając dziesięć lat uciekałam ze szkółki niedzielnej do kościoła, aby słuchać jego kazań. Od ks. Hryniewicza nauczyłam się ekumenii w praktyce i poszerzyłam rozumienie słowa „nadzieja". To człowiek wielkiej wiedzy, wymagający, ale i ciepły; teoria apokatastazy [nadziei na powszechne zbawienie – red.], którą badał i rozwijał, a o której ja wtedy pisałam, dała wielu ludziom powód do rezygnacji z ograniczeń w rozumieniu dzieła zbawczego, a tym samym możliwość otwarcia się na nowy dialog także z innych Kościołami i religiami.

Co odpowiedziałaby Biskupa prawosławnemu metropolicie Warszawy i całej Polski Sawie, który swego czasu zapowiedział, że Kościół prawosławny nie będzie się wspólnie modlić z ordynowanymi na księży luterankami?

Chodziło o ksiądz Wiktorię Matloch. To smutna historia, ale w przypadku metropolity sprawa raczej ma charakter bardziej osobowościowy niż teologiczny. Też mam kilka osobistych doświadczeń z przeszłości, na które tu szkoda miejsca. Myślę, że nie reprezentuje on bogactwa i piękna teologii prawosławnej, za której głębsze poznanie jestem wdzięczna, czy arcybiskupowi Jeremiaszowi, czy Hryniewiczowi właśnie.

DANUTA MATLOCH

PAULINA HŁAWICZKA-TROTMAN
23 września została wybrana na biskupkę Kościoła luterańskiego w Wielkiej Brytanii. Na duchowną luterańską ordynowana w 2014 r. w Anglii. Ukończyła CHAT w Warszawie.

Mam poczucie, że wyznania chrześcijańskie w Polsce to są tacy przyjaciele, co się nie lubią, jak pisał Wyspiański. Czy nie należy uznać, że to nostalgiczna utopia?

Trudno mi sobie wyobrazić utopię ponownego zjednoczenia, którego w istocie nigdy nie było. Przecież nawet za życia Jezusa uczniowie byli podzieleni, a co dopiero później. Trzeba sobie dać z tym spokój i po prostu pogodzić się z tym, że tak jak wypowiadamy się różnymi językami i różnimy obyczajami, tak też wyznania są różnymi formami adoracji Boga. Posługujemy się fałszywym pojęciem jedności. „Unity" to nie jest jednolitość ani jednomyślność. Gdybyśmy odmitologizowali to pojęcie i zaczęli od nowa, moglibyśmy wiele zyskać.

W Kościele luterańskim na Wyspach jest o tyle łatwiej to zrozumieć, że jest wśród nas wielka różnorodność: wywodzimy się z różnych tradycji, z wielu krajów, mamy różne kolory skóry, języki, czasami nie umiemy się dogadać po angielsku. I mamy znacznie nieraz różniące się poglądy. Mój poprzednik biskup Martin Lind uważał, że nie jest naszym zadaniem przedstawianie światu jakiejś ujednoliconej doktryny na swój temat, bo byłaby ona fałszywa. Mówił: „Jestem biskupem wszystkich księży i wszystkich parafii w Kościele luterańskim w Wielkiej Brytanii, które są bogate w swej różnorodności i podejmują dialog na sporne tematy. Moim zadaniem jest ten dialog mobilizować, dawać mu coraz większą przestrzeń i przekazywać mikrofon każdemu, kto chce mówić językiem pokoju".

Oczywiście z różnorodnością poglądów łączy się ryzyko agresji. W Tanzanii i Ugandzie rządy prześladują społeczność LGBT. Kościoły się boją. Podczas procesu elekcyjnego biskupa wystąpiła osoba z ambasady Tanzanii i stawiała pytania na temat poglądów kandydatów na sprawy LGBT. Chciała nas zastraszyć. Podjęłam walkę, ale ze świadomością, że mi nic nie grozi, a koleżanki i koledzy z Tanzanii, którzy uczestniczyli w tym panelu, mogą już jutro być prześladowani.

Kiedy zatem Biskupa spodziewa się kapłaństwa kobiet w Kościele katolickim?

To zależy od tego, w którą stronę pójdzie nowa linia reformacji, która nie będzie rewolucją, ale ewolucją. Mówił o niej w Krakowie podczas zgromadzenia Światowej Federacji Luterańskiej katolicki teolog ks. prof. Tomaš Halík z Czech.

Na pewno musi jeszcze upłynąć trochę czasu. W naszym luterańskim gronie kobiet na początku lat dwutysięcznych myślałyśmy, że to już niedługo. A przyszło czekać ponad dwadzieścia lat. Jako środowisko kobiet dużo zyskałyśmy na tym, że przestałyśmy narzekać, zaczęłyśmy pisać. Kiedy wydałyśmy „Postyllę kobiet" – zbiór kazań autorstwa teolożek – obawiałyśmy się, czy ktoś zechce ją kupić, tymczasem ostatnio wyszedł już czwarty dodruk, a czytają ją nie tylko luteranie.

Widzę, że w Kościele katolickim kobiety działają na wielu stanowiskach, w tym uniwersyteckich, wiele publikują. Społeczeństwo potrzebuje głosu kobiet na równi z męskim. Dopiero wtedy będzie w świecie równowaga.

Katolicki czytelnik naszej rozmowy może odnieść mylne wrażenie, że luteranizm jest wyłącznie tolerancyjny i otwarty, podczas gdy oboje wiemy, że zwłaszcza w Polsce, przynajmniej do końca XX w., był bardzo konserwatywny. Pastor mojej parafii Ryszard Janik pomstował

↦

↦ **na kościoły, które godziły się na gitarę podczas spotkań młodzieży. Jak ten konserwatyzm wpłynął na drogę życiową Biskupy?**

Urodziłam się w Skoczowie i mieszkałam tam przez pierwsze 12 lat, a potem przeprowadziliśmy się do Ustronia. To były moje miasta rodzinne, z tych okolic pochodzili też rodzice. Oba kościoły ewangelickie wpływały na mój rozwój duchowy, bo zawsze żyliśmy blisko parafii. Moi rodzice byli solistami chóru w Skoczowie i to był bardzo piękny czas – wzrastałam w szczęśliwym domu, pełnym muzyki, i właśnie przez nią zbliżyliśmy się bardziej z Kościołem, z wiarą, i na niej budowaliśmy swoją pierwszą tożsamość religijną.

Druga ważna rzecz – nazwisko Hławiczka wywodzi się z Czech. Moi dalecy krewni sprzed pięciuset lat, którzy w Pradze przeszli na stronę reformacji, podczas kontrreformacji musieli uciekać. Ukryli się z całymi rodzinami właśnie w górach Beskidu Śląska Cieszyńskiego. I do dzisiaj po czeskiej i polskiej stronie jest dużo Hławiczków, wśród których jest wielu artystów i księży. W historii naszej rodziny nie ma jakichś dramatycznych neofickich przeżyć. Mój ojciec miał podejście bardziej liberalne, mama pochodziła ze środowiska bardziej konserwatywnego religijnie. Bardzo się pokochali i razem stworzyli dla nas, dzieci, zdrowy religijny balans.

Wiem, że nie zawsze tak to wygląda i że nadal istnieją parafie, gdzie młodzież źle się czuje. Ale uważam, że nie można na nikim ani wymusić wiary, ani też stylu, w jakim tę wiarę chce się wyznawać. Ona jest darem, nie każdy go doświadcza, nie jest też dana raz na zawsze. Przechodzimy przez różne jej łatwiejsze i trudniejsze fazy, niekiedy jej zanik i powrót. To wszystko też jest wiarą. Księża mojego dzieciństwa i czasu młodzieżówki parafialnej nie byli konserwatywni, nie palili gitar na stosie. Myślę, że dopiero na studiach poznałam bardziej konserwatywne miejsca. I dopiero wtedy zmobilizowałam się do walki z dyskryminacją, a także do pracy reformatorskiej w imię *Ecclesia reformata et semper reformanda*.

© Rozmawiał RYSZARD KOZIOŁEK

Papież godzi ogień z wodą

PIOTR SIKORA

Dyskusja nad pytaniami konserwatywnych kardynałów do papieża i odpowiedzią Franciszka pokazuje pęknięcie we wspólnocie Kościoła.

Istnieje wiele osób wierzących i pragnących należeć do wspólnoty Kościoła, dla których aktualne katolickie nauczanie i praktyka jest bardzo bolesna.

Kościół, który boli

To m.in. osoby LGBT+. Z łatwością mogą one w kościele usłyszeć, że ich zdolność do kochania osób tej samej płci to „skłonność obiektywnie nieuporządkowana", że jeśli tworzą trwały, oparty na wiernej i troskliwej miłości związek obejmujący także bliskość cielesną, to żyją w grzechu ciężkim. Nie mają szans na liturgiczne błogosławieństwo takiego związku. Bardzo trudno im nawet otrzymać jakieś wsparcie duszpasterskie: w Polsce istnieją grupy chrześcijan LGBT+ i – nieliczne – katolickie duszpasterstwa takich osób, ale te ostatnie są nieoficjalne, niemal „podziemne".

Są też katolicy, którzy z pewnego punktu widzenia znajdują się na drugim biegunie – ale którzy także mają wielkie trudności z przeżywaniem swojej wiary we wspólnocie Kościoła w sposób, który jest dla nich niezwykle ważny. Od dwóch lat – czyli od czasu wydania przez papieża dokumentu „Traditionis custodes" – wierni, których wiarę karmi przede wszystkim uczestnictwo w mszy w rycie „przedsoborowym", mają bardzo ograniczone możliwości celebrowania najważniejszego dla nich momentu życia w sposób najbardziej zgodny z ich sumieniem.

Nie mam zamiaru porównywać i mierzyć, sytuacja której grupy jest trudniejsza (nie wierzę bowiem w istnienie miary, którą dałoby się przyłożyć do tego typu spraw). Chcę jedynie zwrócić uwagę, że obecna postać katolicyzmu jest trudna (z różnych powodów) dla bardzo różnych osób oraz że – w konsekwencji – nie jest łatwo utrzymać jedność kościelnej wspólnoty.

Reakcja na zmiany

Zainicjowany przez Franciszka proces synodalny – lokalne, krajowe i kontynentalne konsultacje – w którym każdy mógł się szczerze wypowiedzieć, wprowadził katolicyzm na drogę zmian, które niosą nadzieję dla pierwszej z wymienionych przeze mnie grup. W większości tzw. syntez synodalnych pojawiły się fragmenty mówiące o tym, że dotychczasowe katolickie podejście do osób LGBT+ powinno się zmienić. W niektórych miejscach świata nie ograniczono się do słów. Na przykład biskupi flamandzcy pozwolili na swoim terenie wprowadzić praktykę błogosławieństwa par homoseksualnych. Zarówno podnoszone postulaty zmian, jak i same decyzje wprowadzające zmiany nie spotkały się z krytycznymi reakcjami Watykanu.

Zarysowująca się coraz wyraźniej możliwość wprowadzenia zmian dotyczących istotnych elementów katolickiego nauczania zaniepokoiła konserwatywną część Kościoła. Wyrazem tego niepokoju jest ujawniona niedawno korespondencja pomiędzy pięcioma konserwatywnymi kardynałami a Franciszkiem. Hierarchowie skierowali w lipcu do papieża tzw. „dubia", tj. pytania wyrażające doktrynalne wątpliwości:

1 „Czy Objawienie Boże w Kościele powinno podlegać reinterpretacji zgodnie ze zmianami kulturowymi naszych czasów i zgodnie z nową wizją antropologiczną, którą owe zmiany promują; czy też Objawienie Boże jest wiążące na zawsze, niezmienne i dlatego nie można mu zaprzeczyć?".

2 „Czy Kościół może odstąpić od tej »zasady« [że tylko związek mężczyzny i kobiety jest chciany i dopuszczony przez Boga], uznając ją, wbrew naucza-

MARIA LAURA ANTONELLI / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS

Msza z nowymi kardynałami pod przewodnictwem papieża Franciszka, otwierająca XVI Zwyczajne Zgromadzenie Ogólne Synodu Biskupów. Watykan, 4 października 2023 r.

niu »Veritatis splendor« (103), za zwykły ideał i akceptując jako »możliwe dobro« obiektywnie grzeszne sytuacje, takie jak związki osób tej samej płci, nie dopuszczając się przy tym zdrady doktryny objawionej?".

3 „Czy synodalność może stanowić najwyższe kryterium regulacyjne stałego rządu Kościoła bez zniekształcania ustanowionego przez jego Założyciela porządku konstytutywnego, zgodnie z którym najwyższa i pełna władza Kościoła jest sprawowana zarówno przez papieża na mocy jego urzędu, jak i przez kolegium biskupów wraz z jego głową, biskupem rzymskim?".

4 „Czy nadal obowiązuje *dictum* Soboru Watykańskiego II, zgodnie z którym »[kapłaństwo powszechne wiernych i kapłaństwo urzędowe lub hierarchiczne] różnią się istotą, a nie tylko stopniem«, i czy nauczanie zawarte w liście apostolskim św. Jana Pawła II »Ordinatio sacerdotalis«, który głosi jako ostateczną prawdę niemożność udzielania święceń kapłańskich kobietom, zachowuje ważność?".

5 „Czy wciąż obowiązuje nauczanie Soboru Trydenckiego, zgodnie z którym żal penitenta, który polega na wstręcie do popełnionego grzechu z zamiarem niegrzeszenia więcej, jest niezbędny z punktu widzenia ważności spowiedzi sakramentalnej?".

Nawrócenie Franciszka

Franciszek dotychczas nie był skłonny rozmawiać ze swoimi konserwatywnymi krytykami. Obecne „dubia" nie są pierwszymi – na poprzednie papież nie odpowiedział. „Traditionis custodes" – dokument ograniczający możliwość celebrowania Eucharystii w starym rycie – wprowadził nie słuchając wspólnot, których to ograniczenie dotyczyło. Wielu katolików zarzucało więc Franciszkowi, w dużej mierze słusznie, że choć głosi, iż w Kościele wszyscy powinni być wysłuchani, sam nie słucha tej jego części, z którą nie za bardzo jest mu po drodze. Teraz jednak – gdy zbliża się Synod o synodalności – postanowił podjąć rozmowę.

W swoich odpowiedziach na „dubia" papież próbuje – po pierwsze – wskazać, że w tradycji chrześcijańskiej zmiany nie można przeciwstawiać ciągłości. Franciszek przypomina, że Pismo i Tradycja wymagają nieustannej interpretacji. Objawienie – jako rzeczywistość boska – nie jest możliwa do adekwatnego i całkowitego pojęcia przez człowieka. Dlatego Kościół musi nieustannie pogłębiać rozumienie Objawienia. W procesie tym zmiany kulturowe „mogą pobudzić nas do lepszego wyjaśnienia niektórych aspektów jego nieprzebranego bogactwa, które zawsze kryje w sobie coś więcej". Ów wzrost w rozumieniu Objawienia powoduje, że czasami nie da się w zmienionych okolicznościach powtarzać pewnych sformułowań lub elementów doktryny. Każdą zaś doktrynalną wypowiedź trzeba rozumieć w kontekście całości chrześcijańskiego przesłania.

Na tak zarysowanym ogólnym tle Franciszek odpowiada na bardziej szczegółowe pytania kardynałów – próbując w każdym przypadku zachować równowagę między ciągłością a zmianą. Podtrzymuje kościelne nauczanie, że małżeństwem jest jedynie związek mężczyzny i kobiety, ale wskazuje, że duszpasterska miłość i roztropność otwiera możliwość błogosławienia związków homoseksualnych – jeśli forma tego błogosławieństwa nie sugeruje, że taki związek jest małżeństwem i jeśli taki akt nie wprowadza nowej kanonicznej normy. Papież przypomina przy tym o ograniczonym zasięgu kościelnego prawa: „Prawo kanoniczne nie powinno i nie może obejmować wszystkiego, a konferencje biskupów nie mogą udawać, ↦

↦ że dokonują tego poprzez różne dokumenty i protokoły, ponieważ życie Kościoła toczy się wieloma kanałami wykraczającymi poza te normatywne".

W podobnym duchu utrzymane są pozostałe papieskie odpowiedzi – choćby ta dotycząca kwestii święceń prezbiteratu dla kobiet. Z jednej strony Franciszek broni tradycyjnej różnicy pomiędzy „kapłaństwem powszechnym" a „kapłaństwem hierarchicznym lub urzędowym". Z drugiej strony podkreśla, że „nie jest dobrym pomysłem dowodzenie istnienia różnicy w stopniu, który implikuje uznanie kapłaństwa powszechnego wiernych za coś »drugiej kategorii« lub posiadającego mniejszą wartość (»niższy stopnień«)". W końcu stwierdza, że obecna praktyka Kościoła rezerwująca prezbiterat dla mężczyzn „nie jest definicją dogmatyczną, a jednak musi być przestrzegana przez wszystkich. Nikt nie może jej publicznie zaprzeczyć, a mimo to może być ona przedmiotem badań".

Potrzeba trwałości

Można powiedzieć, że papież usiłuje balansować pomiędzy doktrynalną ciągłością a zmianą, w uznaniu, że istnieje jakiś wspólny rdzeń praktyki chrześcijańskiej, który nie wyklucza jednak różnorodności indywidualnych dróg do Boga. Jego działanie nie różni się pod tym względem od sposobu postępowania kościelnych instytucji w większości kryzysowych momentów w historii chrześcijaństwa.

Odpowiedź Franciszka nie zadowoliła jednak autorów „dubiów". Wręcz przeciwnie, jak przyznali, jeszcze wzmogła ich niepokój. Sformułowali więc w sierpniu drugą wersję pytań, która miała postawić Franciszka pod ścianą i zmusić – jak sami autorzy napisali – do krótkiej odpowiedzi: „tak" lub „nie".

Co więcej, wszystkie pytania w drugiej wersji są sformułowane w taki sposób, który jednoznacznie sugeruje, jaka odpowiedź jest zgodna z „niezmienną nauką Kościoła", a jaka stanowi odstępstwo od „prawa Bożego" i „depozytu wiary". Pokazuje to, że pytania nie są szczere. Szczere pytanie zakłada bowiem jakąś niewiedzę odnośnie do przedmiotu pytania i gotowość poszukiwania odpowiedzi. Autorzy „dubiów" są przekonani, że wiedzą, jaka jest prawda o tym, o co – jakoby – pytają. Ich pytania nie są zatem naprawdę pytaniami – pełnią zupełnie inną rolę.

Znamienne jest w tym kontekście, że Franciszek na drugą wersję „dubiów" już nie odpowiedział. W zamian za to jego pierwsza odpowiedź – dotąd tajna – została opublikowana przez Watykan z datą późniejszą od drugiej wersji „dubiów". Przekaz jest jasny: papieska odpowiedź na wersję pierwszą jest ostateczna i innej nie będzie.

W przestrzeni publicznej pojawiło się wiele reakcji na „dubia" wskazujących, że piątka kardynałów nie jest sama, lecz wyraża opinię – i obawy – znaczącej grupy katolików. Dla wielu osób jest niezwykle egzystencjalnie ważne, że w zmieniającym się i chaotycznym świecie istnieje pewien niezmienny, niemal monolityczny fundament posiadający absolutną – bo Boską – pieczęć. Tak bowiem przedstawiają sobie naukę i praktykę Kościoła.

Uznanie, że Kościół – zarówno w warstwie doktrynalnej, jak i praktycznej – ewoluuje, jest dla takich osób bardzo trudne. Owa postrzegana przez nich monolityczna niezmienność tego, co święte, stanowi fundament ich życia. Rozpoznanie, że w toku ewolucji Kościoła pewne dogmatyczne sformułowania muszą zostać porzucone, a pewne normy postępowania tracą znamię powszechnej ważności, nie jest po prostu aktem poznawczym – narusza ów fundament ich tożsamości. W tym kontekście „dubia" wyrażają nie tyle poszukiwanie odpowiedzi, co próbę wymuszenia na religijnym autorytecie potwierdzenia owej niezmiennej, monolitycznej wizji katolickiego chrześcijaństwa.

Znieść napięcia

Problem z taką wersją katolicyzmu polega nie tylko na tym, że jest ona trudna do racjonalnej obrony (ze względu na fakt, że Kościół przez wieki bardzo się zmieniał). Problemem jest także to, że ta postać katolicyzmu, którą konserwatyści chcieliby zachować, ma takie aspekty, które krzywdzą wiele osób (tę krzywdę poznajemy coraz lepiej, m.in. dzięki rozwojowi empirycznej wiedzy o człowieku).

Można powiedzieć, że wszystkie osoby posiadające jakąś odpowiedzialność za kształt katolickiej kościelnej wspólnoty (a więc także papież) znajdują się w sytuacji tragicznej w antycznym sensie tego słowa – tj. w sytuacji, kiedy trzeba podjąć jakąś decyzję, lecz każda z możliwych nieść będzie cierpienie. A przecież dokładnie tego chciałoby się uniknąć.

Jak bowiem wyraźnie widać z papieskiej odpowiedzi na „dubia" pięciu kardynałów, Franciszek uznaje, że rdzeniem chrześcijańskiej tożsamości jest miłość, wyrażająca się troską o cierpiących.

Zarówno „dubia", jak i papieska odpowiedź powstały, bo wielkimi krokami zbliżało się wówczas – niedawno już rozpoczęte – rzymskie zgromadzenie Synodu o synodalności. W obliczu ujawniających się w katolickiej wspólnocie bardzo dużych różnic w pojmowaniu i przeżywaniu chrześcijańskiej wiary, różnic prowadzących do silnych napięć, sytuacja Kościoła może wydawać się nie do pozazdroszczenia. Jakie by decyzje zostały – bądź nie zostały – podjęte na Synodzie, zawsze ktoś będzie się czuł pokrzywdzony.

Być może najlepszym wyjściem z tej sytuacji fundamentalnych różnic i napięć jest zgoda na to, by z niej nie wychodzić. Uznanie, że najważniejszym aspektem synodalności jest nie podejmowanie decyzji, lecz cierpliwe wzajemne słuchanie siebie, z wiarą, że druga osoba, która pojmuje i przeżywa wiarę zupełnie inaczej niż ja, równie szczerze szuka Boga i ma poważne powody i racje, by wierzyć w sposób, w który wierzy. Wtedy – być może – wiara tej drugiej (tego drugiego) otworzy szerzej moje serce na Tego, w którego razem wierzymy.

©℗ PIOTR SIKORA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
>>>
[www.
Tygodnik
Powszechny
.pl
/
wybierAI
<<<]

WOJCIECH

Bonowicz:
Jeszcze jeden wysiłek

To ostatni felieton społeczno-polityczny, kolejny będzie o poezji, obiecuję. Choć zauważyłem, że najchętniej czytane i komentowane są te idące skrajem polityki właśnie. Ludzie bardzo potrzebują, żeby ktoś wypowiedział to, co w nich siedzi. Co przychodzi im na myśl, choć potem ginie w natłoku innych myśli. Także to, do czego sami przed sobą nie zawsze chcą się przyznać.

Osoby na co dzień opanowane mówią mi: kiedy zaczyna się rozmowa o polityce, czuję, jak coś we mnie wstępuje. Nie potrafię zachować spokoju, druga strona też nie, więc szybko dochodzi do eksplozji. Właściwie można odnieść wrażenie, że obie strony na tę eksplozję czekają. Zamiast dążyć do tego, żeby się porozumieć, obie robią wszystko, żeby wspólnie doprowadzić do wybuchu. Nie myśli się wtedy o ofiarach, zniszczeniach... Albo gorzej – myśli się o zniszczeniach i ofiarach z satysfakcją. Dopiero później przychodzi opamiętanie.

Rany po słowach potrafią goić się długo i nie zagoić nigdy. Zranione zostają osoby – jedne bezpośrednio, inne pośrednio – ale zraniona zostaje także zbiorowość. Naruszone zostają reguły, które nią rządzą, te formalne i te nie. To tak, jakby do wodociągu, który dostarcza wodę danej wspólnocie, dostały się nagle ścieki, choćby w niewielkiej ilości. Może się wydawać, że płynąca woda poradzi sobie z nimi, prędzej czy później je rozpuści. Tyle że ścieki są już w kranach, ludzie obmyli nimi twarze i przepłukali usta. Może się przy tym skrzywili z niesmakiem? A może nawet nie zauważyli, że woda, którą im dostarczono, jest wodą zatrutą?

Odbyłem w ostatnim czasie kilka dłuższych rozmów na temat sensu głosowania. Mam nadzieję, że wszystkich, z którymi rozmawiałem, udało mi się przekonać. Budujące jest to, że jak się przyjrzeć uważniej, są wśród kandydatek i kandydatów osoby – i nie jest ich wcale mało – które potrafią zachować kulturę słowa, nie manipulować faktami, składać w miarę rozsądne obietnice i tak dalej. Co ciekawe jednak, ich nazwiska jakoś nie potrafią nam, wyborczyniom i wyborcom, wryć się w pamięć. Musimy je sobie powtarzać, ponieważ w mediach powtarzają się rzadko. Ktoś mi opowiedział, że jego ojciec czy stryj założył przed kolejnymi wyborami specjalny notes, w którym zapisywał, co kto w kampanii powiedział sensownego. Notes bardzo się przydał, gdy trzeba było w końcu podjąć decyzję.

Martwię się, że przy okazji wyborów pada tak wiele oszczerczych, raniących i kłamliwych słów, że te dobre słowa mogą zostać zapomniane. Zauważyłem znamienną reakcję: kiedy kandydatki lub kandydaci posługują się językiem dalekim od radykalizmu, reakcją jest na ogół obojętność, niezależnie od tego, czy dana osoba ma do powiedzenia coś interesującego, czy po prostu „pływa". I na odwrót: kiedy język się radykalizuje, to może wprawdzie rosnąć niechęć do danego kandydata, ale równolegle rośnie też zainteresowanie. Przejmuje mnie, kiedy kandydat o ewidentnym braku kompetencji jest hołubiony przez media tylko dlatego, że nie powściąga swojego języka. To jeden z cieni demokracji: że wyborców pociągnąć może byle kto, wystarczy, by miał tupet, ambicję i był odrobinę pracowity.

Wybory to wysiłek – także dla głosujących. I nie chodzi bynajmniej o samo pofatygowanie się do urn (przy okazji, bo mnie o to pytacie: kart do referendum nie trzeba brać i nie trzeba się z tego tłumaczyć). Chodzi o to, żeby pociągnąć inne osoby wokół siebie, przekonać, by też się tam pofatygowały. „*Fatigare*" to po łacinie „męczyć się". Demokracja oczekuje, że się „zmęczysz", i to „zmęczysz" porządnie. W przeciwnym razie – może ci nie dać tego, na czym bardzo ci zależy. ©

REKLAMA

PREMIERA 20.09

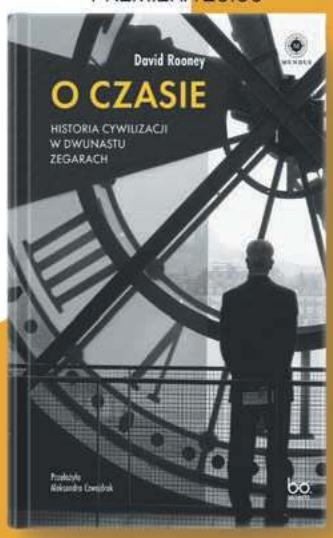

Czas to pieniądz, wiedza i władza

PREMIERA 24.10

Nienawiść jest piekłem, które sami sobie zgotowaliśmy

PREMIERA 25.10

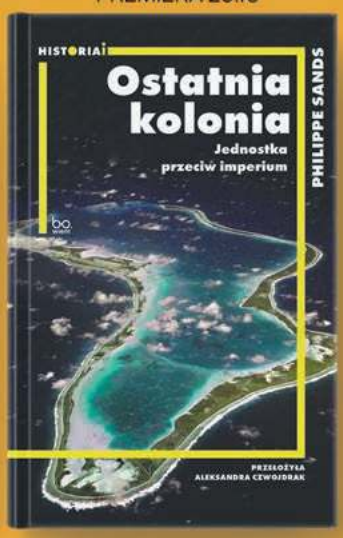

Sądowa walka o sprawiedliwość

najciekawsze historie zaczynają się jesienią

bo. wiem

OSTATNI ORMIANIE WYJEŻDŻAJĄ Z KARABACHU

Władze Armenii twierdzą, że w ciągu kilkunastu dni po jego kapitulacji Górski Karabach opuściło sto tysięcy Ormian i nie został już nikt. Azerbejdżan twierdzi, że został ich tam tysiąc.

STASIA BUDZISZ Z GORIS (POGRANICZE ARMENII I GÓRSKIEGO KARABACHU)

KAREN MINASYAN / AFP / EAST NEWS

Ormiańscy uchodźcy z Górskiego Karabachu w Goris, 30 września 2023 r.

Paweł mówi, że kazali mu stać ze spuszczoną głową i nie patrzeć żołnierzom w oczy. Jego żona, matka, babcia i córka stały w jednym rzędzie. On, razem z innymi mężczyznami, w drugim. Nie sprawdzali im paszportów, tylko liczyli każdego po kolei. A potem pytali:

– Skąd jedziesz?

– Ze Stepanakertu.

– Z Chankendi! – poprawiali ormiańską nazwę miasta na azerską. – Czyj jest Karabach?

– Azerbejdżański.

Dali butelkę wody, ciastko i puścili dalej. Do Armenii. Punkt kontrolny przy wyjeździe z tzw. korytarza laczyńskiego był dla karabachskich Ormian pierwszym kontaktem z azerbejdżańskimi żołnierzami. Wieczorem, 1 października, rzecznik spraw obywatelskich nieuznanej przez nikogo Republiki Górskiego Karabachu, Gegam Stepanjan, powiedział, że na jego terenie nie ma już Ormian. Tego dnia ostatnie piętnaście osób miało przyjechać do przygranicznego miasta Goris.

To jednak wersja oficjalna, tak jak oficjalne są liczby, które podaje ministerstwo spraw wewnętrznych Armenii. Zdaniem ministerstwa Republikę Górskiego Karabachu opuściło dokładnie 100 514 osób. Ale tę liczbę nawet sami karabascy Ormianie podają w wątpliwość. Nie wierzą, że tylu ludzi było tam w czasie blokady, którą Azerbejdżan rozpoczął w połowie grudnia 2022 r.

Nie ma jednak żadnych innych statystyk, które potwierdziłyby lub podważyły te słowa. Tak samo jak nie wiadomo dokładnie, ilu Ormian zdecydowało się zostać w Karabachu po tym, jak jego władze podpisały kapitulację. Strona armeńska mówi o kilkunastu osobach, azerbejdżańska o około tysiącu.

OPERACJA I | 19 września Azerbejdżan przystąpił do – jak to nazwały władze w Baku – „lokalnej misji antyterrorystycznej", aby „przywrócić porządek konstytucyjny" na swoim terytorium. Żądania miał trzy: kapitulacja i rozwiązanie quasi-rządu w Stepanakercie/ /Chankendi, całkowita likwidacja nielegalnych grup militarnych, czyli obcych (tj. karabachskich) sił zbrojnych na swoim terytorium oraz złożenie przez nich broni.

– Na kilka godzin przed atakiem dostaliśmy po ormiańsku esemesy z Azerbejdżanu – mówi Narine, siostra Pawła. – Napisali do nas, że odpowiadają za nasze bezpieczeństwo i proszą, byśmy trzymali się z daleka od strategicznych punktów wojskowych oraz nie wspierali separatystycznych bojówek.

Problem polegał na tym, że Martakert, w którym Narine mieszkała – kilkutysięczne wtedy jeszcze powiatowe miasteczko – był podczas 24-godzinnej ofensywy ostrzeliwany najsilniej. Nie było jak trzymać się z daleka od tego typu infrastruktury, bo mieściła się niemal przy ich domach.

– A separatystami byliśmy wszyscy. Każdy miał broń i każdy by jej użył. W Karabachu od dziecka uczymy się obsługi kałachów – mówi Narine.

Jej nastoletnie córki, Armine i Edita, kiwają głowami i mówią, że potrafią rozłożyć i złożyć karabin AK-47 w trzydzieści sekund z zamkniętymi oczami. Ale nie mogą mi pokazać. Broń musieli zostawić w domu. – Swoją wrzuciłem do wychodka. Niech sobie wyciągną – mówi Paweł.

Na jego kolanach siedzi czteroletnia Natali, cała umorusana czekoladą. Zachłannie je cukierek za cukierkiem. Nikt jej nie ogranicza. Nadrabia. Przez wiele ↦

↦ miesięcy jedyną słodką rzeczą, do jakiej mieli dostęp, były winogrona, które rosły w ogrodzie.

Od połowy grudnia 2022 r. Azerbejdżan blokował jedyną drogę, która łączyła Górski Karabach z Armenią, tzw. korytarz laczyński. Nie wpuszczał pomocy humanitarnej pod pretekstem nielegalnego przewozu broni na jego terytorium. W kwietniu postawił na drodze punkt kontroli granicznej.

– Wtedy zaczęły się poważne problemy z jedzeniem – opowiada Paweł. – Z Armenii nie przyjeżdżał żaden transport. Azerbejdżan dostarczał pomoc humanitarną, ale jej nie braliśmy. Z godności i z obawy, że chcą nas otruć. Jedliśmy to, co wyrosło w ogrodzie i na polu. Mam nadzieję, że moja córka nie będzie tego pamiętać i nie będzie żyć z traumą, jak ja.

PIERWSZA WOJNA | Paweł urodził się w czasie pierwszej wojny karabachskiej, kilka miesięcy po tym, jak zginął jego ojciec. Tato był młody, miał zaledwie 25 lat. Paweł od małego żył otoczony jego zdjęciami i pośmiertnymi medalami.

– Mój ojciec był pamięcią – mówi. – Teraz przed wyjazdem zakopałem jego medale w ogrodzie, bo Azerowie zabronili nam je wywozić z Karabachu. Zrobiłem też zdjęcie jego grobu. Pewnie już nigdy go nie odwiedzę.

Pamięcią wielkiej armeńskiej wygranej w pierwszej wojnie karabachskiej żyli wszyscy. To było wielkie zwycięstwo i jeszcze większy mit. Spory między Azerami a Ormianami o ten kawałek ziemi można powiedzieć, że trwały „od zawsze".

Za czasów Związku Sowieckiego Karabach był autonomicznym obwodem i wchodził w skład Azerbejdżańskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Mieszkali w nim zarówno Azerowie, jak i Ormianie. Jednak od lat 60. XX w. ci drudzy zaczęli zabiegać o włączenie tego terenu w granice Armeńskiej Republiki Sowieckiej. W azerskich rodzinach na świat przychodziło więcej dzieci, a oni obawiali się, że w niedalekiej przyszłości będą w Karabachu mniejszością.

Kiedy pod koniec lat 80. imperium sowieckie już na poważnie zaczęło trzeszczeć w szwach, coraz głośniej zaczęły też trzeszczeć relacje między Ormianami a Azerami. Zaczęło się od zamieszek na terenie Karabachu, zginęło wtedy około dwustu ludzi. Ormianie powołali komitet „Karabach", który coraz głośniej zaczął się domagać przyłączenia go do armeńskiej republiki. Ale Moskwa nie wyraziła zgody.

AZERBAIJAN-ARMENIA-CONFLICT-KARABAKH

Patrol azerskich saperów w Stepanakercie/Chankendi, 5 października 2023 r.

W lutym 1988 r. w azerbejdżańskim Sumgaicie doszło do pogromu Ormian, zginęły 32 osoby. Po tym zdarzeniu Ormianie zaczęli opuszczać Azerbejdżan, a Azerowie Armenię. Został jednak Karabach, w którym nadal mieszkali obok siebie.

Krótko po rozpadzie Związku Sowieckiego, Azerbejdżan zniósł status Karabachu jako obwodu autonomicznego, a zaraz po tym Ormianie ogłosili jego niepodległość. W lutym 1992 r. dokonali masakry na azerskiej ludności w Chodżale (azerska nazwa: Xocalı). Według Human Rights Watch zginęło w niej ponad dwustu cywili.

Pierwsza wojna o Karabach skończyła się w maju 1994 r. sromotną klęską Azerbejdżanu. Region musiało opuścić ponad 40 tys. Azerów (łącznie całą Armenię 80 tys.). Azerbejdżan stracił kontrolę nie tylko nad Karabachem, ale także nad siedmioma prowincjami przylegającymi do niego, które znalazły się pod armeńską okupacją.

DRUGA WOJNA | Przez kolejne trzydzieści lat Azerowie obiecywali powrót i zemstę, ale nikt w to nie wierzył. Na pewno nie w Karabachu.

– Uczono nas, że jesteśmy doskonałymi wojownikami, a Azerbejdżan nie zna się na wojaczce – mówi Paweł. – Czciliśmy naszych bohaterów, śpiewaliśmy o nich piosenki, czuliśmy dumę z naszego zwycięstwa.

– Rosłam w przekonaniu, że jeden Ormianin pokona dziesięciu Azerów – mówi nastoletnia Armine. – Jak żyjesz w takim micie, to nawet na sekundę nie przyjdzie ci do głowy myśl, że to kiedykolwiek może się zmienić. W naszych oczach byliśmy niepokonani.

Azerbejdżan też wierzył w mit Karabachu, to w opozycji do niego budował swoją państwowość. W ciągu trzech dekad pilnie odrabiał lekcje. Jego prezydent Ilham Alijew za główny cel postawił sobie przywrócenie integralności terytorialnej swojego kraju. Nie szczędził pieniędzy na zbrojenia, szkolenia i armię.

W 2016 r. doszło w Karabachu do trwających cztery dni walk, w których Azerbejdżan zajął kilka wzgórz o strategicznym znaczeniu. Jednak pełna ofensywa zaczęła się jesienią 2020 r. W efekcie Azerbejdżan odzyskał kontrolę nad wszystkimi okupowanymi przez Armenię terenami oraz nad obszarem około 70 procent Karabachu.

Ta wojna przeszła do historii jako druga wojna karabachska albo wojna 44-dniowa (tyle trwała). W doprowadzeniu do rozejmu udział brała Rosja. Była mediatorką. Porozumienie podpisano w listopadzie 2020 r. i na jego mocy do okrojonej Republiki Górskiego Karabachu wysłano kontyngent rosyjskich wojsk, nazwanych pokojowymi, który miał chronić karabachskich Ormian.

– A my im wierzyliśmy – mówi Paweł. – Do ostatniej chwili byliśmy pewni, że Rosja nas obroni, że jej na nas zależy.

„JAK Z NIMI ŻYĆ?" | Przez kolejne trzy lata trwały negocjacje pokojowe między stronami. Armenia nie chciała polegać tylko na Rosji, starała się wciągnąć w nie USA i Unię Europejską.

Azerbejdżan, jako wygrany i silniejszy, rozdawał karty. Chciał podpisać pokój na swoich warunkach. A te miał trzy: uznanie przez Armenię jego integralności terytorialnej, w której skład wchodzi separatystyczna Republika Górskiego Karabachu, przeprowadzenie delimitacji

i demarkacji granicy między państwami (jednej z dawnych wewnętrznych granic Związku Sowieckiego, nie została przeprowadzona po 1991 r.) oraz deblokada dróg, które miałyby połączyć Azerbejdżan z jego eksklawą Nachiczewanem. Drogi miały przebiegać przez Sjunik, południową prowincję Armenii. Celem Azerbejdżanu jest otwarcie tuż przy granicy z Iranem korytarza eksterytorialnego, który łączyłby go bezpośrednią drogą lądową z Turcją. Korytarz miałby znajdować się pod kontrolą rosyjskich tajnych służb FSB.

Trzyletnie rozmowy do niczego nie doprowadziły. Armenia chciała doprecyzować, w jaki sposób będą chronieni karabachscy Ormianie, którzy zamieszkują *de iure* terytorium Azerbejdżanu, i ustalić, na podstawie jakich map będzie poprowadzona granica między państwami. Obiecała też deblokadę dróg przez południową prowincję, ale pod warunkiem, że będą się znajdować pod jej kontrolą. Na to nie godził się ani Azerbejdżan, ani Rosja.

W końcu 19 września Azerbejdżan podjął działania zbrojne, by ostatecznie „rozwiązać kwestię karabachską", którą – od podpisania porozumienia w listopadzie 2020 r. – traktował jako swoją wewnętrzną sprawę. Po trwających dobę walkach Ormianie z Karabachu skapitulowali. Baku przejęło kontrolę nad całym Karabachem, a mieszkającym tam Ormianom dało wybór: przyjąć obywatelstwo azerbejdżańskie i zintegrować się ze społeczeństwem albo odejść.

Odeszli.

– A jak mamy z nimi żyć? – pyta Paweł. – Może rok byłby spokój, ale potem na pewno zaczęłyby się prześladowania. Wróciliby ci, którzy mieszkali tu wcześniej, i mściliby się na nas.

„ROZBIŁEM, CO SIĘ DAŁO" | Według Baku na odzyskanych terenach ma się osiedlić 150 tys. Azerów – potomków tych, którzy odeszli z tych ziem trzydzieści lat wcześniej.

– Baliśmy się zostać – mówi Paweł. – Chodziły plotki, że Azerowie zbudowali dla nas wielkie więzienie w Agdamie, mieście, które zrównaliśmy z ziemią w latach 90. Mówiono, że pomieścimy się w nim wszyscy, a oni będą nas zmuszać do przymusowej pracy przy odbudowie. W każdej plotce jest trochę prawdy.

Pawłowi ciężko było odejść. Chciał na koniec spalić swój dom, żeby nic po nim nie zostało. Ale się nie odważył. Rosyjscy „*mirotworcy*", którzy mieli ich ochraniać, nie pomagali przy ewakuacji i Ormianie wszystko musieli robić na własną rękę.

– Wziąłem siekierę i rozbiłem, co się dało – mówi. – Wiem, że oni i tak by tego nie wzięli. Zrobiłem to z bezsilności. Wylałem ponad sto litrów wódki, którą upędziłem na winogronach. Ale obok medali ojca zakopałem 50 litrów tutowki, wódki z morwy. Oznaczyłem to miejsce na Google Maps. Kiedyś, jak wrócimy, będzie jak znalazł.

Nie mieli paliwa. Zostawili samochód i ewakuowali się autobusem z innymi mieszkańcami wioski. Wzięli dokumenty i lekarstwa. Załadowali schorowanych dziadków i ruszyli w drogę. Paweł: – Dziadek był bardzo chory. Chcieliśmy jeszcze w Stepanakercie zahaczyć o szpital, żeby przewieziono go do Erywania helikopterem, ale nikt nie miał już do tego głowy i nie dało się nic załatwić.

W korku w tzw. korytarzu laczyńskim stali dwie doby. Na samym azerbejdżańskim punkcie granicznym dziadek zmarł. Paweł: – Szkoda, że tak wyszło. Lepiej byłoby, gdyby się skończył w Karabachu. Tam się urodził, wychował, o niego walczył. Tam jest pochowany jego syn, mój ojciec. Żałuję, że doczekał takiego upokorzenia i umarł na azerbejdżańskiej kontroli.

Ciało dziadka zawieźli do Erywania, stolicy Armenii. Stamtąd pojedzie w dalszą drogę do rosyjskiego Stawropola. Tak jak Paweł i jego rodzina. – Nie zostaniemy w Armenii – mówi. – Nie chodzi już nawet o to, że czujemy się przez nią porzuceni, bo nie kiwnęła palcem. Chodzi o pracę. W Rosji mieszka nasza rodzina, są lepsze perspektywy. Tak, Rosja też nas rzuciła, ale przecież gdzieś trzeba żyć.

POWAŻNIE W ARMENII | Kiedy Azerbejdżan wkroczył zbrojnie do separatystycznego Karabachu, premier Armenii Nikol Paszynian po raz kolejny powiedział, że uznaje integralność terytorialną Azerbejdżanu i nie zamierza wciągać swojego kraju w konflikt zbrojny. Bał się, że walki przeniosą się na terytorium Armenii i Azerbejdżan, idąc za ciosem, siłą przebije drogę do Nachiczewanu (to tzw. korytarz zangezurski), a Armenia straci kontrolę nad swoją południową prowincją.

W Armenii zaczęły się protesty. Jedna część demonstrantów wyszła na ulice, by protestować przeciw Rosji. Druga, podgrzewana przez Moskwę, żądała odejścia Paszyniana ze stanowiska premiera.

W minioną środę 4 października Paszynian powiedział, że może podać się do dymisji, jeśli będzie pewien, że ten ruch rozwiąże wszystkie problemy bezpieczeństwa Armenii. Powiedział to kilka godzin po tym, jak Alijew odwołał wizytę w hiszpańskiej Granadzie, gdzie odbywało się spotkanie Europejskiej Wspólnoty Politycznej – forum kilkudziesięciu krajów Europy (bez Rosji i Białorusi), powołanego po rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

Alijew i Paszynian mieli spotkać się tam w obecności przewodniczącego Rady Europejskiej Charlesa Michela, kanclerza Niemiec Olafa Scholza i prezydenta Francji Emmanuela Macrona. Prezydent Azerbejdżanu tłumaczył, że nie będzie w nim uczestniczył ze względu na „niszczycielskie stanowisko" Francji i nieobecność w Granadzie swojego sojusznika, prezydenta Turcji Recepa Erdoğana.

Tego samego dnia Siergiej Lebiediew, przewodniczący Rady Wspólnoty Niepodległych Państw – organizacji zrzeszającej część krajów powstałych po upadku imperium sowieckiego – ogłosił, że najbliższy szczyt WNP odbędzie się 13 października w Biszkeku, stolicy Kirgistanu. Do WNP należą zarówno Armenia, jak i Azerbejdżan.

Tymczasem w Armenii nastroje są poważne. Paszynian mówi, że jest gotowy podpisać porozumienie pokojowe, które zagwarantuje jego krajowi kontrolę nad drogami przebiegającymi przez jego terytorium. Rosyjska propaganda mocno pracuje nad podważaniem autorytetu premiera Paszyniana i zrzuca na niego winę za kapitulację Karabachu. Podkreśla, że na marne poszło ponad trzydzieści lat walk o region, w których życie straciły tysiące ludzi.

Armenia z jednej strony z nadzieją patrzy w stronę Zachodu, z drugiej spodziewa się kolejnej eskalacji na swoim terytorium.

■■■

Podczas eksodusu Ormian z Górskiego Karabachu zmarło pięć osób (to dane z Caritasu w mieście Goris). Wszystkie w naturalny sposób.

Ale jeszcze przed azerbejdżańskim punktem granicznym na świat przyszedł chłopiec. Nazwano go Wreż. Po polsku: Mściciel.

© STASIA BUDZISZ

Przekraczanie zabronione

MARCIN ŻYŁA

Migranci i wybory to powód, że kolejne państwa Europy wprowadzają kontrole na granicach. Właśnie dołączyła do nich Polska. Oto korespondencja z naszej południowej granicy.

W Chochołowie zaczęło się od wypadku drogowego. Słowacki kierowca, prowadząc w mroku, nie zauważył ciemnozielonej, nieoświetlonej barykady, którą polska Straż Graniczna po północy przegrodziła drogę. Wjechał w nią z impetem.

W Leluchowie tej samej nocy mieszkańcy zablokowali graniczny most. Około 150 handlarzy z targu, na który przyjeżdżają niemal wyłącznie Słowacy, kupiło już towar na kolejny dzień – owoce i surowe mięso. Nikt ich nie uprzedził o zamknięciu przejścia.

Przez Konieczną akurat przechodził redyk, czyli stado owiec wracające na Podhale z letniego wypasu. Od lat przepędzano je przez fragment Słowacji, bo tak krócej. Teraz drogę zagrodzili im żołnierze z długą bronią. Owce postały przez chwilę przed nimi – postały i pobeczały – po czym poszły dalej. Przepisowo, polską stroną.

Kostki domina

Tak z bliska wyglądała granica Polski ze Słowacją przez pierwsze dwa dni po wprowadzeniu przez rząd w Warszawie tymczasowych kontroli. Od 4 października można ją przekraczać samochodem tylko w 9 miejscach (pieszo – w 10 dodatkowych). Gdzie indziej, w tym na szlakach turystycznych i ścieżkach rowerowych, granica jest oficjalnie zamknięta.

Kontrole mają potrwać do 13 października, ale trudno sobie wyobrazić, by na dwa dni przed polskimi wyborami ich nie przedłużono. Oficjalny powód wprowadzenia ograniczeń – wzmożony ruch migrantów w kierunku Niemiec – stał się bowiem głównym tematem kampanii. Nie tylko u nas.

Zaczęło się właśnie od Niemiec, gdzie na podstawie przesłuchań osób składających wnioski o azyl (tylko w tym roku było ich już ok. 205 tys.) okazało się, że coraz częściej wybierają oni drogę prowadzącą przez Czechy lub Polskę. Równocześnie Austria – dotąd ważne państwo tranzytowe na tzw. szlaku bałkańskim – zaostrzyła politykę migracyjną i sama zaczęła rejestrować więcej azylantów. A ponieważ europejskie granice to system naczyń połączonych i to, co dzieje się na jednej, zawsze odbija się na kolejnej, pod presją sąsiadów znalazły się Czechy. I jeszcze w 2022 r. wprowadziły kontrole na granicy ze Słowacją.

W ten sposób niewielka Słowacja, dotąd państwo na uboczu szlaków migracyjnych, stała się nieoczekiwanie głównym krajem tranzytowym.

– Temat migracyjny pojawił się u nas po dłuższej przerwie – tłumaczy Tomáš Strážay, politolog i dyrektor think tanku Słowackie Stowarzyszenie Polityki Zagranicznej (SFPA). – Nie było tu wielu migrantów, obywatele nie mieli z nimi bezpośredniego doświadczenia. Wbrew przesadnej retoryce polityków migranci nie byli i nie są zagrożeniem dla bezpieczeństwa Słowacji. Nie słyszałem o przypadku, aby migrant zagroził naszemu obywatelowi.

Spośród ponad 25 tys. migrantów, którzy podróżowali przez Słowację od stycznia, wniosek o azyl złożyły tu tylko dwie osoby. Ale o atrakcyjności tego kierunku zadecydowała nie tylko geografia. Władze w Bratysławie wydają bowiem podróżującym tzw. zaświadczenia pobytu. Nie mają one wprawdzie mocy prawnej poza Słowacją, ale mogą się jawić jako coś w rodzaju legalizacji pobytu w Unii Europejskiej. Oraz jako „przepustka" do Niemiec.

– Niektórzy eksperci wskazywali na to, że może to w jakiś sposób przyciągać migrantów. Zatrzymywali się tu dłużej, wożono ich do urzędów; oni sami liczyli, że w dalszej drodze przez Austrię do Niemiec taki dokument zadziała na ich korzyść – mówi Krzysztof Dębiec, analityk Ośrodka Studiów Wschodnich.

Bójka w aucie

To właśnie o sprawę tzw. pozwoleń pobytu pobili się we wrześniu, w apogeum słowackiej kampanii wyborczej, były premier Igor Matovič i były szef MSW Robert Kaliniak. Ten pierwszy przyjechał samochodem oblepionym swoimi hasłami i przez megafon mówił, że to obecny rząd odpowiada za wydawanie tych pozwoleń.

Ważnym momentem tamtej kampanii była też wizyta Roberta Ficy – szefa partii SMER, która ostatecznie wygrała wybory – w obozie przejściowym dla migrantów w miejscowości Veľký Krtíš na południu kraju. Panowały w nim fatalne warunki sanitarne. Obóz powstał też bez poinformowania władz gminy.

Krzysztof Dębiec: – Rząd wynajął po prostu kawałek hali od lokalnego przedsiębiorcy, nie informując go nawet, w jakim to czyni celu. Wywołało to wrażenie, że rząd próbuje coś przed ludźmi ukryć. W ten sposób na ostatniej prostej kampanii Fico sięgnął po swojego wyborczego „pewniaka" – na hasłach antymigracyjnych wygrał już wybory w 2016 r. Później, jako jedyny przywódca państwa Grupy Wyszehradzkiej, przystał na unijne ustalenia dotyczące mechanizmu relokacji i przyjął minimalną liczbę uchodźców niezbędną do tego, żeby uniknąć sporu z Komisją Europejską. A żeby odwrócić od tego uwagę Słowaków – wysłał patrole na osiedla romskie.

Choć politycy wskazują na problem migracji, żadne z państw na „nowej trasie bałkańskiej" nie przedstawia jednolitych, wiarygodnych statystyk. Na podstawie samych liczb nie da się ocenić skali zjawiska migracji przez Słowację. Wiadomo, że wzrasta. Ale o ile?

– To prawda, jest problem z oceną skali problemu – przyznaje Tomáš Strážay. – Różnica z latami poprzednimi polega na tym, że migranci stali się widoczni na ulicach. I chodzi już nie tylko o dworzec w Bratysławie, także o mniejsze miejscowości. Dla Słowaków to nowość, a bezpośrednie doświadczenie odgrywa większą rolę niż liczby.

Już po wyborach, 5 października, Bratysława wprowadziła kontrole na granicy z Węgrami.

Liczba migrantów trafiających na Słowację zwiększyła się m.in za sprawą poluzowania kontroli przez Węgrów – w głębi kraju, ale i na samej granicy z Serbią – jeszcze wiosną tego roku.

KATARZYNA MIERNIK-PIETRUSZEWSKA

Redyk pod barykadami, czyli granica polsko-słowacka w Koniecznej, 4 października 2023 r.

Polski żołnierz przy barykadzie w Lipnicy Wielkiej–Winiarczykówce, 4 października 2023 r.

MARCIN ŻYŁA x2

Kontrola ciężarówek w Chyżnem, 5 października 2023 r.

Od tego czasu Węgry zwolniły z aresztów i więzień ok. 1,4 tys. przemytników ludzi.

– Powody takich decyzji mogą być dwa – mówi Dębiec. – Na pierwszy zwracają uwagę liberalni politycy słowaccy. Oskarżają oni Orbána o ingerencję na rzecz jego sojusznika, jakim jest Fico. Dla niego pojawienie się tematu migracyjnego było oczywistą korzyścią. O drugim mówią słowaccy eksperci: ich zdaniem jest to element większej gry Budapesztu o fundusze unijne. „Mogę uszczelnić te granice, ale potrzebuję waszych pieniędzy. A jeśli ich nie dostanę...", zdaje się grozić węgierski premier.

Zdaniem Strážaya, politycy w całym regionie próbują uzasadnić, że są obrońcami ludzi i narodowych interesów: – Z tego wynika skala i pewna demonstracyjność kontroli, które wprowadziła strona polska. Inaczej niż Czesi czy Austriacy, Polacy zamknęli niektóre przejścia. Jeśli tak pozostanie dłuższy czas, zostanie to odebrane bardzo negatywnie przez mieszkańców po obu stronach granicy – mówi słowacki analityk.

Pościg i bunt

– W miniony czwartek mieliśmy pościg – mówi ppor. Szymon Mościcki, rzecznik Śląskiego Oddziału Straży Granicznej. – W Zwardoniu nasz funkcjonariusz wytypował samochód do kontroli, podał sygnał do zatrzymania się, kierowca przyspieszył i potrącił lusterkiem funkcjonariusza. Pojazd zatrzymano po kilkuset metrach. Kierowca podjął próbę ucieczki pieszo, ale złamał nogę spadając ze skarpy. Funkcjonariusze udzielili mu pomocy i wezwali pogotowie. W busie, którym kierował, zatrzymano dziewięciu cudzoziemców, prawdopodobnie obywateli Syrii.

Rzecznik wymienia kolejne dwa incydenty: tego samego dnia w okolicach wsi Jaworzynka, blisko styku granic Polski, Słowacji i Czech, zatrzymano siedem osób, które przeszły przez zieloną granicę. – Inna, dwudziestoczteroosobowa grupa została zatrzymana przez policjantów w Wiśle. To również prawdopodobnie Syryjczycy – mówi ppor. Mościcki. – Zatrzymano też kierowcę, obywatela Ukrainy, który ich przewoził.

Od początku roku do 5 października strażnicy ze Śląskiego Oddziału SG zatrzymali 799 migrantów, przy czym od lipca z miesiąca na miesiąc statystyki wyraźnie ↦

↦ wzrastają. W porównaniu z ubiegłym rokiem dziesięciokrotny wzrost zatrzymanych odnotował też Karpacki Oddział SG, odpowiadający za ochronę granicy dalej na wschód.

Drugiego dnia kontroli w Podspadach na słowackim Spiszu, niedaleko polskiej granicy, mieszkańcy natknęli się na grupę Syryjczyków, kobiet i dzieci. „Z pomocą ruszyli ludzie z obu stron granicy. Robiło się coraz zimniej. Potrzebne było mleko, gorąca woda, ubrania, koce", pisali towarzyszący im przez kilka godzin dziennikarze „Tygodnika Podhalańskiego".

Zapytana o to, czy funkcjonariusze nie uważają, że zostali wykorzystani przez polityków podczas kampanii wyborczej, rzeczniczka Karpackiego Oddziału SG mjr Dorota Kądziołka odpowiada: – Nie mamy takich uwag, przynajmniej one do mnie nie docierają. Jesteśmy formacją apolityczną. Służymy państwu. Sami zresztą zauważyliśmy wzmożony ruch migrantów. W 2022 r. do początku października mieliśmy 13 przypadków nielegalnego przekroczenia granicy na naszym odcinku. Od początku tego roku – już ok. 160. Dla nas jest to duża zmiana.

Z perspektywy obu stolic granica polsko-słowacka jest odległa i peryferyjna. Do Chyżnego, głównego miejsca przekraczania granicy, z Warszawy jest 400 km, z Bratysławy 300 km. Ani w Polsce, ani na Słowacji o zamknięciu granicy nie informowano wcześniej ludzi najczęściej z niej korzystających – lokalnych mieszkańców. Protest handlarzy w Leluchowie odniósł skutek: interweniowało ministerstwo i w ciągu kilkunastu godzin przywrócono tam ruch kołowy przez granicę.

Dla rzeczniczki Karpackiego Oddziału SG sytuacja w Leluchowie była przykładem dialogu Straży Granicznej ze społeczeństwem. – Nasi przedstawiciele byli na miejscu, rozmawiali z ludźmi, wysłuchali ich stanowiska i niezwłocznie przekazaliśmy te uwagi społeczne dalej, drogą służbową, co szybko umożliwiło zmianę rodzaju przejścia granicznego – tłumaczy mjr Dorota Kądziołka.

Dodaje też: – Wprowadzenie kontroli granicznych nie jest decyzją Straży Granicznej, jesteśmy natomiast jej wykonawcami. Kontrole staramy się prowadzić tak, żeby były jak najmniej uciążliwe dla społeczeństwa.

Na jednej z grup na Facebooku ktoś opublikował informację o „uchodźcach w lesie". **Nie potwierdziła się, ale wzbudziła ogromne emocje.**

Reakcje ludzi

A jak na zamknięcie granicy zareagowali mieszkańcy polsko-słowackiego pogranicza?

Na jednej z lokalnych grup facebookowych ktoś opublikował informację o „uchodźcach w lesie" wraz z numerem do Straży Granicznej. Nie potwierdziła się, ale w komentarzach wzbudziła ogromne emocje.

Na innej grupie pod postem z pytaniem „O co chodzi z zamykaniem granic polsko-słowackich? Ktoś wytłumaczy?" na 16 odpowiedzi cztery powtórzyły narrację polskiego rządu (np. „masa imigrantów idzie bocznymi drogami słowackimi, są przewożeni busami"), ale dwanaście było ironicznych („[Słowacy] za dużo u nas tankują i co chwila awaria") lub otwarcie antyrządowych. Ktoś opublikował wręcz plakat wyborczy z kandydatką opozycji.

Nawet wypadek z Chochołowa został obśmiany w mediach społecznościowych przez mieszkańców pogranicza. „Ktoś próbuje przekroczyć nielegalnie granicę", ironizowali internauci. Właśnie o ten wypadek pytam na koniec rzeczniczkę Karpackiego Oddziału SG.

– Nie była to próba nielegalnego przekroczenia granicy, jak to przedstawiały niektóre media, tylko wynik nieuwagi kierowcy, brak świadomości, że od północy przywrócono kontrolę graniczną. Na szczęście nikomu nic się nie stało – mówi mjr Kądziołka.

– Czy informowali wcześniej Państwo stronę słowacką? – pytam. – Jeszcze kilkanaście godzin po wypadku na drodze od strony Suchej Hory nie było żadnego ostrzeżenia o barykadzie.

– Na bieżąco współpracujemy ze służbami granicznymi i informacja o wprowadzonych rozwiązaniach została przez nas przekazana – odpowiada rzeczniczka. – Natomiast trudno mi powiedzieć, dlaczego nie dotarła do tej konkretnej osoby. Na pewno wprowadzenie przez polski rząd takich rozwiązań było tutaj przedmiotem wcześniejszych informacji, uzgodnień.

Pytam jeszcze o to, czy taka zapora nie powinna być oświetlona – także od strony słowackiej.

– Staramy się zachować wszelkie środki ostrożności. Natomiast do nieszczęśliwych sytuacji dochodzi przecież z różnych przyczyn. Np. na początku mieliśmy takie bariery ustawione w sześciu miejscach. W wielu innych miejscach kierowcy zbliżali się do takiej granicy i do wypadków nie dochodziło. To jest jakiś jeden procent.

W ciszy, w lesie

Przez pierwsze dwa dni obowiązywania kontroli, z dala od przejść, wzdłuż górskiej granicy ze Słowacją można było chodzić przez kilka godzin – i nie spotkać żadnego strażnika.

W Chyżnem kontrolowano każdą ciężarówkę, osobówki przejeżdżały swobodnie. Niedaleko, w Korbielowie, ciężarówkom i tak nie wolno jeździć, więc strażnicy zatrzymywali auta osobowe. „Każde przejście ma osobne rozkazy", tłumaczy funkcjonariusz na pytanie, czemu bagażniki osobówek są podejrzane tylko tutaj.

W Winiarczykówce, przysiółku Lipnicy Wielkiej, podczas pandemicznego lockdownu w poprzek drogi zbudowano prowizoryczną zaporę, której służby pilnowały raczej z doskoku. Na przylegającej do drogi łące widać było ślady kół samochodów objeżdżających przeszkodę.

Teraz jest inaczej. Stoi tu profesjonalna zapora, pilnuje jej żołnierz z długą bronią. Droga przechodzi na stronę słowacką dopiero kilkaset metrów dalej, ale pogmatwana historia Orawy sprawiła, że uzbrojony żołnierz nie może przejść dalej. Na skutek chaotycznego wytyczenia granicy podczas konferencji Rady Ambasadorów w Paryżu przecina ona drogę kilka razy. Przejście uzbrojonego żołnierza przez fragment jej terytorium Słowacja mogłaby, czysto teoretycznie, uznać za początek polskiej inwazji.

Żołnierz nie ma więc dużo do roboty. Stoi i patrzy w dal. Jest niemal idealna cisza. Słychać, jak dzięcioł uderza dziobem o pień świerka.

©℗ MARCIN ŻYŁA

NATALIA KOLESNIKOVA / AFP / EAST NEWS

Przed rosyjską Dumą Państwową. Moskwa, lipiec 2023 r.

Państwo ponad wszystko

JAN RACZYNSKI, PRZEWODNICZĄCY MEMORIAŁU:

Być może Rosji potrzebna jest zmiana pokolenia, 40 lat chodzenia po pustyni. Problem w tym, że po pustyni trzeba iść w prawidłowym kierunku, a minione dekady to u nas powrót do punktu wyjścia.

PIOTR POGORZELSKI: Niemal co tydzień słyszymy o pomnikach upamiętniających polskie ofiary NKWD, więźniów łagrów i zesłańców, które są w Rosji usuwane bądź niszczone przez „nieznanych sprawców". Czy to akcja kierowana przez Moskwę, czy oddolna inicjatywa regionalna?

JAN RACZYNSKI: Mamy mało informacji, ale myślę, że to miejscowe inicjatywy, które mają jednak pełne wsparcie z góry. Gdyby to była celowa akcja odgórna, realizowano by ją szybciej i w większej liczbie miejsc. Tymczasem to przypomina powolny pożar. Brak tu zdecydowania, które jest charakterystyczne dla działań podejmowanych odgórnie. Za to wszystkie próby ukarania winnych kończą się niczym.

Możemy mówić dziś o państwowej polityce usprawiedliwienia państwa. W tej perspektywie rosyjskie państwo nigdy nie było niczemu winne, a wszystko, co złe, robiły jakieś jednostki, jacyś urzędnicy niżsi rangą. To konsekwentne stanowisko: że państwo jest ponad wszystko.

Mówiliśmy już o tym dawno, że to jest istota obecnego reżimu. Ostatnio, będąc na rosyjskim Dalekim Wschodzie, Putin mówił: „Państwo ponad wszystko i my się tego nie wstydzimy". W rosyjskiej konstytucji jest wprawdzie napisane, że to człowiek jest najważniejszy, ale konstytucja nie jest tak ważna jak słowa prezydenta.

Prócz aktów wandalizmu mamy tu także pewną nowość: na terytorium cmentarza w Miednoje, gdzie spoczywają polscy oficerowie z listy katyńskiej, ustawiono niedawno pomniki sowieckich przywódców i działaczy. W tym tych, którzy odpowiadają za tę zbrodnię.

Krzysztof Kamil Baczyński pisał: „Jakie szczęście, że nie można tego dożyć, / kiedy pomnik ci wystawią bohaterze, / i morderca na nagrobkach kwiaty złoży". Tu zabójca wprawdzie nie kładzie kwiatów, ale za to powstaje jego pomnik. Wśród tych postaci są Kalinin, Stalin i inni, którzy w 1940 r. podpisali decyzję o rozstrzelaniu polskich jeńców. To zbrodniarze wojenni, według zasad ustalonych w Norymberdze. Ludzie wydający rozkaz zabicia jeńców bez wątpienia są zbrodniarzami wojennymi.

Władze nie posunęły się jeszcze tak daleko, by zniszczyć polskie cmentarze wojenne w Miednoje i Katyniu. Może stąd decyzja o postawieniu tych pomników?

Oni nie zniszczą tych nekropolii, ten rodzaj wandalizmu odszedł wraz z władzą sowiecką. Wiemy o wielu miejscach, gdzie wcześniej chowano ofiary terroru, a które w czasach Związku Sowieckiego zalano asfaltem, zatopiono, zabudowano, a kości wywieziono na śmietnik. Teraz mam nadzieję, że to się nie powtórzy. Choć niczego nie można wykluczyć...

Na Białorusi władze niszczą cmentarze wojenne, na których spoczywają żołnierze AK.

W Rosji to nadal mało prawdopodobne. Natomiast te pomniki mają pokazać, że wszystko jest niczym w porównaniu z budową nowego państwa. Dla wielkiego państwa przebaczane są wszelkie grzechy.

↦

Rozumiem, że to także część obecnej historycznej polityki państwa, w której Stalin jest dobrym menedżerem, a Dzierżyński kimś, kto właściwie też całkiem sprawnie zbudował sowiecką bezpiekę?

Tak, odradzają się mity. Ale władza zajmuje przy tym stanowisko niekonsekwentne, bo jednocześnie cały czas obowiązuje koncepcja polityki państwa dotycząca upamiętnienia ofiar terroru. Z drugiej strony na Ukrainie po stronie rosyjskiej walczy batalion imienia Sudopłatowa. Ten sowiecki wojskowy organizował zabójstwa polityczne. Bez żadnego sądu, na rozkaz Kremla. Dla propagandy on jest bohaterem.

To chyba wewnętrzna sprzeczność w głowie pierwszej osoby w państwie, która wraca jeśli nie do takich samych, to do podobnych metod. Rozstrzelań nie ma, ale wyroki 25 lat więzienia w procesach politycznych ostatni raz były za Stalina. Dziś znów są polityczne prześladowania, terror.

Jak na to, co się dzieje, reaguje rosyjskie społeczeństwo?

Oficjalne sondaże prowadzone przez państwową pracownię WCIOM [Rosyjskie Centrum Badania Opinii Publicznej – red.] mówią, że 16-18 procent badanych deklaruje, iż jest przeciw wojnie. Przy czym trzeba pamiętać, że nie można mówić o anonimowości tych sondaży, a za tego rodzaju wypowiedzi mogą być konsekwencje. Czyli: jest 16-18 procent osób, które są gotowe powiedzieć to w sondażu. Wielu ludzi ostrożniejszych odmawia odpowiedzi albo zaznacza odpowiedź „inaczej", „nie wiem". Faktycznie odsetek niezadowolonych z wojny jest więc większy.

Są duże różnice między Rosją a społeczeństwem ukraińskim czy państwami nadbałtyckimi, gdzie władza sowiecka panowała krócej. W Rosji było to pełnych 70 lat. Nie było żadnego przekazania doświadczenia czasów przedrewolucyjnych. Społeczeństwo zostało zniszczone. Z żyznej gleby zrobiono piasek.

W sondażach wielu Rosjan mówi, że są przeciw wojnie i że chcą, aby się skończyła, ale tylko, jeśli tak zadecyduje Putin. A jeśli on zdecyduje, że wojna ma trwać, to ma trwać. To przerażające, że są ludzie, którzy w tak ważnej sprawie nie mają własnych poglądów.

Rosja nie zniknie, tak jak nie zniknęły Niemcy po II wojnie światowej. Trzeba zachować ludzkie kontakty. Z tymi, którzy wyjechali, i z tymi, którzy zostali.

To konformizm. Poza tym w Rosji łatwo dziś trafić do więzienia. Nawet gdy wychodzisz sam jeden z małym plakatem, w najlepszym przypadku dostaniesz grzywnę, a w najgorszym trafisz za kraty. Na liście więźniów politycznych jest teraz ok. 600 osób. Raczej z powodu słownych wystąpień niż działań, bo tych było mało, poza próbami podpalenia wojskowych komisji uzupełnień.

Represje mają charakter demonstracyjny. Ich celem nie jest uwięzienie wszystkich aktywistów, bo wielu z nich nadal jest na wolności, lecz zastraszenie społeczeństwa przez pokazanie, że represje dotykają ludzi dość przypadkowych. I to się w dużym stopniu udaje. W dodatku Rosjanie dopiero niedawno zaczęli żyć na w miarę dobrym poziomie i boją się stracić to, co mają.

Gospodarcze prosperity to czasy pierwszych kadencji Putina...

Tak, Putin to najbardziej nieudolny władca w historii Rosji, bo mając takie możliwości, szalone pieniądze z ropy, mógł z całego kraju zrobić perłę, rozwiązać wiele problemów. Zamiast tego doprowadził do marginalizacji kraju. Ale ludzie mają co tracić. Sytuacja ekonomiczna się pogarsza – to zauważalne, choć nie krytyczne.

Czy jest różnica w tym, jak sytuację w Rosji postrzega młode pokolenie, a jak starsze?

Trudno mówić o wszystkich młodych. Trzeba zrozumieć, że rosyjska propaganda jest dziś bardziej agresywna i totalna niż sowiecka. Mogę je porównać, bo mam 64 lata i pamiętam tamtą. Totalna propaganda działa, bo jeśli człowiekowi mówią 20 razy dziennie, że czarne jest białe, w końcu zaczyna w to wierzyć. Najgłupsza metoda, ale działa.

A różnica w postrzeganiu sytuacji?

Młodzież ma inne potrzeby i lęki niż osoby starsze. Np. boi się mobilizacji. Reaguje na nią różnie: są tacy, którzy mówią: po co się wymigiwać, jak mnie nie wezmą, wezmą inną osobę. To dziwne uzasadnienie, ale się zdarza. Są tacy, którzy mówią, że jeśli ojczyzna wzywa, trzeba iść. Nawet młode pokolenie nie pokonało tego postrzegania siebie jako własności państwa. Ale wielu rozumie, że to nie ich wojna, dlatego niektórzy opuszczają kraj.

Internet nie jest tu żadnym panaceum, bo w internecie jest wszystko – i za białych, i za czerwonych, i za każdy inny kolor. W Związku Sowieckim było prościej walczyć z propagandą, bo była uboga, monotonna, szara i na jej tle jakikolwiek inny głos był zauważalny. Nawet słaby głos. Dziś w telewizorze jest wszystko, pod każdy gust, jest każda głupota, i trudniej jest ocenić, co jest informacją, a co kłamstwem. Trzeba mieć pewną wiedzę, by się orientować.

Być może potrzebna jest tu zmiana pokolenia. Takie 40 lat chodzenia po pustyni. Problem jednak w tym, że po pustyni trzeba iść w prawidłowym kierunku, a w Rosji te minione prawie 40 lat to powrót do punktu wyjścia.

W latach 90. XX wieku, gdy w Rosji była naprawdę trudna sytuacja ekonomiczna, nostalgia za Związkiem Sowieckim mogła być wytłumaczalna. Ale teraz, gdy – jak Pan mówi – ludziom żyje się lepiej? Po co im wracać do sowieckiej imperialnej ideologii?

To bóle fantomowe. Horror utopii marksistowskiej polega na tym, że jest atrakcyjna. W jej założeniach nie ma represji. Sowiecka propaganda mówiła o braterstwie, przyjaźni narodów, zasadzie, że kto nie pracuje, ten nie je. Trudno się tego pozbyć. Wiele osób w te utopijne teorie szczerze wierzyło i całe życie pracowało, dostając tylko dyplomy od komitetu partyjnego. Ludzie pamiętają np., że obniżano ceny, ale zapominają, że wcześniej je podnoszono. Taka wybiórcza pamięć. Czasem to porażające, gdy słyszę od rówieśników, że nie było kolejek, gdy

doskonale pamiętam, ile czasu w nich spędzałem.

Dlaczego ta pamięć tak działa? Bo ludzie mają przekonanie, że uczestniczyli w czymś ważnym, w budowie świetlanej przyszłości. Trudno przy tym przyznać samemu sobie, że się całe życie szło nie tą drogą i było oszukiwanym. A teraz takie mity są przekazywane młodszym pokoleniom.

Widzi Pan szansę na zmiany w Rosji? Czy jest jakaś opozycja, społeczeństwo obywatelskie, ktoś, na kim można się oprzeć?

Po pierwsze, to tych 16-18 procent, o których mówiłem. Wprawdzie to bardzo pasywny opór, pasywna opozycja, która raczej nie da impulsu. Pytanie, skąd on się weźmie? No i niestety jest duże niebezpieczeństwo, że ta grupa będzie się zmniejszać.

Ideologia Putina i propagandy putinowskiej nie za bardzo różnią się od nazistowskiej, np. mamy odrzucanie istnienia narodu ukraińskiego. I to cały czas płynie z ekranów telewizora i wzmacnia te tendencje w społeczeństwie.

Niestety, moim zdaniem są one jeszcze wzmacniane przez nie najmądrzejsze działania ukraińskich władz i mieszkańców Ukrainy. Putin chce pokazać obecną wojnę jako wojnę obronną: Ukraińcy obrażają Rosjan, a my się bronimy. Te działania to np. zakaz używania rosyjskiego w Akademii Kijowsko-Mohylańskiej [od stycznia br. zakazano nawet prywatnych rozmów po rosyjsku na terytorium tej prestiżowej ukraińskiej uczelni – red.] czy burzenie pomników Puszkina. Emocjonalnie to rozumiem. Moja mama mówiła, że niemieckiego nie mogła słuchać przez lata po wojnie. Nawet w kinie nie mogła patrzeć na mundur niemiecki.

Ale nawet Stalin mówił, że Hitlerzy przychodzą i odchodzą, a naród niemiecki zostaje. Stąd wówczas nie zabraniano Goethego i nawet wychodziły gazety po niemiecku, choć mocno cenzurowane.

Można na to odpowiedzieć, że istnieje rosyjskojęzyczna telewizja Freedom, finansowana z ukraińskiego budżetu.

Że ona istnieje, to dobrze. Ale równolegle są te tendencje wyrażane przez ukraińską władzę, że język rosyjski nie jest potrzebny, a kultura rosyjska jest imperialistyczna. To korzystne tylko dla putinowskiej propagandy.

NATALIA KOLESNIKOVA / AFP / EAST NEWS

JAN RACZYNSKI (ur. 1958 w Moskwie) jest z wykształcenia matematykiem i programistą, zawodowo zajmował się tym przez 14 lat. Jednocześnie od 1988 r. zaczął pracować w Memoriale, którym kieruje od 2018 r. Organizacja zajmuje się prawami człowieka i politycznymi represjami za czasów Związku Sowieckiego. Pod koniec 2021 r. Memoriał został zlikwidowany przez rosyjski Sąd Najwyższy. Rok później, wraz z ukraińskim Centrum Wolności Obywatelskich i Alesiem Bialackim, białoruskim więźniem politycznym kierującym Centrum Praw Obrony Praw Człowieka Wiasna, Memoriał otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. W Polsce Jan Raczynski przebywał na zaproszenie Europejskiego Centrum Solidarności.

Mimo wszystko, Goethe nie opiewał niemieckiego imperializmu, co zdarzało się Puszkinowi.

Od tego, że zburzono pomnik Puszkina, zdolności obronne Ukrainy nie wzrosną. Za to boję się, że nastroje szowinistyczne w Rosji mogą się wzmocnić.

W odpowiedzi na to, co robi ukraińska władza?

W następstwie propagandy rosyjskiej, dla której tematy są podrzucane z Ukrainy. Moim zdaniem to nie jest rozsądne. Choć trudno być racjonalnym, gdy ginie twoja rodzina...

A ginie ona jednak od rosyjskich bomb. Czy ukraińskie ataki dronami na rosyjskie miasta są racjonalne? To też wciąga Rosjan w wojnę.

To rzecz nie do uniknięcia. Przecież minister Ławrow lubi mówić o zasadzie wzajemności. Nie za bardzo rozumiem, jak on ją traktuje, ale jeśli dokładnie ją interpretować, to jeśli ktoś napada, musi liczyć się z tym, że odpowiedź będzie taka sama. Na razie te uderzenia są znacznie bardziej wybiórcze i dokładne niż rosyjskie, które są jakoby skierowane przeciwko obiektom wojskowym. Ale na Ukrainie atakowane są też elektrownie. W przypadku magazynów ziarna, ja rozumiem, że celem była infrastruktura portowa. Ale rosyjskie władze nie za bardzo liczą się z pobocznymi stratami.

Pan mówił o tych 16-18 procentach ludzi, ale oni są raczej pasywni. Z kim Zachód, w tym Polska, ma rozmawiać w Rosji? Może lepiej rozmawiać z tymi, którzy z niej wyjechali?

Rozmawiać trzeba, ale nie można oczekiwać natychmiastowego efektu. Według mnie najważniejsze jest znalezienie rozmówców na przyszłość. Rosja nie zniknie, tak jak nie zniknęły Niemcy po II wojnie światowej. Trzeba zachować ludzkie kontakty.

Problem ze zmianą reżimu jest taki, że nie mamy w Rosji przestrzeni politycznej. Zadeptano wszystko. Została tylko opozycyjna partia Jabłoko, która nie ma praktycznie wejścia na ekran telewizyjny. Nie ma mechanizmu zmiany władzy. To jedno z niebezpieczeństw, że gdy Putin już zniknie, na drodze naturalnej czy też nie, to nie wiadomo, co będzie dalej z władzą.

Rozmawiać trzeba z tymi, którzy wyjechali, i z tymi, którzy zostali. Wiele organizacji pozarządowych nadal działa. W tym te, które zostały formalnie zlikwidowane, np. Grupa Helsińska. Ich działalność nie została zabroniona, a jedynie zlikwidowana została osoba prawna. Ludzie zostali i cały czas pracują, robią to samo, co robili. Wielu z nich za czasów sowieckich było w łagrach i ich nie jest tak łatwo przestraszyć.

Myślę, że więcej będzie zależeć od tych, co zostali w kraju. Raczej nie będzie powtórki z nowym Leninem przywiezionym z Zachodu w zaplombowanym wagonie.

© Rozmawiał PIOTR POGORZELSKI

PIOTR POGORZELSKI *jest dziennikarzem TV Biełsat i autorem podkastu „Po prostu Wschód”.*

JACEK

Podsiadło:

Głupcy na progu

Podczas obrad podstawowej komórki partyjnej kol. Zielonka zgłosił wniosek formalny, że czuje straszne parcie. Kworum zdecydowaną większością głosów ustaliło, że jest to parcie na szkło, wobec czego należy kol. Zielonkę wysłać do telewizora publicznego.

Poszedł zatem, a w Świątyni Oglądalności czekali już red. Złomny i Reprezentanci Innych Partii, dalej R.I.P. Red. Złomny zapowiedział na początek, że bedzie tera zadawał pytania zamknięte, odpowiedzi „tak" lub „nie" i prosze sie trzymać tej zasady, bo kto sie jej nie trzymie, znaczy że nie rozumie, a pytania konstruowałem osobiście i som one proste, więc nikt nie powinien mieć problemów z odpowiedzią, chyba że ktoś chce mieć problemy. Pytanie piersze:

– Czy film Agnieszki Holland to wstrętny paszkwil, który szkaluje obrońców polskich granic?

Jako pierwsza odpowiadała pani poseł Posłanka, R.I.P.

– Tak – odpowiedziała i spuściła skromnie oczy, gdyż pewną nie była, zali poprawną jest jej odpowiedź.

Jako drugi odpowiadał kolejny R.I.P.

– Nie, bo nie widziałem jeszcze – powiedział, czym strasznie się wygłupił, bo przecież było zapowiedziane jak krowie na miedzy, że ma być tylko tak albo nie.

Red. Złomny z rezygnacją odwrócił się od tumana do kolejnego gościa w studio, a był to R.I.P., wicemister klimatu i środowiska Prawąsik, który aż rwał się w siodle do odpowiedzi:

– Tak!

Wybiła godzina odpowiedzi kol. Zielonki. Starał się on dobrze wypaść w telewizorze, dlatego postanowił, że jego głos będzie wyważony:

– Nie widziałem tego filmu, więc trudno mi powiedzieć. Jeżeli rzeczywiście obraża polski mundur, a zobaczę ten film, to wtedy...

– Ale „Mein Kampf" pan czytał... – wpadł mu w słowo wicemister Prawąsik, któremu natychmiast wpadł w słowo red. Złomny:

– Widział pan chyba zapowiedzi tego programu, fragmenty filmu są w internecie... Jeszcze raz zadam to pytanie na spokojnie, panie pośle, na spokojnie proszę przeanalizować: „Czy film Agnieszki Holland to wstrętny paszkwil, który szkaluje obrońców polskich granic?".

Widać było, że red. Złomny delektuje się czytaniem pytania, które sam skonstruował, może nawet po godzinach pracy, jak ten pilot co we własnym mieszkaniu w bloku skonstruował samolot, żeby nim uciec z Polski za granicę.

– Może pan odpowiedzieć „tak" lub „nie"? – ponaglał na spokojnie.

– Ale jak mogę się wypowiadać, kiedy nie oglądałem tego filmu...

– Panie pośle, formuła jest tak albo nie!

– Wie pan, to jest na zasadzie takiej, jakbym zapytał...

– Tak albo nie! – rzekł na spokojnie podniesionym głosem redaktor.

– ...jakbym zapytał, czy przestał pan bić swoją żonę – dokończył Zielonka.

W studiu zawrzało, jakby ktoś wetknął biało-czerwoną flagę w koczowisko, każdy we własnym unosił się siodle i w swym osobistym przemawiał uniesieniu, a nikt nikogo nie słuchał i nie było takiego, który by cokolwiek rozumiał, wreszcie przez zgiełk bitewny przebił się na pierwszy plan głos poseł Posłanki, co było możliwe dzięki temu, iż nadawała ona na trochę innej fali niż reszta. Teraz rugała Zielonkę:

– To jest test na odwagę cywilną, żeby nazwać rzecz po imieniu!

Dla red. Złomnego był to test na inteligencję. Chwila prawdy. Miliard w rozumie. Wielka gra. Usłyszał, że mówią o jego żonie, więc od razu nóż mu się otworzył w kieszeni, nie wiedział natomiast, że, mówiąc o jego żonie, Zielonka w ogóle nie miał na myśli jego żony, tylko powszechnie znanego w kręgach wykształciuchów ojca Menedemosa. Dziennikarskie ostrygi Złomny zdobywał w TVN Meteo, zatem od pierwszego wejrzenia potrafił odróżnić tysiąc hektopaskali od stu piorunów, kiedyś nawet, jak sprawdzał w Wikipedii, co znaczy „synoptyk", wyskoczył mu jakiś Diogenes z Synopy, ale skąd miał wiedzieć o Diogenesie Laertiosie i jego, za przeproszeniem, Menedemosie? Dlatego nie powiedział teraz, choćby i ostrym tonem: rozumiem, że nawiązuje pan do epizodu „Żywotów i poglądów sławnych filozofów", w którym Laertios opowiada o dialektyku Menedemosie nieuznającym sądów złożonych, czyli sformułowanych w okresach warunkowych, i o tym, jak Aleksinos go spytał, czy przestał bić swego ojca – które to pytanie w naszym kręgu kulturowym, gdzie żony bija się częściej niż ojców, utrwaliło się jako pytanie o żonę właśnie – a po odpowiedzi Menedemosa „Ani go nie biłem, ani nie przestałem" Aleksinos napomniał go, żeby odpowiadał tak albo nie, na co ten odrzekł: „Byłbym głupi, gdybym stosował się do waszych praw, kiedy już na progu mogę się im przeciwstawić". Red. Złomny nic a nic z tego nie powiedział, za to krzyknął na spokojnie:

– Jest pan chamem i wypraszam sobie tego rodzaju insynuacje!

W studiu zawrzało, jakby sto piorunów uderzyło w szklankę wody, ciśnienie skoczyło wszystkim do stu tysięcy hektopaskali, skakano sobie do gardeł, wypraszano sobie i wypominano, wyciągano na wierzch, co kto miał brudnego, cięte riposty kładły się rysą na wszelkich ideałach, operatorzy kamer kryli się za swymi narzędziami pracy. Daremnie Zielonka tłumaczył, że „to w ogóle nie było do pana", daremnie oczekiwał przeprosin i daremnie Złomny kierował w jego stronę liczne Ostatnie Ostrzeżenia. Program robił się coraz ciekawszy, a przecież już od początku był ciekawy, bo mógł być odbierany przez osoby płacące abonament jako preludium do horrendum zaplanowanego na 15 października, kiedy to padną cztery pytania horrendalne, a będą one również „zamknięte" i skonstruowane tak, jakby sam red. Złomny konstruował je po nocach. Bez jakiegokolwiek udziału swej żony, na spokojnie to piszę. ©

GRAŻYNA MAKARA X2

KS. ADAM BONIECKI *laureatem Nagrody „In veritate" przyznawanej przez Fundację im. bp. Tadeusza Pieronka, obok Rafał Budnik, stoją: po prawej Zbigniew Nosowski, po lewej gen. Mieczysław Bieniek. Kraków, Sukiennice, 29 września 2023 r.*

NIE MA WOJNY SPRAWIEDLIWEJ

Jakie będą konsekwencje wojny dla Europy i Polski? Na to pytanie szukano odpowiedzi podczas XXIII Międzynarodowej Konferencji z cyklu „Rola chrześcijan w procesie integracji europejskiej".

Od niedawna konferencja ta jest organizowana przez Fundację im. bp. Tadeusza Pieronka. Jak przypomniał jej prezes Rafał Budnik, wcześniej głównym organizatorem był Uniwersytet Jana Pawła II w Krakowie, ale w 2020 r. krakowski metropolita Marek Jędraszewski nakazał wycofać się uczelni z zaangażowania się w ten projekt. Andrzej Halicki – współprzewodniczący delegacji polskiej w Grupie EPL w Parlamencie Europejskim – w przemówieniu powitalnym przypomniał, że na tych konferencjach stawia się trudne pytania. Mogą też pojawiać się kontrowersyjne idee. I rzeczywiście, niekonwencjonalny charakter miało już wystąpienie wprowadzające, przygotowane w wersji wideo przez kard. Grzegorza Rysia. Był to pełnowymiarowy (42-minutowy) wykład historyka Kościoła, który przedstawił dzieje podejścia do wojny w chrześcijaństwie – począwszy od pacyfizmu pierwszych czterech wieków do wypracowanej już w średniowieczu koncepcji wojny sprawiedliwej. Dzisiaj – jak skonkludował mówca – przy całkowicie zmienionych warunkach (możliwości totalnej wojny nuklearnej) nie ma wojen sprawiedliwych. Było to jak kij wsadzony w mrowisko. Oliwy do ognia dolał włoski filozof i były polityk prof. Rocco Buttiglione swoim postulatem negocjacji z Putinem.

Panele dyskusyjne – zorganizowane tym razem w krakowskim hotelu Holiday Inn w dniach 29-30 września – miały przede wszystkim praktyczny charakter. O konsekwencjach wojny dla Kościołów dyskutowali m.in. dr Massimiliano Signifredi, koordynator ds. uchodźców rzymskiej Wspólnoty Sant'Egidio, oraz Nedim Useinow, przewodniczący Rady Koordynacyjnej Światowego Kongresu Tatarów Krymskich w Polsce. Jak wojna w Ukrainie zmienia Unię Europejską – zastanawiał się sędzia Trybunału Sprawiedliwości UE prof. Marek Safjan. Przedmiotem refleksji były też ludzkie postawy w czasie wojny oraz rola komunikacji w przestrzeni publicznej. Ten drugi temat podjęli m.in. rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. Ryszard Koziołek oraz były zastępca dowódcy NATO gen. Mieczysław Bieniek.

Od kilku lat konferencję uświetnia gala Nagrody im. bp. Tadeusza Pieronka

„In Veritate". W tym roku laureatami zostali przewodnicząca Parlamentu Europejskiego Roberta Metsola oraz ks. Adam Boniecki. Redaktor senior „Tygodnika Powszechnego" wyróżniony został „za przykład odwagi w myśleniu i działaniu, niezachwianą wiarę, którą dzieli się zarówno w świątyniach, jak i na areopagach współczesnego świata, wrażliwość na ludzkie nieszczęście oraz wytrwałość w tłumaczeniu tajemnic Kościoła na tle zmieniających się uwarunkowań społecznych i politycznych, a także za wyjątkowe poczucie humoru". Laudację wygłosił redaktor naczelny „Więzi" Zbigniew Nosowski (zobacz strona internetowa „Tygodnika"). „To, co ksiądz Adam robi, jest w absolutnie najwłaściwszym nurcie ortodoksji Kościoła" – dopowiadał w nadesłanych życzeniach kard. Grzegorz Ryś.

©℗ ARTUR SPORNIAK

MATERIAŁ PARTNERA

ORGANIZATOR

IN VERITATE

Fundacja im. bp. Tadeusza Pieronka
Tadeusz Pieronek Foundation
fundacjapieronka@gmail.com

WSPÓŁORGANIZATORZY

CDB DCB

grupa epl

COMECE

HONOROWY PATRONAT

Prof. Jacka Majchrowskiego
Prezydenta Miasta Krakowa
Kraków

HISTORIA

UDOWODNIJ, ŻE BYŁEŚ NA SZCZYCIE

Wykreślenie z Księgi Rekordów Guinnessa nazwiska Reinholda Messnera, pierwszego zdobywcy Korony Himalajów, nie umniejszy jego osiągnięć. Wraca za to pytanie, które alpinizmowi towarzyszy od zarania: jak weryfikować takie osiągnięcia?

MAREK RABIJ

Tam, gdzie jedyną nagrodą jest zwykle satysfakcja, nie powinno być miejsca na mistyfikację. „Niepotrzebne zwycięstwa" w górach – jak pisał francuski alpinista Lionel Terray – z rzadka przebijają się przecież do opinii publicznej, a jeszcze rzadziej idzie za nimi gratyfikacja adekwatna do wysiłku. Zresztą – jak ironizowała inna ikona tej dyscypliny, Brytyjczyk Don Whillans – szczyt „jest ku rozpaczy niektórych pojęciem ściśle zdefiniowanym" i albo się na nim było, albo nie.

Tyle teorii, zaprawionej garścią słusznych postulatów.

W praktyce kłamstwa towarzyszą górskiej eksploracji od jej początków. Równie długo obserwatorzy zmagają się z pytaniem, czy zdobywca, na którego osiągnięcia pada cień, wprowadza świadomie w błąd – czy może sam się pomylił.

5 metrów w pionie i 65 metrów w poziomie

Wątpliwości wobec osiągnięć 79-letniego dziś Messnera, jakie legły u źródeł decyzji redaktorów Księgi Rekordów Guinnessa o odebraniu mu tytułu pierwszego zdobywcy Korony Himalajów, to raczej próba krytycznej analizy danych na podstawie dokładniejszych narzędzi pomiarowych i bogatszego materiału porównawczego.

Redakcja zdecydowała się na ten krok – sensacyjny, wszak Messner to legenda – po lekturze raportu Eberharda Jurgalskiego, niemieckiego pisarza, który od ponad czterech dekad dokumentuje himalajskie eksploracje. Jurgalskiemu trudno przypisać niskie pobudki, bo sam nie był nigdy powyżej ośmiu tysięcy metrów. Jego domeną jest statystyka.

W 2022 r. opublikował wyniki wieloletnich poszukiwań, w których wspierał go zespół wolontariuszy. Jego zdaniem himalaiści zdobywający Dhaulagiri (8167 m n.p.m.), Manaslu (8163 m n.p.m.) i Annapurnę (8091 m n.p.m.) przez dekady kończyli atak szczytowy w miejscu oddalonym od kilku do nawet kilkudziesięciu metrów od prawdziwego wierzchołka, za który uznawali błędnie którąś z nieco niższych kulminacji grani szczytowej.

Ten sam błąd – świadomie lub nie – mieli zdaniem Jurgalskiego popełnić też pierwsi zdobywcy wszystkich 14 ośmiotysięczników. Szturmując Annapurnę dziewiczą północno-zachodnią ścianą, Messner miał zatrzymać się pięć metrów poniżej najwyższego punktu na grani, ale w poziomie dzieliło go od niego aż 65 metrów trudnego terenu. To samo miało się przytrafić Jerzemu Kukuczce, który wspinaczkę na szczyt Manaslu miał zakończyć osiem metrów niżej i zrezygnować z pokonania ostatnich kilkunastu metrów niebezpiecznej grani.

Jurgalski analizował wszystkie wejścia na ośmiotysięczniki i doszedł do sensacyjnych wniosków. Jego zdaniem na 14 szczytach stanęło dotąd tylko trzech ludzi. Pierwszy miał być Amerykanin Ed Viesturs, który debiutował w Himalajach dopiero w 1989 r. (trzy lata po tym, jak Messner miał skompletować Koronę), a na liście jej zdobywców zajmował dotąd dopiero 12. miejsce. Prócz niego na wszystkich szczytach byli Fin Veikka Gustafsson (zdobywał je w latach 1993-2009) i Nepalczyk Nirmal Purdża Pun Magar (2016-2021).

„Ale to i tak..."

Reakcje samych zainteresowanych były łatwe do przewidzenia.

Cecylia, wdowa po Kukuczce, który zginął w 1989 r., nazwała rewelacje Jurgalskiego bzdurami. Syn Wojciech Kukuczka dołożył zarzut nadinterpretacji, twierdząc, że Niemiec za fotografię ↦

Alex MacIntyre (na pierwszym planie) i Wojciech Kurtyka przed kluczowymi trudnościami na nowej drodze w zachodniej ścianie Makalu. Próba zakończyła się niepowodzeniem, ale trzeci członek zespołu Jerzy Kukuczka samotnie poprowadził nową drogę lewą flanką ściany. Nepal, 1981 r.

ARCHIWUM JERZEGO KUKUCZKI / PAP

↦ ze szczytu Manaslu mylnie uznał zdjęcie, które w istocie zrobiono niżej. Zmylić miał Jurgalskiego fakt, że partner Kukuczki, też nieżyjący już Artur Hajzer, unosi w górę ręce. „Mamy kilka fotografii, na których ma tak samo uniesione ręce w różnych miejscach i nie są to fotografie szczytowe" – mówił syn najsłynniejszego polskiego himalaisty.

W bagatelizującym tonie sensacje Jurgalskiego skomentował Messner. Jego zdaniem sprawa ociera się o nonsens, bo od jego przejść w Himalajach minęło już prawie pół wieku i przez ten czas wysokość szczytów mogła ulec zmianie. Tak stało się z Everestem, który – jak wynika z pomiarów – po trzęsieniu ziemi z kwietnia 2015 r. mógł zmaleć o trzy metry.

Zmienił się też wygląd kopuły szczytowej, bo z grani podszczytowej znikł słynny uskok Hillary Step. Dlatego zdaniem Messnera porównywanie starych zdjęć z najświeższym materiałem fotograficznym mija się z celem. „Góry się zmieniają. Jeśli szukacie kogoś, kto wspiął się na Annapurnę, to na pewno byłem to ja i Hans" – zakończył Tyrolczyk.

Mniej radykalnie sprawę ocenił wywołany przez Messnera 66-letni dziś Hans Kammerlander, jego ówczesny partner na linie: „Oczywiście nie istnieje absolutna pewność, to były inne czasy, bez GPS. Na tej wysokości wystarczy zamieć i zaciemnione światło słoneczne. Jesteśmy jednak przekonani, że byliśmy na szczycie, ale kto wie, czy nie było tam jeszcze 5-6 metrów do wspinaczki. Ale to i tak nie przekreśliłoby naszego osiągnięcia".

Świat wspinaczy decyzję redakcji Księgi Rekordów Guinnessa uznał za nieistotną. W tym gronie pierwsze wejścia na szczyt ceni się głównie za przesunięcie bariery niemożliwego. A pod tym względem osiągnięcia Messnera, który jako pierwszy zdobył Everest bez aparatury tlenowej, czy Kukuczki, który jako pierwszy wszedł jednej zimy na dwa ośmiotysięczniki i jako pierwszy w pojedynkę wytyczył nową drogę na kolejny, wciąż budzą szacunek.

Decyzja miała jednak efekt uboczny, nad którym wspinacze nie mogą przejść do porządku dziennego. Oto dwie legendy himalaizmu zostały zestawione z nazwiskami całej rzeszy mitomanów.

„Carolus victor"

Telegram z takim podpisem („Karol zwycięzca"), nadany 25 sierpnia 1902 r. ze Starego Smokowca, otrzymał Janusz Chmielowski, tatrzański eksplorator przełomu wieków, a później autor pierwszego przewodnika taternickiego.

Nadawcą był Karol Englisch, równie znany wtedy krakowski taternik. Sukcesem zaś, z którego był tak dumny, że chciał się nim podzielić jeszcze przed powrotem do Krakowa, było pierwsze wejście na Ostry Szczyt, uznawany za nie do zdobycia. „Śpiczasty wzięty" – napisał buńczucznie w telegramie.

Englisch miał wtedy dopiero 21 lat. Rok później lista tatrzańskich wierzchołków, na których stanął jako pierwszy (zwykle z matką lub wynajętym przewodnikiem), liczyła już 30 pozycji – z 56 wszystkich zdobytych do tej pory szczytów! Osiągnięcia Englischa były tak spektakularne, że zainteresowały się nimi gazety. On sam ochoczo korzystał z ich atencji.

Jednak w kolejnych latach wokół jego osiągnięć zaczęły gęstnieć kontrowersje. Kolejni zdobywcy sygnalizowali, że podczas swoich wspinaczek nie zauważyli śladów bytności Englischa. Nie zgadzały się też zdjęcia, którymi ilustrował on swoje artykuły. Część okazała się podrasowana, inne pochodziły np. z Alp.

Englisch bronił się, ale zarzuty osiągnęły skalę, która go przytłoczyła. Przestał ripostować i zerwał kontakt ze środowiskiem wspinaczy, które jego nazwisko uznało za synonim górskiej mistyfikacji. Zmarł w 1945 r.

Nowe światło na górskie przejścia Englischa rzuciły dopiero w latach 70. XX w. badania Bolesława Chwaścińskiego, który dowiódł, że większości jego kluczowych osiągnięć nie da się podważyć. Tyle że w wielu przypadkach sam Englisch pozbawił się argumentów na swoją korzyść, ilustrując prawdziwe przejścia podrasowanymi zdjęciami.

„Zadzwoń do Pat"

Fotografia ze szczytu bywa niepodważalnym dowodem na jego zdobycie – o ile da się ją zrobić i coś na niej widać.

Gdy 17 lutego 1980 r. Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki jako pierwsi stanęli zimą na Mount Evereście, pogoda była tak zła, że zrobili tylko jedno niewyraźne zdjęcie – potem migawka aparatu zamarzła. Na fotografii widać szczelnie okutanego Wielickiego, fragment śnieżnego terenu bez elementów ułatwiających identyfikację, a w tle ścianę mgły. Słowem – marny dowód.

Na szczycie Polacy zostawili różaniec poświęcony przez Jana Pawła II oraz krzyżyk, pamiątkę od matki Stanisława Latałły, młodego filmowca, który zginął w 1974 r. podczas wyprawy na Lhotse. Wielicki zawiesił też na metalowym trójnogu, ustawionym tu wcześniej przez Chińczyków, termometr do pomiaru minimalnej temperatury.

Te rzeczy mogły jednak nie przetrwać do kolejnego wejścia. Ze śniegów kopuły szczytowej alpiniści wygrzebali więc wmarzniętą karteczkę z napisem „*For a good time call Pat Rucker 274-2602 Anchorage, Alaska, USA*". Wizytówkę, która wygląda na reklamę usług erotycznych, zostawił na szczycie Everestu jego ostatni zdobywca w poprzednim sezonie jesiennym, Ray Genet. Jego zamarznięte ciało minęli kilka godzin wcześniej na zboczu.

Karteczka ta stała się potem jednym z najtwardszych dowodów sukcesu odniesionego przez Polaków, a pannie Rucker zapewniła nieoczekiwanie miejsce w annałach alpinizmu.

Żółw czy biedronka?

Półtora roku później, na szczycie pobliskiego Makalu (8481 m n.p.m.), dowodem będzie zabawka.

W trudnych warunkach kończącej się himalajskiej jesieni zespół złożony z Jerzego Kukuczki, Wojciecha Kurtyki i Brytyjczyka Aleksa MacIntyre'a atakuje w ambitnym stylu alpejskim niezdobytą wcześniej zachodnią ścianę tego szczytu. Trafiają jednak na teren nie do przejścia i schodzą do bazy. MacIntyre rezygnuje i opuszcza wyprawę. Polacy zostają, ale Kurtyka traci przekonanie, że mogą zdobyć ścianę. W górę rusza sam Kukuczka.

Wspinaczka trwa trzy dni. Po drodze walczy z zasypanym śniegiem namiotem, huraganowym wiatrem i halucynacjami, które każą mu gotować herbatę dla partnera, który rzekomo mu towarzyszy. W końcu staje na najwyższym wzniesieniu śnieżnej grani. „Na szczycie znajduję dwa haki jakiejś starej wyprawy, między które wbijam swój. Wyciągam z plecaka plastikową biedronkę, którą zabrałem mojemu rocznemu Maćkowi, na szczęście. Zostawiam ją przy tych hakach"

– opowie potem Kukuczka w wywiadzie rzece, opublikowanym już po śmierci.

Nazajutrz jest w bazie na lodowcu Barun, gdzie partner gratuluje mu sukcesu. „Na jego twarzy nie było ani nadmiernej radości, ani smutku – wspominał Kurtyka na łamach „The Himalayan Journal". – Jurek był po prostu całkowicie cichy. Była wielka harmonia między nim a ogromną skalistą pustynią dookoła. Powiedział tylko: Tak. Byłem na szczycie".

Dla Kurtyki ta deklaracja zamyka sprawę. Ale formalnie rzecz będzie się ciągnąć miesiącami, bo w sprawozdaniu z wyprawy jej oficer łącznikowy stwierdza, że Kukuczka nie zdobył Makalu. Jako dowód podaje swoją ocenę warunków, które jego zdaniem wykluczały takie przedsięwzięcie. Himalaiści tłumaczą, że Nepalczyk odgrywa się na nich za rzekomy afront, jaki miał go spotkać, gdy wręczyli mu przewidzianą w regulaminie odzież wyprawową polskiej produkcji, a nie drogi zachodni ekwipunek.

Na próżno. Oficer obstaje przy swoim. Sprawę kończy dopiero list, który niemal dwa lata później Polak otrzymuje od himalaisty z Korei Południowej. Jego autor pisze, że kilkanaście miesięcy po wejściu Kukuczki na szczycie Makalu natrafił na plastikowego żółwia. Dalsza korespondencja rozwiewa wątpliwości: chodziło o biedronkę.

Uwierzyć na słowo

Tamte Himalaje, które były areną osiągnięć Messnera i Kukuczki, są dziś innymi górami. Puste kiedyś zbocza ośmiotysięcznych gigantów w sezonie wypełniają kolejki klientów wysokogórskich biur podróży. Za kilkadziesiąt tysięcy dolarów od głowy biura te są gotowe zaprowadzić – a czasem wtaszczyć – ludzi, którzy nigdy nie trzymali czekana. Górscy turyści produkują na masową skalę materiał filmowy, oblatują szczyty dronami.

Może się wydawać, że w tym zgiełku na każde wysokogórskie szachrajstwo prędzej czy później znajdą się dowody. Często bywa jednak odwrotnie. W tłumie łatwiej o anonimowość.

W 1986 r., gdy szczyt K2 oblegało jednocześnie aż dziewięć wypraw (wówczas rzecz bez precedensu), wśród alpinistów w bazie gruchnęła wieść, że Słoweniec Tomo Česen w doskonałym stylu wytyczył nową drogę na szczyt. Rzecz w tym, że nikt nie widział Česena w wyższych partiach góry. Czyżby przemknął niezauważony wśród kilku zespołów?

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Karol Englisch

Słoweniec nie przedstawił twardych dowodów. Kazał wierzyć na słowo. Podobnie zachował się wcześniej, ogłaszając solowe przejścia ekstremalnie trudnych dróg w Alpach (tu też nikt go nie widział) i wreszcie w 1990 r., gdy ogłosił, że przeszedł samotnie niezdobytą południową ścianę Lhotse (rok wcześniej zginął na niej Kukuczka).

Wątpliwości co do jego przejść nie wygasły do dziś, a coraz więcej alpinistów skłania się ku tezie, że Słoweniec jest górskim mitomanem.

Odbicie w goglach

Dziś to nazwisko w świecie wspinaczki kojarzy się jednak raczej z jego synem Alešem, który na każde przejście ma twarde dowody. Česen junior, w odróżnieniu od ojca, jest przedstawicielem nowej generacji wspinaczy – profesjonalistów, którzy żyją w górach i z gór.

Takie uzawodowienie alpinizmu zwykle oznacza również uzależnienie od sponsorów, którzy płacą, ale i wymagają. Dla niektórych wspinaczy ta presja staje się nie do pogodzenia z przyzwoitością.

W 2010 r., gdy na K2 panowały fatalne warunki i większość wypraw siedziała w bazie, na szczyt miał wedrzeć się w pojedynkę Christian Stangl. Austriak zrobił, jak twierdził, kilka zdjęć na szczycie i zaczął schodzić, uciekając przed załamaniem pogody. Już w bazie, odpowiadając na pytania innych wspinaczy, zaczął jednak mieszać wersje. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego po jego rajdzie nie zostały ślady na śniegu (rzekomo zboczył z trasy). Utrzymywał też, że nie wziął radiotelefonu, by oszczędzić na wadze – choć okazało się, że taszczył w plecaku 400-stronicową powieść.

Ostatecznie jego opowieści kłam zadała analiza rzekomych zdjęć ze szczytu. Stangl ustawił się tak, by było na nich widać jedynie jego twarz. Nie wziął pod uwagę, że w goglach widoczne będzie odbicie okolicznych szczytów. Po porównaniu z innymi zdjęciami z K2 eksperci portalu Explorersweb uznali, że wykonano je na wysokości ok. 7500 metrów.

Dopiero to skłoniło Austriaka do szczerości. Przyznał, że sponsorzy jego wyprawy wywierali na niego taką presję, że czuł, iż nie może wrócić bez odtrąbienia sukcesu.

Satelita prawdę powie

Oh Eun-Sun poszła w zaparte. W 2010 r., po zdobyciu Annapurny, Koreanka ogłosiła się pierwszą kobietą-zdobywczynią 14 ośmiotysięczników. W wyścigu o pierwszeństwo brały też udział Austriaczka Gerlinde Kaltenbrunner i Baskijka Edurne Pasaban.

Ta ostatnia zakwestionowała wejście Oh Eun-Sun na Kanczendzongę (8586 m n.p.m.) i poprosiła o analizę ekspertów od himalaizmu. Koreanka przedstawiła zapis z satelitarnego trackera, ale wynikało z niego, że w kluczowych trudnościach poruszała się szybciej niż w niższych partiach góry i w łatwiejszym terenie. Słowem – wyglądało to tak, jakby ktoś zakończył wspinaczkę za nią.

Koreanka miała też fotografię, którą opisała jako zdjęcie ze szczytu. Ale widać było na nim skały, podczas gdy kopuła szczytowa Kanczendzongi jest przykryta śniegiem. Oh Eun-Sun broniła się, twierdząc, że zdjęcie zrobiono nieco pod szczytem, bo na wierzchołku panowały zbyt trudne warunki. W końcu jeden z Szerpów biorących udział w wyprawie potwierdził, że Oh Eun-Sun nie dotarła na szczyt.

Pierwszą kobietą z tytułem zdobywczyni Korony Himalajów została Edurne Pasaban.

A raczej była nią do ogłoszenia raportu Eberharda Jurgalskiego. Bo niemiecki statystyk kwestionuje także osiągnięcia Baskijki.

©℗ MAREK RABIJ

NAGRODY NOBLA 2023

Kolorowa chemia kwantów

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Odkrycia laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie chemii znalazły już zastosowanie w nowoczesnych telewizorach i technologiach medycznych. W przyszłości może się na nich opierać elastyczna elektronika.

Moungi Bawendi, dziś profesor na Massachusetts Institute of Technology (MIT), jako student nie oblał egzaminu z chemii tak po prostu. Na pierwszym roku oblał go wręcz koncertowo. „Dostałem 20 na 100 punktów. To była najniższa ocena w klasie. Pomyślałem: o nie, to mój koniec, co ja tu robię?" – mówił w kilka godzin po tym, jak otrzymał najważniejszą nagrodę w tej dziedzinie.

Bawendi, jego mentor Louis Brus z Uniwersytetu Columbia oraz rosyjski chemik Aleksiej Jekimow, reprezentujący amerykańską firmę Nanocrystals Technology Inc., otrzymali właśnie Nagrody Nobla za prace nad tzw. kwantowymi nanocząstkami lub kropkami kwantowymi. To kryształki tak małe, że przestają zachowywać się jak „konwencjonalna" materia, a ich właściwościami zaczynają rządzić efekty kwantowe.

Kropka na papierze

Badane przez laureatów nanocząstki mają od 1 do 100 nanometrów (ludzki włos ma 80-100 tys. nanometrów średnicy) i zawierają najwyżej kilka tysięcy atomów. Zbudowane są z kryształków takich związków jak siarczek ołowiu lub selenek kadmu. Zazwyczaj to właśnie skład chemiczny materiału jest głównym czynnikiem decydującym o jego właściwościach. Jednak w przypadku nanocząstek skład staje się niemal drugorzędny – decydujący jest rozmiar.

„Kwantowe cząstki to nowa klasa materiałów, innych od klasycznych cząsteczek – mówił Heiner Linke, członek Komitetu Noblowskiego. – Zazwyczaj, jeśli chcesz wyprodukować cząsteczki dające różne kolory, musisz stworzyć nową cząsteczkę, nowy zestaw atomów o nowej strukturze. Ale kropki kwantowe składają się z dokładnie takich samych atomów. Jedyną różnicą między nimi jest rozmiar".

Kolor to tylko jedna z właściwości, która zmienia się wraz ze zmianą rozmiaru tych cząstek. Nanocząstki o takim samym składzie, ale różnych rozmiarach, mogą różnić się właściwościami optycznymi, elektrycznymi, magnetycznymi, a nawet temperaturą topnienia.

Całkowicie normalną reakcją niechemika na te doniesienia byłoby wzruszenie ramionami. W końcu, jeśli chcemy mieć materiał o nieco innych właściwościach, możemy po prostu sięgnąć po inny materiał. Nanocząstki dają jednak bezprecedensową możliwość niezwykle precyzyjnego dostrajania zachowania materiałów w najmniejszej możliwej skali. A to otwiera drogę do wielu zastosowań.

Pierwsze teoretyczne prace nad nanocząstkami opublikowano jeszcze przed II wojną światową. Początkowo te cząstki dla naukowców istniały jednak tylko na papierze. „Przez długi czas nikt nie sądził, że rzeczywiście można stworzyć tak małe cząstki" – mówił podczas ceremonii ogłoszenia nagrody przewodniczący Komitetu Noblowskiego w dziedzinie chemii Johan Åqvist.

Wszystko zmieniło się na początku lat 80. XX w. Najpierw Jekimow, radziecki chemik, udowodnił, że można wytworzyć kolorowe szkło barwione nanocząstkami chlorku miedzi, o których kolorze decydują efekty kwantowe. Kilka lat później Louis Brus wykazał, że nanocząstki można stworzyć w płynie. Obaj udowodnili, że efekty kwantowe sprawiają, iż mikroskopijne kryształy zmieniają diametralnie swoje właściwości wyłącznie ze względu na zmianę rozmiaru ich cząstek.

To wszystko byłoby jednak tylko ciekawostką dla fizyków i chemików, gdyby nie prace trzeciego laureata.

Synteza kryształków

Moungi Bawendi, syn cenionego tunezyjskiego matematyka, jako doktorant zaczął pracę w laboratoriach AT&T Bell Laboratories, gdzie Brus dokonał swoich odkryć. „Byłem podekscytowany tą współpracą, ponieważ otworzyła ona zupełnie nową dziedzinę nauki, która stwarza wiele okazji do dokonywania nowych odkryć" – mówił po ogłoszeniu nagrody portalowi MIT News.

W 1993 r. jego zespołowi udało się opracować nową, rewolucyjną metodę produkcji nanocząstek, pozwalającą na precyzyjne kontrolowanie ich rozmiarów i właściwości. To umożliwiło wykorzystanie ich w praktycznych zastosowaniach. Badacz podkreśla, że początkowo nie myślał o tym, iż jego eksperymenty mogą się do czegokolwiek przydać.

„Po prostu pracowaliśmy i pracowaliśmy, aż w końcu opracowaliśmy proces wytwarzania cząstek wystarczająco

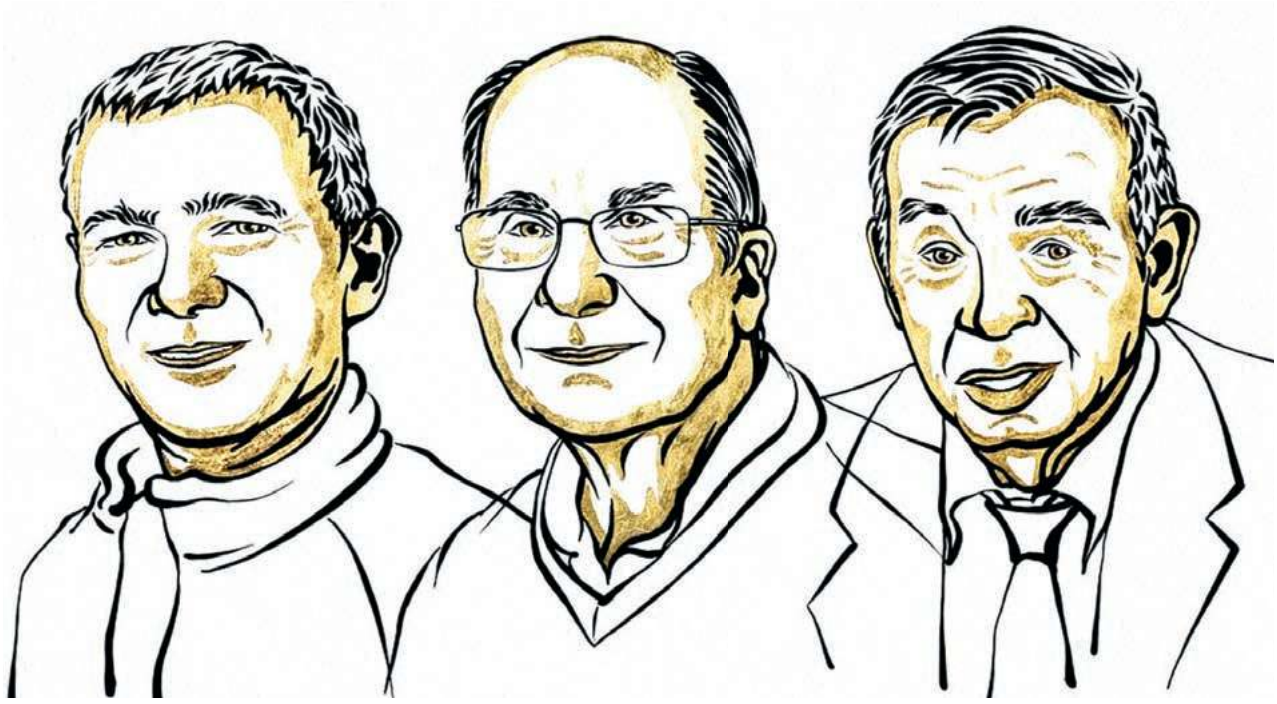

NIKLAS ELMEHED © NOBEL PRIZE OUTREACH

Od lewej: Moungi Bawendi, Louis Brus i Alexei Ekimov

dobrych do badań w naukach podstawowych. Okazało się, że proces ten można wykorzystać do zastosowań, o których nigdy byśmy nie pomyśleli" – powiedział MIT News.

Dziś nanocząstki mogą znajdować się już w naszych domach. Są stosowane w zaawansowanych wyświetlaczach, takich jak telewizory. Ich precyzyjnie wyznaczone właściwości sprawiają, że nanokropki pozwalają telewizorom wyświetlać o wiele szerszy zakres kolorów, bliski limitom ludzkiego oka. To dzięki nim wyświetlacze o ultrawysokich rozdzielczościach mogą produkować obrazy tak naturalne, że oszukują nasz wzrok.

Nanokropki zrewolucjonizowały też np. obrazowanie medyczne. Pomogły w stworzeniu systemów wykrywania nowotworów, angiogramów, a nawet chirurgii robotycznej.

Elastyczna technologia

A to zaledwie początek możliwości oferowanych przez kropki kwantowe. Nanocząstki mogą pomóc w tworzeniu elastycznych urządzeń elektronicznych, laserów nowej generacji, astrofizycznych czujników pozwalających odkryć tajemnice Wszechświata czy ogniw słonecznych poprawiających wydajność produkcji zielonej energii.

„To naprawdę wspaniale widzieć, jak nasze odkrycia zostały wykorzystane w tak wielu dziedzinach. Nie spodziewaliśmy się tego – podkreślał Bawendi. – Chcieliśmy po prostu przestudiować nowe materiały".

Jego laboratorium opracowało także spektrometry oparte na kropkach kwantowych, które są na tyle małe, że mieszczą się w smartfonie. Podobne urządzenia można byłoby wykorzystać do diagnozowania chorób, szczególnie schorzeń skóry, czy wykrywania substancji zanieczyszczających środowisko. Badacze wykorzystują już kropki kwantowe do wykrywania chorób zakaźnych, w tym HIV, grypy i wirusowego zapalenia wątroby typu B.

Przespana nagroda

Cała trójka musiała czekać wiele lat od momentu opublikowania przełomowych prac na wyróżnienie przez Komitet Noblowski, co zresztą w ostatnich latach jest normą. Z analizy ekonomisty Pandelisa Mitsisa opublikowanej w ubiegłym roku wynika, że średni „czas oczekiwania" na nagrodę wynosił w minionej dekadzie ponad 25 lat. W dziedzinie chemii najdłużej, bo aż trzy dekady. Współcześni uczeni czekają na Noble dwa razy dłużej niż w połowie ubiegłego wieku.

W tym roku laureaci mogli jednak poznać samą decyzję Komitetu Noblowskiego o kilka godzin za szybko. Choć ten zapewnia, że debaty nad tym, komu przyznać nagrodę, trwają często niemal do momentu jej wręczenia, komunikat prasowy został wysłany zdecydowanie wcześniej. W środę rano, jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem laureatów, pełną ich listę wraz ze szczegółowym wyjaśnieniem przyczyn przyznania nagrody otrzymali dziennikarze szwedzkiego dziennika „Aftonbladet".

„Z nieznanych jeszcze powodów przedwcześnie wysłano komunikat prasowy – wyjaśniał na noblowskiej konferencji sekretarz Akademii Hans Ellegren. – Żałujemy, że tak się stało. Ważne, że nie wpłynęło to w żaden sposób na odbiorców".

Faktycznie, Bawendi wydawał się zupełnie nieświadomy przyznania mu nagrody, kiedy przed amerykańskim świtem zbudził go telefon ze Sztokholmu.

„Jestem bardzo zaskoczony, zszokowany, śpiący i zaszczycony – powiedział, gdy zadzwonili do niego przedstawiciele Akademii. – To dziedzina, w rozwijaniu której od początku uczestniczyło wielu ludzi. Nie sądziłem, że to ja otrzymam tę nagrodę. Wszyscy współpracujemy".

Wychowany w ZSRR Jekimow nieco inaczej podsumował nagrodę, której najbardziej widocznym dziś rezultatem są dość drogie wyświetlacze QLED. „Za moich czasów telewizor wyglądał zupełnie inaczej" – stwierdził, łącząc się ze Sztokholmem z Meksyku. ©

NIKLAS ELMEHED © NOBEL PRIZE OUTREACH

Katalin Karikó i Drew Weissman

Podróż przez ciemną dolinę

BARTOSZ KABAŁA

Technologia mRNA przyniosła nam już szczepionki przeciwko COVID-19, które zatrzymały pandemię, a wkrótce może zrewolucjonizować leczenie wielu innych chorób. Nagroda Nobla dla jej twórców nie jest zaskoczeniem.

Zgodnie z oficjalnym komunikatem, Katalin Karikó i Drew Weissman otrzymali Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny „za odkrycia dotyczące modyfikacji zasad nukleozydowych, które umożliwiły opracowanie skutecznych szczepionek mRNA przeciwko COVID-19".

Wszyscy jesteśmy częścią opowieści o tej nagrodzie. Choć nierzadko wyszliśmy z pandemii poranieni, ta historia ma dla nas szczęśliwe zakończenie. Również naukowa droga dwójki laureatów – prowadząca na sam szczyt – nie była usłana różami.

Spotkanie w ksero

Urodzona w komunistycznych Węgrzech Katalin Karikó w 1985 r., trzy lata po zdobyciu doktoratu na Uniwersytecie w Segedynie, z uwagi na brak pieniędzy na badania i duszną atmosferę ówczesnego ustroju, decyduje się na wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Nie pomógł jej wymuszony przez władze wpis na listę agentów węgierskich służb bezpieczeństwa, zwłaszcza że nigdy, jak sama zaznacza w wywiadach, nie sporządziła pisemnego ani ustnego donosu.

W lepszym starcie na obczyźnie pomógł za to rodzinie Karikó pluszowy miś jej córki. Gdy przekraczali węgierską granicę, ukryli w nim 900 funtów – dużo więcej, niż pozwalano wywozić z kraju.

W 1989 r. Karikó rozpoczyna pracę na Uniwersytecie Pensylwanii. Zajmuje tam jednak niską pozycję i musi szukać chętnych do współpracy patronów. Pierwsze laboratorium, w którym skutecznie zmusiła komórki na szalce do produkcji określonego białka przy pomocy mRNA, szybko straciło finansowanie, wraz z odejściem jej szefa. Kolejna szansa pojawiła się, gdy Karikó spotkała Davida Langera – neurochirurga, który zobaczył w technologii mRNA metodę ratującą pacjentów z udarami mózgu. Jednak próby zwiększenia przez komórki naczyń krwionośnych produkcji tlenku azotu – substancji poszerzającej światło naczyń – nie powiodły się. Wkrótce potem kolejny szef Karikó odszedł z uniwersytetu, a jej badania znowu straciły finansowanie.

Do przełomu doszło ponoć dzięki uczelnianemu ksero, przy którym pod koniec lat 90. Karikó spotkała Drew Weissmana. Drugi laureat tegorocznej nagrody wcześniej pracował nad szczepionką na HIV w laboratorium Anthony'ego Fauciego – tego samego, który stanie się jednym z liderów walki z COVID-19 w USA w trakcie pandemii. Weissman w swoich badaniach wykorzystywał komórki dendrytyczne – jeden z wielu trybików maszynerii układu odpornościowego, odpowiedzialny za identyfikowanie intruzów. Karikó i Weissman dojrzeli we współpracy szansę na zrealizowanie swoich naukowych celów – rozwoju technologii mRNA i tworzenia szczepionek.

Przepływ informacji

Aby zrozumieć, na czym ta technologia się opiera, musimy przyjrzeć się z bliska wnętrzu komórki. Przepis na każde białko naszego organizmu – insulinę, hemoglobinę czy hor-

mony peptydowe – zapisany jest w DNA, upakowanym w jądrze komórkowym. Jednak cząsteczka DNA to pierwowzór, który nie bierze bezpośredniego udziału w produkcji białek. Z jądra komórki do cytoplazmy, gdzie obecna jest cała maszyneria tworząca białka, musi zostać wysłana swoista wiadomość z instrukcją. W dodatku przepis na białko przechowywany w DNA jest poprzedzielany informacjami, które do jego powstania są niepotrzebne. Dlatego konieczne jest przetłumaczenie receptury na język RNA i usunięcie zbędnych elementów kodu. Tak powstaje mRNA (przekaźnikowy lub informacyjny RNA; ang. *messenger RNA*) – cząstka materiału genetycznego gotowa do odczytania i wykorzystania w produkcji białka.

Istnienie mRNA i jego funkcje odkryto w 1961 r. Niedługo później pojawiła się możliwość tworzenia mRNA w warunkach laboratoryjnych, a to pozwoliło marzyć o zaprzęgnięciu komórki do produkcji określonych białek, bez trwałej zmiany jej materiału genetycznego. Idea wydaje się prosta: do komórki wprowadzamy mRNA, czyli notatkę z przepisem, a komórka na jej podstawie tworzy białko, wykorzystując własne molekularne narzędzia i składniki. O tym, że to możliwe, przekonano się w 1990 r., gdy inny zespół badaczy wszczepił do mięśni myszy mRNA kodujące białka i zaobserwował ich produkcję w komórkach.

Na drodze do realizacji tej idei w żywych organizmach stanęły jednak dwie przeszkody – sztucznie wytworzone mRNA wywoływało silną i niekorzystną odpowiedź immunologiczną, a sama produkcja białek była bardzo mało efektywna. Zanim więc duet tegorocznych noblistów mógł stworzyć jakąkolwiek szczepionkę, trzeba było rozwikłać zagadkę, dlaczego komórki traktują wszczepiony mRNA jako intruza – a nie jak własny mRNA, bez przeszkód wykorzystywany w produkcji białek.

Niedoceniony sukces

Przełomem były badania z 2005 r., w którym Karikó i Weissman dowiedli, że za brak reakcji na własne mRNA odpowiadają modyfikacje występujących w tej cząsteczce zasad azotowych. Testy na znanych Weissmanowi komórkach dendrytycznych udowodniły to jednoznacznie. Dalekosiężne skutki tej pracy nie zostały jednak od razu dostrzeżone. Dwa wiodące czasopisma naukowe – „Nature" i „Science" – nie zdecydowały się opublikować raportu z tego badania. Później laureaci wykazali także, że mRNA o zmodyfikowanych zasadach pozwalało na produkcję dużo większej ilości białka niż „gołe" mRNA.

Droga do leczenia i szczepienia przy pomocy mRNA stała otworem. Mutacja genetyczna powoduje niedobór jakiegoś białka? Wystarczy wszczepić mRNA i białko samo powstanie w ludzkich komórkach. Tradycyjna szczepionka z martwym wirusem jest mało efektywna i trudna w produkcji? Po podaniu mRNA komórki układu immunologicznego same wyprodukują białko wirusa i zdobędą na niego odporność.

Jak w wywiadzie z portalem Komitetu Noblowskiego wyznała Katalin Karikó, nawet ten sukces nie przekonał władz Uniwersytetu Pensylwanii. Węgierska badaczka została „zmuszona do przejścia na emeryturę i wyrzucona z uczelni". Wówczas zaczęła współpracę z firmą BioNTech. Wkrótce wspólne odkrycia dwójki przyszłych noblistów, ale i wielkie nadzieje związane z mRNA, miały zostać przetestowane w boju.

Szczepionki to przyszłość

Gdy prześledzimy pandemiczną oś czasu, stanie się jasne, dlaczego szczepionki i technologia mRNA są tak przełomowe. Wirusa SARS-CoV-2 za przyczynę choroby COVID-19 uznano w grudniu 2019 r. W styczniu 2020 r. chińscy naukowcy opublikowali w internecie kompletny genom wirusa. Pierwsze badania kliniczne szczepionki rozpoczęto po zaledwie trzech miesiącach, a po roku od odkrycia wirusa Weissman i Karikó w świetle fleszy zaszczepili się pierwszą w historii szczepionką mRNA na chorobę, na którą tylko tamtego dnia zmarło ponad 13 tys. osób. Komitet Noblowski podkreśla w swoich oświadczeniach, że to właśnie odkrycia Karikó i Weissmana miały kluczowe znaczenie w rozwoju technologii, która umożliwiła w tak błyskawicznym tempie stworzenie szczepionki w trakcie najpoważniejszego kryzysu zdrowotnego naszych czasów.

Wyprodukowanie i przebadanie klasycznych szczepionek przeciwwirusowych, czyli takich, w których podawany jest cały, ale zabity lub osłabiony wirus (albo jego najbardziej immunogenny fragment – np. białko kolca), trwałoby zdecydowanie dłużej.

Bezpieczeństwo szczepionek mRNA i ich skuteczność, również wobec kolejnych odmian koronawirusa, zachęciły naukowców do dalszych badań. Druga z firm farmaceutycznych, która w wyścigu o szczepionkę na SARS-CoV-2 postawiła na technologię mRNA, Moderna, planuje wyprodukować analogiczne szczepionki na kolejnych kilkanaście chorób zakaźnych, w tym malarię, dengę, ebolę oraz wywołane przez wirus HIV i zika. Szczepionka przeciwko wirusowi RSV, który w sezonie wywołuje liczne infekcje wśród dzieci i osób starszych, jest już w trakcie procesu o dopuszczenie do powszechnego użycia w USA. Ale technologia mRNA to nie tylko walka z chorobami zakaźnymi. Marzeniem naukowców jest szczepionka na choroby nowotworowe. Skoro można przy pomocy szczepionek mRNA zwrócić układ odpornościowy przeciwko patogenom, to czy uda się go wycelować w komórki nowotworowe?

W lipcu tego roku rozpoczęła się trzecia faza badań klinicznych nad spersonalizowaną szczepionką na czerniaka. Testowany preparat zawierał mRNA kodujący ponad 30 nowotworowych antygenów, które miały zostać rozpoznane przez komórki odpornościowe pacjenta. W połączeniu z innym lekiem na czerniaka terapia zmniejszyła śmiertelność o 44 proc. Podobna spersonalizowana terapia planowana jest dla chorych z rakiem trzustki.

Przeanalizowane w tym roku przez badaczy z Uniwersytetu Stanforda dane sugerują, że naukowa płodność zdobywców najbardziej prestiżowych nagród (w tym Nagrody Nobla) jest taka sama lub mniejsza niż przed uhonorowaniem. Nawet jeśli to ponoblowskie spowolnienie dosięgnie Katalin Karikó i Drew Weissmana, to dzieło ich życia z pewnością dopiero nabiera rozpędu. ©

Rzucamy światło na atomy

ŁUKASZ LAMŻA

Jedna sekunda mieści tyle attosekund, ile sekund mieści się w całej dotychczasowej historii wszechświata. Badania zjawisk zachodzących w takiej skali umożliwili tegoroczni laureaci Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki.

Jak głosi oficjalny komunikat Królewskiej Szwedzkiej Akademii Nauk, nagrodę otrzymali Pierre Agostini, Ferenc Krausz i Anne L'Huillier za „metody eksperymentalne pozwalające na generowanie attosekundowych impulsów światła w celu badania dynamiki elektronów w materii".

Biorąc pod uwagę to, że Noble z fizyki wręczano za przełomy takie jak odkrycie radioaktywności (1903), stworzenie mechaniki kwantowej (1932) albo potwierdzenie przyspieszającego rozszerzania się Wszechświata (2011), można by tegoroczną nagrodę zbagatelizować. Ot, ktoś tam wymyślił, jak błyskać laserem nieco szybciej niż poprzednicy. Nic bardziej mylnego.

Nano-piko-femto-atto...

Za co dokładnie ta nagroda? Rozłóżmy oficjalne, lakoniczne obwieszczenie na czynniki pierwsze.

Attosekunda to jedna trylionowa sekundy, a więc ułamek tak drobny, że wymyka się wszelkim intuicjom. Gdyby zacząć od sekundy i wędrować po drabinie kolejnych jej ułamków, zawsze tysiąckrotnie mniejszych od poprzedniego, uzyskalibyśmy następującą sekwencję: sekunda, milisekunda, mikrosekunda, nanosekunda, pikosekunda, femtosekunda... i dopiero tutaj attosekunda. Dość powiedzieć, że w jednej sekundzie mieści się mniej więcej tyle attosekund, ile sekund mieści się w całej dotychczasowej historii Wszechświata.

W skali femto- i attosekund atomy wykonują pojedyncze drgnienia i wchodzą w reakcje chemiczne.

– Gdy spojrzy się bliżej na cząsteczkę chemiczną, to dochodzi tam do wielu interesujących procesów. Przykładowo elektrony przemieszczają się z jednej jej strony na drugą – wyjaśnia prof. Jakub Zakrzewski z Zakładu Optyki Atomowej UJ. – To zjawisko zachodzi w skali femtosekund. Żeby je zaobserwować, trzeba stosować impulsy krótsze, a więc liczone w attosekundach – dodaje.

Pomyślmy o fleszu w aparacie fotograficznym. Gdy chcemy sfotografować proces pstrykania palcami – którego kluczowy etap, czyli lot palca środkowego ku poduszce u nasady kciuka, trwa kilka tysięcznych sekundy – potrzebujemy urządzenia generującego błyski trwające przynajmniej tak krótko. W przeciwnym razie wszelkie detale tego procesu rozmyją się na fotografii i wymkną się naszemu poznaniu. I tak właśnie jeszcze do niedawna było z przebiegiem reakcji chemicznych.

Teoria i praktyka błyskania

Historia tegorocznego Nobla zaczęła się od laserów. W latach 80. minionego wieku wyszło na jaw, że gdy poświeci się laserem w przezroczysty zbiornik wypełniony odpowiednio dobranym gazem, to atomy tego gazu ułamek sekundy później oddadzą uzyskaną od światła laserowego energię w postaci serii krótkich błysków. Czysto teoretycznie, jak się zdawało, dałoby się wykorzystać ten proces do oświetlania zjawisk atomowych. Na całym świecie w ośrodkach badań nad laserami odkrycie to wywołało spore poruszenie i ruszyły dalsze badania. Z jednej strony pracowali teoretycy, próbując zrozumieć, jakie konkretnie procesy fizyczne odpowiadają za te błyski i co mówi nam matematyka. Z drugiej – doświadczalnicy, z których troje otrzymało właśnie Nagrodę Nobla.

Anne L'Huillier, jedna z trojga tegorocznych laureatek, w latach 90. XX w. przewodziła grupie badawczej, która w Saclay pod Paryżem starała się coraz lepiej kontrolować błyski produkowane przez oświetlony laserem gaz. W 1994 r. była też współautorką jednego z najważniejszych artykułów teoretycznych na temat laserowego generowania ultraszybkich błysków. Co ciekawe, pierwszym autorem tego kluczowego artykułu był Polak, Maciej Lewenstein.

– Na nieszczęście dla Polaków tegoroczna Nagroda Nobla jest za część doświadczalną – mówi prof. Zakrzewski. – Gdyby nagradzać osoby, które przyczyniły się do tych samych odkryć, ale od strony teoretycznej, to na krótkiej liście głównych zasłużonych, obok takich osób jak Kenneth Kulander i Paul Corkum, na pewno znalazłby się Maciej Lewenstein.

Na początku lat 90. coraz więcej zespołów z całego świata nauczyło się generować tak interesujące wszystkich błyski. W 1997 r. Ferenc Krausz – drugi tegoroczny noblista – wytworzył w Wiedniu rekordowo wówczas krótki błysk trwający 4,5 femtosekundy (czyli 4500 attosekund). W 2001 r. dwie grupy niemal równocześnie ogłosiły przekroczenie bariery 1 femtosekundy, czyli wkroczenie w świat attosekund. Krausz wraz ze swoim wiedeńskim zespołem ogłosił wyprodukowanie błysku 650-attosekundowego, a w podparyskim Saclay 250-attosekundowe błyski wywołała grupa pod przewodnictwem Pierre'a Agostiniego, który domyka nam listę nowych noblistów. Aktualny rekord, nawiasem mówiąc, to 43 attosekundy.

Rurka z kryptonem

Fizyka to oczywiście znacznie więcej niż tylko czysto ilościowe przepychanki po rekordowy wynik.

– Ferenc Krausz był pierwszym człowiekiem, który wygenerował naprawdę pojedynczy impuls attosekundowy. Dopiero izolowanym impulsem można coś zbadać – jeśli uderzamy w cząsteczkę ciągiem następujących po sobie błysków, to nie tak łatwo jest później stwierdzić, jak przebiegał interesujący nas proces – tłumaczy prof. Zakrzewski.

Prosta analogia: wyobraźmy sobie, jak by wyglądało zdjęcie, gdyby lampa błyskowa naszego aparatu wykonywała kilkanaście szybkich błysków, jak stroboskop, w cza-

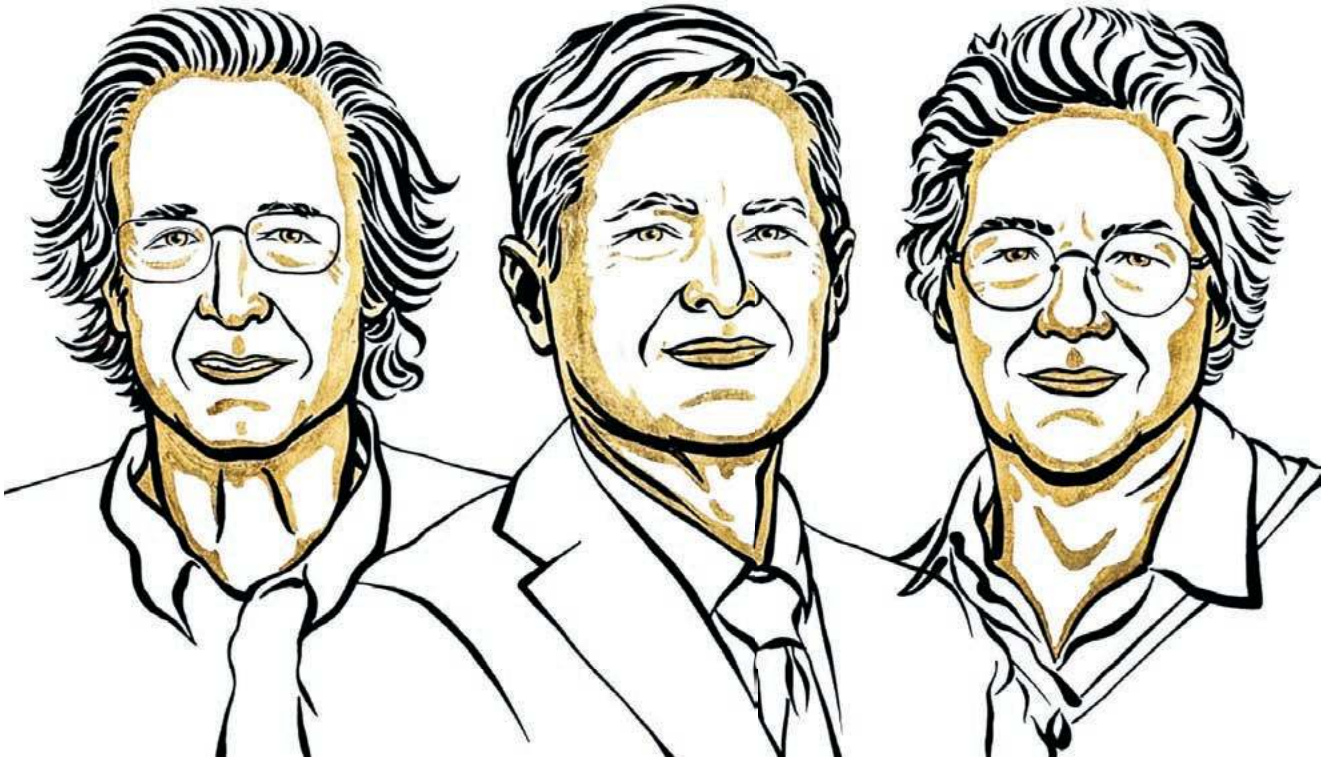

NIKLAS ELMEHED © NOBEL PRIZE OUTREACH

Od lewej: Pierre Agostini, Ferenc Krausz, Anne L'Huillier

sie gdy migawka jest otwarta. Na jednej i tej samej kliszy znalazłoby się wtedy kilkanaście nałożonych na siebie obrazów.

Tak też było z początku z laserowymi błyskami, które generowane są w długich seriach. Potrzebne były lata badań nad wyrafinowanymi układami optycznymi, aby z tego typu serii udało się „wyciąć" pojedynczy błysk. Opisy układów eksperymentalnych Krausza czyta się z niedowierzaniem. Gdy w 1997 r. jego grupa badawcza wygenerowała wspomniany wyżej rekordowy 4,5-femtosekundowy błysk, wymagało to przepuszczenia wytworzonego przez laser promieniowania – obok wielu innych elementów – przez rurkę o długości 60 cm i średnicy wewnętrznej jednej szóstej milimetra, wypełnioną mieszaniną argonu i kryptonu, zamkniętą w specjalnej komorze pod wysokim ciśnieniem.

Kolejnym problemem do rozwiązania było samo potwierdzenie, że naprawdę udało się wygenerować zjawisko tak krótkotrwałe. W 1994 r. Agostini wraz ze współpracownikami dostarczył drugiej kluczowej cegiełki dla „fizyki attosekundowej": opisał nowe zjawisko optyczne – oraz opartą na nim metodę o nazwie RABBIT – pozwalające na mierzenie czasu trwania ultrakrótkich błysków światła. Cóż nam bowiem po instrumencie, którego wydajności nie jesteśmy w stanie niezależnie zmierzyć?

Elektronowa zębatka

Fizyka attosekundowa to dziś wciąż żywy, dynamicznie rozwijający się obszar badawczy. Dzięki badaniom w skali attosekund coraz lepiej poznajemy przebieg reakcji chemicznych, anatomię atomów, procesy zachodzące w maleńkich bryłkach materii, a także uczymy się manipulować materią w skali atomowej. Pośród konkretnych zastosowań attosekundowych błysków często wymienia się medycynę, a właściwie farmakologię. Czasem mikroskopijne detale budowy lub zachowania związków chemicznych przekładają się na ich aktywność w organizmie ludzkim. W ostatnich latach pod lupą fizyków atomowych znalazły się ibuprofen oraz naproksen, które łączy ciekawa właściwość: obydwa występują w dwóch bliźniaczych chemicznie postaciach, z których tylko jedna ma pożądaną właściwość. Dzięki nowym metodom zaglądania do wnętrza cząsteczek zaczynamy powoli rozumieć, co właściwie za ten fakt odpowiada.

Łatwo też sobie wyobrazić, jak ważna jest drobiazgowa wiedza o atomach w XXI w., gdy zeszliśmy już z nanotechnologią do poziomu kwantowego. W komputerach kwantowych o ich poprawnym funkcjonowaniu może decydować pojedynczy przeskok elektronowy: intymny wgląd w najdrobniejsze szczegóły ich funkcjonowania jest więc na wagę złota. Podobne potrzeby zgłaszają nanotechnolodzy, którzy próbują tworzyć molekularne „maszynki", np. silniki lub przełączniki zbudowane z pojedynczych cząsteczek chemicznych. W tej skali jeden atom potrafi pełnić funkcję śrubki, koła zębatego lub zawiasu.

Tegoroczny Nobel świetnie pokazuje więc zasadniczą jedność nauki: te wszystkie dziwaczne na pozór zabawy z przepuszczaniem światła laserowego przez gazy szlachetne zamknięte w cienkich jak włos rurkach przekładają się ostatecznie na lepsze lekarstwa i sprawniejsze komputery. ©℗

REKLAMA

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

conradfestival.pl

MIGRACJE

15. Międzynarodowy Festiwal Literatury im. Josepha Conrada

Kateryna Babkina
Natasha Brown
Sylwia Chutnik
Philippe Claudel
Georgi Gospodinow
Mikołaj Grynberg
Inga Iwasiów
Martín Kohan
Sofi Oksanen
Intan Paramaditha
Małgorzata Rejmer
Judith Schalansky
Jakub Żulczyk

Jak wspólnie zrozumieć świat?

Kraków
23 – 29.10.2023

Sprawdź program

Wejściówki dostępne od 16.10 na kbf: bilety i w aplikacji kbf: plus

organizatorzy

dofinansowanie

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

partnerzy strategiczni

partnerzy

patroni medialni

księgarnia festiwalowa

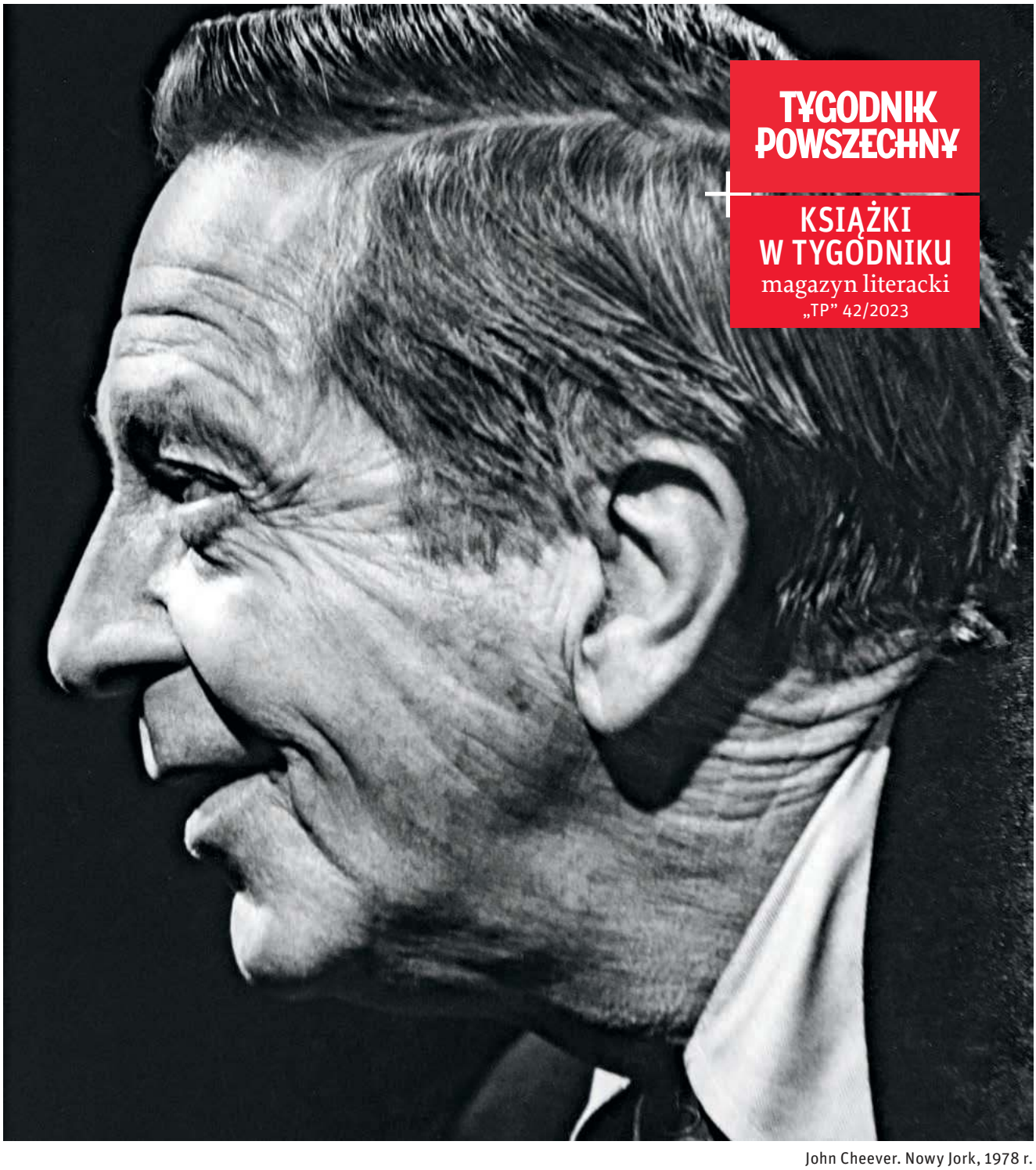

TYGODNIK POWSZECHNY
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
magazyn literacki
„TP" 42/2023

BROWNIE HARRIS / GETTY IMAGES

John Cheever. Nowy Jork, 1978 r.

O dwa martini za dużo

PIOTR KOFTA

W pewnym sensie opowiadania Johna Cheevera są zawsze o nim samym – starającym się zachować twarz wyrzutku, idealizującym ognisko domowe alkoholiku albo niekochanym chłopcu, którego pierwszą miłością nie była dziewczyna z sąsiedztwa, ale jego własny, starszy brat.

↦

Historia literatury podpowiada początkującym pisarkom i pisarzom: róbcie swoje, bądźcie cierpliwi, nie ulegajcie zniechęceniu, nie bójcie się upływającego czasu – a niewykluczone, że się uda. Kurt Vonnegut, wprawdzie zgorzkniały i zrezygnowany, powszechnego aplauzu dla swojej twórczości doczekał się, raczej niespodziewanie, tuż przed pięćdziesiątką. Cormac McCarthy z niszowego ekscentryka awansował na gwiazdę niedługo przed 60. urodzinami. Może zresztą być też tak, jak było z fenomenalną Angelą Carter: pełne uznanie zyskała w zasadzie dopiero po przedwczesnej śmierci.

Z Johnem Cheeverem (1912-1982), specjalistą od blasków i cieni życia na nowobogackich przedmieściach Wschodniego Wybrzeża, autentycznym (choć trochę dziś zapomnianym) mistrzem krótkiej formy, sprawy miały się jeszcze inaczej. Jego długa kariera – debiutował w wieku 18 lat – miała osobliwą dynamikę: najpierw dwie dekady klepania straszliwej biedy i uporczywego stukania w maszynę, w wyniku którego Cheever wypracował sobie renomę czołowego amerykańskiego autora opowiadań (swoją drogą, znana jest opinia samego autora na temat tej roboty, wypowiedziana pod koniec tamtego okresu: „Pisać opowiadania chce mi się mniej więcej tak samo jak ruchać kurczaki").

Potem przyszło piętnaście lat wybitnej formy literackiej i pasmo sukcesów, uwieńczone National Book Award za powieść „Kronika Wapshotów" (1958) i okładką „Time'a" z jego podobizną przy okazji wydania kontynuacji, „Skandalu u Wapshotów" (1964). Na wspomnianej okładce obwołano Cheevera dość nieskromnie „Owidiuszem z Ossining" (Ossining to nieduże miasteczko leżące nad rzeką Hudson, na północ od Nowego Jorku, w zasięgu kursowania pociągów podmiejskich, Cheever z rodziną mieszkał tam od 1961 r., wcześniej przez dekadę wynajmowali dom w pobliskim Scarborough).

Następna dekada z okładem to powolny upadek – redaktorzy (także ci z „New Yorkera", którego był stałym autorem przez ponad 40 lat) odrzucają jego teksty, recenzenci pastwią się bezlitośnie nad powieścią „Bullet Park" (1969), a sława poprzednich książek Cheevera blednie w oczach – sprzedają się słabo, wydawcy nie decydują się na dodruki. Ów kryzys nie pozostaje bez związku z niszczącym pisarza alkoholizmem, który w tych latach przybiera formy bez mała samobójcze.

W każdym razie w 1975 r., po dłuższym pobycie w ośrodku odwykowym, Cheever przestaje pić. I powraca jako pisarz: w 1977 r. wydaje powieść „Falconer" (jedyną nieprzełożoną na polski) i znów ląduje na okładce wpływowego tygodnika, tym razem „Newsweeka", w towarzystwie sloganu „Wielka Amerykańska Powieść". Z kolei w rok później ukazuje się wybór opowiadań „The Stories of John Cheever", uważany za jeden z najsłynniejszych – i najlepiej sprzedających się – zbiorów krótkich próz w dziejach literatury amerykańskiej.

W 1981 r. lekarze diagnozują u Cheevera raka płuc z przerzutami. Umiera w czerwcu 1982 r. Na dwa miesiące przed śmiercią, wyniszczony chorobą nowotworową, przemawia w nowojorskiej Carnegie Hall podczas ceremonii przyznania mu prestiżowej nagrody za całokształt twórczości (National Medal for Literature). „Strona zapisana dobrą prozą – oświadcza – pozostaje niezwyciężona".

Mąż na przedmieściach

Można chyba powiedzieć, że zawijasy kariery Cheevera – uważnego kronikarza dziejów rodzącej się na jego oczach klasy średniej z aspiracjami, realizującej swoje marzenia o domu z ogródkiem i basenem, dobrej pracy w mieście, cotygodniowej wizycie w kościele, dziecku w prywatnej szkole i umiarkowanie oprocentowanym kredycie; klasy średniej, której obiecano swoistą, solidną wersję American Dream jako merytokratycznie rozdystrybuowanej nagrody za ciężką pracę i poświęcenie – otóż zawijasy te są powiązane z meandrującą historią polityczno-kulturową samych Stanów Zjednoczonych. Najlepsze 15 lat Cheevera przypada na okres powojennej prosperity czasów Trumana, Eisenhowera i Kennedy'ego, epokę pospiesznej akumulacji i radosnej konsumpcji. „Gości w salonie Farquarsonów zdawało się jednoczyć milczące przeświadczenie, że żadna przeszłość nie istnieje, żadnej wojny nie było – że na świecie nie ma zagrożeń ani problemów" – wybrzmiewa refleksja w opowiadaniu „Mąż na przedmieściach".

Kłopoty Cheevera zaczynają się natomiast wraz z rozkwitem kontrkultury, gdy wspomniana klasa średnia zostaje posadzona na ławie oskarżonych za jej, domniemany bądź autentyczny, materializm, a także za prawicowy militaryzm, rasizm, obłudę religijną i seksualną, kult odmóżdżającej pracy i mizoginię – co znaczy tylko tyle, że najpewniej nigdy nie czytano Cheevera uważnie.

Autor „Pływaka" powraca następnie do łask, gdy w Ameryce przychodzi czas nowego, ultraliberalnego konserwatyzmu – w jakiejś mierze powraca zapewne w wyniku nagłego przypływu nostalgii za wyidealizowaną przeszłością, gdy mężczyźni byli męscy, kobiety kobiece, a świat prosty, przewidywalny i moralnie czysty. Co znów wskazuje na to, że Cheever nie mógł liczyć na uważną lekturę, rzeczywistość jego opowiadań jest bowiem znacznie bardziej skomplikowana. Podobnie zresztą jak jego biografia.

Podróż jedenasta

Przyjrzyjmy się zatem najpierw prozie Cheevera – jest ku temu dobra okazja, jako że w bardzo obiecującej serii „Opowiadania amerykańskie" wydawnictwo Czarne opublikowało zbiór „Wizja świata", w wyborze i z przedmową Juliana Barnesa. Ów zbiór – świetnie przełożony przez Krzysztofa Majera – zawiera w zasadzie *crème de la crème* krótkich próz Cheevera, choć polski czytelnik, który pamięta poprzednie edycje tłumaczeń nowelistyki Amerykanina (było to dawno, ostatnie pozycje to jeszcze lata 80.), zdziwi się nieobecnością paru klasycznych tekstów (dajmy na to: „Włamywacza z Shady Hill", „Brimmera", „Miłosnej ballady" czy „Wykształconej Amerykanki").

Mniejsza o to, zawartość „Wizji świata" wystarczy, by Cheever przypomniał nam, jak wytrawnym był pisarzem – oraz ile potrafił wycisnąć z dosyć spetryfikowa-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Anna Cieplak,
Katarzyna Kubisiowska,
Dorota Masłowska, Piotr Siemion,
Mariusz Szczygieł i inni.

Słuchaj rozmów z pisarkami i pisarzami w podkaście „Tygodnika Powszechnego"

TYGODNIK POWSZECHNY

TygodnikPowszechny.pl/podkast

nej już wówczas formy popularnego, czasopiśmiennego opowiadania, przeznaczonego dla masowego czytelnika. Dobrze bowiem pamiętać o tym, że „New Yorker" – najważniejszy „Cheeverowski" tytuł – nieodmiennie wymagał precyzyjnego formatowania tekstów: redakcja oczekiwała małego realizmu, wartkiej fabuły i klarownego języka, nie życzyła sobie zaś żadnej awangardy i surrealnej fantastyki, żadnego nieobyczajnego prowokowania czytelników. A jednak dojrzale modernistyczne opowiadania Cheevera przesycone są fundamentalnym, egzystencjalnym niepokojem dotyczącym samych podstaw ludzkiego istnienia w świecie.

Bohaterowie Cheevera, owi *white collars* dojeżdżający z przedmieść do biurowej pracy w metropolii, ich zagrzebane w dzieciach niepracujące żony, ich wyrachowane albo szalone kochanki, ich dzieci zaprzęgnięte od małego w system reprodukcji prestiżu, ich kasiaści sąsiedzi skupieni na organizowaniu kolejnych ogrodowych bankietów, całe to towarzystwo żyje w skrajnej niepewności – nie tylko materialnej (jako że zawsze znajdują się o jedną brakującą wypłatę bądź ratę kredytu od bankructwa), lecz także psychologicznej: prześladuje ich syndrom oszusta, mają poczucie, że ich roszczenia względem przynależności do tego hiperpoprawnego, ułożonego, grzecznego pejzażu, do tej równo przystrzyżonej sielanki, są nieuzasadnione, że biorą coś, co im się nie należy, i że zostaną za to ukarani. U Cheevera pod gładką powierzchnią codziennej rutyny zwykle kryje się jakaś sztywność, dyskomfort, nerwowe napięcie, zapowiedź nagłej eksplozji, obnażenia, demaskacji.

Ta sytuacja – w której ostatecznie wszyscy udają, że są kimś innym – przypomina mi „Podróż jedenastą" Ijona Tichego z „Dzienników gwiazdowych" Stanisława Lema: Tichy udaje się na planetę zasiedloną przez zbuntowane roboty, owe roboty wytworzyły złożoną kulturę nienawiści wymierzoną w ludzkość, wzajemnie tropiąc u siebie jakiekolwiek przejawy „lepniactwa" („lepniakami" nazywają pogardliwie ludzi). Finał jest taki, przypominam, że – jak odkrywa Tichy – ogół mechanicznych członków społeczności planety to ludzie, zakuci w robotyczne zbroje i szantażowani przez anonimowego urzędasa przemawiającego

BACHRACH / GETTY IMAGES

John William Cheever. Boston, 1975 r.

z wnętrza wielkiego pudła, które imituje superkomputer.

Odpowiednikiem „lepniaków" u Cheevera są ci, co im się powinęła noga, ci, co okazali się uzurpatorami albo przegranymi w tym pozornie niewidocznym wyścigu, ewentualnie ci dostrzegający całą marność owego światka. Sam Cheever pisał w dzienniku niedługo po wyprowadzce z Nowego Jorku: „Przedmieścia! Dobry Boże! Niczym wrogie terytorium okrążały miasto i kiedy myśleliśmy o nich, widzieliśmy całkowitą utratę prywatności, szambo konformizmu i nieopisanie ponure życie w bliżej nieokreślonej, posegregowanej majątkowo dziurze, której nazwa miała szansę pojawić się w »New York Timesie« tylko wtedy, gdy jakaś znudzona gospodyni domowa postanowi odstrzelić sobie głowę przy użyciu strzelby".

Pływak ze stójką

Nic dziwnego, że bohaterowie zamieszkujący te narracje w kółko piją – albo są wciąż jeszcze na lekkim rauszu, albo kompletnie schlani, albo na kacu. „Była to jedna z tych niedziel w samym środku lata, gdy wszyscy mówią: »Za dużo wczoraj wypiłem«" – takim zdaniem zaczyna się „Pływak", jedno z najsłynniejszych opowiadań Cheevera, w którym Neddy Merrill, prosperujący, choć już niezupełnie młody biały kołnierzyk z przedmieść, postanawia, pełen życia i trochę wstawiony, przepłynąć do domu wpław z imprezy u znajomych.

Brak cieku wodnego, który mógłby zostać wykorzystany do tego celu, nie stanowi problemu, bo Neddy umyślił sobie pływać tylko w basenach, a odległości między nimi pokonywać pieszo. „Nie czuł, że życie go w jakiś sposób ogranicza, więc zachwyt, jakim przepełniło go to spostrzeżenie, nie wiązał się z powabną perspektywą ucieczki. Jak gdyby w jednej chwili dojrzał – okiem kartografa – ów sznur basenów, półpodziemny strumień, przebijający się krzywizną przez całe hrabstwo. Poczynił odkrycie, oto jego wkład w nowożytną geografię; strumień postanowił nazwać Lucinda, na cześć żony".

Basen – to symbol statusu. Ale nie tylko: to także, naturalnie, metafora intymnej kobiecości. „Gość podróżuje ze stójką" – notował sarkastycznie Cheever w dzienniku. Owa podróż – także przez basen byłej kochanki – zaczyna podlegać dziwnym, groteskowym zniekształceniom, rzeczywistość otaczająca Neddy'ego rozpada się, gnije, lato nagle przechodzi w późną jesień. Jest to, by tak rzec, podróż w ciemność, w krainę męskich lęków, dotyczących zarówno ról społecznych: obywatela, męża, głowy rodziny, jak i własnej seksualności. A także, bez wątpienia, wyzwanie rzucone purystom z redakcji „New Yorkera".

Równowaga akrobaty

Niedługo po śmierci Cheevera jego dorosłe już dzieci za zgodą matki wzięły się za rozbrajanie bomby, jaką stanowiło osnute tajemnicą, pełne sprzeczności życie pisarza. Najpierw, w 1984 r., córka Susan wydała „Home Before Dark", książkę wspomnieniową o ojcu, w której pojawiły się refleksje na temat jego potwornego pijaństwa, chronicznej niewierności małżeńskiej i otoczonego zmową milczenia biseksualizmu. W 1988 r. wyszedł wybór listów Cheevera w opracowaniu jego syna Benjamina. W roku 1991 natomiast ukazały się fragmenty dzienników autora „Kroniki Wapshotów" – brutalnie szczerych, pełnych autoagresji, wściekłości i resentymentu, otwarcie relacjonujących jego trudne przygody z alkoholem, seksem, małżeństwem, ojcostwem i skrajnie niskim poczuciem własnej wartości. Dopiero jednak lektura obszernej biografii Cheevera („Cheever. A Life" z 2009 r.) ↦

↦ pióra Blake'a Baileya przynosi pełny obraz udręki, jaką dla pisarza było jego własne życie.

„Nie mam życiorysu. Przychodzę znikąd i nie wiem, dokąd zmierzam" – napisał kiedyś o sobie Cheever. A w dzienniku podkreślał nędzę swojego pochodzenia: „Urodziłem się poza jakąkolwiek klasą społeczną i sam bardzo wcześnie podjąłem decyzję, by wkraść się jak szpieg w środowisko klasy średniej, co miało mi zapewnić korzystną pozycję do ataku. Wydaje się jednak, że potem zapomniałem o tej misji i swoje przebranie potraktowałem zbyt poważnie".

Faktycznie Cheever sprawę rodzinnych korzeni traktował nader serio. Nazwisko Cheever w Nowej Anglii kojarzy się jednoznacznie z postacią Ezekiela Cheevera (1614-1708), wybitnego nauczyciela i łacinnika, podziwianego przez współczesnych za „niestrudzone wyrzekanie się diabła". Problem w tym, że linia, z której wywodzili się bezpośredni męscy protoplaści pisarza, należała do tych bocznych – zarówno dziad, jak i ojciec Johna nie należeli już od dawna do nowoangielskiej elity: byli z zawodu szewcami.

Niemniej byli szewcami czytającymi książki i chodzącymi do teatru – wuj Cheevera nie przypadkiem miał na drugie Hamlet. Przodkowie matki z kolei nosili elegancko brzmiące nazwisko Deveraux, co skłaniało Johna do opowiadania wszystkim, że jego pradziadem był Sir Percy Deveraux, lord rodem z Windsoru; nikt podobny nie istniał, dodajmy.

Tak czy owak, wielkim, niespełnialnym marzeniem Cheevera, urodzonego w Quincy na przedmieściach Bostonu w rodzinie obwoźnego szewca i pielęgniarki, była przynależność do lokalnego grona szlachetnie urodzonych – jedyne, co mógł zrobić prócz konfabulowania, to wymyśleć od nowa samego siebie. Istnieją liczne świadectwa tej kreacji, ale jedno uważam za wyjątkowo trafne: to relacja poety Dany Gioia ze spotkania z Cheeverem na Uniwersytecie Stanforda we wczesnych latach 70. – w czasach, warto zaznaczyć, gdy jego akcje stały nisko, a znajomym zdarzało się znajdować go śpiącego po pijanemu wśród bezdomnych na nowojorskich ulicach, z flaszką w dłoni, ale za to bez ubrania, jedynie w płaszczu.

„Chociaż Cheever wyglądał dokładnie tak, jak na zdjęciach z książkowej obwoluty, zaskoczyły mnie trzy rzeczy" – pisze Gioia („Studying with Miss Bishop: Memoir from a Young Writer's Life", 2021). – „Po pierwsze, że był tak niski. Z jakiegoś powodu (...) spodziewałem się czarująco wysokiego jankeskiego dżentelmena. Zamiast tego ujrzałem drobnego, chłopięco wyglądającego mężczyznę, który mierzył ledwie kilka cali powyżej pięciu stóp. Po drugie, Cheever był najbardziej opanowanym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Każdy jego gest był tak pełen gracji, że z trudem mógł uchodzić za element topornej codzienności. Nawet to, jak siedział, wydawało się starannie skomponowane, niczym portret. (...) [Cheever] miał styl, który przykuwał uwagę, podobnie jak wielki aktor może skraść scenę, nie mówiąc przy tym ani słowa. Wreszcie, byłem oszołomiony jego głosem. Cheever mówił patrycjuszowską angielszczyzną z Massachusetts, którą, jak podejrzewam, sam wymyślił, bo nigdy nie słyszałem nikogo innego mówiącego w podobny sposób. Używał jednak tego eleganckiego, fikcyjnego dialektu tak przekonująco, że w jego głosie rozbrzmiewała siła starożytnego autorytetu. Rozmawiałem w życiu z ludźmi zabawniejszymi i mądrzejszymi niż Cheever, z ludźmi bardziej pomysłowymi, (...) spostrzegawczymi lub sympatycznymi, ale nigdy nie spotkałem nikogo, kto posiadałby wszystkie te cechy (...) w tak zręcznej równowadze. Nie była to banalna równowaga umysłowości mocno stojącej obiema nogami na twardym gruncie, ale równowaga akrobaty". I było to właśnie owo przebranie.

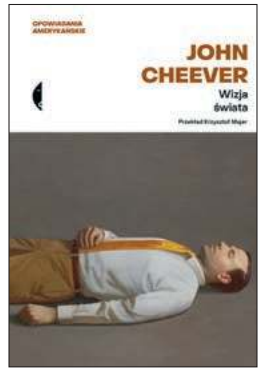

John Cheever **WIZJA ŚWIATA** *przeł. Krzysztof Majer, Wydawnictwo Czarne 2023*

I po wszystkim

W pewnym sensie więc podmiejskie opowiadania Cheevera są zawsze o nim samym – starającym się zachować twarz oraz status przybłędzie i wyrzutku, idealizującym ognisko domowe alkoholiku wychowanym w rodzinie, w której nie wylewało się za kołnierz, niekochanym chłopcu, którego pierwszą miłością nie była dziewczyna z sąsiedztwa, ale jego własny, starszy brat (z biografii autorstwa Baileya wynika skądinąd, że nie była to relacja czysto platoniczna), i który niemal przez całe życie obwiniał się za homoseksualne skłonności, głosił dość odstręczające homofobiczne poglądy i, o ile akurat był w stanie utrzymać się na nogach, rzucał się – niczym Neddy Merrill do kolejnych basenów – w następujące po sobie, pospiesznie konsumowane romanse z kobietami (jedna z jego kochanek wspominała, że nigdy nie widziała równie napalonego faceta, inna – że „wystarczyło wejść do pokoju, a już miał cię na kanapie. Raz, dwa i po wszystkim. I w zasadzie mogłaś sobie stamtąd pójść na resztę wieczoru. A on był szczęśliwy").

Dopiero w ostatnich latach przed chorobą i śmiercią w bliskim kręgu Cheevera zagościł – niemal oficjalny – kochanek, młody pisarz Max Zimmer. Ale nawet wtedy nie mogło być całkiem normalnie: Zimmer mieszkał z Cheeverem i jego żoną Mary w ich domu w Ossining, w ramach kamuflażu pełniąc rolę jakiegoś bliżej nieokreślonego asystenta.

Gdy był dzieckiem, matka Cheevera co jakiś czas przypominała mu, że nikt nie oczekiwał jego przyjścia na świat. „Wypiłam po prostu o dwa martini za dużo – mówiła. – A twój ojciec tak pragnął aborcji, że producenta aniołków zaprosił do nas na obiad". Przez wszystkie dekady swojego życia – z własnego wyboru – był sam wśród ludzi. W dodatku miał to nieszczęście, że nawet gdy wspinał się na szczyty popularności, zawsze w pobliżu lśniła pisarska gwiazda większego formatu: w latach 50. J.D. Salinger, w latach 70. choćby John Updike, Philip Roth czy Raymond Carver (z którym zresztą Cheever ostro popijał).

Mówiąc o formacie, nie myślę o jakości pisarstwa – to sprawa gustu – lecz o rozgłosie i prestiżu: wyśnione przedmieścia Cheevera stały się w pewnym sensie jego literackim więzieniem. A przecież był prozaikiem fenomenalnie czułym, mądrym i samoświadomym.

© PIOTR KOFTA

Telefon do Hemingwaya

JAN BŁASZCZAK

Dla literatury opowiadania są tym, czym jazz dla muzyki – przekonuje notka, od której rozpoczynają się książki nowej serii wydawnictwa Czarne. Ładne, ale nie mogę się zgodzić. Amerykański jazz od początku był spleciony z poezją. Czarni autorzy próbowali improwizować, łapać rytm bebopowej sekcji, sięgali po muzyczne metafory i nazwiska gwiazd tej sceny. I w drugą stronę: jazzmani nazywali swoją twórczość poezją („Poem for Malcolm" Archiego Sheppa) albo po prostu pisali wiersze (Sun Ra, Cecil Taylor). Weźcie do ręki antologię „Black Fire", otwórzcie na dowolnej stronie, a usłyszycie wściekły ton Aylera. Jazz i poezja, jak dżem i masło orzechowe.

Nie oznacza to, że czytając amerykańskich klasyków opowiadań nie słyszę muzyki. Słyszę ją głośno i wyraźnie. Czasem wręcz przeszkadza w lekturze. Tyle, że z tych krótkich tekstów płynie przede wszystkim wspaniała tradycja amerykańskich songwriterów.

Sięgam na półkę i gdy tylko zbliżę dłoń do Carson McCullers czy Ernesta Hemingwaya, w tle pobrzmiewa już akustyczna gitara. Fakt, czasem to jest wariactwo, natręctwo, naprawdę nie ma się czym chwalić, ale też wyłączyć nie sposób.

Czytam „Ten, kto spał w tym łóżku" Raymonda Carvera i jestem przekonany, że słyszałem już coś podobnego. Po chwili wyławiam fragmenty melodii, które prowadzą mnie do „Marthy" z debiutanckiego albumu Toma Waitsa. Fakt, piosenka idzie w proste romantyzowanie, podczas gdy u Carvera wszystko to bardziej skomplikowane, ale ten niespodziewany telefon, dawna miłość, napięcie na linii... Nic nie poradzę: czytam jedno, słyszę drugie.

Bywa i tak, że brzęczenie w uchu pomaga. Pamiętam, że kiedy skończyłem „Rzekę dwóch serc" Hemingwaya, czułem się lekko zdezorientowany. To już? A gdzie jakaś puenta? Oczywiście, nie wiedziałem wtedy jeszcze o „teorii góry lodowej", ale znałem już „River Guard" Billa Callahana. Wspaniały utwór o strażniku, który wyprowadza więźniów nad rzekę, gdzie mogą popływać, trochę się zrelaksować. Bardziej nawet obrazek niż historia. Nic więcej się tu nie wydarzy, bo nic więcej nie trzeba. Jak to u Hemingwaya.

Gdybym miał znaleźć łącznik pomiędzy piosenką a opowiadaniem, wybrałbym telefon. Z budki, ze stacjonarnego, z komórki – ciągle ktoś tu dzwoni. Nie trzeba nigdzie łazić, potykać się z krajobrazem. Trzy sygnały, podniesiona słuchawka i jesteśmy w centrum wydarzeń. Podobnie w piosenkach, nawet tych nowszych, pisanych w czasach, gdy nikt już przez telefon nie gada. W utworze Phoebe Bridgers „Kyoto" ojciec dzwoni do artystki z automatu. Bridgers wie, że to mało prawdopodobne, więc tłumaczy, że w Japonii wciąż używają tego wynalazku. Później przyzna, że wszystko zmyśliła. Telefon się po prostu sprawdza.

Telefonu nieustannie używa też Mark Kozelek. Jeśli miałbym wskazać autora najlepszych muzycznych opowiadań, postawiłbym właśnie na lidera Sun Kil Moon z okresu „Perils from the Sea" – „Benji". To piosenki pisane przez gościa, który nie potrafi poskromić swojej uwagi. Znaleźć pstryczka, który zatrzyma transfer wspomnień i refleksji. Dlatego raz za razem Kozelek mówi więcej niż to konieczne. W piosence „Carissa" – poruszającym hołdzie dla tragicznie zmarłej kuzynki – przeskakuje w czasie, szkicuje wielowymiarowe relacje rodzinne, dorzuca skojarzenia, skrawki wspomnień, zagląda za najbliższe skrzyżowanie i dwie przecznice dalej. Te informacje wcale nie popychają akcji do przodu, uwiarygodniają natomiast budowany przez niego świat.

Słuchając „Benji" ani przez moment nie mam wrażenia, że Kozelek chce mnie tylko poprowadzić od refrenu do refrenu. Przeciwnie, on próbuje mnie zatrzymać w kompulsywnie rozbudowywanym świecie, w którym wydarzają się jego piosenki. A stąd już chyba niedaleko do literatury.

Sęk w tym, żeby w tym wszystkim nie stracić z oczu piosenki. Żeby jej stelaż, kręgosłup, nie strzelił pod ciężarem faktów, wspomnień i anegdotek. Kozelek się przed tym nie uchronił i w efekcie po niezłym „Universal Themes" zaliczył jakościowy zjazd (nie tylko muzyczny, ale to inna historia), topiąc siebie i słuchaczy w nawarstwiającym się informacyjnym szumie. I może to ostateczny dowód na artystyczne pokrewieństwo songwritera i autora opowiadań? Czasem obaj bardziej niż chwytliwej melodii czy błyskotliwego pomysłu potrzebują po prostu dobrego redaktora. ©

WSPÓŁWYDAWCA PARTNERAMI WYDANIA SĄ ERGO HESTIA (PARTNER GŁÓWNY) ORAZ WYDAWNICTWO CZARNE

Fundacja Tygodnika Powszechnego

ERGO HESTIA

wydawnictwo czarne

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 42/2023
REDAKCJA: Monika Ochędowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron | SKŁAD: Andrzej Leśniak

Dołącz do naszej grupy na Facebooku i Instagramie @ksiazkiwtygodniku

Planeta obraca się z trudem

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Rzeczywistość, w której pojawia się „Wielki chłopak", nie jest wesoła, raczej szara niż kolorowa, czasem wręcz przerażająca. Klimat? Mglisty, deszczowy, wilgotny. Ale za to jak opisany!

Minęło sześć lat i po świetnej „Florydzie" przyszła na Grzegorza Bogdała próba drugiej książki. Od razu powiem: nie ma rozczarowania, nie ma też odcinania kuponów od tamtego sukcesu, bo „Idzie tu wielki chłopak" to książka całkiem inna.

Nie tylko dlatego, że opowiadanie tytułowe ma cztery części i rozwija się w mikropowieść o Szymonie i jego rodzicach oraz o papudze kakadu po przejściach i małpce kapucynce. Rozwija się zresztą także wstecz, mamy tu sceny z festiwalu w Jarocinie, na który rodzice zabrali małego Szymka. Brak fajerwerków czarnego humoru, które pojawiały się w pięciu monologach z „Florydy" (przypominam, że narrator „Oczka w głowie" obciął mamusi głowę siekierą, ale ta dalej gotowała mu pyszny rosół), humor, bardziej dyskretny, kryje się teraz raczej w języku. Języku, który jest równie mocny i trafny jak w pierwszej książce, a wewnętrzna spójność wykreowanego świata może nawet większa.

„Od początku padał deszcz i nic nie dało się zrobić" – to pierwsze zdanie ostatniego z opowiadań, w którym stuletnia aktorka Julia wraca przed kamerę, by reżyserce-dokumentalistce opowiedzieć o swoim największym sukcesie, filmie „Wyspa", w realiach, w których ten film nakręcono. Tyle że nie ona jest u Bogdała główną bohaterką, a Barbara, jej samozwańcza opiekunka, zdziwaczała wnuczka jej brata, i synek Barbary Henio, uprzykrzający wszystkim życie zagadkami.

„Planeta obracała się z trudem" – zdanie przedostatnie mogłoby być mottem

Grzegorz Bogdał
IDZIE TU WIELKI CHŁOPAK
Wydawnictwo Czarne 2023

całości. W ogóle mocnych fraz proszących się o zacytowanie („W dniu swoich urodzin Szymon odstawił swojego ojca do wariatkowa" – tak brzmi początek części drugiej utworu tytułowego) jest tu wiele, a finałową scenę z „Wyspy", w której Henio, przymuszony przez matkę, z mozołem wiosłuje przez mgłę w nieznane, można by potraktować jako metaforę losu.

Klimat bowiem jest tu nie tyle może mroczny, ile właśnie mglisty, deszczowy, wilgotny. Bywa błotniście, a stado dzików zamienia osiedlową ulicę w babrzysko. „Dziki ryją trawnik, nic innego ich nie obchodzi, chrapią i ciamkają z radochy. Zwaliste, brunatne cielska pochłaniają światło i oddają żar, od szczeciny można by odpalić papierosa, zaciągnąć się wonią ściółki i przyschniętego do zadów błota"; być może Bogdał jest pierwszym pisarzem, który wprowadził do polskiej literatury zjawisko inwazji dzików na nasze miasta?

Bohaterowie są osobni, z trudem nawiązują relację z drugim człowiekiem, czasem zupełnie z niej rezygnują, jak rodzice Szymka, skutecznie izolujący się od siebie, choć mieszkają w jednym domu. W tym świecie wszystko niemal okazuje się uciążliwym wyzwaniem, jak ów kamień nerkowy, który Szymon ma urodzić, i nic się na ogół nie udaje – także komiks, nad którym Szymon długo pracuje, jego samego przestaje interesować.

I na wszystko jest za późno: „Nagle pomyślałem, że przegapiłem moment, kiedy mogłem dokonać jakiejś młodzieńczej zbrodni. Teraz byłbym zdolny jedynie do czegoś obrzydliwego, na wieść o czym odechciewa się jeść". To bohater opowiadania „W górę serca", dźwigowy, któremu właśnie umarł pies i który spędził noc w kabinie żurawia... A nadzieja? Jakoś jej nie widać, a wiara też jej nie daje. Barbara „w ciemnościach straciła pewność, czy jest tu sama. Kiedyś wcale nie wierzyła, a teraz był to najgorszy wyobrażalny Bóg".

Tak, rzeczywistość w której pojawia się „Wielki chłopak", nie jest wesoła, raczej szara niż kolorowa, czasem wręcz przerażająca, ale za to jak opisana! „Lektura tych tekstów nie prowadzi do poczucia zadomowienia, choćby w złu i nieszczęściu, lecz wytrąca z równowagi. Groza zderza się tu z ironią, wydarzenia przybierają nieoczekiwany obrót (lub przeciwnie: fatalna siła pcha je w jednym kierunku), postaci zaskakują swoim zachowaniem, a finały historii pozostawiają czytelnika równie bezradnym jak ich bohaterów" – tak pisał Bogdał o opowiadaniach Flannery O'Connor. Dostrzegam pewne zbieżności – choć wydaje mi się, że u autora „Florydy" więcej jest chyba współczucia. ©℗

SPOTKANIE Z WOJCIECHEM JAGIELSKIM W KRAKOWIE

Zapraszamy na spotkanie z reporterem i dziennikarzem „Tygodnika Powszechnego”, wieloletnim korespondentem wojennym, Wojciechem Jagielskim.

Pałac Potockich w Krakowie, godz. 18.00, 16 października 2023 r.
Prowadzenie: Krzysztof Story

Czytaj Wojciecha Jagielskiego na TygodnikPowszechny.pl/StronaSwiata
Słuchaj podkastu Jagielski i Story na TygodnikPowszechny.pl/podkast

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

GRAŻYNA MAKARA

REKLAMA

ESEJ REPORTERSKI

Zwykły worek, który przechował miłość i historię. Trzy pokolenia, trzy kobiety i brutalne czasy niewolnictwa w USA.

Historyczne śledztwo nagrodzone National Book Award w kategorii non-fiction

GŁUSI MÓWĄ ZA SIEBIE

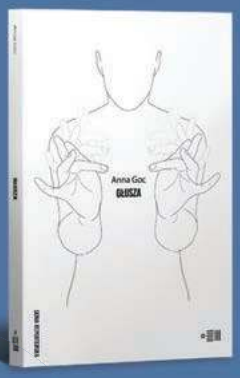

Książka redaktorki „Tygodnika Powszechnego”, uhonorowana Nagrodą im. R. Kapuścińskiego

Czy ludzi można opuścić językowo?
Nie dać im prawa do języka?
Anna Goc oddaje głuchym głos.

ZOBACZ NA DOWODY.COM

REKLAMA

słowo/obraz terytoria

MARIA JANION WAMPIR

Biografia symboliczna

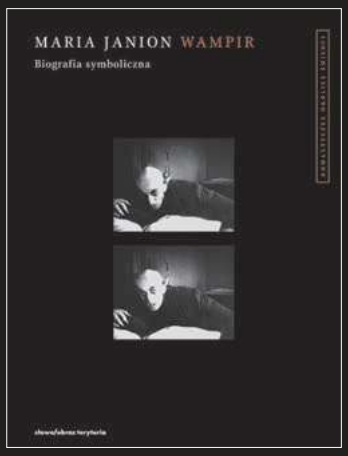

PREMIERA 26 PAŹDZIERNIKA

KUP W PRZEDSPRZEDAŻY

Notoryczni debiutanci

MARIA KARPIŃSKA

Kursy kreatywnego pisania przynoszą wiele porad dla początkujących twórców. Szczególnie ciekawą sugestią jest ta, która zaleca napisanie drugiej książki przed pierwszą. Tę strategię wcieliła w życie Harper Lee.

W niepublikowaniu kryje się cudowny spokój", powiedział w wywiadzie dla „New York Timesa" J.D. Salinger. W tym samym wywiadzie autor najsłynniejszej amerykańskiej powieści, „Buszującego w zbożu", przyznał, że kocha pisać, ale zamierza robić to tylko dla siebie – publikowanie nazwał okropną ingerencją w prywatność.

Po swojej pierwszej genialnej książce, wciąż sprzedającej się w liczbie paruset tysięcy egzemplarzy rocznie, spod jego pióra wyszły nieliczne opowiadania, z których jedynie część ujrzała światło dzienne. Taka próba zatrzymania dla siebie stanu pisania pozbawionego oceny zdarza się jednak w historii literatury rzadko. Częściej „autorzy jednego przeboju" to ci, których kolejne utwory okazały się słabsze od tego niosącego sławę, więc świat puścił je w niepamięć.

Niektórym, jak Borysowi Pasternakowi, który za swoją jedyną powieść, „Doktora Żywago", otrzymał Nagrodę Nobla, możliwość stworzenia kolejnych fabuł nie była dana. Gdyby historia obeszła się z nim łaskawiej, być może zdołałby powtórzyć sukces swojego powieściowego debiutu – nagonka polityczna ZSRR przyczyniła się jednak do jego śmierci zaledwie trzy lata po premierze „Doktora Żywago".

Z kolei Emily Brontë, podobnie jak Salinger, ceniła sobie prywatność i była niechętna publikacjom, jak również ujawnianiu swojej tożsamości – „Wichrowe wzgórza" zostały pierwotnie opublikowane pod męskim pseudonimem. Tak samo jak Pasternak nie miała jednak szans, by napisać coś więcej: zmarła przedwcześnie w wieku zaledwie 30 lat.

Syndrom drugiej książki

Istnieje parę mitów związanych z pisaniem książek. Mój ulubiony, o XIX-wiecznym rodowodzie, chętnie wyzyskiwany przez kinematografię, ukazuje pisarza – raczej mężczyznę – jako niedojdę niezdolną do wykonania najprostszych przyziemnych czynności. Inne z chętnie powtarzanych wyobrażeń o pisaniu nadają szczególną wagę drugiej książce. Podczas gdy błyskotliwy debiut mógł być dziełem przypadku, kolejne utwory już nie.

Dlatego też zwykło się uważać, że to druga książka jest – jeśli nie najważniejszą – to przynajmniej równie ważną jak debiut publikacją w karierze. Takie postawienie sprawy ma z kolei swoje konsekwencje, które zostały zebrane pod nazwą Syndromu Drugiej Książki (po angielsku *Second Novel Syndrom*, w skrócie SNS). Ów syndrom oznacza przede wszystkim niemożność poradzenia sobie z presją wokół kolejnego dzieła prowadzącą do twórczej blokady.

Autorzy i autorki doskonałych debiutów, próbując przeskoczyć poprzeczkę umieszczoną wysoko przez swoje pierwsze dzieło, utykają w literackim czyśćcu, w którym żadna myśl nie jest dostatecznie oryginalna, a żadna fraza wystarczająco dobra, by przelać ją na papier. Stąd już tylko krok do pozostania autorem jednego przeboju (po angielsku *One-Hit Wonder*, w skrócie OHW) i dwa kroki od konieczności udzielenia negatywnej odpowiedzi na pytanie stawiane ochoczo przez krytykę: czy twórca posiada w sobie więcej niż jedną opowieść.

Na szczęście pisanie drugiej książki ma także swoje zalety – pozwala bazować zarówno na doświadczeniu tworzenia pierwszego utworu, jak i czerpać siłę z pozytywnych opinii na jego temat. Tak było w przypadku Barbary Sadurskiej i Łukasza Barysa, którzy podobnie jak ja, w 2022 r. opublikowali swoje drugie książki. Autorka doskonale przyjętej „Mapy", uhonorowanej jednym z najważniejszych laurów dla debiutantów – Nagrodą Gombrowicza, zwraca uwagę na to, że pozytywny odbiór pierwszej książki zrodził presję, aczkolwiek – gdyby nie on, kolejny utwór nigdy by nie powstał. Nad „Czarnym hetmanem" Sadurska pracowała prawie dwa lata. Z kolei Łukasz Barys, nagrodzony Paszportem „Polityki" w wieku zaledwie 24 lat za swój prozatorski debiut „Kości, które nosisz w kieszeni", docenia, jak wiele nauczył się w trakcie pisania pierwszej książki, co pozwoliło mu sprawnie (w pół roku!) ukończyć drugą.

Syndrom Harper Lee

Zagraniczne strony kursów Creative Writing przynoszą wiele ciekawych porad, jak uporać się ze słynnym SNS. Powtarza się w nich konieczność posiadania planu i szkicu fabuły, jak również wypracowanie we własnej psychice rozmaitych murów i zapór, które nie pozwolą, by strach przed zaprzepaszczeniem tego, co udało się osiągnąć w debiucie, przelał się górą i sparaliżował początkującego twórcę.

Szczególnie ciekawą sugestią jest przechytrzenie samego siebie i napisanie drugiej książki przed pierwszą. Trudno odmówić temu myśleniu logiki: trzymanie w szufladzie książki gotowej do publikacji zaraz po debiucie gwarantuje, że będzie ona wolna od presji i jakichkolwiek innych konsekwencji zaistnienia na literackiej scenie.

Tę strategię wcieliła w życie Harper Lee, choć taka kolej rzeczy była raczej dziełem przypadku niż planu. W 1960 r. mająca 34 lata Lee opublikowała swoją pierwszą książkę. Rok później otrzymała za „Zabić drozda" Nagrodę Pulitzera, po dwóch latach – do kin weszła ekranizacja jej debiutu w reżyserii Roberta Mulligana, z Gregorym Peckiem w roli adwokata Atticusa Fincha, ojca głównej bohaterki, czyli Skauta. Po tym oszałamiającym sukcesie Lee wycofała się z życia literac-

kiego i opublikowała później zaledwie trzy szkice – nic więcej.

W jedynym zarejestrowanym wywiadzie z pisarką i jednym z ostatnich, jakich kiedykolwiek udzieliła, Harper Lee mówi, że sukces „Zabić drozda" był dla niej więcej niż zaskoczeniem: był niczym „uderzenie w głowę całkowicie zwalające z nóg". W trakcie rozmowy z Royem Newquistem przeprowadzonej w 1964 r. zdradza, że pracuje nad kolejną książką – co się z nią jednak stało, nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że dwa lata przed śmiercią w 2015 r. Lee zgodziła się na publikację dzieła, które jej agent odnalazł w domu pisarki, w Monroeville.

Powieść „Idź, postaw wartownika" powstała tak naprawdę przed „Zabić drozda", i do pewnego stopnia opowiada tę samą historię, jednak z innej perspektywy czasowej – Skaut jest tu już dorosła i wraca w rodzinne strony do schorowanego ojca, by przypomnieć sobie dzieciństwo w Maycomb. Opublikowana po 55 latach leżenia w szufladzie druga książka była w rzeczywistości powstałą wcześniej wprawką do tej, która przyniosła Lee sławę.

Syndrom wiecznego debiutanta

„Większość pisarzy nie lubi pisać, wręcz nienawidzi", mówi w wywiadzie Lee. „Robią to pod wpływem przymusu, który jest udziałem każdego artysty, ale siedzenie i próbowanie przełożenia myśli na sensowne zdanie nie przynosi im żadnej przyjemności. Ale ja to lubię. Lubię pisać. Czasami obawiam się, że może lubię to aż za bardzo. Kiedy zanurzam się w pracę, nigdy nie chcę jej kończyć. To powód, dla którego zdarza mi się przez wiele dni nie wychodzić z domu".

Czy prawdziwą przyczyną, dla której Lee i Salinger nie zdołali ukończyć kolejnych powieści, był SNS, tego się już nie dowiemy. Jeśli wierzyć ich słowom, zarówno J.D. Salinger, jak i Harper Lee, która miała ambicję zostać „Jane Austen południowej Alabamy", odnajdywali przyjemność w możności pracy nad utworem, niekoniecznie w jego ukończeniu i opublikowaniu. Nawet jeśli nie miało to związku z presją, jaka ciążyła na nich po sukcesie pierwszej książki, z pewnością pozwalało im nie oglądać się na krytykę i wymogi wydawniczego rynku. Oraz zachować wolność i swobodę pisania, jakie daje praca nad debiutem.

Z moich rozmów z koleżankami i kolegami po piórze wynika, że choć presja i trema związane z tworzeniem kolejnego utworu są realną kwestią, to sama koncepcja syndromu drugiej książki, a nawet i debiutu jako wejścia z przytupem na literacką scenę, wydaje się zagadnieniem raczej sztucznym. Do każdej kolejnej książki siada się jako debiutant, za każdym razem mierząc się z tą samą bielą kartki i własnymi demonami w głowie.

Jak zauważa Łukasz Barys, na naszym rynku wydawniczym każdy, poza może paroma największymi gwiazdami, jest wiecznym debiutantem. Każda książka każe się mierzyć z tym samym wysokim progiem wejścia, a żadna liczba wcześniejszych publikacji nie gwarantuje poczytności kolejnej. Dreszczyk emocji i duża dawka niepewności w naszych warunkach są gwarantowane przy każdej premierze. ©

REKLAMA

JAKOB WEGELIUS
wizyta autora

26.10 – Bałtyckie Spotkania Ilustratorów | Gdańsk

27.10 – Międzynarodowe Targi Książki | Kraków

28.10 – Festiwal Conrada + Targi Książki | Kraków

ESPERANZA

tekst i ilustracje: Jakob Wegelius
przeł.: Agnieszka Stróżyk

Halidon, sztukmistrz na monocyklu, choć niewielki wzrostem, ma wielkie serce. Zaniepokojony nieobecnością swojego przyjaciela Kapitana, nie zważając na późną porę, wyrusza na poszukiwania. Tej zimnej nocy nie wszyscy napotkani ludzie okażą się przyjaźni, a w ciemnych uliczkach portowego miasta nie zawsze będzie bezpiecznie. Jednak niespodziewanie Halidon spotka również kogoś, kto wiernie będzie mu towarzyszył, to nieśmiało, to zuchwale merdając patykowatym ogonem.

nowość!

zakamarki.pl

Dwieście stron dziennie

OLGA ŻYMINKOWSKA

Sartre powinien być idolem współczesnego internetowego komentariatu. Zajmował stanowisko w każdej społecznej sprawie, a pisanie było dla niego wręcz obsesją. No i odmówił Nobla.

Sytuacja, w której filozof staje się celebrytą, należy do rzadkości. I nie chodzi tu o przelotną sławę, ale o wpływ na cały okres powojenny w Europie i Stanach Zjednoczonych. Po wygłoszonym przez Sartre'a odczycie „Egzystencjalizm jest humanizmem" magazyn „Time" napisał: „Filozof Sartre. Kobiety mdlały". I choć dziś nikt już raczej nie mdleje, to wpływ Sartre'a na życie intelektualne wciąż jest duży.

Na każdy temat

28 października 1945 r. Jean-Sol Partre przy dźwiękach trąby i w towarzystwie strzelców wyborowych wkroczył na grzbiecie słonia do paryskiej Salle des Centraux. Rozpaleni słuchacze koczowali pod sceną już parę dni wcześniej. Zmęczona długim oczekiwaniem tłuszcza łykała ostatki powietrza. Słoń bojowy, na którym siedział Partre (wraz z księżną de Bovouard w specjalnej loży), torował sobie drogę ciosami siekier. Gdy z trudem przecisnął się do wnętrza sali, Jean-Sol wdzięcznym susem wskoczył na estradkę. Głośne westchnienia i trzask migawek częściowo zagłuszyły treść przemówienia „Egzystencjalizm jest humanizmem". Wykład ciągnął się i ciągnął, a Partre mimo dusznej atmosfery nie dawał za wygraną. Mówił do utraty tchu, kaszląc przy tym wściekle. Wszystko to zarejestrowały głodne wrażeń kamery, śledzące każdy jego ruch.

Mniej więcej tak opisuje całe zajście Boris Vian, pisarz, muzyk jazzowy i stały bywalec klubu Tabou, a przede wszystkim – przyjaciel Sartre'a. Niemal cała jego powieść „Piana złudzeń" (1947) zawiera te i podobne odwołania do postaci Jeana-Paula Sartre'a, jednocześnie wielbionego i – jak się zaraz okaże – nienawidzonego przez tłumy. Autor „Zbytu i coś niecości" (tak naprawdę: „Bytu i nicości") pojawia się tu na każdym kroku – gdy główny bohater „Piany złudzeń" kroi tort, z wnętrza ciasta wydobywa się nowy felieton Partre'a.

Vian nie przesadzał. Sartre, szczególnie w okresie powojennym, zwykł mieć zdanie na każdy temat, a do dobrego tonu należało mieć zdanie na temat samego Sartre'a. Największe emocje wzbudzało jego polityczne zaangażowanie. Podczas demonstracji przeciwko niepodległości Algierii w październiku 1960 r. skandowano: „Zabić Sartre'a!" (był gorliwym zwolennikiem antykolonializmu). Pod jego mieszkanie przy rue Bonaparte, gdzie mieszkał wraz z matką, podkładano bomby. W aferę wokół Sartre'a włączył się nawet sam prezydent Charles de Gaulle, który na wieść o pogróżkach, jakie otrzymywał filozof, miał powiedzieć: „Nie więzi się Woltera".

Nieuleczalny guz

Początki nie były aż tak spektakularne. Jean-Paul Sartre przychodzi na świat w roku 1905, w rodzinie – jak to kiedyś mawiano – „bogatych mieszczan". Jego ojciec, oficer marynarki wojennej, Jean-Baptiste Sartre umiera wkrótce po narodzinach syna. Matka, Anna Maria Schweitzer (z „tych" Schweitzerów – rodziny alzackich intelektualistów; najbardziej znany Albert Schweitzer otrzyma Pokojową Nagrodę Nobla w 1952 r.) po śmierci męża, nie mając pieniędzy ani fachu, wróciła z dzieckiem do rodziców. Dzieciństwo małego „Poulou" możemy prześledzić, czytając autobiografię: „Rozpocząłem życie – pisze – tak samo, jak je zapewne zakończę – wśród książek" („Słowa" z 1964 r.).

W domu Schweitzerów biblioteka była traktowana jak świątynia. Ośmiolatek spędzał całe dnie w gabinecie dziadka, przechadzając się ceremonialnie wśród bibliotecznych alejek i rozkoszując się wizją swojej pisarskiej przyszłości. Już w tym wieku pojawiły się jego pierwsze literackie próby, które spisywał z uczniowską skrupulatnością w „Kajecie powieści". Jak wyzna prawie 60 lat później – „uznałem się z musu za utalentowanego, nie widząc przed sobą innych perspektyw". Tak powstały jego pierwsze powiastki – „Dla motyla" i „Przekupień bananów". W „Słowach" bezlitośnie demaskuje swoje, obliczone na zachwyt dorosłych, chłopięce sztuczki. „Ależ on lubi Corneille'a!" – szeptano ponoć w zachwycie, gdy demonstrował swój (lekko udawany) podziw dla klasyków. W ten sposób tworzył się mit cudownego dziecka – przedwcześnie dojrzałego geniuszka pożerającego tomy encyklopedii Larousse'a.

Nad tym wszystkim unosi się pytanie o szczerość literackiej pasji, dodajmy – jedno z ulubionych pytań Sartre'a. Na gruncie jego filozofii proste „bycie sobą" nie jest możliwe, co tłumaczy na przykładzie: kałamarz „jest tym, czym jest", ale człowiek „nie jest tym, czym jest". Każde uczucie (także „literacka pasja") naznaczone jest groźbą „złej wiary", czyli nieautentyczności. Jedynym sposobem na to, by uniknąć samozakłamania (wedle Sartre'a – zawsze tylko częściowo), jest świadomość tego, że nigdy nie będzie się żyło „po prostu" – niczym kałamarz, który jest sobą i niczym poza tym. Jak skomentuje później, „w naszych uczuciach możemy poznać wszystko, prócz ich szczerości".

Wszystkie te wczesne doświadczenia (szczere i nieszczere zarazem) doprowadziły Sartre'a do przekonania, że posiada nieuleczalny „guz literacki", który nie pozwoli mu nigdy zrezygnować z pisarstwa. Przepowiednia się spełniła – pisanie było do końca życia jego „nakazem kategorycznym", a pod koniec wręcz obsesją.

Za starzy na Sartre'a

Filozofia, jak pisał, była dla niego „sposobem dotarcia do literatury" i wyrażeniem swojej wizji świata. Spełnieniem tego ma-

LIPNITZKI / GETTY IMAGES

Jean-Paul Sartre. Paryż, listopad 1964 r.

rzenia miała być, mało znana wówczas we Francji, fenomenologia, którą pokochał od pierwszego „usłyszenia", w barze Bec-de-Gaz na Montparnassie.

Na przełomie roku 1932 i 1933 Sartre i Simone de Beauvoir (od tego czasu para nierozłączna, mimo różnych przygodnych miłostek i nieudanych prób poliamorii) pojęli „doniosłość" i nowatorstwo niemieckiej fenomenologii, a zwłaszcza myśli Husserla. Stało się to zapewne dzięki Raymondowi Aronowi, szkolnemu koledze Sartre'a z École normale supérieure, który przywiózł filozoficzne nowinki po podróży do Berlina. Kilka haseł oddziałało na Sartre'a, szczególnie: słynny „powrót do rzeczy samych" według Edmunda Husserla.

Sartre, upojony tymi ideami, wyjeżdża do Berlina, gdzie próbuje czytać Husserla w oryginale. Mimo że dwaj filozofowie nigdy się nie spotkali (wyjazd do Fryburga Bryzgowijskiego, ówczesnej „stolicy fenomenologii", uniemożliwiło dojście Hitlera do władzy w 1933 r.), Husserl stał się podstawowym punktem odniesienia dla wczesnych prac Sartre'a i monumentalnego „Bytu i nicości" (1943).

Swoją ontologię buduje na odróżnieniu bytu-w-sobie i bytu-dla-siebie. Innymi słowy, świat Sartre'a pęka na dwie części: świadomość, która jest „nicością", oraz masywny i nieprzenikliwy „byt". Cały paradoks polega na tym, że byt i nicość są dla siebie stworzone, a z drugiej strony – fundamentalnie się od siebie różnią. „Dla-siebie" kieruje się ku temu, co „w-sobie" (na tym mniej więcej polega intencjonalność), ale nigdy nie zdoła osadzić się w nim całkowicie. Świadomość „nie jest tym, czym jest", a byt-w-sobie „jest tym, czym jest" – i tak wygląda, w nieprzyzwoitym skrócie, cały dramat człowieka, który nigdy nie dosięga „pełni bytu" właściwej przedmiotom.

W „Mdłościach", pierwszej wydanej powieści, główny bohater Antoine Roquentin próbuje walczyć z tym tragicznym rozziewem, pisząc dziennik. Świat pełen mdlących przedmiotów, monstrualnych korzeni kasztanowca czy obślizgłych kufli do piwa pozostawiony samemu sobie, a więc nienazwany i nieopisany, staje się miejscem przerażającym i absurdalnym. Pobrzmiewają tu wyraźnie najważniejsze hasła egzystencjalizmu, których patos i malkontenctwo nierzadko dziś zbywa się uśmiechem.

Tymczasem Sartre'a nie da się bagatelizować, mimo że tak często traktowany jest – obok Camusa i Ciorana – jako filozof, z którego „się wyrasta". Nie służy temu, rzecz jasna, etykieta „egzystencjalizmu", która do Sartre'a przywarła (i na którą po pewnym czasie sam się zgodził). Był to nurt nadzwyczaj pojemny – wkrótce zaczął odnosić się jednocześnie do Heideggera, Camusa, absurdu istnienia, jazzowej trąbki Borisa Viana, czarnych wełnianych swetrów, kawiarni Les Deux Magots czy manifestacji maja 1968 r. Sartre był egzystencjalistą w szerokim sensie – zajmowały go przede wszystkim problemy ludzkiej wolności, odpowiedzialności i autentyczności.

Mieszkaniec wieży

Z powodu postępującej choroby wzroku Sartre'owi udało się uniknąć służby wojskowej. W czasie II wojny światowej skierowano go na stację meteorologiczną, gdzie miał nadzorować balony pogodowe. Służba w okresie „dziwnej wojny" nie była zbyt wyczerpująca, dzięki czemu mógł poświęcić się pracy nad „Bytem i nicością" i pierwszą wersją powieści „Drogi wolności". Później w okupowanym Paryżu cenzura pozwoliła mu wystawić „Muchy", sztukę teatralną o wyraźnym zabarwieniu politycznym, którą odczytywano jako dramat o wolności Francuzów.

Jeszcze wtedy Sartre szukał w literaturze wytchnienia od świata, w którym przerażały go tłum i przypadkowość ludzkiego życia. Nie cierpiał przedmiotów, które gorszyły go swoją masywnością i „upartym istnieniem". Literatura pozwalała mu przejąć kontrolę, ujarzmić nacierające tłumy ludzi, bujność roślin i niezrozumiałe „obroty" rzeczy. Jak odnotuje Roquentin w „Mdłościach": „piszę dziennik, żeby widzieć jasno". Sartre uwierzył w to przesłanie, chciał utrwalić swoje życie w słowach, aby zmienić przypadkowość egzystencji w dzieło sztuki.

W „Dzienniku" Witolda Gombrowicza z roku 1962 pojawia się plotka o rzekomym „micie założycielskim" Sartre'a, którym było dogłębne przeżycie tłumu. Młody wówczas Sartre, przechadzając się w porze największego ruchu po Avenue de l'Opéra, „jął wzywać samotności". Jak donosi – jeśli wierzyć Gombrowiczowi, autor anegdoty Georges Girreferèst-Prést – Sartre zapragnął nagle „wyodrębnić się, odosobnić, zerwać i uciec". Ale naraz przeraża go własne pragnienie: jest sam, tak samo jak każdy w tłumie. Skoro ↦

↦ wszyscy jesteśmy wyobcowani – nikt nie jest wyobcowany. I krąg się zaciska.

Choć narasta w nim panika, nie chce uginać się pod naporem tłumu. Zaczyna głosić ideę „odpowiedzialności za wszystkich". Wiadomo – ciżba jest wstrętna, czasy nieciekawe, a ilość społecznej roboty przerażająca. Sartre podejmuje jednak walkę – ucieka z wieży wyobraźni i od tego czasu „pisze dla swojej epoki". Jak się potem okaże – „Historia" rzeczywiście nastąpi mu na nogi, a spacer paryską aleją zmieni się w bieg przez płotki.

Epoka przyspieszenia

Po wojnie świat znacząco przyspieszył, a Sartre poddał się presji „zajmowania stanowiska" w każdej społecznej sprawie. Na pytanie o „literaturę po Zagładzie" Sartre ma jedną odpowiedź: pisać. Dużo pisać.

Rzuca się do pracy z hasłem egzystencjalistów na ustach: „naprzód, zawsze naprzód!". Życie nie jest już gdzie indziej, kiedy Algierczycy walczą o niepodległość, a studenci wychodzą na ulice. W 1945 r. zostaje redaktorem naczelnym słynnego „Les Temps Modernes", lewicowego pisma społeczno-literackiego, gdzie po raz pierwszy ukazał się jego esej „Czym jest literatura?". To tutaj – oraz nieco później w dzienniku „Libération" – publikować będzie teksty zaangażowane w sprawy swojej epoki.

Problem zaangażowania ciągnął się za Sartre'em już od czasów studenckich. Jak kiedyś podsumował: „wierzyliśmy, że można ocalić swe życie dzięki sztuce, a już w następnym semestrze byliśmy przekonani, że nigdy nikogo nie można ocalić". Sartre był rozdarty między wizją pisania jako czynnością wzniosłą i społecznie ważną a wyobrażeniem pisania jako szaradą słowną, którą uprawiają tylko tchórze i komedianci.

Nie umiał poradzić sobie z zarzutem, jakoby literatura była zajęciem lekkoduch. Najgorszą obelgą było dla niego oskarżenie o „burżuazyjny estetyzm", a więc pisarstwo społecznie niezaangażowane. Filozof-literat powinien stawiać czoła każdemu wydarzeniu, opowiadając się zawsze po stronie wolności, która powraca tutaj w wymiarze konkretnej historycznej egzystencji. Niepodobna wywikłać się z gry zwanej „polityką".

> Był rozdarty między wizją pisania jako czynnością wzniosłą i społecznie ważną a wyobrażeniem pisania jako szaradą słowną, którą uprawiają tylko tchórze i komedianci. Jak to się ma do autentyczności i zaangażowania?

W roku 1948 wstępuje do odłamu partii komunistycznej – Rassemblement démocratique révolutionnaire (RDR), z którego odchodzi po półtora roku. Wkrótce potem wybucha wojna w Korei (1949-1953), która poróżniła Sartre'a z jego ówczesnym przyjacielem Maurice'em Merleau-Pontym, ważną postacią francuskiej fenomenologii. Sartre naciskał na błyskawiczne wydanie oświadczenia w „Les Temps Modernes" w sprawie koreańskiego konfliktu. Merleau-Ponty (także członek redakcji) nie chciał jednak wygłaszać oficjalnego stanowiska w chwili, gdy nie wszystko było jeszcze wiadome. Relacja obu filozofów została więc znacznie nadszarpnięta.

Cztery lata później, gdy Sartre przyjął do druku artykuł silnie prosowiecki (bez zastrzeżenia, że nie jest on wyrazem poglądów redakcji, jak prosił Merleau-Ponty), przyjaźń skończyła się definitywnie. Podobnie rzecz się miała z Albertem Camusem, który w 1951 r. po opublikowaniu „Człowieka zbuntowanego" został przez Sartre'a oskarżony o „apologię kapitalizmu". Po serii listów ze wzajemnymi oskarżeniami także i ta relacja została zerwana. Konflikt ten ukształtował francuskie życie intelektualne na dziesięciolecia – do dziś wybór „Sartre vs Camus" należy do obowiązkowych „zakładów bukmacherskich" w dziedzinie filozofii i polityki.

Do utraty tchu

Biografowie Sartre'a obliczyli, że przez całe życie pisał średnio dwadzieścia stron dziennie (ukończonych tekstów, nie notatek!). I faktycznie – gdyby przejrzeć ilość i ciężar zapisanych tomów, starczyłoby na zbudowanie solidnego pomnika (z makulatury, ale to prawie jak spiż). Jak wspomina Simone de Beauvoir, nawet na temat „chlupoczącego odgłosu, jaki wydają gondole" potrafił napisać 200 stron (dla niej zresztą było to *de trop*, za dużo).

Po powstaniu na Węgrzech w 1956 r. Sartre zabiera się do pracy nad „Krytyką dialektycznego rozumu", w której pragnie pożenić marksizm z egzystencjalizmem. Zadania tego nie ukończył, ukazał się „jedynie" tom pierwszy – zawierający 400 tysięcy słów. Nie gorzej idzie mu z biografiami pisarzy i poetów, pisanymi według oryginalnej metody, którą nazwano potem „psychoanalizą egzystencjalną" – Baudelaire'a zamyka w ponad 200 stronach, Geneta – w 600 stronach, a Flauberta – uwaga – niemal w trzech tysiącach stron.

Strach przed pauzą, milczeniem i białą kartką może tłumaczyć, dlaczego Sartre nigdy nie zabrał się za pisanie wierszy, a poezję traktował, mówiąc łagodnie, jako estetyczne wybryki języka. Stał się „człowiekiem, który się spieszy". Nawet pieniądze wydawał szybko – jakby chciał jak najprędzej pozbyć się tego, do czego mógłby się przywiązać. Z tego też powodu odmawia przyjęcia Literackiej Nagrody Nobla w 1964 r. – budować sobie pomnik za życia to jak gromadzić dla własnej chwały drogocenne przedmioty, tłumaczył.

W gruncie rzeczy jednak Sartre zrzekł się nagrody z powodów politycznych – uznał, że „burżuazyjny establishment" chciał mu przez to udzielić przebaczenia dawnych komunistycznych „win" i wpłynąć na jego przyszłe poglądy. Każde instytucjonalne wyróżnienie – a zrezygnował nawet z Legii Honorowej i członkostwa w Akademii Francuskiej – zagraża „wolności" i „autentyczności" pisarstwa, czyli temu, o co Sartre całe życie zabiegał.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Reportaże, biografie, eseje, poezja i proza.
Recenzje nowości wydawniczych, rozmowy z pisarkami i pisarzami, najciekawsze trendy.
Dobra literatura na TygodnikPowszechny.pl/ksiazki

Czy Sartre jest passé?

Dla historyków filozofii Sartre do dziś stanowi zagadkę. Mniej więcej od roku 1956 (na przeszło dwadzieścia lat) stał się intelektualnym autorytetem, a nawet – jak określił to Milan Kundera w „Zachodzie porwanym": „ostatnią wielką postacią świata kultury". Po „sartromanii" przyszła jednak moda na Heideggera i Derridę. Obaj nie podjęli bezpośredniego dialogu z Sartre'em, a nawet po cichu wykluczyli go na pewien czas z grona najbardziej znaczących myślicieli.

Dziś nadal można spotkać się ze zdaniem, że Sartre to „bardziej literat" – pisarz tak, ale nie filozof. Problemy zaczynają się, gdy próbujemy przypisać go do jednej formacji. Fenomenolog – tak, ale raczej „mieszaniec" przez swoje związki z egzystencjalizmem. Egzystencjalista – tak, ale nie dość dekadencki, żeby zostać patronem smutnej młodzieży. Marksista – tak, ale mógłby przecież bardziej ufać partii. Ateista – tak, pełną parą, ale czy przypadkiem pod koniec życia się nie „nawrócił"? (pytali czytelnicy ostatniego wywiadu, jakiego udzielił Sartre swojemu sekretarzowi Benny'emu Lévy'emu, zdeklarowanemu wyznawcy judaizmu). No i jeszcze ten antropocentryzm, dodadzą fani „nowego materializmu", zżymający się na wyróżnioną w filozofii Sartre'a pozycję człowieka.

Sartre'owi udało się jednak więcej niż proste wpisanie się w którąś z tych kategorii. Tak jak Heidegger miał w życiu w zasadzie jeden myślowy „zwrot", tak Sartre – zgodnie z postulatem „bycia absolutnie nowoczesnym" – miał ich prawie tyle, ile napisanych książek. Udało mu się stworzyć filozofię bliską życiu – jednocześnie intymnemu doświadczeniu jednostki (jak w „Mdłościach") i zbiorowemu przeżyciu całych społeczeństw (jak w „Krytyce rozumu dialektycznego"). Jego „fenomenologiczny egzystencjalizm" włączył do filozofii wszystkie najważniejsze problemy tamtej epoki: wolności, autentyczności, odpowiedzialności, stosunku do Innego i zaangażowania intelektualisty. Wiele z jego myśli, szczególnie kwestie autentyczności i zaangażowania, nie straciło dziś na ważności, o czym świadczą wciąż powstające na ten temat prace.

Sartre nie przestaje niepokoić – podjęty przez niego temat zaangażowanego pisarstwa wybrzmiewa dziś szczególnie, gdy po raz kolejny wraca problem literatury wobec wojny i wielkich kryzysów społecznych. I choć można, a nawet należy potępić go za stalinowskie i potem maoistyczne „ukąszenie" (dzisiaj dla nas całkowicie niepojęte), Sartre przypomina o nieco zapomnianym pojęciu odpowiedzialności (w najbardziej źródłowym znaczeniu – „dawania odpowiedzi") za życie swoje i zbiorowości.

W roku 1980 Sartre kończy swój bieg. Jego pogrzeb na cmentarzu Montparnasse, niczym 35 lat wcześniej wykład w Salle des Centraux, gromadzi tłumy. Legenda głosi, że jeden student zapytany, skąd to zbiegowisko, odpowiedział: „To manifestacja przeciwko śmierci Sartre'a". Możliwe, że ostatnia taka demonstracja w XX wieku. © OLGA ŻYMINKOWSKA

REKLAMA

Wydawnictwo Czarne i Państwowy Instytut Wydawniczy zapraszają!
Bobkowski, Berlin, Bogdał, Borges, Calvino, Cheever, Hohler, Jansson, Manganelli, McCullers, Philyaw i wiele innych

TEMAT: OPOWIADANIA

Data: 18 listopada 2023 | Miejsce: księgarnia Czarnego w Warszawie | Program wydarzenia dostępny na FB | czarne.com.pl | piw.pl

Państwowy Instytut Wydawniczy
wydawnictwo czarne
PARTNERZY
dwutygodnik.com strona kultury
studiotakto.com

Miliard skulonych dusz

MAREK RABIJ

Deepti Kapoor krzyczy. Jej zdaniem to jedyna właściwa postawa wobec indyjskiej rzeczywiści.

Angielski tytuł „Age of Vice" w tłumaczeniu na polski może, z naddatku synonimów, sprawiać trudności. Wiek nieprawości? Grzechu? Zepsucia? Anglojęzycznego czytelnika, nieco lepiej zaznajomionego z kulturą indyjską, na właściwy trop naprowadza pominięty w polskim wydaniu podtytuł „Kalijuga". W sanskrycie słowo to oznacza jedną z czterech faz istnienia świata materialnego, epokę konfliktów, przestępczości oraz ignorancji i zagubienia. Starożytne traktaty hinduistyczne z dokładnością do dnia datują jej początek i nie pozostawiają krzty wątpliwości, że epoka Kalijugi, mająca trwać 432 tys. lat, jeszcze długo nie pozwoli ludzkości osiągnąć szczęścia i odnaleźć sensu życia.

Indyjska tradycja i kultura niemal od zarania kręcą się wokół fatalizmu. Taki jest też punkt wyjściowy fabuły „Wieku zła", powieści portretującej współczesną stolicę Indii, New Delhi. Miasto, które w pospiesznym rozwoju zostawiło na pastwę losu najsłabszych.

A zaczynamy na poboczu trasy szybkiego ruchu, gdzie prowadzony zbyt szybko mercedes wypada z jezdni i zabija piątkę śpiących przy drodze biedaków. Jest chłodny lutowy poranek. Sześć stopni Celsjusza, delhijskie ulice spowija blada siarkowa mgła, w której „piętnaście milionów dusz skulonych we śnie" łapie ostatnie minuty wypoczynku przed kolejnym dniem walki o przetrwanie.

Za kierownicą auta siedzi Adźaj, kierowca miejscowego bogacza, syn skrajnie ubogich dalitów, warny tzw. niedotykalnych. Jego „matka i ojciec byli czyścicielami latryn; gołymi rękami i blaszanymi płytkami wyskrobywali gówno z wychodków mieszkańców wioski, po czym przenosili je na głowach w wiklinowych koszach, żeby wyrzucić z dala od ludzkich siedzib. Załatwiali się na polach przed świtem. Sikali po zmierzchu. Uprawiali mizerne warzywa liściaste w brudnym odpływie rzecznym. Pili niezdatną do użytku wodę z dalekiej studni, żeby nie zanieczyszczać źródła miejscowej wspólnoty".

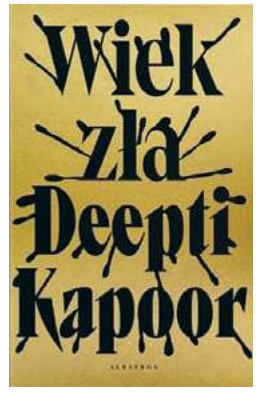

Deepti Kapoor **WIEK ZŁA** *przeł. Izabela Matuszewska, Albatros 2023*

„Początkowo myślałam o opowiadaniu w stylu »Wielkiego Gatsby'ego« Francisa Scotta Fitzgeralda, ale szybko zdałam sobie sprawę, że opowieść o New Delhi musi być historią, która będzie przede wszystkim o pogardzie" – mówi Kapoor w wywiadzie dla serwisu Scroll.in. Jej wydaną na początku tego roku powieść niektórzy porównują do „Ojca chrzestnego" Maria Puzo. Konwencja thrillera pozwala autorce pokazywać bohaterów w potrzasku podjętych wcześniej decyzji, odzieranych ze złudzeń. Dopiero w ten sposób Kapoor stawia diagnozy społeczne. Diagnozy będące, jak podkreśla, rezultatem jej obserwacji, ale nie osobistych doświadczeń.

Urodziła się w 1980 r. w konserwatywnej obyczajowo rodzinie, którą sama opisała w jednym z wywiadów jako „zasiedloną przez lekarzy i księgowych". Ojciec był wysoko postawionym urzędnikiem banku centralnego. Matka, jak przystało każdej szanującej się indyjskiej mata dźi, prowadziła dom i wychowywała dzieci. Kariera zawiodła ojca aż do Bahrajnu, ale gdy w Zatoce Perskiej rozgorzała wojna o Kuwejt i amerykańskie myśliwce zaczęły gonić na północ irackie czołgi, rodzina postanowiła wrócić do Indii.

Deepti wspomina, że matka miała dla niej zaprojektowaną przyszłość: męża o stabilnych dochodach, a potem macierzyństwo w kolejnych odsłonach. Ona sama chciała życia zgoła odmiennego, pośród książek i inspirujących ludzi. Ukończyła dziennikarstwo w delhijskim Lady Shri Ram College i rozpoczęła pracę jako reporterka. Potem przez chwilę pracowała jako redaktorka w kolorowych pismach, co pozwoliło jej nieźle poznać blichtr delhijskiej socjetki i napatrzeć się na stolicę, która w pierwszej dekadzie XXI w. zaczęła się dynamicznie bogacić. W międzyczasie w jej życiu zaszły poważne zmiany. Najpierw na raka mózgu zmarł ojciec, a owdowiała matka pogrążyła się w depresji i żałobie. Potem w wypadku kolejowym zginął jej chłopak. Brat postanowił wyjechać do pracy do Wielkiej Brytanii. Na pożegnanie zostawił siostrze samochód.

Zbolała Deepti, jak wspomina, rzuciła pracę, wsiadła w auto i ruszyła w Indie, uciekając przed przeszłością. Po miesiącach tułaczki bez celu wylądowała w Goa na zachodnim wybrzeżu, gdzie wyszła za mąż i zaczęła pracować jako trenerka jogi. Tam też, w zaciszu byłej oazy hippisów, napisała swoje pierwsze opowiadanie, będące po części literacką trawestacją jej własnej onirycznej podróży po Indiach. W 2013 r. książka ukazała się pod tytułem „A Bad Character".

Język powieści Kapoor jest szybki, właściwie dziennikarski. Autorka opowiada w czasie teraźniejszym, krótkimi zdaniami, a gdy chwilami wyjątkowo pozwala sobie na liryzm, brzmi on wręcz fałszywie („bezmyślna latarnia gromadzi stęsknione ćmy"). Narracja koncentruje się na opisie wydarzeń, z rzadka zaglądając do wnętrza bohaterów. Co czują i co przeżywają, czytelnik dowiaduje się – a raczej domyśla – przyjmując narzuconą mu przez autorkę perspektywę świadka. Ale takie same są współczesne Indie. Szybkie i powierzchowne. ©℗

Wysiądź i patrz

URSZULA HONEK

Często wraca do mnie fraza z tomu poetyckiego Magdaleny Bielskiej „Czarna wyspa". Przypomina mi się w prozaicznych sytuacjach: gdy stoję w kolejce, spaceruję z psem, jadę samochodem. Czasami wypowiadam ją na głos. Brzmi ona tak: „w promieniu czterdziestu tysięcy kilometrów żywej duszy".

Poezja Magdaleny Bielskiej wydaje się bliska rzeczywistości: bohaterka wierszy chłonie zapachy i kolory, siedzi w barach, podsłuchuje albo wygrzewa się na plaży, sącząc drinki z parasolką. Oślepiają tu stroboskopy, a neony drażnią przygaszonym światłem. Ale od czasu do czasu zaglądamy też do pustych mieszkań i domów, w których kiedyś toczyło się życie. Pokoje są najczęściej zimne, choć wpada do nich światło letniego popołudnia.

W tej poezji odgłosy życia zawsze i wszędzie podszyte są smutkiem. Znienacka autorka mówi: a teraz zajrzymy pod podszewkę rzeczywistości. I co się pod nią kryje? Groza życia i umierania. Pustka.

W publikowanym poniżej po raz pierwszy wierszu „Poradnia dźwięku albo Mira" mamy do czynienia z bohaterką, która w poezji Bielskiej mogłaby przeskakiwać z wiersza do wiersza. Poznajemy ją, gdy wszystko się skończyło: nie ma sensu dalej wycinać kuponów z gazet, bo przecież, podobnie jak w życiu, niczego się nie wygrało. To już się zdarzało Bielskiej – podpatrywać ludzi, którzy w wyniku różnych okoliczności mogliby powiedzieć: „w promieniu czterdziestu tysięcy kilometrów żywej duszy".

Bielską interesuje moment, w którym doszło do nagłego zamarcia i wygaszenia. Nie ma po co rozpamiętywać przeszłości. Wszystko, co uznawało się za ważne, straciło znaczenie. Codzienne czynności, jak malowanie pokoju na energetyczny żółty kolor, są tyleż ironiczną, co rozpaczliwą próbą zawrócenia w stronę życia. Realny wydaje się wyłącznie strach, a może raczej pierwsze dziecięce przeczucie, że w życiu na wszystko spogląda się z wysokości. Z rozpędzonej windy, która prędzej czy później się zatrzyma. ©

MAGDALENA BIELSKA

Poradnia dźwięku albo Mira

W sierpniu skończyła 50 lat i w końcu zaczęła wierzyć w owal.
Pieczołowicie wycinała kupony z gazet i opakowań po serkach.
Nigdy niczego nie wygrała,
zawsze pamiętała o imieninach i rocznicach ślubów.
W dniu jej własnego ślubu narzeczony dostał gorączki,
zaczął wypowiadać słowa w dziwnym języku,
zamknął się w żółtym pokoju.

I to było wszystko, nie niepokoiła się,
bo w tym świecie, w tym kraju,
nie posiadała takiej przenikliwej natury.

Wiele lat później, kiedy mąż się wyprowadził,
zięć przemalował tamten pokój na ciemnożółto.
I teraz wszystko jedno, czy żyje, czy nie,
czy on wtedy dostał gorączki,
wycinać kupony czy nie wycinać. Żółte pokoje są energetyczne jak jabłka.
Na wycieczce wjechała z koleżanką na najwyższe piętro zabytkowego budynku.
W dzieciństwie mieszkała na ostatnim piętrze w bloku
i nigdy nie była pewna, czy winda się zatrzyma.
I teraz, stojąc na dachu, otoczona turystami,
zrozumiała –
tamten strach w pędzącej do góry windzie nie był wymyślony,
bo może nic nie jest wymyślone,
możliwe, że ludzki umysł nie jest zdolny do wymyślania, niczego!

Wahania łączeń między tkankami, błonami;
niemożliwe drgania – to tamten dziecięcy strach.
Istniał, bo winda pędziła bez emocji do góry,
z obojętnością przekraczała prędkość dźwięku.

MAGDALENA BIELSKA (ur. 1980 r.) – poetka, ostatnio wydała tom wierszy „Poradnik dla niedawno zmarłych" (Wydawnictwo a5, 2023). Mieszka w Krakowie.

Nominacje do Górnośląskiej Nagrody Literackiej „Juliusz" 2023

Górnośląska Nagroda Literacka „Juliusz" przyznawana jest za najlepszą biografię napisaną i wydaną w języku polskim w roku ubiegłym. Laureatem corocznej Nagrody może być tylko jedna książka, za którą podczas październikowych Rybnickich Dni Literatury wręczana jest okolicznościowa statuetka oraz nagroda pieniężna w wysokości 50 tys. zł.

Spośród 40 tytułów zakwalifikowanych do konkursu Kapituła Górnośląskiej Nagrody Literackiej, obradująca w składzie: Anna Cieplak, Agata Passent, Ewa Niewiadomska, Tadeusz Sławek, Zbigniew Kadłubek (przewodniczący), Jan Baron (sekretarz), wybrała 5 nominowanych książek.

20 października o godz. 17.30 w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Rybniku przy ul. Szafranka 7 pojawią się wszyscy nominowani do nagrody. Spotkanie poprowadzą Elżbieta Janota i Paulina Rzymanek z podkastu „Już tłumaczę".

Karolina Dzimira-Zarzycka, SAMOTNICA. DWA ŻYCIA MARII DULĘBIANKI, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Biografia w klasycznym rozumieniu gatunku. Artystyczna i społeczna działalność Dulębianki przeplatają się w rytm historii napisanej ze starannością i dbałością o faktografię, pieczołowicie opracowaną przez autorkę. Karolina Dzimira-Zarzycka kreśli portret „podwójny", choć można by i było powiedzieć, że szerszy, biorąc pod uwagę nie tylko tło społeczne, środowisko i miejsca z jej czasów. Biografię Dulębianki można interpretować również ze współczesnej perspektywy – w kontekście praw kobiet i osób LGBT+, które są obecnie w Polsce zagrożone.

ANNA CIEPLAK

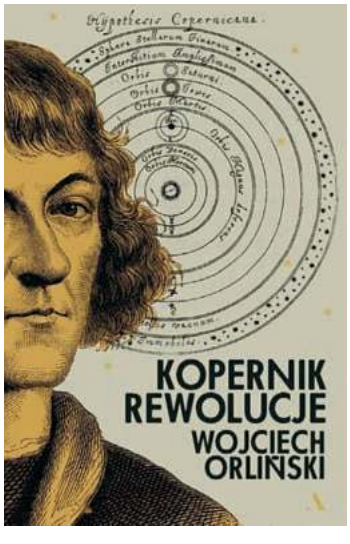

Wojciech Orliński, KOPERNIK. REWOLUCJE, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2022

Gdyby Kopernik mógł wybrać sobie biografa, na pewno wskazałby na Wojciecha Orlińskiego. Po pierwsze autor ma wiedzę i narzędzia, by napisać biografię matematyka. Orliński często wraca do tego, byśmy myśleli o Koperniku nie tylko jak o człowieku Kościoła, podróżniku, astronomie, dyplomacie, uczestniku wojny z zakonem krzyżackim, ale jako matematyku, który siedzi przy biurku i liczy, szuka błędów, m.in. w modelu Ptolemejskim. Na początku mamy wrażenie, że Orliński podejmuje się czegoś niemożliwego, bo o Koperniku nie mamy prawie żadnych źródeł, wiemy niewiele, jest tu ogrom białych plam. Czy zatem dzieło Orlińskiego to „gdybanie" pełne grzechów prezentyzmu? O nie! Mamy tu raczej śmiałe hipotezy, fabułę przypominającą seriale typu „Gra o tron", analizę tego, jak polityka Kościoła, wojny i intrygi mieszczan tamtej Europy tak naprawdę stworzyły Kopernika. Z drugiej strony książka czerpie z anglosaskiej tradycji pisania tzw. *history of science*. Nie da się przecież genialnych odkryć naukowych oddzielić od spraw społecznych. A kobiety i miłość? Bez nich rewolucji kopernikańskiej też by nie było. Ważne, że książka powstała w czasach, gdy ruchy płaskoziemców rosną w siłę, a niektórym uniwersytetom w Polsce odmawia się funduszy i serwuje cenzurę. Arcyciekawa analiza możliwej jeszcze w tamtych czasach relacji między naukami ścisłymi a Kościołem.

AGATA PASSENT

MATERIAŁ PARTNERA

**Krzysztof Siwczyk,
SYGNAŁ W ZENICIE,
Wydawnictwo Austeria,
Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2022**

Książka Krzysztofa Siwczyka jest próbą sporządzenia biografii pewnego pokolenia rzutowanej na postać niezwykle dla tej generacji znaczącego muzyka, jakim był Robert Brylewski, lider formacji Brygada Kryzys. Można powiedzieć, że to właściwie dwie biografie: zmarłego w 2018 r. Brylewskiego i samego Siwczyka ukrytego w gąszczu gierkowskiej miejskiej szarzyzny, przemawiającego wspólnym językiem, nigdy niewysuwającego się na plan pierwszy. Udała się Siwczykowi rzecz bardzo trudna: napisał swoją biografię, nie mówiąc niczego wprost o „sobie", ale uświęcając sobą i swoim życiem artystę, który jego życie uformował. Myślę, że coś podobnego udało się Annie Ernaux w „Latach", które także są biografią bez „ja", zapisem życia pokolenia, z którym autorka splata się w ciepłym uścisku i którego języka używa jako mowy wspólnej. Znakomita proza, odważny eksperyment biografii tyleż intymnej, co powszechnej (bo to przecież obraz Polski lat 70. i 80.), artefaktów (jak kasety magnetofonowe) przechowywanych już tylko w sentymentalnej pamięci, architektury, rytuałów polskiego życia offowego – ta książka to tyleż biografia, co kulturografia pokazująca, jak wielką rację miał John Donne, gdy pisał, że człowiek nie jest samotną wyspą, lecz stanowi tylko okruch wielkiego kontynentu.

TADEUSZ SŁAWEK

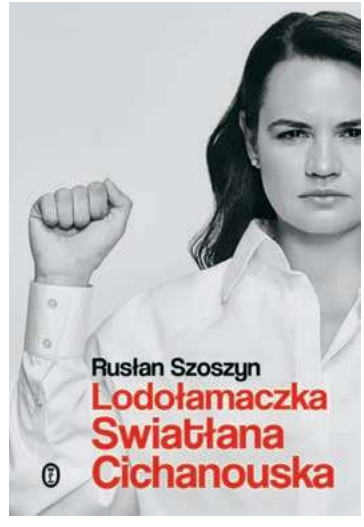

**Rusłan Szoszyn,
LODOŁAMACZKA.
SWIATŁANA
CICHANOUSKA,
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2022**

Książka, która dodaje odwagi. Biografia „w procesie", napisana wartko niczym thriller polityczny, choć porusza bieżące wydarzenia. Bez zbędnych ozdobników Rusłan Szoszyn przeprowadza przez historię Swiatłany Cichanouskiej, której nie można uprościć określeniem „stawanie się". Swiatłana nie ma bowiem czasu na wymyślenie własnej drogi, bo „z dnia na dzień" postanowiła startować w wyborach za swojego męża, godząc się tym samym na wszelkie ryzyka związane z tą decyzją. Rusłan Szoszyn, który od lat pisze o sytuacji w Białorusi, dociera do Cichanouskiej i jej otoczenia, aby odsłonić przed nami historię, która określa kierunek wyzwań stojących przed światem w obliczu działań wojennych Putina i jego sprzymierzeńców dążących do odebrania obywatelom wolności słowa. To głos o kształcie przyszłych demokracji.

ANNA CIEPLAK

**Krzysztof Umiński,
TRZY TŁUMACZKI,
Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2022**

Krzysztof Umiński przesadził. Zmusił mnie, za co jednak jestem mu wdzięczny, do lektury kilkunastu przekładów Joanny Guze. Musiałem od nowa przeczytać Malraux oraz inne pozycje z literatury francuskiej, żeby przypomnieć sobie, że Joanna Guze jest moją bramą do tekstów francuskich; że jest moją przewodniczką po lekkości eseju francuskojęzycznego; że podarowała mi francuskie dzienniki. Ale oczywiście „Trzy tłumaczki" to nie tylko Joanna Guze, ale też Maria Skibniewska i Anna Przedpełska-Trzeciakowska. Jakżeż subtelnie szkicuje portrety tych trzech kobiet Umiński! Jakżeż ten Umiński potrafi nie narzucać się czytelnikowi! Nawet kilka obszernych cytatów z listów swoich bohaterek Umiński umie skomentować jednym zdaniem, które jest acumenem. W tym zdaniu Umińskiego jest jakiś rodzaj czułości, podziwu. Nie sądzi, nie ocenia, nie trywializuje. Biografia Umińskiego podoba mi się dlatego, że to jest w ogóle rzecz o przekładzie, to znaczy najważniejszym procesie, jaki pracuje we mnie, naturalnie zaraz po krążeniu krwi.

ZBIGNIEW KADŁUBEK

Zabawy językiem

***Michał Rusinek:** Promując czytelnictwo popełniamy jeden podstawowy błąd – zapominamy, że lektura to przede wszystkim źródło różnorakich przyjemności.*

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jaki status ma dziś w Polsce literatura dla młodzieży?

MICHAŁ RUSINEK: W polu literatury dla dorosłych mamy nagrody, splendor i uwagę krytyków. Nieco gorzej, choć wciąż nieźle sytuacja wygląda w przypadku literatury dla dzieci – jest doceniana na różne sposoby.

Natomiast literatura dla młodzieży to ciągle takie nie-wiadomo-co, ni pies, ni wydra, co z kolei w oczywisty sposób przekłada się na pozycję samych autorów i autorek.

Między innymi z tego powodu powstała Nagroda Literacka Podróż Hestii. Wymyślając ją, chcieliśmy wyraźniej zaznaczyć obecność tego gatunku na rynku wydawniczym, ale przede wszystkim – podkreślić jego ogromne znaczenie w kształtowaniu nowych pokoleń czytelników i czytelniczek.

Na czym polega specyfika tego gatunku?

Jako juror miałem początkowo obawy – no bo przecież nie jest to literatura pisana dla mnie, a moje dzieci już wyrosły z tej grupy czytelników. Zastanawiałem się, jakie kryteria oceny powinienem przyjąć. Szybko jednak znalazłem własny klucz – jest nim język, bo językowo literatura młodzieżowa jest szalenie ciekawa.

Pisana jest oczywiście przez dorosłych, ale dorosłych, którzy mają świadomość, że nie powinni naśladować języka młodzieży. Każdy, kto podejmuje taką karkołomną próbę, umieszcza się na pozycji z góry skazanej na porażkę. Wszyscy pamiętamy ze szkoły nauczyciela, który próbował „być równy" – kończyło się to straszną żenadą.

A autorzy książek dla młodzieży, przynajmniej ci najlepsi, nie naśladują, lecz podsłuchują język młodych ludzi, a potem umiejętnie go wykorzystują. A mówimy tu o materii niezwykle dynamicznej, bo język młodzieży szczególnie mocno próbuje nadążyć za zmianami społecznymi, które zachodzą dookoła.

Dlatego ta literatura jest tak ważna?

Stawka jest ogromna. Przepraszam za truizm, ale literatura, i ta dla młodzieży nie jest żadnym wyjątkiem, ma na celu uporządkowanie świata – powinna dawać język do jego opisu i ułatwić młodym ludziom znalezienie w nim własnego miejsca. Rzeczywistość, w której dorasta dzisiaj młodzież, jest wyjątkowo niestabilna, a przez to groźna, pełna zupełnie nowych, bezprecedensowych wyzwań.

Jeżeli autor ma tego świadomość, jego książka może być pomocna w oswajaniu tych lęków. To istotna różnica między literaturą młodzieżową i dziecięcą, bo w tym drugim przypadku autorzy nie muszą, a przynajmniej nie w takim stopniu, mierzyć się z tymi problemami.

Czy można zatem stworzyć kanon literatury młodzieżowej?

Nie przepadam za tym słowem, ale tak, jest to możliwe, pod warunkiem że będziemy go regularnie aktualizować. My, dorośli, musimy pamiętać, że dziś świat zmienia się szybciej, niż to miało miejsce, gdy sami byliśmy młodzi.

O czas i uwagę młodych ludzi konkurują też inne media.

Nie tylko młodych. Jednak nie zawsze jest tak, że inne media, nazwijmy je „ekranoidalnymi", odwodzą od literatury, czasem bywa wręcz odwrotnie. Jako filolog chciałbym, żeby to literatura, rozumiana dość klasycznie, była tą najchętniej wybieraną formą uczestniczenia w kulturze, niemniej pojawiają się nowe, również ciekawe formy hybrydowe.

Weźmy choćby literaturę powstającą w ramach internetowej platformy Wattpad i Weronikę Marczak [pisaliśmy o niej w „TP" 25/23 – red.] z jej serią „Rodzina Monet", która ma miliony czytelników, a na spotkania z nią ustawiają się wielogodzinne kolejki. To dobry przykład tego, że literatura świetnie potrafi sobie dziś radzić, także w formie drukowanej, bo tego typu powieści sprzedają się również w wersji papierowej, i to w rekordowych nakładach.

To też przykład alternatywnego wobec systemu szkolnego obiegu literackiego.

Przymus czytania w szkole od zawsze był problemem, bo też trudno jest poprzez nakazy zachęcić kogoś do literatury. Dlatego też wszelkie pozasystemowe zachęty i propozycje lekturowe niemalże z definicji lepiej się sprawdzają.

Literacka Podróż Hestii to jeden z wielu przykładów tego typu inicjatyw, bo nie sama nagroda jest tu najważniejsza, co raczej wielotorowe promowanie książek i czytelnictwa w ogóle.

Jurorzy wskazują najciekawsze publikacje w danym roku, ale to dopiero początek – chodzi o to, aby poprzez spotkania, lekcje czy warsztaty w szkołach albo lokalnych bibliotekach zachęcić młodych ludzi do czytania.

Jak rozmawiać z młodymi ludźmi o literaturze, aby wzbudzić w nich autentyczne zainteresowanie?

Nie ma jednego wzorca, można za to podpatrywać, jak skutecznie robią to inni. Świetnych przykładów dostarcza chociażby Katarzyna Tubylewicz, która od lat mieszka w Szwecji. Tam, zamiast robić kosztowne kampanie medialne z wykorzystaniem telewizji czy bilbordów, szuka się innych, bardziej oddolnych rozwiązań.

Na przykład?

Jeżeli z danych wynika, że chłopcy w wieku 11-15 lat czytają niewiele, to należy zastanowić się, poprzez jakie autorytety można by do nich dotrzeć, aby to zmienić. W przypadku tej grupy, jak się okazało, są to trenerzy

Literacka Podróż Hestii

JACEK TARAN

Michał Rusinek

sportowi – więc jeżeli oni, po treningu, podrzucą swoim wychowankom jakąś książkę, to jest duża szansa, że tamci ją przeczytają.

A nawet jeśli nie, to wciąż samo czytanie książek powoli staje się czymś bliższym ich światu. Praktyka pokazuje, że to zdecydowanie najskuteczniejsza metoda – nie ma w tym snobizmu, jest za to naturalne rozwijanie pewnego stylu życia.

Promując czytelnictwo, zazwyczaj popełniamy jeden podstawowy błąd – zapominamy, że lektura to przede wszystkim źródło różnorakich przyjemności, które mogą być dla nas pożyteczne. Promując czytelnictwo, powinniśmy uczyć czerpania przyjemności z obcowania z literaturą. Nie zawsze musi się to wiązać ze zdobywaniem intelektualnych szczytów – to przychodzi z czasem.

Jak zmienił się polski rynek literatury dla dzieci i młodzieży w ostatniej dekadzie?

Z pewnością oferta jest coraz bogatsza – szczególnie pod względem wizualnym. Polscy ilustratorzy i ilustratorki zdobywają wiele prestiżowych nagród branżowych na całym świecie, jest się czym zachwycić.

Pojawia się też coraz więcej przekładów, co mnie, jako tłumacza, niezwykle cieszy, choć wciąż nie jest łatwo przebić się z co ambitniejszymi i mniej oczywistymi propozycjami wydawniczymi.

Z kolei debiutantom na tym rynku jest coraz trudniej, choć to akurat właściwość całego pola literackiego, szczególnie w tych mniej komercyjnych gatunkach. Na przykład w przypadku wierszy dla dzieci.

Brzechwę i Tuwima widać na każdym kroku.

No właśnie, oni akurat świetnie sobie radzą, gorzej z nowymi nazwiskami. To ciekawe, bo rymowane książki dla dzieci kupują nie tyle rodzice, co dziadkowie, którzy sami wychowywali się na tych klasykach.

Z klasykami różnie bywa, nie wszyscy się dobrze zestarzeli...

Dlatego nie zawsze warto zmuszać innych do czytania rzeczy, które nam się wydawały kiedyś ciekawe. Gdy moje dzieci były jeszcze małe, zależało mi, żeby poznały „O czym szumią wierzby" Kennetha Grahame'a – czytano mi tę książkę wielokrotnie, potem sam po nią sięgałem. Okazało się jednak, że, owszem, szybko przy niej zasypiały, ale sama historia w ogóle ich nie interesowała. Chyba dlatego, że jej forma się zestarzała – narracja wydaje się zbyt rozwlekła jak na możliwości percepcyjne dzisiejszych pokoleń.

Miałem podobną obserwację podczas tłumaczenia tzw. oficjalnych kontynuacji przygód Kubusia Puchatka. Podstawowa różnica w stosunku do oryginału polega na tym, że rozdziały są krótsze i więcej się w nich dzieje.

Odnoszę jednak wrażenie, że literatura, której bohaterowie zbudowani są zgodnie ze starożytnym toposem puer-senex, czyli łączącym dziecięcą ciekawość świata z doświadczeniem starca-mędrca, starzeje się najwolniej. Widać to w przypadku prozy Alana Alexandra Milne'a, „Piotrusia Pana" Jamesa Matthew Barriego, „Fistaszków" Charlesa Schulza albo „Muminków" Tove Jansson.

A co nie przeszło próby czasu?

Zarówno dzieci, jak i młodzież są dziś zdecydowanie bardziej wyczulone na smrodek dydaktyczny i wszelkie inne formy moralizatorstwa. Do walki z dziaderstwem przygotowują się już od najmłodszych lat – może to i dobrze?

A nowe, wcześniej nieobecne w literaturze dziecięcej elementy?

Podoba mi się, że i w dziecięcej, i w młodzieżowej literaturze coraz więcej jest zabawy językiem – na przykład purnonsens, który staje się czytelniejszy dla coraz młodszych czytelników, co dobrze rokuje na przyszłość, bo mam wrażenie, że ten nurt literatury wciąż jest mało obecny w Polsce.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

MICHAŁ RUSINEK – adiunkt w Katedrze Teorii Literatury na Wydziale Polonistyki UJ. Autor i tłumacz kilkudziesięciu książek dla dzieci i dorosłych. Członek kapituły konkursu Literacka Podróż Hestii.

Co czytać przed snem

MICHAŁ SOWIŃSKI

Nawet najpiękniejsze ilustracje i najmądrzejsze treści nie przejdą próby czasu, jeśli najzwyczajniej w świecie nie będą ciekawe. Tylko co to znaczy?

O tym, że oczekiwania rodziców i dzieci bywają trudne do uzgodnienia, z pewnością przekonał się każdy, kto kiedykolwiek odwiedził z dzieckiem księgarnię w poszukiwaniu nowej lektury. Zwykle zaczyna się od naznoszenia naręczy rzeczy najbardziej kuszących kolorystycznie („Tato, ta różowa książka o różowych stworach z Królestwa Różu jest super!"). Sprawy nie ułatwiają też popularne i wszechobecne w salach zabaw, poczekalniach u lekarzy czy przedszkolach serie wydawnicze. Wiadomo, niezależnie od wieku najbardziej lubimy te Kicie i Pucie, które już dobrze znamy – uważam jednak, że nawet najlepsza franczyza nie jest w stanie wytrzymać dwudziestej odsłony, warto więc poszukać czegoś nowego.

Wtedy inicjatywa przechodzi na drugą stronę i bezlitośnie obnaża nudziarstwo dorosłych. („O, zobacz, książka o tym, że warzywa są smaczne, zdrowe i należy je jeść w dużych ilościach!"). Odruchowo sięgamy po książki, które, przynajmniej w zamyśle, mają rozwijać w dzieciach wrażliwość, uczyć radzenia sobie z trudnymi emocjami czy służyć jako pomoc dydaktyczna w oswajaniu trudnych sytuacji. Mamy w domu długą półkę, która aż ugina się od tych wszystkich mądrości – jednak dzieci omijają ją szerokim łukiem. Dlaczego?

Bo przy wybieraniu pierwszych wspólnych lektur czasem zapomina się, że nawet najpiękniejsze ilustracje i najmądrzejsze treści nie przejdą próby czasu, jeśli najzwyczajniej w świecie nie będą ciekawe. Tylko co to znaczy? Z pewnością (i całe szczęście!) nie ma tu jednej dobrej odpowiedzi. Umiejętność wykrywania obecności tego efemerycznego pierwiastka (bądź jego braku) przychodzi z czasem i zawsze jest efektem wielu niepowtarzalnych przygód lekturowych. Zachęcając do przeżywania własnych, jednocześnie podsuwam kilka propozycji, od których można zacząć wspólne poszukiwania.

AUTOR jest redaktorem i krytykiem literackim. Ojciec Zosi, lat 5 (no prawie).

Edzio i przyjaciele

JEST ICH TRZECH i mieszkają w kasztanowcu na środku leśnej polany. Puchacz Jerzy, Wiewiórek Edzio i Miś Antoni są paczką zgranych przyjaciół, choć dzieli ich wiele różnic, przez co nie zawsze żyją w zgodzie. Jerzy, który mieszka w koronie drzewa, jest nieco przemądrzały i łatwo się obraża. Do tego uwielbia się przebierać za dziwne stwory (zawsze sam szyje stroje), a reszta mieszkańców polany przymyka oko na jego dziwactwa. Niżej, w dziupli mieszka Edzio, który (często z pomocą przyjaciół) próbuje przełamywać własną nieśmiałość i strach przed światem poza swoją przytulną kawalerką. Kocha gotować i robić pompony. Z kolei na samym dole znajduje się mieszkanie Antoniego, rubasznego niedźwiedzia, który uwielbia organizować przyjęcia i tańczyć na nich do rana. Czasem jednak smutno zerka w lustro, bo wydaje mu się, że nikt nie dostrzega jego wrażliwej strony.

Fragment książki „Edzio i tajemnica zupy", Marc Boutavant, Astrid Desbordes, przeł. Paweł Łapiński, Wydawnictwo Wytwórnia

Edzio i jego przyjaciele w każdej kolejnej książce z serii stworzonej przez francuski duet Astrid Desbordes i Marca Boutavanta mierzą się z innym wyzwaniem, ucząc się jednocześnie, jak lepiej cieszyć się swoim towarzystwem, ale też światem dookoła. Na przykład w części „Edzio i tajemnica zupy" odkrywają bezcenną prawdę, że im bardziej się z kimś przyjaźnimy, tym lepiej smakuje nam wspólne jedzenie (i na odwrót – to bardzo francuska opowieść). Mają też kompana imieniem Coś, choć ich początki znajomości (opisane w tomie „Coś") nie były wcale łatwe. Tajemniczy różowy stwór budził lęk swoją odmiennością, nie wspominała o nim również „Wielka Encyklopedia Lasu", którą namiętnie studiuje Jerzy (ostatecznie hasło „Coś" zostaje do niej dopisane). Jednak szybko okazuje się (ciasteczka upieczone przez Edzia bardzo pomagają), że jednak więcej ich łączy, niż dzieli, i Coś staje się pełnoprawnym członkiem leśnej wspólnoty.

Do tego przebogatego uniwersum można wracać bez końca, co rusz wspólnie odkrywając w nim nowe elementy i powiązania. W czym wydatnie pomaga unikalne poczucie humoru – nie ma co ukrywać, że w wielu momentach adresowane przede wszystkim do dorosłych, co przynosi ulgę, gdy dialogi (po nie wiadomo już której lekturze) można przytaczać z pamięci.

Noi i morze

Fragment książki „Mój wieloryb", Benji Davies, przeł. Małgorzata Pietrzyk, Znak emotikon

NOI MIESZKA wraz z ojcem w domku na plaży. Chłopiec większość dni spędza samotnie, bo jego ojciec jest rybakiem i często wypływa w morze. Towarzystwa dotrzymuje mu sześć kotów – na każdej stronie tej przepięknie namalowanej książeczki chowają się w innych miejscach, można więc szukać ich bez końca. Jednak pewnego ranka po sztormowej nocy Noi znajduje na brzegu małego wieloryba, który zgubił swoją mamę. Takie spotkanie musi rozpalić serce i wyobraźnię każdego dziecka, nie inaczej było więc w przypadku Noiego, który zabiera nowego przyjaciela do swojej wanny i tam się nim opiekuje. Opowiada mu o swoich marzeniach i tęsknotach, ale przede wszystkim o swojej samotności. Nowego lokatora jednak trudno utrzymać w tajemnicy – nawet najbardziej zajęty pracą i trudami samotnego rodzicielstwa ojciec w końcu odkryje, że w domowej łazience zamieszkał wieloryb. Decyzja o wypuszczeniu go na wolność jest trudna, ale najważniejsze, że udaje się ją podjąć razem.

Benji Davies w swoich książkach daje najmłodszym czytelnikom (i tym, którzy je z nimi czytają) dużo przestrzeni dla wyobraźni i emocji. W „Powrocie wieloryba", kontynuacji przygód Noiego, waleń odwdzięcza się, ratując z kolei chłopca, który w zimową noc rusza pieszo po zamarzniętym morzu na poszukiwania ojca. W pierwszym odruchu może wydać się to zbyt przerażające, jednak w tym przypadku groza umiejętnie równoważona jest poprzez ciepło i głębie relacji rodzinnych (wieloryby od zawsze w literaturze były wdzięcznymi metaforami).

To, że literatura dla najmłodszych może z powodzeniem opowiadać o rzeczach trudnych, świetnie widać w innej książce tego autora (niezwiązanej już z Noim), „Cudownej wyspie dziadka". Syd, jej bohater, najbardziej na świecie kocha swojego dziadka. Gdy pewnego razu wdrapuje się na jego strych, okazuje się, że dobrze znana przestrzeń zamieniła się w statek, a sam dziadek musi udać się w podróż na odległą wyspę. Wspólnie więc wyruszają w rejs. Na miejscu mają wiele przygód, jednak po całym dniu wypełnionym cudownościami chłopiec odkrywa, że do domu będzie musiał wrócić sam. Dziadek zostaje na wyspie i co jakiś czas będzie wysyłał wnuczkowi pocztówkę, żeby ten o nim nie zapomniał. To niezwykle poruszająca opowieść o odchodzeniu i żałobie, do tego czytelna i sformatowana pod wrażliwość czytelników w każdym wieku.

Muminki (i Buka)

Z DZIECIĘCYMI KLASYKAMI bywa różnie – nie wszystkie dobrze się zestarzały, przez co nie najlepiej pasują do nowych kanonów estetycznych albo możliwości percepcyjnych kolejnych pokoleń. Każda literatura, i ta dla najmłodszych nie stanowi wyjątku, ma swój wymiar historyczny, bo zbudowana jest na symbolach i odniesieniach czytelnych w konkretnym kontekście społecznym, politycznym i kulturowym. Wybierając wspólne lektury z dzieckiem łatwo wpaść w pułapkę nostalgii – z oczywistych powodów chcemy dzielić się tym, co nam kiedyś wydawało się niezwykłe i cenne. W tej materii trzeba jednak (z uwagi na dobro wszystkich zainteresowanych) zachować daleko idącą ostrożność.

Na szczęście są Muminki. Oryginalne opowiadania Tove Jansson w przypadku najmłodszych czytelników mogą być jednak wciąż nieco za trudne językowo (wyobraźnia samej autorki też bywa momentami wyzwaniem, nawet dla dorosłych) – jednak wydawnictwo HarperKids opracowało serię książeczek, będących wspaniale ilustrowaną adaptacją prozy fińskiej pisarki. Dzięki nim możemy łatwo i przyjemnie wejść w muminkowe uniwersum,

Fragment książki „Muminek i pierwszy śnieg", na podstawie opowiadań Tove Jansson, przeł. Zuzanna Naczyńska, Wydawnictwo HarperKids

jednocześnie nie tracąc nic z jego cudownej oryginalności. W części „Muminek i tajemnica lata" pojawia się nawet Buka – odwieczny obiekt mrocznej fascynacji wszystkich dzieci. Niemniej zaprezentowana jest tak, aby nie śniła się po nocach (jak to miało miejsce w moim i poprzednich pokoleniach). A i długość idealna do czytania przed snem. ©

NIE UFAM SOBIE

WIESŁAW MYŚLIWSKI, PISARZ:

Powoływanie się na doświadczenie jest pychą. Coś, co przeżyliśmy, nie jest przecież niepodważalną wiedzą. Podlega tak samo prawom nieufności jak wszystko.

TRICOLORS / EAST NEWS

WOJCIECH BONOWICZ: Mawiasz, że Twoje książki wiedzą o Tobie więcej niż Ty sam. Ale czy rzeczywiście my, czytający, możemy się z nich czegoś o Tobie dowiedzieć?

WIESŁAW MYŚLIWSKI: Chciałbym, żebyście się nie dowiedzieli. Piszę powieści tak, żeby o mnie było jak najmniej. Owszem, korzystam – bardzo często, nawet zawsze – z własnej biografii. Ale jeśli biorę jakiś fragment mojego życia, to go następnie przekształcam do tego stopnia, że staje się w ogóle niepodobny do tego, co mi się w życiu zdarzyło. Bo jakbym opisał to, co mi się w życiu zdarzyło, to byście państwo nie chcieli tego czytać.

Autobiografizm jest mało ciekawy, ciekawe są dopiero kreacje, które się na podstawie zdarzeń ze swojego życia buduje. Zawsze mnie cieszy – jeśli w ogóle coś mnie cieszy przy pisaniu – kiedy uda mi się, powiem, zakłamać to, co się w moim życiu zdarzyło. Jeśli z jakiegoś elementu mojego życia udało się stworzyć obraz, który mnie samego zainteresował. Bo to, co mi się zdarzyło w życiu, to ja wiedziałem. Ale to, co można na tej podstawie zbudować – tego nie wiedziałem. A dopiero tu zaczyna się literatura. Do jakiej kreacji może dojść, na przykład, na podstawie takiego faktu, że ja lubię zmywać? Z tego można wyprowadzić nie wiadomo jaką metaforę, kawał świata.

Oczywiście nie miałem na myśli takiego prostackiego autobiografizmu. Użyłeś kiedyś pięknego sformułowania: „Słowo zaczyna we mnie grzebać". Biografia biografią, ale tu chodzi o odsłonięcie czegoś wewnątrz siebie, intymnego bardzo.

Powstaje problem, po pierwsze, czy słowo czegoś się dogrzebało, a po drugie – czy nie zakłamało tego, co jest we mnie. Przecież w języku są rozmaite pułapki. Ja ufam językowi, uważam, że to język w gruncie rzeczy pisze moje powieści. Ale przecież wiem, że jest on również zastawioną na mnie pułapką. Sam na siebie zastawiam pułapkę językiem.

Zdarza się, że nie wiem, dlaczego coś napisałem. Skąd ten fragment? Nie wiem. Bywa też tak, że te fragmenty napisane jakby poza moją świadomością okazują się najlepsze. Jakby sam język je napisał. Siła języka polega między innymi na tym, że jest w stanie nas prowadzić. Jedno zdanie wywołuje następne. Ale też pojedyncze zdanie może wywołać kilka następnych zdań. Rzecz polega na wyborze spośród tych kilku jednego, które wywoła kolejne zdanie.

Są różne metafory, których używamy do opisu literatury. Mnie bardzo bliska jest ta, która porównuje ją do rozmowy. Czy dla Ciebie literatura też jest rozmową, wyjściem ku drugiemu, próbą zaczepienia go? Czy raczej ruchem do środka siebie, do wnętrza własnego świata, żeby go zrozumieć, żeby siebie samego przede wszystkim zaczepić?

Musiałbym się zastanowić... Bo jeśli rozmową, to z kim? Musiałbym mieć interlokutora. A nie mam.

Jak piszesz, nie masz żadnego wyobrażonego...

Kogoś, do kogo piszę?

Tak.

Nie mam. I nie wierzę w to. Jak mi ktoś mówi, że pisze dla określonego czytelnika – choćby to był taki ogólny czytelnik przez duże „C" – to, według mnie, jest to nieprawda. Dlatego że pisarz nie wie, kto będzie czytał jego książki. Nie może zakładać, że widzi tego czytelnika, dla którego pisze. My tego nie wiemy, więc można powiedzieć, że piszemy dla siebie. Julian Przyboś, zapytany kiedyś, dla kogo pisze, odpowiedział, że pisze dla idealnego czytelnika, a tym idealnym czytelnikiem jest on sam.

Poddaję się pod osąd właściwie nie wiem kogo. Poddaję się pod osąd tych, którzy będą mnie czytali, ale jestem wobec nich bezradny. Mogą mnie czytać intelektualiści, mogą mnie czytać ludzie prości, zwyczajni, nawet analfabeci – bo poproszą kogoś, żeby im czytał. Więc z kim miałbym rozmawiać? Musiałbym sobie od razu tego czytelnika ułożyć. A to byłoby bardzo niebezpieczne.

Czyli ważniejszy jest ten moment sam na sam z tekstem? Kiedy trzeba rozwiązywać rozmaite problemy na bieżąco? Zdecydować, co wybrać z tych możliwości, które się odsłaniają?

Rozumiesz, że zmuszasz mnie do jakiegoś radykalizmu? Pisanie literatury na dobrą sprawę bierze się z niewiedzy, a nie z wiedzy. I niewiedza jest właściwie motorem czy energią literatury. Kiedy siadam do pisania książki, nie wiem, o czym ona będzie. Bo gdybym wiedział, po co miałbym ją pisać? Dlatego nie lubię kryminałów. Kryminał jest takim standardem – wiadomo, czym się skończy. A ja, pisząc, nie wiem. To mnie zaczyna ciekawić i stanowi impuls do pisania.

Zdanie potrafi powołać postać, której nie przewidywałem. Ja nie planuję zawczasu, jakie postaci będą w książce. Zdanie powołuje postać, która początkowo wydawała się tylko jakimś mikroelementem, i nagle zaczyna urastać – jakby poza moją wiedzą, poza moją wolą. Rośnie i nagle staje się jedną z głównych postaci. To jest dopiero ciekawe. Dla mnie w każdym razie, jako piszącego – bardzo.

Zapytałem Cię o tę postawę przy pisaniu i o to, jak dalece jesteś otwarty na czytelnika, bo przecież wiesz, że tych czytelniczek i czytelników masz wielu.

Tym jestem najbardziej zdumiony, prawdę mówiąc. Nigdy bym nie przypuszczał. I to nie jest kokieteria. Do żony nawet mówię: „Słuchaj, ja tego nie rozumiem, że mam tylu czytelników...". Bo rzeczywiście, pokazują to nakłady książek.

Ale chyba najbardziej fascynujące jest to, że masz też takich czytelników za granicą. Że gdzieś tam, wiele kilometrów stąd, jest ktoś, dla kogo Twoja literatura jest ważna, jest czymś niemal osobistym, jakby specjalnie dla niego napisanym.

Tak się dzieje, nic na to nie poradzę. Teraz dostałem na przykład nowe tureckie wydanie „Traktatu o łuskaniu fasoli". Trzecie wydanie tej książki! Nawet Turcy mnie czytają?

W 2016 r. miałem takie zdarzenie: dostaję nagle dużą kopertę, otwieram, a w środku jest akt notarialny po holendersku i po polsku, przełożony przez tłumacza przysięgłego. I z tego aktu wynika, że w takiej a takiej kancelarii prawnej w Lejdzie zjawił się taki a taki pan, ciężko chory, ale nie stary, pięćdziesiąt parę lat miał, i zapisał spadek panu Wiesławowi ↦

WIESŁAW MYŚLIWSKI jest pisarzem. Autor cenionych powieści. Dwukrotny laureat Nagrody Nike za „Widnokrąg" i „Traktat o łuskaniu fasoli".

↦ Myśliwskiemu z Polski. Wtedy już w Holandii wyszły chyba trzy czy cztery moje książki i on postanowił mi zapisać swój spadek – za „Kamień na kamieniu". Pokazałem ten dokument znajomemu prawnikowi: „Przeczytaj, co to w ogóle jest". On przeczytał i mówi: „Słuchaj, to oszustwo. Ty nie masz pojęcia, jakie są oszustwa!". „No ale tu są pieczęcie", mówię. „To nie ma znaczenia. Żeby to sprawdzić, musiałbyś wynająć adwokata, który by pojechał do Holandii i upewnił się, że taka kancelaria w ogóle istnieje. Ale gdybyś wysłał adwokata, to on by prawdopodobnie wziął za to tyle, ile wynosi ten spadek".

Też dostaję takie listy mailem... Uwierzyłeś?

Zacząłem się zastanawiać, co zrobić, ale wtedy mój syn, który ma internet (ja nie mam internetu), nawiązał z tym biurem w Lejdzie kontakt i wszystko się potwierdziło. Nawet okazało się, co to za spadek. Ten człowiek był ekonomistą z wykształcenia, pracował na uniwersytecie w Lejdzie. Miał, to pamiętam dokładnie, pięćdziesiąt tysięcy euro długu i pięćdziesiąt tysięcy euro w depozycie bankowym. Ale miał też dom i ten dom mnie zapisał. Pomyślałem, że to za dużo zachodu... Pisałem wtedy „Ucho igielne" i byłem tak zaaferowany tym pisaniem, że właściwie nawet mnie złość wzięła, że coś takiego wchodzi w moje pisanie i nie pozwala mi pracować.

Na szczęście w tym testamencie był zapis, że jeśli pan Myśliwski spadku by nie przyjął, to on ceduje go na wydawnictwo Querido w Amsterdamie, które wydaje moje książki. I tak zrobiłem. Ale okazało się, że aby zrezygnować z tego spadku, potrzeba tyle samo zachodu, co gdybym ten spadek przyjął. Na szczęście wyręczył mnie syn. Trzeba było zacząć od notariusza, później w Ministerstwie Spraw Zagranicznych potwierdzić, w sądzie potwierdzić. W Lejdzie musiała odbyć się rozprawa.

Bardzo ciekawa historia.

Nie żałuję tego, żeby była jasność. Uważam, że dobrze zrobiłem. Wydawnictwo Querido napisało mi list dziękczynny. Opisało, ile im z tego wszystkiego zostało – bo przecież po sprzedaży domu trzeba było jeszcze zapłacić podatek. Ale została całkiem spora suma. Bardzo skomplikowana to była sprawa, ale się uwolniłem.

> Literatura nigdy nie była dla mnie zawodem. Całe życie pracowałem na etacie, więc zwalniałem literaturę z różnych powinności. Nie musiałem być pisarzem uległym. **Przecież mogłem nie pisać.**

Pamiętam, jak na festiwalu w Szczebrzeszynie podszedł do Ciebie czytelnik i powiedział: „Chciałbym, żeby Pan podpisał książkę dla mojej zmarłej żony". Prosił o autograf dla zmarłej! Ktoś tak poważnie traktuje literaturę? Jakby ona miała moc przekroczenia tej najtrudniejszej granicy.

Myślę, że tak, ma taką moc, przypadek ze spadkiem to potwierdza. On mi ten spadek zapisał przecież za „Kamień na kamieniu" tylko. Zastanawiałem się, co się za tym kryje, dlaczego akurat „Kamień..." – bardzo polska książka – tak bardzo go przejął. Był ciężko chorym człowiekiem, zmarł jakieś dwa lata po tym, jak zrobił ten zapis. Pomyślałem, że może ten „Kamień..." pomógł mu umierać, że taka mogła być przyczyna. Zwłaszcza że z Polski też miałem takie sygnały, że ludzie kazali sobie go czytać przy umieraniu.

Ktoś nawet kazał ją sobie do trumny włożyć, jeśli dobrze pamiętam.

Z „Kamieniem..." miałem bardzo różne przeżycia. Ta książka oczywiście miała na wsi dużo czytelników. Ale też na wsi najwięcej osób ją krytykowało.

No, to sobie doskonale wyobrażam. Bo to jest książka, która odsłania pewne rzeczy z życia wiejskiego, trudne po prostu.

Może.

Dramaturgię tego życia, jego wewnętrzną logikę. To przy okazji zapytam: jakie są najsilniejsze źródła Twojej wyobraźni? Jak Ci się wydaje, co ją najmocniej ukształtowało?

Życie ją ukształtowało.

Byłeś dzieckiem, które lubiło się wsłuchiwać w opowieści innych?

Ja zawsze lubiłem słuchać. Słuchanie było inspiracją „Traktatu o łuskaniu fasoli". Jako dziecko byłem świadkiem tego łuskania. Tu muszę zrobić zastrzeżenie, bo niektórzy wymieniają jednym tchem darcie pierza i łuskanie fasoli. A tego nie wolno mylić. W darciu pierza nigdy nie uczestniczyli mężczyźni. Gdzieżby mężczyzna darł pierze? Żeby go oblazło? Pierze darły tylko kobiety. Natomiast jeśli chodzi o łuskanie fasoli, uczestniczyli w nim wszyscy – mężczyźni, kobiety, dzieci. Można powiedzieć – przekrój całej wsi. I ja też, jako dziecko, w tym uczestniczyłem.

I co się wtedy działo?

Opowieści. Każdy opowiadał, co chciał. Opowiadano o swoich przeżyciach, opowiadano nawet o duchach, które ktoś widział, i tak dalej. W tych opowieściach lała się permanentnie jakaś baśń – wielka, rozbuchana, nieraz przerażająca. Pamiętam, że po takim łuskaniu fasoli nie mogłem spać, matka musiała mnie tulić, żebym usnął. I kiedy sobie to przypomniałem, pomyślałem: jak to łuskanie fasoli przełożyć na literaturę? Jak przełożyć tę nieskoordynowaną opowieść o wszystkim, co mogło człowieka spotkać i nie spotkać? A byli nieraz narratorzy wspaniali, którzy umieli kreować, zmyślać. Właściwie spotkałem mnóstwo takich potencjalnych pisarzy, którzy co prawda nigdy niczego nie napisali, ale mowa ich była literaturą. Jak to teraz przełożyć?

No jak?

Długo się nad tym zastanawiałem. Takim wyzwalającym motywem, który mi pomógł przełożyć tę fasolową mowę na książkę, był pewien wyjazd. Pojechałem odwiedzić przyjaciela, który kupił na wsi dom. To była wieś spacyfikowana przez Niemców, nieduża. On kupił tam dom murowany i wyremontował go. W czasie wojny Niemcy zamknęli w tym domu czterdzieści osób i spalili. Cała wieś została tego dnia spalona, uratował się tylko jeden chłopczyk. Ten świadek żył jeszcze, kiedy ja tam pojechałem. Był już po kilku wylewach, poruszał się na wózku. I ja go pytam: „Jak się pan uratował sam jeden?". „Matka wysłała mnie po kartofle do dołu". Bo wtedy kartofle trzymano w dołach, nie w piwnicach murowanych. „Siedziałem w tym dole i patrzyłem, jak się pali ta moja wieś...". I to mi się

skojarzyło z tą fasolą. Nagle zobaczyłem, że można z tego zrobić jakąś narrację.

A byłeś też dzieckiem marzycielem? Takim, które tworzy w głowie pewne fabuły, wyobraża sobie siebie w jakichś innych scenariuszach?

Pewnie rodziły się różne bajki w mojej głowie, ale nie pamiętam tych bajek. Ty pamiętasz, jak miałeś cztery, pięć, sześć lat, co ci się wtedy w głowie roiło? To raczej teraz będzie ci się roiło, co ci się roiło wtedy.

Przecież my permanentnie kreujemy przeszłość. Opowiadając przeszłość, opowiadamy nie tak, jak ona przebiegała, tylko tak, jak nam się dzisiaj wydaje, że ona przebiegła. Miałem przyjaciół, którzy często opowiadali te same historie po kilka razy. I zauważyłem, że w trakcie każdego spotkania inaczej je opowiadają. Ten sam fragment na następnym spotkaniu, powiedzmy za rok, za dwa, opowiadali zupełnie inaczej, a później jeszcze inaczej. Wielokrotnie mówiłem, że pamięć nie jest od pamiętania, tylko od kreowania.

W maju 2022 r. odbierałeś na Uniwersytecie Jagiellońskim honorowy doktorat i miałeś tam bardzo przejmujące przemówienie, które potem opublikował miesięcznik „Znak". Mówiłeś o tym, że świat chce nami zawładnąć i że literatura nauczyła Cię wolności. Na czym polega wolność, którą może nam dać literatura?

Przede wszystkim na tym, że mogę sobie stwarzać światy, które będą przeciwstawne, a nawet będą jakimś remedium na świat, który się dzieje wokół mnie. W tym znaczeniu jestem wolny. Nie muszę wierzyć w świat, który mnie otacza. Nie muszę ufać. Literatura daje mi prawo do innego świata.

Opisania go inaczej, innym językiem.

Oczywiście. W tym znaczeniu powiedziałem, że dzięki literaturze jestem wolny. Zamykam się przed światem w tym, co piszę. To jest forteca jakaś.

Tego porównania chyba nigdy wcześniej nie użyłeś...

Nie daję się wciągnąć w świat, który mnie otacza. Przekonuje cię to?

Zastanawiam się nad tym. Czy jesteś rzeczywiście taką osobowością forteczną? Czy też raczej szukasz sposobu, żeby w te problemy, które na Ciebie napierają, wejść od innej strony?

Literatura nigdy nie była dla mnie zawodem. Całe życie pracowałem na etacie, więc zwalniałem literaturę z różnych powinności. Zwalniałem ją nawet z zarobkowania, bo to ja zarabiałem na literaturę. I w tym znaczeniu właściwie stworzyłem sobie poprzez literaturę świat wolny. Alternatywę dla świata, w którym żyłem.

To chyba nie było typowe?

Ponieważ byłem redaktorem w wydawnictwie, widziałem, jak niektórzy stawiali na literaturę całe swoje życie, utrzymanie swoich rodzin, wszystko. I wskutek tego zgadzali się na przykład na różne ingerencje cenzury, skróty... Byli ulegli. Z powodu literatury byli ulegli wobec życia. Ja nie musiałem być uległy. Przecież mogłem nie pisać. Mogłem pozwolić sobie na pisanie raz na ileś lat. Mogłem sobie pozwolić na pisanie wtedy, kiedy literatura mnie powoływała. Nie ja literaturę, tylko ona mnie. Mogłem napisać jedną, dwie książki i dać sobie spokój. W tym znaczeniu dzięki literaturze byłem człowiekiem wolnym, czułem się wolny. Zwłaszcza na tle tych przykrych wspomnień z czasów, kiedy byłem redaktorem.

W tym krakowskim przemówieniu było jeszcze jedno zdanie, które nas wszystkich bardzo poruszyło. W pewnym momencie powiedziałeś, że Twoje doświadczenie nauczyło Cię jednego: żeby nie ufać doświadczeniu.

No tak.

Ale czemu w takim razie możemy zaufać, jeśli nie temu, cośmy widzieli, przeżyli, jakoś tam zapamiętali? Niech to będzie nawet kreowane trochę, ale przemyśleliśmy to, przetrawili. Na czym mamy oprzeć się w tym świecie, jeśli nie na tym, cośmy własnym życiem sprawdzili?

Doświadczenie prowadzi nas też do bardzo błędnych wniosków. Ktoś mi mówi: „Wie pan, ja mam takie doświadczenie...". No dobrze, ale co on przez to rozumie? Powoływanie się na doświadczenie jest rodzajem pychy. Jest rodzajem pychy myślenie, że coś, co przeżyliśmy, jest niepodważalną wiedzą. Nie – to, co przeżyliśmy, podlega tak samo prawom nieufności.

Przecież człowiek powinien się zastanawiać, czy to, co przeżył, ma wymiar wieczności, czy mu się tylko tak wydaje. W tym znaczeniu powiedziałem to paradoksalne zdanie, że doświadczenie uczy nas jednego: aby nie ufać doświadczeniu. Generalnie nie powinniśmy sobie ufać. Naszym władzom poznawczym, naszej wyobraźni, naszym snom, naszym przeżyciom. Bo przecież wszystko to, jeśli zamienia się w słowo, staje się właściwie już jakimś rodzajem arbitralności. Człowiek musi bez przerwy sobie nie ufać.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ

Zredagowany i autoryzowany fragment rozmowy, która odbyła się 23 października 2022 r. w Ursynowskim Centrum Kultury „Alternatywy" w ramach Festiwalu Nowe Oświecenie. Kolejna odsłona Festiwalu będzie miała miejsce w dniach 21-28 października br.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkastu Tygodnika Powszechnego słucha już ponad **80 000** osób.

Dziękujemy!

dołącz!

Ze świata do świata

WOJCIECH BONOWICZ

Dramaty i powieści Myśliwskiego trzeba czytać równolegle. Podsuwają nam do przemyślenia zdania, obrazy, metafory, bezcenne dla opisania naszych własnych niepokojów.

Kiedyś o pisaniu Wiesław Myśliwski nie myślał w ogóle, chciał być inżynierem. O pisaniu dla teatru – tym bardziej nie. Kiedy się już na pisanie zdecydował, forma powieści wydała mu się najbardziej obiecująca, bo pojemna i podatna na modyfikacje.

Powieść, mówił w jednym z wywiadów, „jest z natury zaborcza i korzysta ze wszystkich możliwych gatunków – poezji, dramatu, eseju, reportażu – z różnych form pisarskich, jak i piśmienniczych. Jest, można by rzec, formą bez zasad, formą jednorazową, bo każdorazowo język nadaje jej formę". Jako powieściopisarz osiągnął też najwięcej: każda z siedmiu powieści, które opublikował w ciągu kilkudziesięciu lat, spotkała się z dobrym, a często entuzjastycznym przyjęciem, i wszystkie nadal są wznawiane i czytane.

A jednak nie sposób powiedzieć, że pisanie na scenę czy dla filmu to poboczny wątek jego twórczości. Myśliwski jest autorem czterech dramatów i kilku scenariuszy. Ostatnia sztuka wyszła spod jego ręki po wielkim sukcesie „Widnokręgu" (Nike 1997). Teraz, po latach, wszystkie dramaty wydał w jednym tomie, uprzednio raz jeszcze się im przyjrzawszy i poprawiwszy tu i ówdzie. Spośród czterech utworów, które napisał dla teatru, najstarszy, „Złodziej" (1973), jest najbardziej realistyczny, „Klucznik" (1978) przechyla się w stronę groteski, a dwa pozostałe – „Drzewo" (1988) i „Requiem dla gospodyni" (2000) – to „tragikomedie z duchami" (określenie zapożyczam z posłowia Tomasza Bocheńskiego do tej edycji).

Złodziej

Pierwszy dramat Myśliwskiego miał być pierwotnie opowiadaniem. Pomysłu dostarczyło zdarzenie zapamiętane z dzieciństwa: do domu w Dwikozach, w którym w czasie wojny przyszły pisarz mieszkał z matką i siostrą, przyprowadzono mężczyznę przyłapanego na kradzieży ziemniaków. W kuchennej izbie odbyła się narada, co zrobić ze złodziejem. W końcu puszczono go wolno, zatrzymując zastaw, po który zgłosił się później ktoś z rodziny. Pisarz z historii o zaufaniu zrobił historię o przemocy, która wywraca dotychczas istniejący porządek. Kiedy opowiadanie zostało ukończone, okazało się, że składa się ono głównie z dialogów. Ernest Bryll poradził wówczas Myśliwskiemu, żeby przerobił je dla sceny.

Rodzina ukazana w „Złodzieju" nie tyle dyskutuje o tym, czy i jak ukarać winowajcę, ile deliberuje nad losem własnym i świata, który zatrząsł się w posadach. Kto i w jaki sposób miałby rozliczyć zło, jakie ze sobą przyniosła? I jaka jest odpowiedzialność pojedynczego człowieka? Gdy ojciec i synowie namiętnie się spierają, złodziej milczy, a matka śpi lub udaje, że śpi, od czasu do czasu rzucając z pościeli jakąś uwagę. Pisarza mniej interesuje wymiar społeczny przedstawianej historii, a bardziej spięcie między członkami rodziny. Złodziej staje się ich sumieniem: im dłużej milczy, tym oni więcej i śmielej mówią.

Obserwujemy tu coś, co fascynuje Myśliwskiego od początku: jak człowiek określa siebie w mowie, jak próbuje w niej swoje życie jednocześnie opowiedzieć i zmistyfikować. Jego opowieść zagarnia coraz to nowe obszary, staje się opowieścią tyleż jednostkową, co uniwersalną, tyleż partykularną, co kosmiczną.

Klucznik

„Złodzieja" Myśliwski publikuje w „Dialogu". W tym samym piśmie ukazuje się kolejny jego dramat – „Klucznik". Pisarz przyznawał później, że sztuka nie została dokończona. Ale grano ją już w dwóch teatrach, i to z powodzeniem, a nawet rozpoczęły się zdjęcia do filmu, Myśliwskiemu nie chciało się więc jej poprawiać, czego potem przez lata żałował. Przygotowując obecną edycję, wprowadził do „Klucznika" szereg zmian, usuwając niektóre kwestie, a nawet całe dialogi, odrobinę też modyfikując zakończenie.

Jest tuż po zakończeniu wojny, majątki ziemskie są odbierane właścicielom i rozparcelowywane. W miejscu akcji władza zachowuje się jednak inaczej: pozwala ciężko choremu hrabiemu i jego rodzinie pozostać we dworze. Skoro starzec i tak niebawem umrze, niech dokończy żywota, myśląc, że wszystko nadal jest, jak było. Dlatego we dworze codziennie stawia się Kazimierz, który przed wojną pełnił funkcję klucznika, i zdaje hrabiemu fałszywe relacje z tego, co się w gospodarstwie dzieje. Mniej ważne są tu historyczne okoliczności, bo Myśliwskiego interesuje szersze spojrzenie na zmianę, jaka się dokonuje.

W jakim stopniu rewolucja jest czymś narzuconym, a w jakim wyrasta z napięć, które naprawdę istnieją? Czy jest – może być – rzeczywistą zmianą, czy też tylko odwróceniem ról? W finale dramatu hrabia oddaje Kazimierzowi karabelę, mówiąc: „Przejrzyj no się w lustrze". Kazimierz nie rozumie, co ten gest ma oznaczać i kim ma być on sam w świecie, który właśnie się rodzi. Wiemy, że nie pali się do przejmowania majątku, chodzi mu o coś innego. Możemy sobie dopowiedzieć: chodzi mu o sprawiedliwość, ale nie o przemoc, i o sens, ale nie o iluzję sensu. Tymczasem okazuje się, że iluzja jest wszechobecna, obejmuje zarówno przeszłość, jak i to, co właśnie powstaje.

Drzewo

W każdym dramacie Myśliwskiego jest postać, która skupia na sobie uwagę bardziej niż pozostałe. W „Złodzieju" jest nią Walek, średni syn, który wygłasza monolog na temat zabijania, choć jego własne doświadczenia w tym zakresie są konfabulacją. W „Kluczniku" jest to hrabia, który podejmuje zaproponowaną przez otoczenie grę, choć wie dobrze, co się dzieje i co się święci. W „Drzewie" – trzecim dramacie Myśliwskiego – taką postacią wydaje się zrazu Marcin Duda, który z powrozem na szyi wchodzi na stary dąb, żeby bronić drzewa przed wycięciem.

SEBASTIAN GUMIŃSKI / MOK W SIEDLCACH

Spektakl „W cieniu drzewa" (reż. Katarzyna Szczepaniak) w wykonaniu Teatru Teraz My, działającego w ramach Siedleckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Siedlce, 22 września 2020 r.

Kiedy Myśliwski przyszedł z tym pomysłem do Kazimierza Dejmka, miał w głowie tylko jedną ideę: że pod drzewem „będzie się działa Polska". I rzeczywiście – kręcą się tam, niczym w „Weselu", postaci żywe i zmarłe, komiczne i tragiczne, reprezentujące rozmaite stany i takie, które nie wiadomo, kim właściwie są. Na jednego z głównych protagonistów wyrasta szpicel, który donosił okupantom, póki nie zastrzelili go partyzanci; teraz okazuje się wiedzieć o życiu więcej niż inni i to jemu najczęściej udaje się zgrabnym zdaniem podsumować poszczególne sceny.

Świat, który reprezentuje stary Duda, właśnie umiera albo już umarł. Nowy świat nie ma jeszcze ustalonego kształtu, ale jedno jest pewne: nie będzie oglądał się w przeszłość i nie zechce skorzystać z tego, co mu pozostawiła. Protest chłopa siedzącego na drzewie to znak zapytania postawiony obok nowoczesności, która jest chaotyczna i niekonsekwentna. Stają tu też naprzeciw siebie dwa języki. Językiem nowym mówią inżynierowie i urzędnicy, próbujący wieloimienną rzeczywistość uchwycić za pomocą uchwał i przepisów. Z kolei język dawny, którym przemawia z drzewa Duda, brzmi archaicznie, ale też głębiej, ma w sobie pokorę i motywację, by połączyć ze sobą to, co w dole, z tym, co w górze.

„Przypatrz mu się", mówi o drzewie, „cała ziemia się korzeni jego trzyma, to i dotąd w przepaść nie runęła. Całe niebo się na czubie jego wspiera, to i dotąd się nie zawaliło. (...) To niech go teraz wytną, będzie świat? Zresztą musieliby go nie tylko z ziemi wyciąć, żeby było wycięte. Musieliby z nieba, i z tej naszej wsi, i z naszego okna, z naszych oczów. I tak samo z pamięci umarłych".

Requiem dla gospodyni

Ten sam temat, od nieco innej strony, podejmuje Myśliwski w „Requiem dla gospodyni". Oto gospodarz organizuje czuwanie przy zmarłej żonie. Robi to zgodnie z dawnym rytuałem, jedną izbę przeznaczając na modlitwę, a w drugiej urządzając przyjęcie. Jednakże na wsi mało kto pamięta, co to takiego czuwanie, a przyjęcie, na którym nie będzie wódki, nikogo nie interesuje. W tej sytuacji trzeba – niczym w ewangelicznej przypowieści – poszukać gości wśród osób przypadkowo spotkanych na drodze. Wszystko zdaje się zmierzać do tego, by podniosłe skądinąd wydarzenie zamieniło się we własną parodię.

Czuwanie się nie udaje, ale duch gospodyni i tak się zjawia. Medium między światami staje się Boleś, stary pastuch, którego wyobraźnia i sposób odczuwania nie zostały „uziemione" przez nowoczesność. Wierzy, że ma w sobie moc boską. „Jestem, co jestem", mówi w finałowym monologu.

Pomysł przyszedł Myśliwskiemu do głowy w latach 90. ubiegłego wieku, gdy podczas pobytu w Krasnogrudzie został nieoczekiwanie zaproszony na podobne czuwanie. W dramacie tamto wzruszające, ale też intrygujące doświadczenie (w jednej izbie śpiewano, a w drugiej stoły uginały się pod jedzeniem) potraktowane zostało niesentymentalnie – jako okazja do stworzenia kolejnej metafory.

W „Requiem..." prawie nikt i nic nie jest sobą. Chór towarzyszący zmarłej to grupa chałturników. Kuchenna izba, odkąd stanął w niej olbrzymi telewizor, przestała być centrum rodzinnego życia. Pogrzebnicy to przypadkowa zbieranina, złożona w znacznej mierze z „ludzi bez właściwości". Czy nic już nie jest naprawdę? Czy życie i śmierć mają dla nas jeszcze znaczenie, ciężar, powagę? Czy też czujemy się – jak to kiedyś powiedział pisarz w jednym z wywiadów – dotkliwie wydziedziczeni, a najdotkliwsze ze wszystkich jest wydziedziczenie ze śmierci?

Myśliwski zapewne uchyliłby się od odpowiedzi na te pytania, mówiąc, że to nie problemy tworzą literaturę, lecz język. Widać jednak, że pisarza interesuje zmiana, a ściślej – to, co zmiana odsłania, i to, co umożliwia. Także, a może przede wszystkim, w kwestii języka: fakt, że jedne formy przeżywania świata obumierają, a inne się rodzą, zmusza ludzi, by próbowali opowiedzieć siebie raz jeszcze, inaczej, na nowo. ©

Wiesław Myśliwski, **ZŁODZIEJ. KLUCZNIK. DRZEWO. REQUIEM DLA GOSPODYNI,** posłowie Tomasz Bocheński, Znak, Kraków 2023

Nobel: przeprawa z Jonem Fossem

IGOR KIERKOSZ

Tegoroczny noblista jest autorem bezgranicznie otwartym na zwykłe życie. Pisze po to, żeby znaleźć nitki nadziei i pogodzenia z zimnym, ciemnym światem. Nic go nie obchodzą diagnozy i morały.

Jest głęboko wierzącym chrześcijaninem, ale nie interesuje go mierzenie się z palącymi problemami współczesnego świata. Do tego ma silne przekonanie, że literatura wyradza się nie z rzetelnie rozplanowanej pracy, tylko z natchnienia, że spływa na niego w trakcie pozarozumowego misterium. Nie brzmi to jak opis osoby, która mogłaby napisać powieść odpowiadającą na potrzeby nowoczesnego społeczeństwa.

To prawda – bardziej niedzisiejszego człowieka niż ten Norweg trudno sobie wyobrazić; tak bardzo niezaangażowanego we wszystko, co nazwalibyśmy ważną sprawą. A skoro tak, to Jon Fosse nadawałby się na śmietnisko najnowszej literatury. Uduchowiony, anachroniczny, po prostu mało przydatny. Tylko że z jakiegoś powodu całe zastępy czytelników czy krytyczek od lat zarzekały się, że widziałyby go z Noblem. No to wreszcie widzą.

I jeszcze fakt, że jego *opus magnum*, siedmiotomowa „Septologia" (wydania oryginalne: 2019, 2020, 2021), w praktyce sprowadza się do dosłownie paru niekończących się, zapętlonych zdań i ledwie kilkuwątkowej fabuły, z której w zasadzie nie wynikają żadne konkretne wnioski, żadna refleksja społeczno-polityczno-kulturowa, która uzasadniałaby ogromną objętość książki. Bo trzeba jeszcze powiedzieć, że całość jest rozpisana, jakby z kaprysu, na paręset ślimaczo następujących po sobie stronic.

Z szybkiej kalkulacji wychodzi mi, że czas poświęcony na „Septologię" to koszt co najmniej trzech innych porzuconych książek, plus kilku zaniedbanych obowiązków. Czytanie tego w środku pędzącego świata? A co dopiero „używanie" w dyskusjach o politycznych powinnościach współczesnej literatury. Przecież dzisiaj liczą się krótkie, zaangażowane i jasno określone światopoglądowo komunikaty. Takie, które otwarcie zapraszają, żeby się z nimi zgadzać lub nie.

Daleko mu do takiej twórczości, ale – wbrew wszelkiej logice – dostarcza dziś jednego z najbardziej bogatych i pożywnych doświadczeń czytelniczych.

Zjawienie

Dopiero teraz na dobre trafia na polski rynek z odpowiednim przytupem. Wydawnictwo ArtRage najpierw oddaje w ręce czytelniczek i czytelników „Drugie imię" – pierwszy z trzech tomów wchodzących w skład „Septologii", zawierający dwie z jej siedmiu części. Kolejne tomy, również w przekładzie Iwony Zimnickiej, będą się u nas ukazywać rok po roku.

Jednak zanim to wszystko nastąpi, Fosse pozostaje trochę jak przybysz z odległego kraju. Zdążyli go docenić na świecie, wystawić w znaczących europejskich teatrach, poobstawiać jego nazwisko u bukmacherów, a do nas wchodzi jakby tylnymi drzwiami – nie dość, że późno, to jeszcze na pierwszy ogień z najnowszą powieścią, bez porządnej rozgrzewki.

Pytanie tylko, na ile potrzebna jest tu rekonstrukcja całej jego pisarskiej drogi. Bo, mówiąc wprost, kolejne teksty Fossego, które czytam – z konieczności w angielskich przekładach, głównie Damiona Searlsa, nagradzanego amerykańskiego pisarza i tłumacza – za każdym razem wyglądają trochę jak wprawki do „Septologii". Tak samo pozapętlane w swoim rozgadaniu, z motywami powtarzanymi tak obsesyjnie, że zaczynają się śnić po nocach. Fjord, fale, łódka, chata. Fjord, alkohol, matka, syn. Morze, religia, chata, malarz.

Gdzieś po drodze pojawia się jeden z bardziej ekscytujących konceptów Fossego – bohaterowie i bohaterki spotykają samych siebie. Może z przeszłości, może z alternatywnych wersji własnych biografii, a może siebie nieistniejących nigdy i nigdzie. Nikt nie tłumaczy źródła tych anomalii, bo i sam autor nie bardzo wie, skąd mu się one wzięły. Ja lubię myśleć, że przestrzenie w jego literaturze mają własną pamięć – coś jak u Zbigniewa Rybczyńskiego w oscarowym „Tangu" (1981). Ktoś wchodzi, ktoś wychodzi, poruszając się po planach geometrycznych wytyczonych w przestrzeni. Cykl się ciągle powtarza, ale czy kolejna wchodząca osoba jest na pewno tą samą, co wcześniej?

Dałoby się wyrysować drzewo genealogiczne pokrewieństw i zależności między jego postaciami. Wyszłoby, że wszystkie są z tego samego rodu. Dla niepoznaki czasem migrują między miastami i wsiami zachodniego wybrzeża Norwegii, czasem zmieniają stroje i wykony-

JESSICA GOW / AFP / EAST NEWS

Jon Fosse, Sztokholm, 21 października 2021 r.

wane zawody, ale wcale niezbyt często, natomiast ich problemy i namiętności pozostają mniej więcej identyczne. To tragicznie nieszczęśliwi mężowie, zmarli synowie, uwięzione w żałobie żony i porzucone córki. Z korodującymi więzami rodzinnymi, z utraconymi miłościami ich żyć, w ciągłym marazmie. Ale też z niejasnym przeczuciem, że jakiś absolut jeszcze trzyma te życia w ryzach.

Po co więc szczegółowo rekonstruować ich losy, skoro najwyraźniej sprowadzają się one do tych samych smutnych opowieści? Choćby po to, żeby nie poprzestać na tym mylnym wrażeniu. Żeby to wszystko przypadkiem nie zabrzmiało jak kolejne powtórzenie depresyjnej prozy, scheda po nihilistach albo zżynka z Thomasa Bernharda. Po to, żeby znaleźć w tych książkach najważniejsze – nitki nadziei i pogodzenia z zimnym, ciemnym światem. Bo Fosse niby pisze o tym, co już sobie nieraz w literaturze i sztuce poprzerabialiśmy, ale znajduje oryginalny idiom, z którego jakimś cudem wyradzają się nigdy nieopowiedziane emocje.

Wzrastanie

„Cud" to wyjątkowo uzasadnione słowo w przypadku Fossego. Od dawna utrzymuje, że umiejętność pisania spłynęła na niego jak łaska, której nikt nie miałby prawa odrzucić. No bo czym innym wyjaśnić jego wielką dramatopisarską karierę? Mówimy o człowieku, który z teatrem się wprost nienawidził, a już na pewno nie planował w latach 90. tworzyć w tak – jego zdaniem – wyczerpanym wówczas rodzaju literackim. Jako dwudziestoczterolatek miał już na koncie śmiały debiut prozatorski „Czerwone. Czarne" (1983), dwa lata później wydał jeszcze powieść „Zamknięta gitara" i nie zbaczał dalej niż na teren poezji („Anioł z wodą w oczach" z 1986 r.).

Do teatru wszedł faktycznie jakby za sprawą łaski. Najpierw Tom Remlov, dyrektor Teatru Narodowego w Bergen, wciągnął go w reformatorski Projekt Bergeński. Założenie było proste: wpuścić młodą energię w norweską dramaturgię. Od połowy lat 90. ledwie trzydziestoparoletni Fosse wypluwał z siebie sztukę za sztuką, zbierał kolejne nagrody i kolejne wystawienia w Niemczech, Francji i jeszcze dalej na południe. Świat teatru pożerał dosłownie wszystko, czego dostarczał mu młody pisarz. Zwłaszcza w Norwegii głód nowości był ogromny. W prasie pisano, że tak dobrze nastrojony dramaturgiczny mózg nie istniał od czasów Henryka Ibsena – wielkiego poprzednika i inspiratora Fossego.

Choćby taka „Matka i dziecko" (1997). Na scenie są dwie postaci, z których ta druga odzywa się głównie lakonicznym „tak" i „nie". Całość brzmi trochę jak rozmowa ze zbuntowanym synem po nieudanej wywiadówce, ale ciężar emocjonalny jest tu zawieszony dużo wyżej. Wydaje się, że kiedy w końcu spadnie, nie będzie czego zbierać. Tylko że Fosse nie goni za – wszyscy by chcieli – eskalacją. Żale i wzajemne oczekiwania buzują głęboko, pod spodem dialogów, ale ostatecznie nigdy nie wypływają w pełni na wierzch.

Kolejne dramaty to znowu jednoaktowe wyścigi potwierdzeń z zaprzeczeniami, znów to samo krztuszenie się własnymi słowami, identyczne zapętlenia i niedopowiedzenia. Nawet tło nie bardzo się zmienia. Dom w okolicy fiordu, z którego chciałoby się wynieść, ale nie zawsze można; ciemność za oknem, zimno. Syn, Ojciec, Matka, Sąsiad – często bezimienne, uniwersalne figury wrzucone w nowoczesną rodzinną tragedię. Wśród nich jest też Asle.

Imiennicy

Asle urodził się w „Letnim dniu" (1998). Nabrał pełni w „Oto Ales" (2004). Z kolei „Trylogia" (2014) nadała kierunek jego filozofii życiowej. W „Septologii" zyskał ostateczny kształt. Zawsze Asle – nigdy nie ten sam, ale przecież jakoś podobny do swoich imienników z różnych fabuł Fossego. Kumuluje w sobie cały przekrój ludzkich doświadczeń, z tym że z utworu na utwór zmienia cielesną powłokę. Pomnik Aslego byłby z przegniłego drewna wyłowionego z zatoki, zbity rdzawymi gwoździami. Z czasem zmieniałby kształt, porastał mchem. Brat i przeciwstawienie Pana Cogito.

Bo teksty Fossego to zawsze opowieści o zmienności, która ujawnia się w przedziwny sposób – przez nawroty tego samego. Mówią nam o pewnym paradoksie ↦

↦ – że skoro człowiek jest zmienny, świadczy to o jego wiecznej jednakowości. A mówiąc prościej: możesz zrobić wszystko, żeby stać się nową osobą, ale tak naprawdę nigdy nie wymażesz własnej tożsamości. Czytanie Fossego ze świadomością tego przeznaczenia jest jedną z najbardziej wzruszających przepraw przez ludzką bezsilność w historii literatury.

I wcale nie dlatego, że to jakaś doniosła, głęboka myśl. Zupełnie przeciwnie. Wybrzmiewa najdotkliwiej za sprawą całkiem zwyczajnych sytuacji. Takie pojedyncze kadry wypalają mi się pod powiekami jak nieusuwalne znamiona. Pierwsze z brzegu: żona wygląda męża przez okno, mimo że ten od lat nie wraca z rejsu po wzburzonym morzu; dziewczyna z chłopakiem zaraz przeżyją swój pierwszy raz w przypadkowej piaskownicy; właściciel zaginionego psa dowiaduje się, że zwierzę zostało zabite; młody malarz bezowocnie szuka swojej kochanki.

Już jedna taka migawka wystarczyłaby jako dowód wielkości pisarza, tymczasem u Fossego następują one regularnie, w każdej książce. We wczesnych „Prozach z dzieciństwa" (1994) są na przykład wydestylowane do ekstremalnie krótkich form, dosłownie jednozdaniowych opowiadanek. Na przeciwległym biegunie ekstremów znajduje się właśnie wydane po polsku „Drugie imię". Tam też na początek dostajemy do przyswojenia jedno zdanie. Ale kończy się ono po dwustu stronach.

Donikąd

Po co ono się tak ciągnie? Najwidoczniej nigdzie mu się nie spieszy, bo zanim wyjawi choćby najmniejszą informację, zanim popchnie akcję do przodu, mija parę stron. Po drodze trzy razy się powtórzy, pięć razy zatrzyma i jeszcze trochę zameandruje. Można pomyśleć, że to zupełnie bezcelowe, tym bardziej że w tej fabule nie ma znowu aż tak dużo zdarzeń. Czy potrzeba tylu słów, żeby powiedzieć, że malarz Asle jeździ sprzedawać obrazy do galerii Beyera, spotyka swojego zapitego imiennika, widuje sąsiada Åsleika i się modli? Jasne, to spore uproszczenie, są jeszcze długaśne chwile zadumy, wspomnień i wewnętrznych monologów, w których można pomieścić ogrom treści. Ale one też rządzą się prawem nadmiaru, naddatkowego gadania, żeby nie powiedzieć: pustosłowia. Fosse robi jednak z tego ględzenia rytuał, może nawet misterium, bo słowa spływają na jego bohaterów poza ich kontrolą, zupełnie jak na samego autora. Gdyby byli bardziej powściągliwi, to może i nam czytanie poszłoby sprawniej, ale wtedy w ich mowie nie zostałoby nic poza informacją – w całości przyswajalną i interpretowalną – czyli dokładnie na odwrót, niż chciałby Fosse. Dla niego ważniejsze są momenty dezinformacji, obsesyjnie zagadywanego niedopowiedzenia, kiedy postaci mówią, żeby mówić, i w tym mówieniu mimochodem stwarzają najbardziej realistyczne sytuacje. Są realistyczne, bo tak jak w życiu ich wagę można bardziej odczuć emocjami, niż objąć rozumem. Chyba tę zasadę miał na myśli Fosse w jednym ze swoich esejów: „tego, co wiemy w głębi, nie można wydobyć i uzasadnić (...), to tylko coś, co wiemy, a skąd wiemy i dlaczego, i tak dalej, jest mało interesujące. Przypuszczalnie najmądrzej po prostu to zostawić niedookreślone".

> Fosse przeszedł drogę od ateisty do głęboko wierzącego katolika, ale pisze o duchowości nie po to, żeby sprzedać czytającym religijną agitkę, **tylko dlatego, że przerobił ten temat od podszewki.**

Dlatego też na przegranej pozycji byli reżyserzy teatralni, którzy na scenie próbowali naprawiać połamany i niedopowiedziany język Fossego, psychologizować albo intelektualizować jego proste komunikaty. Jakby żaden z nich nie chciał pojąć, że właśnie w tym „zepsuciu" zawiera się cała oryginalna metoda. W tej powolnej drodze donikąd chodzi o współodczuwanie. Jedynym warunkiem zrozumienia tej prozy jest po prostu bycie człowiekiem.

W świetle

Oczywiście kusi, żeby czytać „Septologię" w kluczu biblijnym. „Drugie imię" poprzedza motto z Apokalipsy, siedem części rymuje się z siedmiodniowym Stworzeniem, do tego ciągle trafiają się tu mniejsze i większe sugestie odsyłające do chrześcijaństwa: krzyż świętego Andrzeja, rybak, różaniec, łódka. Zresztą Asle mówi o wierze czy religii otwarcie i obszernie, wcale nie po ezopowemu. A że sam Fosse przez ostatnie czterdzieści lat przeszedł drogę od ateisty do głęboko wierzącego katolika, to wyjątkowo łatwo wmawiać mu w tym kontekście autobiografizm. Już w „Melancholii" (1995) Boska światłość wlewała się w życie malarza Larsa ze wszystkich stron – gdyby nie fakt, że jego bohater był wzorowany na prawdziwym XIX-wiecznym malarzu Larsie Hertervigu, to pewnie byłby pierwszym z wielu imienników Aslego oraz, potencjalnie, *alter ego* Fossego.

Ale mało który autor tak stanowczo odcina się od sugestii o autobiografizmie. Sprawa wiary w twórczości norweskiego pisarza jest bardziej skomplikowana. Jeśli Fosse pisze o duchowości, to nie żeby sprzedać czytającym religijną agitkę, tylko dlatego, że zwyczajnie przerobił ten temat od podszewki. Z tego samego powodu pisze zresztą o alkoholu, co też nie znaczy, że drugi Asle, ten upadły, jest literackim odbiciem pisarza. O Bogu mówi ze sporą ostrożnością, trzymając się z dala od wielkich słów, bez dogmatyzmu i zamykania się na świeckie namiętności. W sumie nie wyobrażam sobie, żeby mógł zrazić do swojej literatury nawet najbardziej zagorzałych ateistów.

Bo poza wszystkim innym pokazuje, w jaki sposób jest dziś możliwa wielka literatura wyzwolona z wymogu zaangażowania. A przy tym wcale nie migająca się od spraw najwyższej wagi. Wystarczy tylko, żebyśmy sobie ustalili, że taką sprawą może być przelotne spotkanie z sąsiadem, wspomnienie pierwszej miłości albo bezcelowe patrzenie w horyzont.

© IGOR KIERKOSZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na **powszech.net/wspieram**

fanimani.pl

Prosto w serce

MONIKA OCHĘDOWSKA

Agata Karczewska nie myśli wcale o country jako określonym brzmieniu. Dla niej to synonim wrażliwości i otwartości wobec ludzi, którzy niekoniecznie są z naszego świata, wyznają inne wartości.

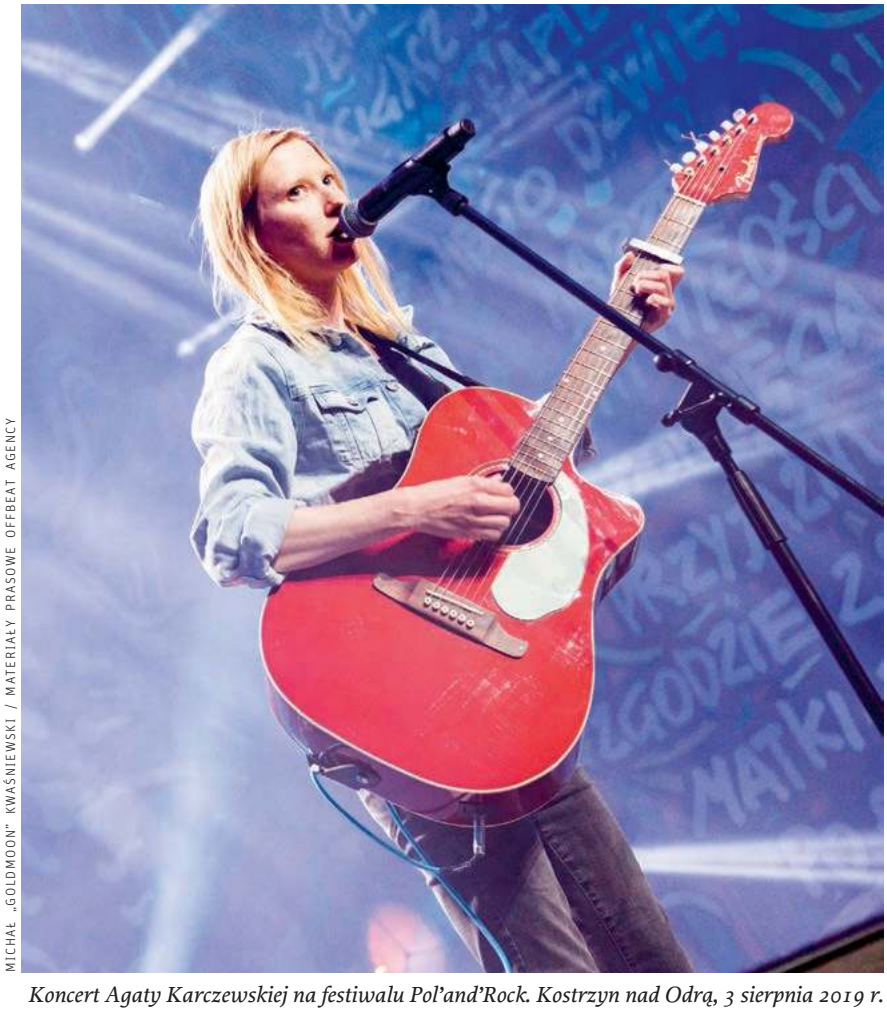

MICHAŁ „GOLDMOON" KWAŚNIEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE OFFBEAT AGENCY

Koncert Agaty Karczewskiej na festiwalu Pol'and'Rock. Kostrzyn nad Odrą, 3 sierpnia 2019 r.

Klub Stodoła, Warszawa. Na początku widzę jedynie kształt jej kapelusza i pochyloną sylwetkę mężczyzny. Zanim reflektory wyłonią z mroku wąskiej sali ich twarze, na publiczność spada elektryczny prysznic dźwięków. Już wiadomo: po prawej – John Porter, walijski gitarzysta o zamglonych oczach. Ciepłe światło ślizgające się po gryfach gitar przypomina mi nie tylko ten fragment o jego spojrzeniu, ale całą scenę z ostatniej książki Katarzyny Kubisiowskiej, gdy przed jednym z nadmorskich koncertów – gdzieś w końcówce lat 70. – John leży z Korą na rozgrzanej łasze piachu. Uczą się wzajemnie słów w obcych językach. Ona spontanicznie śmieje się wprost do słońca.

Porter towarzyszy Korze i Markowi Jackowskim w pierwszych latach istnienia Maanamu – jadą razem na kilka występów z repertuarem Leonarda Cohena, goszczą w modnych audycjach radiowych. Szybko zdają sobie sprawę, że mają inną wrażliwość, inne podejście do pracy. „Ja nigdy i nigdzie się nie dopasowałem, ostatecznie także z nikim" – przyzna Porter wiele lat później.

Dziś – także na własnych zasadach – gra z wokalistką i gitarzystką country Agatą Karczewską, która cztery lata temu zadebiutowała świetnym, wydanym przez niezależną oficynę OFFbeat, nominowanym do Fryderyka albumem „I'm Not Good at Having Fun". Od premiery wspólnej płyty Portera i Karczewskiej „On The Wrong Planet" do pierwszego koncertu w stołecznej Stodole mijają całe wakacje. Duet pracuje we własnym, niespiesznym rytmie.

– Poznawanie Johna było ciekawym doświadczeniem – mówi „Tygodnikowi" Agata przed występem. – Pochodzimy z innych światów, dzieli nas spora różnica wieku. Mamy różne opinie na wiele tematów, choć na szczęście oboje kibicujemy Manchesterowi United – uśmiecha się. – Pierwsze pytanie podczas naszego pierwszego spotkania brzmiało: „komu kibicujesz?". Gdybym wybrała Manchester City albo Liverpool, ta płyta by nie powstała i oboje doskonale o tym wiemy. A poważnie: szanujemy siebie nawzajem, nawet jeśli nie docieramy w dyskusjach do kompromisu. Nieustannie wymieniamy się doświadczeniami. Przykład? Nauczyłam go słuchać Orville'a Pecka.

THE CHICKEN RANCH, NEVADA | Na początku wzrok przykuwa scenografia przywodząca na myśl pracę Franka Silvy na planie „Miasteczka Twin Peaks": senne, prawie nagie kobiety kołyszące się w tańcu, a między nimi tajemniczy typ w masce i stroju kowboja. Potem pojawia się czerwone światło i zbliżenie na mięsiste usta wokalisty oraz jego trzydniowy, niechlujny zarost. A za moment widzimy już pustynny krajobraz Nevady, niedaleko granicy z Kalifornią – to droga przez kanion Red Rock na obrzeżach Las Vegas. Pick-upy, stare chaty z wybitymi szybami w oknach, pustka i pięknie ubrani, ale w jakimś sensie bierni, prawie nieżywi ludzie.

Piosenka „Dead of Night" Orville'a Pecka z płyty „Pony", której teledysk właśnie opisałam, to romantyczna ballada o skomplikowanej miłosnej relacji dwóch mężczyzn, utrzymana w przewrotnie westernowej stylistyce oscarowych „Psich pazurów" Jane Campion. Peck bawi się tutaj obrazem maczo, umacniającym w amerykańskiej popkulturze patriarchalne wzorce. Wbrew pozorom ↦

↦ całkiem odważnie, bo historia coming-outów w country jest dość krótka – liczy zaledwie kilkanaście lat.

Co wiemy o samym Pecku? To pochodzący z Republiki Południowej Afryki artysta mieszkający w Kanadzie, naprawdę nazywa się Daniel Pitout.

– Totalnie przegięty, dzięki czemu swoim wizerunkiem trafia w sedno stereotypowo kowbojskiego vibe'u, kompletnie go rozbijając – opowiada Karczewska. – Jest kwintesencją queerowego country, a jednocześnie, dla Kanadyjczyków, ikoną stylu. Występuje w maskach i śpiewa jak Elvis Presley.

W jego muzyce słychać również nawiązania do Johnny'ego Casha, a krytycy lubią go porównywać do Roya Orbisona. Najważniejsze jest jednak to, że kryjąc się za doskonale dopracowaną kreacją i skórzanymi akcesoriami, Peck otwiera się przed słuchaczami, opisując swoją samotność skontrastowaną z gnającym do przodu, skąpanym w świetle księżyca światem.

Balansuje przy tym na granicy uniwersalności tekstów country i homoerotyzmu kryjącego się w gatunkowym żargonie (wszak to koń jest przedłużeniem mężczyzny, jak słusznie zauważył country-Ken w ostatnim filmie Grety Gerwig). Niedługo po premierze albumu „Pony" Peck powie, że to, czym się aktualnie zajmuje (wcześniej związany był ze sceną punkową), jest „naprawdę najszczerszą rzeczą" w jego artystycznym życiu.

BAR STUDIO, WARSZAWA | Zaręczam, przeczytacie i usłyszycie o tym wszędzie: przejmująca, szczera opowieść i proste aranżacje to kwintesencja muzyki country. Jaka historia jest zatem najlepsza?

– Oczywiście: prosta – odpowiada bez namysłu Agata. – Weźmy klasyków, czyli Johna Prine'a albo Dolly Parton: po trzech wyśpiewanych przez nich wersach mamy doskonale zarysowaną sytuację i zbudowane napięcie. Wiemy, gdzie jesteśmy, jak się mają sprawy, kto jest bohaterem i co się wydarzyło. A muzyka? Wystarczy nauczyć się trzech akordów, żeby napisać świetną piosenkę, i właśnie to najbardziej mnie w country ujmuje. Piosenki Patsy Cline albo Hanka Williamsa mają bardzo proste melodie, zawierające jednocześnie gigantyczny ładunek emocjonalny. Chwytają za serce.

Agata Karczewska poleca

▪ **TOWNES VAN ZANDT „TOWNES VAN ZANDT" (**1969)
Album doskonały. Wystarczy posłuchać „Fare Thee Well, Miss Carousel", żeby zorientować się, że Townes to najwyższa songwriterska półka.

▪ **ORVILLE PECK „PONY"** (2019)
Tak wyobrażam sobie przyszłość muzyki country. Hipnotyzująca, intrygująca płyta, która bezczelnie queeruje kowbojskie stereotypy.

▪ **SIERRA FERRELL „LONG TIME COMING"** (2021)
Jeden z najciekawszych głosów nowego pokolenia country. Niepokorna, charyzmatyczna osobowość, która tworzy muzykę jakby nie z tej epoki.

RICHMOND, WIRGINIA | Młody mężczyzna w skropionej deszczem szarej koszulce mówi wprost do kamery telefonu, siedząc za kierownicą kampera. Czasem przysłania go kierownica. Na Wschodnim Wybrzeżu musi być chłodno, szyby auta są zaparowane. Za pożogą rudej brody kryje się sympatyczna twarz. Uroku dodają jej idealnie zielone oczy.

W momencie, w którym oglądam to nagranie, Oliver Anthony jest najpopularniejszym wykonawcą w Stanach. Został pierwszym artystą, któremu udało się wskoczyć na szczyty list przebojów bez wcześniejszej muzycznej historii. Z przeróżnych rankingów, które pączkują teraz na stronach muzycznych portali, wynika, że pokonał już takie supergwiazdy jak Taylor Swift. Nagrany telefonem filmik, na którym wykonuje swój najpopularniejszy utwór, obejrzano na YouTubie ponad 70 mln razy. Na Spotify ta sama piosenka (wrzucona do serwisu w sierpniu) ma ponad 80 mln odtworzeń.

Jako nastolatek Christopher Anthony Lunsford (bo tak się naprawdę nazywa) rzucił szkołę, by pracować w fabryce. Country komponuje i gra od mniej więcej dwóch lat, muzyka pomogła mu wyjść z nałogu. Unika rozgłosu, nie lubi udzielać wywiadów. Jeśli ma coś do powiedzenia, wrzuca to bezpośrednio do mediów społecznościowych. Zabiega, by bilety na jego koncerty nie kosztowały więcej niż 25, góra 40 dolarów. Piosenki, które umieszcza w sieci, są w dużej mierze krytyką tego, jak urządzony jest świat, atakują polityków, układy, krytykują system podatkowy. Opowiadają o sytuacji finansowej przeciętnego obywatela, utrudnionym dostępie do opieki zdrowotnej itd.

Wszystko zaczęło się od kawałka „Rich Men North of Richmond", antyrządowego hymnu wymierzonego w Waszyngton. I mimo że przeróżni politycy nieustannie próbują rozgrywać jego popularność, otwarcie deklaruje, że ma dość zarówno Republikanów, jak i Demokratów. Jak zdecydowana większość jego rodaków – wedle niedawnych sondaży jedynie 20 proc. Amerykanów liczy na reelekcję Bidena, a o zaufaniu do Trumpa nie ma co mówić.

„Jesteśmy zwykłymi ludźmi, a nie Republikanami czy Demokratami" – relacjonują wypowiedzi wielbicieli Anthony'ego amerykańskie dzienniki. „Miło jest mieć w głównym nurcie kogoś, kto ma dość odwagi, żeby to powiedzieć" – słychać podczas koncertów. „Jest jak Bob Dylan lat 20. XXI wieku" – wierzą sąsiedzi z rodzinnego Farmville. „Oliver Anthony jest teraz latarnią morską" – nie szczędzą pochwał ludzie z branży. Prasa obwieszcza wielki renesans muzyki country.

BAR STUDIO, WARSZAWA | Co ciekawe, Agata Karczewska nie myśli wcale o country jako określonym brzmieniu. Dla niej to synonim wrażliwości i otwartości wobec ludzi, którzy niekoniecznie są z naszego świata, wyznają inne wartości. Postawa sprzyjająca łamaniu stereotypów, przejawiająca się poszukiwaniem wspólnego języka. Porter powtarza w wywiadach, że wszystko, co komponuje, pochodzi „prosto z jego serca", stara się pisać

ARTURO HOLMES / GETTY IMAGES

Powyżej: Orville Peck, występ w Madison Square Garden. Nowy Jork, 20 czerwca 2023 r.

Obok: Oliver Anthony przed występem na festiwalu Rock the Block. Farmville, 26 sierpnia 2023 r.

SAMUEL CORUM / GETTY IMAGES

bez oceniania i moralizowania, bo „życie jest takie, jakie jest".

– Na płycie „On The Wrong Planet" opowiadamy o tym, co nas boli – uzupełnia Agata. – Dla Johna to manifest naszej emocjonalności i wrażliwości muzycznej, naszego spojrzenia na świat. Czasem rzeczywiście czujemy się, jakbyśmy byli z innej planety, obcy albo raczej wyobcowani.

W radzeniu sobie z tym uczuciem pomaga muzyka nagrana przez kogoś, kto czuje jak my.

– Kiedy pierwszy raz słuchałam debiutanckiej płyty Julien Baker [młodej piosenkarki z Tennessee – red.], pomyślałam: „Boże, to jest dokładnie to, co czuję, i dokładnie to, co sama chciałabym napisać i opowiedzieć innym". Byłam szczęśliwa, że ktoś czuje jak ja – to daje siłę. Jest jakaś ulga w tym, że nie jest się jedyną osobą na świecie, która myśli i czuje w określony sposób.

Gdy pytam o muzyczne korzenie wychowanej na warszawskim Wilanowie dziewczyny, Karczewska odwołuje się do klasycznych rockowych zespołów, których słuchał jej tata – Beatlesów, Rolling Stonesów, Led Zeppelin i Deep Purple.

– Pierwsza piosenka, którą nauczyłam się grać? „Mr. Tambourine Man" Boba Dylana. Byłam bardzo dumna, że udało mi się opanować trzy najprostsze akordy, z których składa się ten utwór, a później już poszło.

Dla Johna Portera country to pierwsze, najważniejsze dźwięki, słuchał tej muzyki jako dzieciak – fanem country był jego ojciec. „Wiadomo, później odkryłem lawinę pięknej muzyki, zaczynając od The Beatles, ale country to jest szczera i prosta muzyka, która trafia prosto w serce" – powtarza w wywiadach.

SPOTIFY, ŚWIAT | W epoce przeróżnych cudów, gdy z zaświatów na scenę w formie hologramów trafiają Whitney Houston czy Amy Winehouse, a sztuczna inteligencja jest w stanie wygenerować nowe utwory Nirvany czy Johna Lennona albo zmusić papieża, by wcielił się w gwiazdę rapu, autentyczność – a czasem także oczywiście jej iluzja – staje się coraz bardziej pożądanym towarem.

Być może to jeden z głównych powodów, dla których przez większą część tegorocznego lata muzyka country – prosta, szczera historia – królowała na najwyższych pozycjach list przebojów, nie tylko w Stanach. U podstaw pragnienia przeżycia i przekazania innym czegoś autentycznego – zarówno u Olivera Anthony'ego, Orville'a Pecka, jak i duetu Karczewska-Porter – leży wyczerpanie pośpiechem, znudzenie pop-powierzchownością oraz tym, jak na tej planecie mają się przeróżne sprawy. Okazuje się, że są jeszcze tacy, którzy wierzą, że cennych rzeczy w życiu nie da się kupić ani sprzedać. Przynajmniej w tym sezonie.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Landszaft z kozłem ofiarnym

ANITA PIOTROWSKA

Nowi „Chłopi" dostarczają wielu intensywnych wrażeń, nawet jeśli na pierwszy rzut oka są nieco chłopomańskim widowiskiem, pięknym „jak malowane".

Najnowsza adaptacja „Chłopów" stanowi ciekawy przypadek. To, co jest jej największym wyróżnikiem, czyli technika animacji malarskiej nałożonej na zdjęcia kręcone z udziałem aktorów, równocześnie rodzi pytania, które w gwarze lipieckiej brzmiałoby: jeno po co? Ogromnym nakładem pracy stworzono film, który ma zachwycać swoją formą, choć momentami zdaje się ona estetycznym naddatkiem wobec filmowej interpretacji powieści Reymonta. Nasuwa się bowiem pytanie: co ów wizualny język wnosi do nowego odczytania tej prozy – jako historii o społecznym wykluczeniu i kobiecym „duchu inności"? I czy sprawdza się do końca jako język?

Czteroksiąg polskiego noblisty doczekał się już kilku ekranizacji. Była wersja przedwojenna, pół wieku temu mieliśmy świetny serial i film Jana Rybkowskiego, powstawały spektakle teatru telewizji, nie mówiąc o adaptacjach na deskach scenicznych. Dlatego DK i Hugh Welchmanowie (wywiad z reżyserką opublikujemy w następnym numerze), zamiast wyważać dawno otwarte drzwi, potraktowali pierwowzór po autorsku. I nader selektywnie, wydobywając zeń przede wszystkim wątek Jagny – jej relacji z Boryną, Antkiem, Hanką i resztą społeczności – oraz (drugoplanowo) walki chłopstwa o las. To była dobra decyzja. Wszak płocha Jaguś ogniskuje rozmaite ciemne strony polskiej wsi końca XIX wieku, a jej los rezonuje z dzisiejszym „zwrotem ludowym", szczególnie w wydaniu kobiecym. Ukazuje dramat młodej chłopki, przehandlowanej przez matkę „niczym jałówka na jarmarku", cierpiącej z powodu drapieżnych męskich zakusów, ale także kobiety spełniającej w wiejskiej gromadzie, niezależnie od jej płci, rolę kozła ofiarnego.

Na każdym kroku podkreślana jest odmienność i tym samym coraz większa obcość bohaterki. Oto niezbyt robotna dziewczyna, która woli spędzać czas na tworzeniu wycinanek, rwie się do książek, kocha przyrodę i zwierzęta, co na ówczesnej wsi musiało uchodzić za dziwactwo. Film upodabnia ją trochę do romantycznych pasterek spod znaku „na głowie ma kraśny wianek, a nad nią leci motylek". Bohaterka dokonuje wielokrotnego przekroczenia, nie tylko cudzołożąc z Antkiem (Robert Gularczyk), lecz ośmielając się być istotą zmysłową i seksualną – jakkolwiek więcej o tym mówią w filmie tak zwane złe języki, aniżeli on sam pokazuje. Grająca zaś tę postać Kamila Urzędowska, podobnie jak książkowa Jagna, w ogóle nie przypomina urodą stereotypowej hożej dziewoi.

Mamy zatem odmieńca (ciekawe, że nie ma na to feminatywu, chociaż kobieta bywa odmieńcem z samej swej definicji), któremu dopiero finał, po dokonanym na Jagnie linczu, przynosi cudowną rehabilitację. Chciałoby się z takim zakończeniem polemizować, albowiem nie trzeba lektury „Chłopek" Joanny Kuciel-Frydryszak, żeby wiedzieć, jaki los czekał wypędzoną ze wsi dziewczynę. Tu trzeba zaznaczyć, że nowi „Chłopi" nie udają realizmu. Bijąca zeń nadekspresja, zwłaszcza w sposobie przedstawiania ludowych obrzędów czy w scenie śmierci Boryny (Mirosław Baka), zbliża film bardziej w stronę realizmu magicznego; więcej tu z „Cieni zapomnianych przodków" Paradżanowa niż z surowego naturalizmu. Brutalność ukrywa się zrazu pod ekstatycznymi scenami tańca czy zapustów, by eksplodować znienacka. Twórcy uwodzą nas barwną ludowością – lekko „przekręconym" kostiumem (Katarzyna Lewińska) czy śmiałym aranżem muzyki (L.U.C.), w której słychać i słowiański turbofolk, i transowe repetycje Philipa Glassa (stąd takie rozczarowanie utworem finałowym). To wszystko tworzy jednak scenerię raczej umowną – dla opowieści nie tylko o kobiecie zaszczutej, ale w ogóle o chłopskim losie, świeżo uwolnionym spod pańszczyźnianej nahajki i trzymającym się pazurami ojcowizny, co doskonale uosabia postać dziarskiej Hanki (Sonia Mietielica). Dziś takie podejście wydaje się o wiele ciekawsze niż los malowniczo uogólniany

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

NEXT FILM

CHŁOPI
– reż. DK Welchman, Hugh Welchman. Prod. Polska 2023. Dystryb. Next Film. W kinach od 13 października.

DK Welchman (Dorota Kobiela) i Hugh Welchman to polsko-brytyjski duet, który stworzył „Twojego Vincenta" (2017), pełnometrażową animację obsypaną nagrodami i z oscarową nominacją. Reżyserka ma wykształcenie malarskie, podczas gdy reżyser zaczynał jako producent m.in. krótkiej animacji „Piotruś i wilk", która w 2007 r. otrzymała Oscara. Ich „Chłopi" są polskim kandydatem do tej nagrody.

w reklamowych sloganach – jako ten organicznie wpisany w rytm pór roku, prac polowych, świąt rodzinnych i kościelnych.

Ów żywioł – przyrodniczy, etnograficzny, czysto ludzki – znalazł wyraz w oryginalnej koncepcji wizualnej, docenionej na festiwalu w Gdyni. Wypróbowana w „Twoim Vincencie" technika malarskiej animacji, polegająca w dużej mierze na ożywieniu płócien van Gogha, tutaj została wykorzystana jedynie częściowo. Animowano więc w tle młodopolskie płótna na czele z Chełmońskim, Wyczółkowskim czy Ruszczycem, te ikoniczne już kuropatwy na śniegu czy babie lata, co wydaje się o tyle zasadne, że ówczesna wieś tkwiła jeszcze w epoce przedfotograficznej i pociągnięcia pędzlem doskonale oddają Reymontowskie obrazowanie. Ale trzon stanowią zdjęcia z aktorami, które po nakręceniu zostały skopiowane w dziesiątkach tysięcy ręcznie malowanych obrazów olejnych, tworzonych przez ponad stu malarzy z czterech krajów – i na powrót puszczone w ruch. To zaiste wyczyn i nie ma znaczenia, na ile w domalowywaniu czy łączeniu klatek pomogły twórcom efekty komputerowe. Sęk w tym, że owe szwy czasami za bardzo widać i wspomniane reprodukcje nazbyt odróżniają się od „przemalowanych" kadrów. Zapewne sztuczna inteligencja pomogłaby ujednolicić fakturę obrazu, twórcy jednak uparli się przy szlachetnym rękodziele.

A szkoda, bo nowi „Chłopi" najlepsi są wtedy, gdy pozwalają zapomnieć o wszelkich technikaliach i po prostu zanurzyć się w ów brutalno-baśniowy świat. Przed nami kino o wielkiej kinetyce, pulsujące pierwotnymi emocjami, toteż jego wypracowana, acz w dużej mierze mimetyczna forma paradoksalnie pracuje przeciwko niemu. Budzi szacunek samym pomysłem, imponuje realizacyjnym wysiłkiem, lecz chwilami rozczarowuje mechanicznym wykonaniem. Pośród reprodukowanych landszaftów i prawdziwych twarzy z malarskim filtrem gubi się historia, która miała być na wskroś współczesna i uniwersalna.

Te narzekania biorą się stąd, że ogromny potencjał dzieła Welchmanów wytraca się tyleż w nierównych technicznie popisach, co – ostatecznie – w obyczajowej i historiozoficznej zachowawczości. Poza tym film będzie nas reprezentować w walce o nominację do Oscara, jakkolwiek „Zielona granica" Agnieszki Holland miałaby w tej stawce większe szanse (nie została wybrana przez rodzimą komisję). Czy mimo to będę kibicować „Chłopom"? A jużci! ©

Lektor:
Wewnątrz koszmaru

▪ *Can Xue*
ULICA ŻÓŁTEGO BŁOTA
Przełożyła Katarzyna Sarek. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, ss. 208.

Literacki Nobel już przyznany, Igor Kierkosz pisze dla nas o tegorocznym laureacie, a ja sięgnąłem po powieść chińskiej pisarki, wymienianej nie od dziś wśród faworytów do nagrody (już Susan Sontag uważała, że na nią zasługuje). To pierwsza książka Can Xue po polsku.

Nie odstraszyły mnie ostrzeżenia tłumaczki: „Drogi czytelniku, sięgasz po tę książkę na własną odpowiedzialność – bądź gotów na zanurzenie się w świecie niekończącego się koszmaru sennego, w którym kolejne sceny i obrazy cię zniesmaczą, przerażą i odrzucą, bowiem Can Xue pisze jak medium, przez które przemawia mroczna podświadomość, zarówno jej własna, jak i zbiorowa. (...) A jeśli nie nadążysz za kalejdoskopem szalonych scen i absurdalnych dialogów, wspomnij praktyczną, ale i bezlitosną radę pisarki: »Nie martw się o to, czego nie rozumiesz, po prostu czekaj i samo się wyjaśni. A jeśli nie, to najwidoczniej z tobą jest coś nie tak«".

Ostrzeżenia nie są na wyrost – świat ulicy Żółtego Błota jest naprawdę przerażający i obrzydliwy, wszystko tu gnije i się rozpada, owoce od razu stają się przejrzałe, ludzi nękają wrzody albo odpada im ucho. „Słońce było czerwone jak płuca świni, z szarego nieba śnieżył popiół. (...) W słonecznym świetle ulica wyglądała jak kawał brudnej szmaty pełnej czarnych dziur. Z otworów wydobywały się cuchnące tłuste opary, niezliczone chmary zielonogłowych much i jadowitych komarów o prążkowanych nogach". Cytować można długo, bo turpistyczna wyobraźnia autorki jest nieokiełznana.

To świat po katastrofie. „Sądząc po szyldach, mieszkańcom ulicy chyba się niegdyś powodziło". Tyle że ich pamięć jest też dziurawa i zmurszała. Nie wiemy, co właściwie produkuje Fabryka Maszyn S, ani kim lub czym jest wyczekiwany Wang Ziguang. Czy katastrofą była rewolucja? Wśród postaci przewijają się towarzysze i prominenci, ale Can Xue nie chce lektury wedle politycznego klucza, choć sama była ofiarą polityki. Ma dziś siedemdziesiąt lat, jej rodziców więziono i zsyłano, w 1957 r. i potem podczas rewolucji kulturalnej. Zaznała głodu, formalną edukację musiała zakończyć na szkole podstawowej. Dziś podkreśla swoją odrębność na literackiej mapie Chin – i nie tylko. „*New world master*" – napisał o niej Robert Coover. Jej proza odrzuca i wciąga. Pewnie też uzależnia. Czekam na następne jej książki. ©℗

OLGA

Drenda:
Jaja globalne, jaja lokalne

W okresie przedwyborczym najtrudniejsze do zniesienia jest nawet nie oczekiwanie na ciosy coraz bardziej poniżej pasa (to, ku własnemu rozczarowaniu, coraz mniej mnie zaskakuje), ale fakt, że trzeba jeszcze wytrzymać do ustalonego terminu. To sabotuje zwyczajne życie i obowiązki, które przecież i tak trzeba wykonywać. Nikt nie pomyślał o tym, jak amortyzować życie obywateli wystawionych na pompowanie tak gwałtownych emocji i jak dbać o kruche próby utrzymania koncentracji, nikt nie dał zwykłemu obywatelowi zwolnienia z tego frenetycznego wuefu. Wszystko zaczyna być, chcąc nie chcąc, *à propos*. Rzeczywistość wyzłośliwia się, podsuwając nagłówki, wkradając się z radia i z zasłyszanej rozmowy, szczerząc się z plakatu, wrednie dodaje literkę „o" do nazwy widzianego w sklepie piecyka naftowego produkcji japońskiej „Zibro". Dlatego wszelkim czynnościom życiowym przez pewien czas towarzyszy mimowolny nerwowy śmieszek w tle.

Śmieszek, czyli jaj sobie robienie. Miałam ostatnio okazję przebywać przez chwilę za granicą z przyczyn osobistych, a jak wiadomo, pisarze polscy za granicą mają obowiązek myśleć o Polsce. Myśl nadeszła, gdy w sklepie spożywczym na dziale przekąsek gotowych zobaczyłam obrane, ugotowane jaja na twardo, podpisane zgodnie z nowoczesną tendencją do żywienia funkcjonalnego jako „proteinowy snack". Od razu przypomniałam sobie liczne anegdoty ze środków komunikacji zbiorowej, funkcjonujące to jako wspomnienie z zamierzchłych czasów wypraw na kolonie, to jako wyraz zgrozy powstrzymującej przed zasięściem w przedziale. Mógł tam bowiem pojawić się pasażer wyposażony w tzw. wałówkę, czyli półprodukty do przekąski gotowej: całe pomidory, pęta wędliny oraz właśnie budzące przerażenie współpasażerów jajka na twardo. Sama nie spotkałam się nigdy z takim smakoszem (choć zawsze dużo podróżowałam koleją), a lęk przed jajem traktowałam z dystansem: skoro miałoby być tak straszliwe i napełniać cały przedział siarkowodorem, to dlaczego właściwie w każdym dworcowym bufecie można kupić kanapkę z jajkiem?

OLGA DRENDA

Ale czy na twardo też?

Oczywiście podróżny jajcarz miał służyć w snobistycznie nacechowanych anegdotach za wcielenie człowieka niecywilizowanego, oddającego się prymitywnym zwyczajom. Pewnie zaledwie krok dzielił go od tego, by z wygodnego siedzenia oddawał się przyjemnościom zajadania ciepłych jelit złapanego na peronie gołębia (oczywiście jedynie w głowie człowieka, który ma się za zbyt wyrafinowanego na usługi PKP). Tymczasem w jednym z najbogatszych państw świata jajcowania na pokładzie się nie tylko nie gani, ale wręcz do niego zachęca, podsuwając już obrane wyroby. Opakowanie zawierało chyba trzy jajka, co oznaczało, że na pokładzie można nawet poczęstować sąsiada. To daje sporo do myślenia, jeśli chodzi o nasze polskie kompleksy i nasze przemożne pragnienie, by prezentować się godnie, a przede wszystkim poprawnie. Tu w ramach dodatkowej wesołej anegdotki muszę dodać, że w samym wielkim Londynie osobiście słyszałam, jak elegancka pani kelnerka przyjmowała zamówienie nie na ńjoki, lecz gnoczczi (wzajemne pilnowanie prawidłowej wymowy to kolejny przejaw obawy przed tym, że zrobimy coś, czego nie wypada).

Oczywiście nie piszę tego po to, by doradzać, jak brać przykład z wielkiego ZAGRANICO. Kto wie, czy zwyczaju podróżowania z jajkiem nie wyeksportowaliśmy aż poza obszar obecnej Unii właśnie my – może naród, który wynalazł kanapkę z chipsami w środku, podpatrzył tę sprytną i bogatą w mikroelementy przekąskę w Polsce. Chodzi mi raczej o przyjemny i uspokajający *reality check:* wszędzie jest w jakiś sposób podobnie, nie jesteśmy lepsi ani gorsi. Żyjemy w zwyczajnym kraju, w którym dzieją się absurdalne rzeczy w sporym natężeniu, owszem, ale nie jest to ewenement. Prawdopodobnie w każdym miejscu na Ziemi przed wyborami łatwiej poczuć się niekomfortowo – grunt, by spożytkować tę emocję przy urnie.

Ale jeszcze *à propos* jaj. „Yaycowałem", mawiał komik o dość nieszczęsnej trajektorii kariery, Ryszard Makowski (eks-kabaret OT.TO) w programie „Studio Yayo", którego krótki żywot w 2016 r. miał zwiastować nową erę komedii w Telewizji Polskiej, a zapisał się w historii jako prawdopodobnie najbardziej nieśmieszny program satyryczny. Zalecam włączenie sobie kilku odcinków w ramach nieustającej przestrogi. „Aż ręce opadają, jak z drzewa wiśnie bęc". ©

PAWEŁ

Bravo: *Makaron posła Kowalskiego*

Dziesięć jajek na kilogram mąki. A bywa, że Włoch sobie zrobi makaron dwudziestojajeczny. Na ekstrabogato, wszak takie jest, bez zbędnego uwznioślenia, podłoże fenomenu tamtejszej kuchni: to ekspresja kultury materialnej okolic żyznych, dostatnich, o zakorzenionym w tysiącleciach dobrobycie. Relatywnym oczywiście, bo i tam tradycja plebejska ma jako główną przyprawę lęk przed głodem i chudymi latami, dlatego obecna fascynacja *cucina povera* ma w sobie składnik irytującego niemożebnie fałszu. Ale wierzcie mi, wszyscy na tym naszym ojczystym kartoflanym padole chcielibyśmy (czy raczej – nasi przodkowie by chcieli) mieć takie przednówki jak w Emilii.

Zastrzegając, że mówimy o północnej części półwyspu, która oprócz niesprawiedliwie przesadnej urody dostała żyzną ziemię, łagodnie ciepły klimat i dużo lodowcowej wody, możemy się przez chwilę popastwić nad internetową ulotką wyborczą Janusza Kowalskiego. Tak, wyborczą, bo choć nie ma na niej nazw partii ani numerów list, to została wymyślona po to, by o tym kandydacie było głośniej w końcówce kampanii, nawet jeśli to będzie tylko głośny śmiech. Głupio złamać dane wam śluby politycznego milczenia, ale pan poseł zechciał wdepnąć, dla większego zasięgu, w nasz osobisty temat. Pod hasłem „wybierz produkt polski" (domyślnie: kandydata, który ma w żyłach krwinki wyłącznie białe i czerwone) opublikował tabelkę porównującą makaron polski z włoskim.

Polski jest wedle niej z jajkami (w dodatku polskimi!), a włoski – bez jajek. No, że to bzdura, już żeśmy sobie wyjaśnili. Makaron „suchy", bezjajeczny, z samej mąki, soli i wody – spaghetti, rurki, świderki, kokardki i zawijaski, z racji długiej trwałości przeważające w sklepach nad jajecznymi wstążkami – mógł się z ojczystego Południa upowszechnić na resztę kraju dopiero w drugiej połowie zeszłego wieku, głównie dzięki ulepszonym odmianom pszenicy twardej dającej ziarno z większą zawartością glutenu. Kowalski nie pomija i tego wątku: wedle niego polski robi się z pszenicy – i serducho raduje się na słowiański szum „pszszsz" – włoski zaś z jakiegoś obcego, szczekliwego „durum".

Idźmy dalej: Polacy wolą makaron miękki i sprężysty, Włosi zaś jadają twardy. Gdy się przeciągnie gotowanie o choćby minutę, to również makaron z durum obrzydliwie rozmięknie (dowodów proszę szukać na talerzach w sporej części tzw. włoskich restauracji). Ale teraz wisienka czy raczej kluseczka na torcie: otóż Polacy jadają makaron do zup, a Włosi głównie do drugiego dania. Wstyd marnować kosztowną tygodnikową farbę drukarską, ale idźmy do końca: mało co jest tak bezdyskusyjne w pełnej sprzeczności wiązce tradycji i stylów, zwanych dla uproszczenia kuchnią włoską, jak to, że makaron to pan i władca pierwszego dania. Nie będę liczył dokładnie, jaki procent przepisów stanowią dania makaronowe w dziale Primi podstawowych książek, które mam pod ręką, ale jest to, lekko licząc, dwa razy tyle, ile w najlepszym razie zdobędzie partia matka, pod której cycek podpięte jest solidarne cielę posła Kowalskiego. Choćby nawet nagle on i koledzy zaczęli opowiadać mniej widowiskowo przegięte kocopoły.

Gadam jak niepoprawny nostalgik arystotelejskiej definicji prawdy. Wiem, że dziś im mniej prawdziwa gadka, tym lepiej dla „narracji". Ksenofobiczne tyrady Kowalskiego łatwo dają się rozebrać do nagiej bzdury, a przecież mógłby sprytniej szyć. Powtarzam to zresztą przy stole, gdy już wytrzemy chlebem sos i jest dyspensa na przykre rozmowy: tacy marni, toporni jak kowalski młot eurosceptycy to i tak łagodna kara za przemądrzałość i pychę tej części polskiej klasy politycznej oraz jej medialnej otoczki, która jest wobec Zachodu i Unii entuzjastyczna. W tym jej rzęsiście oklaskanym entuzjazmie gubią się niemiłe sprawy z brukselskiej kuchni, realne konflikty na noże, nie dość obronione interesy, cała ta z lekka smrodliwa fabryka politycznej kiełbasy, której się nie próbuje racjonalnie opisać, żeby nam się w główkach nie pomieszało. Jedni opowiadają rzewne bajki, drudzy straszą tekturowym smokiem. Ale już dość o tym, każdy z was wie lepiej, co zrobić z krzyżykiem, a my wróćmy do garów. Człowiek wszak głosuje raz na parę lat, a obiad je (oby!) codziennie. ©℗

MJUCHA / ADOBE STOCK

Przepisów i sztuczek z jajecznym makaronem wam nie podsunę, mam mało doświadczeń, a moja śliczna stalowa wałkownica służyła przez wiele lat głównie dzieciom do cięcia papieru w paski. Szukajcie ich za to na blogu Michała Kuźmińskiego („Facet z nożem"). Jeśli umiecie robić makaron albo macie dostęp do kupnego (włoska firma Rana daje znośną jakość), to polecam wam sos, który właśnie ze „świeżym" wychodzi lepiej niż z suchym. Podgrzewamy na dużej patelni dwie łyżki masła i dwie łyżki oliwy, dodajemy świeżo otartą skórkę z niepryskanej cytryny, podgrzewamy na wolnym ogniu przez parę minut i dodajemy sok z tejże cytryny, wrzucamy prosto z wrzątku ugotowany makaron, mieszamy krótko, żeby się połączył z sosem, podlewając odrobiną wody z gotowania (jajeczny makaron szybciej wysycha na patelni). Na koniec garść pieprzu i tymianku, użycie parmezanu jest tu dyskusyjne, ja wolę bez.

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad. Zapisz się na **powszech.net/tygodnik-smakow**

ZMYSŁY

ŚWITEZIANKA I INNE

Jej oko składa się z tysięcy maleńkich oczek, w jednym może ich być nawet 28 tysięcy. Każde z nich ma swoją rogówkę, soczewkę i siatkówkę. W praktyce każde widzi osobno – mówi prof. Rafał Bernard.

ADAM ROBIŃSKI

BOGUSŁAW DARAŻ

Był koniec sierpnia. Pierwsze stworzenie, jakie chwytamy tego poranka, ma krwistoczerwone, szeroko rozstawione oczy.

– Oczobarwnica mniejsza – stwierdza prof. Rafał Bernard, biolog z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, wyciągając ważkę z siatki na owady. Następnie delikatnie chwyta opuszkami palców dwie pary identycznych skrzydeł. Podstawia mi ją pod nos, a potem daje niedużą, wiekową lupę produkcji białoruskiej.

– Co pan widzi? – pyta. – Podobną sytuację ze studentami zawsze zaczynam od polecenia: proszę to opisać. Ludzie mają bowiem tendencję do pomijania opisu. Ci, którzy wiedzą, co widzą, od razu chcą nazywać. Klasyfikować. Wielu patrzy, a nie widzi, nie dostrzega cech, szczegółów. Tymczasem ja chcę, aby mówili o barwach, kształtach, rozmiarach. Potem zadaję pytanie: a dlaczego tak jest, tak to wygląda? I nagle okazuje się, że choć człowiek nie ma wiedzy, potrafi, myśląc, dojść do słusznych wniosków.

A więc po kolei: dwie pary identycznych skrzydeł oznaczają podrząd *Zygoptera*, ważkę równoskrzydłą, która w spoczynku składa je wzdłuż ciała niczym parasolki.

Świtezianka błyszcząca – samiec w pełnej krasie.

Zawieszam się na ogromnych w stosunku do reszty ciała oczach i od razu słyszę szereg podpowiedzi: – Czy widzi pan czułki? Tylko mikre. Co nam to mówi? Dokładnie tak, jak pan myśli – mamy do czynienia ze wzrokowcem. Oczy są jej podstawowym zmysłem. A po co ważce takie duże oczy? Żeby lepiej widzieć. Jak u wilka z bajki o Czerwonym Kapturku. Tylko co ma ważka widzieć? Na pewno swoich wrogów. I ofiary. Co jeszcze? Partnera albo partnerkę. Doskonale. Co jeszcze? Konkurenta. I co jeszcze? Wodę, oczywiście wodę. Ważka musi przede wszystkim rozpoznać swoje siedlisko.

Zaczynam chwytać konwencję naszego wyjścia w teren. To nie będzie klasyczny wywiad, raczej lekcja. I to wcale nie ważki będą dziś najważniejsze, a sposób patrzenia na świat.

– Bo ja, proszę pana, nieprzypadkowo prowadzę na uczelni Laboratorium Dydaktyki. Przez moje ręce przechodzą przyszli nauczyciele biologii, przyrody i geografii. Staram się nauczyć ich między innymi tego, jak rozmawiać ze swoimi przyszłymi odbiorcami. Dlatego będę z panem rozmawiał w ten sam sposób – mówi przyrodnik.

Lornetka i siatka

Ledwie wysiadłem z pociągu w Poznaniu, a już zmieniamy scenerię. Dwadzieścia minut jazdy samochodem pozwala zostawić za sobą rojowisko miasta. Zamiast niego mamy przed sobą zieleń podpoznańskiego pojezierza. Naszym celem jest kompleks torfianek, kilku niedużych stawów powstałych po wydobyciu torfu w lesie w zachodniej części stolicy Wielkopolski. Trzeba tylko założyć gumiaki, a potem wydeptać sobie ścieżkę przez więdnące już nawłocie, negocjując każdy krok w sąsiedztwie zawalonych bobrzych nor. Wreszcie brzeg: granatowa, nieporuszona tafla, kilka zwieszonych nad wodą olch, plusk po spłoszonej krzyżówce. Oczobarwnica nie jest jedyną ważką, którą dostrzegamy w pierwszym kwadransie łowów. Najpierw wodzimy za nią spojrzeniami wzmocnionymi lornetką.

– Lornetka – mówi prof. Bernard – przy obserwacji ważek sprawdza się tak samo dobrze jak w przypadku ptaków.

Potem jednak, gdy widzimy owada przyczajonego na kołyszącym się źdźble, które znajduje się w naszym zasięgu, w ruch idzie siatka. Mamy cię!

Na początku trzeba ustalić kilka faktów: ważki to grupa stosunkowo niewielka, w Polsce liczy około 70 gatunków, na świecie 6 tys. I choć badana jest od dawna, to ciągle zaskakuje odkryciami, zwłaszcza poza Europą. Naukowo odonatologią zajmuje się w Polsce kilka osób, a zna się na ważkach kilkadziesiąt. Prof. Bernard trafił na to pole naokoło. Jak sam mówi, w przyrodzie od dziecka interesował się właściwie wszystkim. Zaczynał jako ornitolog, zajmował się również nietoperzami. Ważki pojawiły się w jego życiu w trakcie studiów w 1987 r., ale pracę zaczynał jako specjalista od ślimaków. Prowadząc ich badania, na jednym z wielkopolskich jezior zobaczył truchło gatunku ważki, który znał tylko z atlasu. To był gatunek dotąd w Polsce niespotykany, a dzięki jego pracy trafił na listę rodzimych.

Badanie opublikował w specjalistycznym periodyku naukowym, a niedługo potem, ku własnemu zaskoczeniu, znalazł się na największej konferencji ważkologicznej na świecie, w Osace. Choć nie było go stać na wyjazd, otrzymał pokaźne stypendium, o które wcale nie wnioskował. Po prostu ktoś wstawił się za nikomu nieznanym świeżo upieczonym absolwentem z Polski, który na zaproszenie na konferencję kurtuazyjnie odpisał, że to poza jego finansowym zasięgiem. Znalazł się w świecie pierwszoligowych odonatologów, na drugim końcu świata, w kraju, który – jak dziś przekonuje profesor – „ma na punkcie ważek hopla z przerzutką".

– Wszystko było dla mnie nowe, wszystko interesujące. Poszedłem do miejskiego parku z siatką, biegałem za ważkami i nagle zorientowałem się, że podąża za mną tłum ludzi. Trzydzieści osób, jak nie więcej. Dzieci, dorośli, seniorzy, którzy palcami pokazywali mi kolejne ważki do łapania – wspomina. Jego karierą, jak przekonuje, kierowały takie właśnie zrządzenia Opatrzności. W późniejszych latach badał ważki na kilku kontynentach. Wyprawiał się m.in. w afrykańskie tropiki, do rowu tektonicznego w Zambii, na górski płaskowyż w Uzbekistanie i na największe torfowisko świata w zachodniej Syberii.

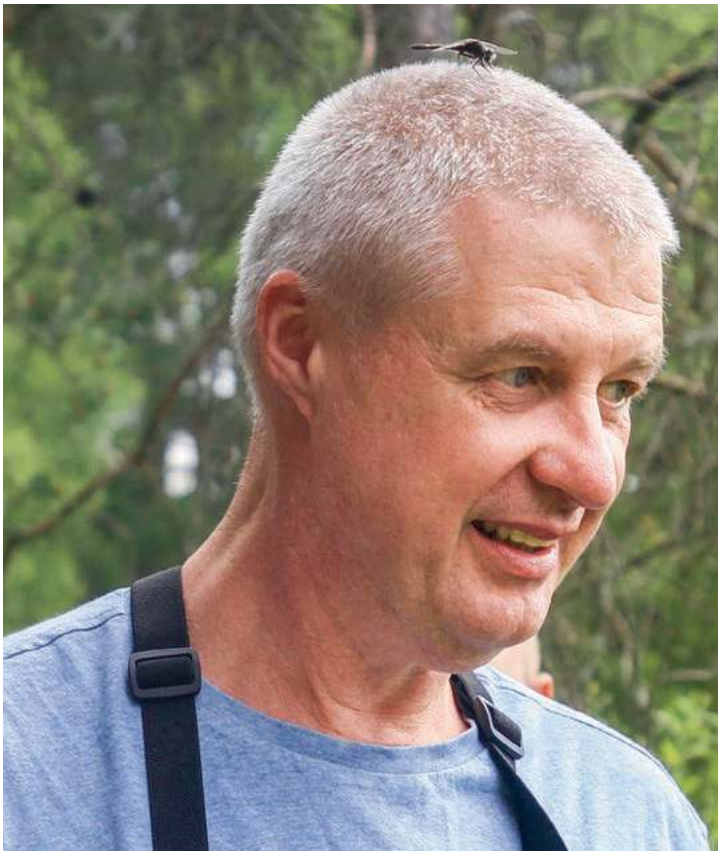
BOGUSŁAW DARAŻ

Morfologia funkcjonalna

Zrządzeniem losu mamy przed sobą oczobarwnicę i jeszcze wiele elementów jej morfologii do dostrzeżenia. Najbardziej rzuca się w oczy odwłok, podłużny i giętki, ale nim, jak przekonuje profesor, zajmiemy się później. Również dwoma parami przydatków – jego haczykowatymi zakończeniami.

A co mogę powiedzieć o nogach ważki? Na pewno to, że znajdują się zadziwiająco blisko głowy. Ważna informacja: ważki nie chodzą, nie są w stanie zrobić choćby jednego kroku, między innymi z powodu takiego wysuniętego do przodu położenia nóg. Z tak pokaźnymi skrzydłami łatwiej im podlecieć. Po co więc nogi? I to jeszcze tak dziwnie umiejscowione? Profesor zawiesza głos, a ja obracam owada na lewo i prawo, próbując wymyślić jakąś sensowną odpowiedź.

– Chodzi o łapanie ofiary w locie – uprzedza mnie entomolog. – Kiedy ważka wysuwa nogi do przodu, tworzy tak zwany kosz łowny. Dodatkowo te z tyłu muszą być dłuższe od tych z przodu, żeby po złożeniu im dorównać. To przykład morfologii funkcjonalnej, czyli określonej formy, która związana jest z funkcją. A teraz na własnej skórze poczuje pan pazurki. Ważka zaczepi się nimi na pana ręce. Czuje pan, prawda?

Po lewej: na głowie Rafała Bernarda przysiadł terytorialny samiec zalotki większej, traktując ją jako doskonały punkt obserwacyjny.

Po prawej: ważki nad Jeziorem Nezyderskim.

DIRK FUNHOFF / BE&W

To nie jest dobry czas na rozpoczęcie przygody z ważkami. Jest ich o wiele mniej niż wiosną, a uzależniona od wyższych temperatur aktywność spada. Ważki to prawdziwe dzieci słońca, mówi naukowiec, a dwa kwadranse spędzone nad torfianką pozwalają zrozumieć, ile w tym malowniczym epitecie prawdy. Owady prezentują się w kratkę, idealnie zsynchronizowane z przebłyskami słońca, które raz po raz wychyla się zza chmur.

Gdybyśmy przyszli tu w maju, słyszę, skład gatunkowy byłby zupełnie inny. Oglądalibyśmy szklarkę, gatunek typowo wiosenny. Zamiast niego możemy teraz podziwiać miedziopierś metaliczną. Byłyby zalotki i łątki, być może łunica czerwona. Tymczasem przelotem zaszczyca nas żagnica jesienna oraz husarz ciemny, ten ostatni potężny nie tylko z nazwy. To jedna z największych ważek występujących w Polsce.

Wtem – panika. Niby słyszę narastające bzyczenie, ale podświadomie biorę je za pszczoły buszujące w ścianie nawłoci, którą mamy za sobą. Profesor wykazuje się lepszym refleksem. Komenda odwrotu pada w ostatniej chwili. Ale i tak płacimy cenę za ciekawość – każdy dostaje po jednym użądleniu. Przesuwając się wzdłuż brzegu stawu, w pewnym momencie stanęliśmy na gnieździe os zbudowanym w starej bobrowej norze. Ból potraktuję jako opłatę za wejście na zupełnie nową ścieżkę wiedzy. Jeśli się dłużej zastanowić, to niewygórowana cena.

Golenie pióronoga

Podczas kolejnych godzin oglądamy kilka stanowisk ważek. Idziemy na dziką plażę na Jeziorze Strzeszyńskim i nad niemalże wyschniętą rzeczkę Bogdankę. Nasze łowy nie są obfite, ale i tak lista zaobserwowanych gatunków stopniowo się wydłuża: husarz ciemny, szablak późny, tężnica wytworna. Na dłużej zatrzymujemy w dłoniach pióronoga, który ukazuje nam swoje pokaźne golenie – mechanizm obronny drobnego owada, który tą nieistotną z pozoru częścią ciała prezentowaną w locie próbuje odstraszyć konkurentów. Świteziankę rozpoznaję jeszcze w locie po lśniących, metalicznie granatowych, podobnie jak reszta ciała, skrzydłach.

– To kolor, którego nie ma – mówi entomolog. – Nie ma go pod postacią pigmentu. To, co widzimy, to tak zwana barwa strukturalna. Wynika z przezroczystej powłoki o różnorodnej strukturze, podbudowanej ciemną melaniną. Światło, które na nią pada, ugina się i odbija pod różnym kątem, dlatego ważka błyszczy się i mieni, a oglądana z różnych stron prezentuje się inaczej. To zjawisko nazywa się iryzacją.

Nie da się nie zauważyć, że obcowanie z ważkami to dla profesora o wiele więcej niż robienie nauki. Wyrazem tej szerokiej perspektywy była wystawa „Istota piękna", pokazywana w 2022 r. w Centrum Kultury Zamek w Poznaniu. Jej punktem wyjścia stała się konstatacja, że Antonio Gaudí, słynny kataloński architekt, projektant m.in. barcelońskiej katedry Sagrada Família, inspirował się w pracy naturą, w tym owadami. Ekspozycję stanowiły wykonane przez Bogusława Daraża, przyjaciela prof. Bernarda, fotografie ważek i innych owadów, ukazujące w detalu elementy ich barwy i formy. Te, nad którymi z taką uwagą pochylamy się od rana przy pomocy białoruskiej lupy. Interdyscyplinarne konteksty świata natury i sztuki zilustrowały teksty biologa i historyczki sztuki. Wyszła z tego wielopoziomowa opowieść o pięknie na przykładzie choćby ↦

wspomnianej iryzacji czy obecnej zarówno w sztuce, jak i w naturze modułowości.

– Weźmy na przykład skrzydła. Podczas wystawy porównaliśmy je do witrażu. Jeśli przyjrzymy się im z bliska, od razu dostrzeżemy podobieństwa. One są oczywiście związane z komórkowym planem budowy i ze światłem, które w podobny sposób przenika przez jedno i drugie. Ale są też różnice. Witraż jest sztywny, skrzydło ważki sprężyste. Zawdzięcza to specyficznym przekrojom poprzecznym i połączeniom żyłek skrzydłowych, które pozwalają skrzydłu skręcać się, ale nie zginać.

RAFAŁ BERNARD:

Biegałem po parku w Tokio z siatką i nagle zorientowałem się, że podąża za mną tłum ludzi. Dzieci, dorośli, seniorzy, którzy palcami pokazywali mi kolejne ważki do łapania. Oni za nimi szaleją.

Hełmofony szablaka

Jeszcze jeden element morfologii pięknej i funkcjonalnej jednocześnie: w uproszczeniu można powiedzieć, że każde skrzydło ważki ma swój osobny mięsień umieszczony bezpośrednio u jego nasady. Inaczej niż u większości owadów, u których mięśnie przyczepione są do powłok ciała i dopiero za ich pośrednictwem poruszają skrzydłami. W tym unikatowym rozwiązaniu tkwi tajemnica dynamicznego lotu ważki w różnych kierunkach. A skoro mamy już w dłoniach szablaka późnego, to możemy przyjrzeć się również jego oczom. U ważek różnoskrzydłych wyglądają one inaczej niż u oczobarwnicy, którą oglądaliśmy wcześniej. Są niczym obejmujące głowę hełmofony astronautów z jakiegoś filmu *science fiction*, mówi profesor.

– Kiedy się im przyglądamy, wydaje nam się, że ważka na nas patrzy, że nas obserwuje. Ale jej oko jest zupełnie inne niż nasze. Tak naprawdę składa się z tysięcy maleńkich oczek, w jednym oku może ich być nawet 28 tysięcy. Na dodatek każde z nich ma swoją rogówkę, soczewkę i siatkówkę. W praktyce każde widzi osobno. Pod lupą zobaczymy siatkowaną strukturę tych oczu. Przy czym oczka w górnej części wyglądają inaczej niż dolne. Dlaczego? – pyta naukowiec.

Tę odpowiedź znam: duże oczka części górnej mają za zadanie odbierać bodźce na jaskrawym tle nieba. Te dolne patrzą z kolei na ciemne tło podłoża.

– Możemy zachwycać się pięknem tych oczu widocznym w ich strukturze czy kolorze, paleta barw oczu jest u ważek przebogata. Ale nasz zachwyt będzie jeszcze większy, gdy zrozumiemy, dlaczego wyglądają tak, a nie inaczej. Niektórzy mówią, że przesadzam i że używam barokowych określeń. Tymczasem ja mam wrażenie, że natura po prostu jest tak bogata, barokowa. Trudno używać stonowanego, chłodnego języka do opisywania czegoś, co jest tak zachwycające. Ja tak nie potrafię – mówi.

– Jak odbierają ten barok studenci? – pytam.

– Niech pan mi wierzy, że studenci, którzy przychodzą na biologię, to nie są ludzie ukierunkowani wyłącznie naukowo i badawczo. Większość z nich oczekuje merytorycznych zachwytów i chce się zachwycać. Przecież z jakiegoś powodu zainteresowali się tą dziedziną. A ja, oprócz tego, że prowadzę badania, często również wychodzę w teren na zwyczajne oglądanie. Takie samo, jakie może uprawiać pan. Nie nazywam tego wtedy żadną nauką, po prostu patrzę, myślę i podziwiam. Jadę na cały dzień, nie stawiam przed sobą żadnych zadań, a moja głowa jest otwarta. Wszystko mnie wtedy interesuje. Ostatnio znaleźliśmy z przyjacielem leśną porębę, na której roiło się od błonkówek i muchówek. Widzieliśmy w akcji duże łowiki, które się nazywają wierzchołówkami. Podobne do trzmieli, ale mające nawet dwa i pół centymetra długości. Utonęliśmy w tym miejscu, za żadne skarby nie chcieliśmy wracać do domu.

Maska larwy

Nad Jeziorem Strzeszyńskim, ze świtezianką w palcach, profesor podsuwa ważkę przed oczy paroletniej dziewczynce, której towarzyszy matka. Obie z uwagą oglądają owada, słuchając w paru słowach uproszczonej wersji informacji, które ja gromadzę od rana. Przekaz dostosowany do oczekiwań i możliwości odbiorcy. Kiedy świtezianka leci w końcu wolno, przenosimy się z łowami pod wodę. Chcemy zobaczyć larwę ważki. Kluczowa sprawa: owady te większość życia spędzają właśnie w tym wczesnym stadium.

Przeobrażenie w uskrzydlone imago jest jak wyjście na ostatnią prostą w długim biegu. Intensywne, pełne słońca i kolorów kilka tygodni, podczas których owad odkrywa zupełnie inny świat. Już pierwsza próba jest udana – w siatce znajdujemy niedużą, półprzezroczystą larwę z trzema frędzlowatymi skrzelotchawkami na końcu odwłoka, których ruchy w wodzie przypominają falowanie morza. To aparat oddechowy larwy. Owad ląduje w plastikowym kubeczku z wodą, a ja mam czas, żeby mu się przyjrzeć. Staram się dostrzec przede wszystkim wszystkie te elementy budowy larwy, które znajdę również u dorosłego owada. Zgadza się ogólny kształt: długi odwłok, nogi, głowa. Brakuje barw: larwa jest szarobura i mało efektowna.

Najwyraźniej z moich słów profesor odczytuje coś na kształt zawodu, bo szybko ustawia mnie do pionu: – Żywe barwy nie są jej do niczego potrzebne. Za to gdyby pan ją zobaczył w akcji! Jak ona genialnie potrafi polować, wyrzucając specjalną maskę. Niesamowita sprawa. Ta, którą widzimy, to oczobarwnica większa. Koleżanka tej, którą złowiliśmy w postaci imago na samym początku. Bardziej wiosenny gatunek. Czeka tu na dnie jeziora na przeobrażenie w przyszłym roku.

Jakby na zawołanie w naszym polu widzenia pojawia się tandem – dwie szczepione ze sobą ważki, które przysiadają na łodydze, a potem formują ze swych złączonych ciał kształt serca. Oto uczestniczymy w intymnym spotkaniu, mówi entomolog, po chwili tłumacząc zawiłości ważkowej kopulacji.

Tu powodów do zachwytu jest co najmniej kilka. Po pierwsze, niezwykły sposób, w jaki samiec łapie samicę za okolice głowy lub początek tułowia. Z pozoru ma to charakter przemocowy, ale, jak zapewnia naukowiec, wszystko odbywa się za zgodą samicy. Do chwytania służą przydatki na końcu odwłoka samca, które już obserwowaliśmy przez lupę, idealnie dopasowane do rzeźby chwytanych miejsc przedstawicielki tego samego gatunku (zdarzają się pomyłki, bez konsekwencji). W tandemie to samiec jest z przodu, w locie rozbija powietrze, ale to samica podejmuje kluczowe decyzje co do celu. Tym ostatecznym jest oczywiście złożenie jaj. Tandem utrzymuje się często również po odbytej kopulacji.

Ważki są poligamistami, samiec musi się upewnić, że chwilę po nim nie przyleci kolejny, który podczas kopulacji usunie spermę poprzednika z torebki kopulacyjnej samicy i nie złoży tam swojej. Po ludzku powiedzielibyśmy, że chce ją po prostu przypilnować. Pierwszeństwo do ojcostwa ma ten, który kopulował jako ostatni. Do zapłodnienia dochodzi bowiem dopiero w momencie złożenia jaj. Ta niezwykła sekwencja zachowań jest jeszcze jednym unikatowym rozwiązaniem, którego poza światem ważek próżno szukać.

Pusty skafander

Do kompletu wrażeń brakuje nam jeszcze wylinki. Tę znajdujemy na źdźble trzciny na brzegu jeszcze jednej torfianki. Należy do husarza i przypomina mumię albo przezroczysty odlew. Sam moment wyłaniania się przeobrażonej ważki z osłon larwalnych to jeszcze jeden zapierający dech w piersiach spektakl – imago wydostaje się z dawnego pancerza przez nieduży otwór za głową, a potem rozprostowuje poszczególne elementy ciała, dotychczas ciasno upchnięte w o wiele za małym skafandrze. Wreszcie odlatuje, zostawiając za sobą pamiątkę po życiu larwalnym pod postacią pustej wylinki.

– Z Hospicjum świętego Krzysztofa w Londynie dostałem kiedyś książeczkę – opowiada prof. Bernard. – To była bajka o ważkach. Żyjące pod wodą larwy zastanawiały się w niej, dlaczego raz na jakiś czas jedna z nich wspina się na roślinę i znika gdzieś w górze. Jedna z nich obiecała, że jak już przyjdzie na nią kolej, to rozejrzy się, zorientuje, w czym rzecz, a potem wróci do bliskich i opowie im, o co to całe zamieszanie. I rzeczywiście, pewnego dnia poczuła zew, wyszła ponad taflę, dokonała przeobrażenia, zerwała się do pierwszego w życiu lotu i momentalnie zachwyciła się i swoim nowym ciałem, i tym, co widzi. Boże, jak tu pięknie! Po jakimś czasie przypomniała sobie o złożonej obietnicy. Ale nieważne, jak bardzo się starała, nie była w stanie zanurkować, przebić tafli wody. W końcu zrezygnowała. Przecież na nich też przyjdzie kiedyś kolej, sami się przekonają, jak tu wspaniale. A w końcu się tu spotkamy, pomyślała.

Naukowiec zawiesza głos, a potem puentuje: – Tę książeczkę czytano dzieciom, których bliscy zmarli na nowotwór. Żeby zrozumiały, dlaczego mama albo tata do nich nie wrócą i że tam, gdzie trafili, są szczęśliwi. Żeby pomóc wyjaśnić śmierć i zmartwychwstanie.

© ADAM ROBIŃSKI

Rafał Bernard – biolog, profesor nadzwyczajny i kierownik Wydziałowej Pracowni Dydaktyki i Ochrony Przyrody Wydziału Biologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 327/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Fukowskim, zmarłym w dniu 12 października 2020 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarosławiu I Wydziałem Cywilnym toczy się sprawa pod sygnaturą I Ns 534/21 o stwierdzenie nabycia spadku po Henryku Pichen, s. Stefana i Anny, urodzonym 22 czerwca 1957 roku w Siemianowicach Śląskich, zmarłym 6 listopada 2019 roku w Wysocku, ostatnio zamieszkałym w Wysocku.

Wzywa się spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny pod sygnaturą I Ns 175/21 na wniosek Zakładu Ubezpieczeń Społecznych Oddział w Siedlicach toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Januszu Jacku Chudzyńskim, zmarłym dnia 17 marca 2020 roku w Sulejówku, ostatnio stale zamieszkałym w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Zygmuncie Kendelewiczu, zmarłym dnia 25 stycznia 2022 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sygn. akt I Ns 295/22.

STANISŁAW

Mancewicz: *Polonez*

Zaczniemy od cytatu z zawsze przydatnej Wikipedii: „Polonez jest tańcem uroczystym, w którym gracji ruchów towarzyszą dostojne kroki. Zwykle w formie pieśni dwuczęściowej. Metrum 3/4, tempo umiarkowane, powolne. Charakterystyczny dla poloneza jest powtarzający się schemat rytmiczny, ósemkowy itp., itd.”. To dziś powinno nam wystarczyć za wstęp, którego zjaśniającym rozwinięciem niech będzie nasza, własna opinia. Oto polonez jest dość dziwną formą chodzenia w parach. Z niejasnym dla nas sensem powtarzającego się coraz to przykucu. Jest to taniec pozbawiony energii, o szaleństwie nie wspominając. Taniec ten jest rozrywką cielesną w jednym kraju. Nie tańczy się go nigdzie poza Polską, choć ściślej byłoby powiedzieć, że poloneza nie tańczy nikt poza Polakami. Jest to fakt – przyznajmy – silnie stygmatyzujący, mogący być pożywką stereotypu.

Taniec ten jest interesujący w swej uderzającej antytaneczności i kompletnie nieinteresujący jako wyzwanie choreograficzne. Znowu będziemy cytować, a jest to znaleziona w internecie odpowiedź na pytanie ogólne: czy warto tańczyć? „Tak. Podczas zajęć tanecznych zgubisz zbędne kilogramy, a co więcej ujędrnisz i uelastycznisz swoją sylwetkę. W zależności od wybranego stylu w ciągu godziny tańczenia można spalić od 250 do nawet 500 kalorii. Podczas spalania poprawisz kondycję”. W opinii tej brakuje zastrzeżenia, że wyjątki potwierdzają regułę, tzn. że od tańczenia poloneza jak świat światem jeszcze nikt nie schudł, nikt się nie ujędrnił, nikt nie tańczył poloneza godzinę i nikt tańcząc go nie spalił więcej kalorii niż podczas wypalania papierosa z filtrem. Wiele wniosków można wysnuć patrząc na tańczących, ale na pewno nie taki, że tancerze mają kondycję. Zawsze wyglądają, jakby słabli z każdym krokiem.

Ktoś teraz zapyta: po co Polacy poloneza tańczą? Bo chyba nie dla zabawy ani nie dla sportu. Mglistej odpowiedzi można szukać w określeniach „uroczysty” i „pełen gracji”. Polacy lubią uroczystości i takoż, gdy się uznaje i szanuje ich grację i dostojeństwo.

Polonez – popatrzmy – jest tańcem bardzo łatwym, zwłaszcza gdy dla porównania patrzy się na tańczących dawne tańce włoskie, francuskie i ludowe albo uprawiających skoczne układy widywane często na trybunach stadionów. Niestety, mimo łatwości, tańczący poloneza Polacy bardzo łatwo gubią rytm i płynność, a więc rzadko osiągają wspomnianą „grację ruchów”, a dostojeństwo pozostaje w sferze marzeń, wziętych z filmów zarówno historycznych, jak i ahistorycznych. Poloneza – to takoż osobliwość – tańczy się głównie w szkołach średnich, na sto dni przed maturą. Rozpoczyna go dyrektor z wicedyrektorką, co jest samo w sobie szalenie interesujące. Jest to zatem taniec raczej rytualny, a to wiele wyjaśnia.

Tańce rytualne to bowiem zupełnie inna bajka. Zerkamy do Wikipedii: „Taniec rytualny stanowi element obrzędów i praktyk kultowych. Znany już od okresu paleolitu, przetrwał do czasów dzisiejszych. Występuje w wielu kulturach, ale szczególnie ważną rolę zajmuje w religiach kultur pierwotnych”. Polonez rytualnym tańcem u swego zarania nie był, ale nim został. W ogóle sporo się w Polsce tańczy, mamy na myśli obecne władze. Na szczególną uwagę zasługują doroczne, rytualne tańce rządu RP z funkcjonariuszami partyjnymi i klerem podczas obrzędów religijnych. Wydawało się, że trudno będzie przebić tę choreografię i klimat, w istocie bardzo paleolityczny.

Tymczasem w niedzielę 1 października 2023 r. na środku Piątej Alei w Nowym Jorku prezydent RP Andrzej Duda zatańczył poloneza. Wydarzeniu towarzyszyły gwizdy i krzyki przeciwników oraz okrzyki aprobaty zwolenników p. A. Dudy. Całość – od obrazu, po fonię, poprzez naturalność i estetykę – robiła szalenie egzotyczne wrażenie. Od lat apelujemy – a jest to wołanie na puszczy – by jak najczęściej zadawać sobie w Polsce pytanie „po co?”. A. Duda powinien sobie je zadawać codziennie, co godzinę, zanim cokolwiek zrobi i cokolwiek powie. To mu nie zaszkodzi. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

wspieraj Tygodnik na powszech.net/patronite

Zostań stałym patronem i odbieraj nagrody: zamknięte newslettery autorów Tygodnika, udział w webinarach Tygodnika i zaproszenia na wydarzenia, festiwale, spotkania.

TYGODNIK POWSZECHNY

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

PATRONITE

REKLAMA

WEŹ UDZIAŁ W WIELKIM PLEBISCYCIE NA FILMOWY PRZEBÓJ 20-LECIA RMF CLASSIC I WYGRAJ NAGRODY!

URODZINY

RMF CLASSIC

SZCZEGÓŁY DOSTĘPNE NA WWW.RMFCLASSIC.PL